



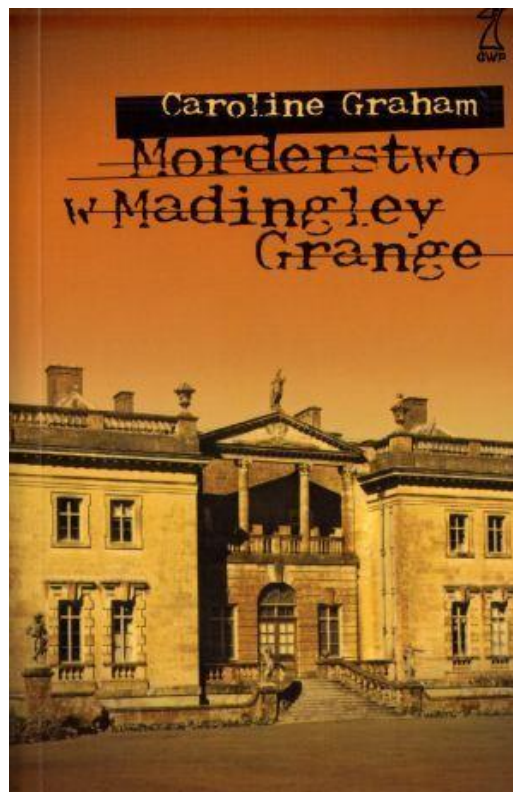
# Caroline Graham

---

## Morderstwo w Madingley Grange

---

Tytuł oryginału: *Murder at Madingley Grange*



Autorka pragnie podziękować

Andrew Caslinowi z Lay and Wheeler w Colchester

za jego życzliwą pomoc

TLR

TLR

Dla

Mary, Marka i Luke'a, dziękując za Sheepcote

Simon mówi: zrób to

---



TLR

## Rozdział pierwszy

---

Na tarasie otoczonej fosą wiejskiej posiadłości, wokół ocienionego parasolem w barwne pasy stołu siedziały trzy zachłanne osoby. Cóż, żeby być bardziej dokładnym, jedna z nich była bardzo zachłanna, druga (obecna jedynie jako duch) tylko umiarkowanie, a trzecia, wyjątkowo ładna dziewczyna z ciemnymi, falującymi włosami, cechy tej prawie w ogóle była pozbawiona. W chwili, kiedy rozpoczyna się nasza opowieść, głos zabrała ta ostatnia.

— Wciąż nie wierzę, żeby Hugh mógł się zgodzić na morderstwo.

— Ależ tak. Rozmawiałem z nim wczoraj wieczorem.

— Chciałeś powiedzieć, że wsiadłeś na niego wczoraj wieczorem. Gdy zadzwoniłam do niego po południu, martwił się tak samo jak ja.

— Jak ja.

— Jak my oboje.

Simon Hannaford odchylił się na krześle, swoje stopy w popielatych, wsuwanych klapkach ze skóry oparł o metalowe szczeble stołu i spojrzał na siostrę. Laurie była nieduża i krzepka, jej spaloną słońcem ciemnobrzoskwiniową cerę pokrywały brązowe piegi. Oczy miała niebieskie, koloru irysów tak ciemnych, że niemal granatowych. Jej bezpośrednie spojrzenie kłóciło się z zaokrąglonymi, gęstymi brwiami, co do których miała niejasne poczucie, że któregoś dnia należałoby je wydepilować i ukształtować w coś odrobinę mniej wojowniczego. Ubrana była w spraną, letnią suknię w kolorze kwiatów barwinka i płaskie, zawiązywane na rzemyki sandały. Miała ubrudzone paznokcie i kolana, a obok jej szklanki z lemoniadą domowej roboty leżały podręczne narzędzia ogrodnicze. Wychyliła spory łyk napoju i powiedziała:

—Morderstwo powoduje okropny bałagan.

—Niekoniecznie.

—Wszędzie krew.

—Możemy go powiesić. Albo ją.

—O, Boże, Simon... Nie wiem.

—Może trucizna?

—A czy ludzie nie wymiotują, kiedy się ich otruje?

—W realnym życiu, głuptasie. To tylko gra.

Simon miał już doświadczenie w zetknięciu z tym silnym, granatowym spojzeniem i teraz sparował je ze spokojną determinacją. Chyba nie mógłby już bardziej różnić się wyglądem od Laurie. Wysoki i szczupły, ale na tyle muskularny, że nikt nie powiedziałby o nim „tyczka”. Jednak mimo iż szyję otulała mu jedwabna, wzorzysta apaszka, a gęste, jasne włosy nosił dość długie, nie dałoby się go też nazwać lalusiem. Jego oczy miały osobliwą, szarzieloną barwę. Szarość przeważała, kiedy go coś irytowało; kiedy był podekscytowany i pewien siebie — na pierwszy plan wysuwała się zieleń. Podniósł kartkę papieru kancelaryjnego gęsto zapisaną kolumnami cyfr, zwinął ją w rulon i pomachał Laurie przed nosem, jakby chciał ją ocucić z omdlenia. Potrząsnęła gwałtownie głową z poirytowaniem.

—Wiem, co tu jest.

—Więc może mi powiesz, jak inaczej zdołamy zdobyć taką kasę w przeciągu dwóch miesięcy? — odłożył kartkę. — Ale uczciwie.

—Nie widzę nic uczciwego w wyciąganiu od ludzi dwustu pięćdziesięciu funtów za jeden weekend.

—Morderstwo sprawi, że to będzie uczciwe. I nie zapominaj, że wchodzi w to opłata za podróż pociągiem. Pomyślałem, że mogłoby to być dodatkową zachętą. Bez zbytniego uszczerbku w zyskach. W końcu nikt nie będzie się chciał wybrać w daleką podróż tylko na dwa dni.

Laurie przyglądała swoje niesforne brwi.

— To chyba nie jest właściwe w cudzym domu. Zwłaszcza że ciotka Maude pierwszy raz poprosiła nas, żebyśmy zaopiekowali się posiadłością.

— A co, jeśli poprosiła nas po raz ostatni? Stracimy najlepszą okazję w życiu. No i powiedziała, że możemy zaprosić przyjaciół.

— Wcale nie to miała na myśli.

— Skąd wiesz, co miała na myśli? Ona i wuj nie mieli kiedyś nic przeciwko szybkiemu zarabianiu. Jak sądzisz, w jaki sposób w ogóle weszli w posiadanie rodzowego majątku?

Zapadło milczenie. Majątek, na który patrzyli, a który nie był wcale taki rodowy, bo datowany zaledwie na 1897 rok, zmienił momentalnie kolor na różany i zajaśniał w zachodzącym słońcu. Dwie kondygnacje ognistopomarańczowych cegieł oblepione były gargulcami i wieżyczkami w kształcie solniczek, udekorowane balkonikami, wspornikami, nadprożami, architrawami i tysiącem innych uduziwnień będących spuścizną dziewiętnastowiecznego angielskiego neogotyku. Otoczone stupięcdziesięcioma akrami parków i lasów, w których swoją ostoję znalazło później stado danieli doprowadzające do szału ogrodników. Było tam też duże jezioro.

Madingley Grange zbudował Aloysius Coker, wynalazca tabletek od bólu głowy, charakteryzujących się tak niewinnym, a zarazem silnym działaniem, że doprowadziły do śmierci tysiące poddanych królowej Wiktorii, a jego samego uczyniły milionerem. Lepsza połowa ciotki Maude (tak naprawdę była cioteczną babką, jednak dla uproszczenia mówiło się: ciotka), wuj George, który zbił fortunę w czasie wojny (oficjalnie na amunicji) i pomnażał ją poprzez rozmaite niekonwencjonalne i zyskowe „interesiki”, nabył dom wraz z zawartością jego piwnicznych pomieszczeń, którą natychmiast ofiarnie się zaopiekował. Wkrótce potem George, do głębi poruszony wspaniałością swojego bordeaux i wyczerpany próbami przechytrzenia fiskusa, odszedł z tego świata.

Wdowa po nim zakupiła i przez jakiś czas prowadziła sieć sklepów z ubraniami, wzbudzając popłoch w sercach zarówno personelu, jak i klientów, gdyż

należała do kobiet robiących wrażenie. Któregoś razu nastąpiło włamanie do Madingley Grange i policja, wezwana przez telefon nieznoszącym sprzeciwu tonem, dotarłszy na miejsce, znalazła włamywacza chowającego się w reprezentacyjnym holu za rycerską zbroją. Wydobyć go stamtąd wymagało całej godziny, trzech filiżanek wyjątkowo mocnej herbaty oraz zapewnień o bezpieczeństwie ze strony pani Maberley. Teraz, po sprzedaży interesu, ciotka Maude postanowiła odpocząć i zamieszkała samotnie, zajmując każdą z dwudziestu sypialni po kolei po to, by nie zaniedbywać ich wietrzenia, po czym na kilka tygodni wypływała w rejs ku zachodowi słońca, by następnie od pokoju w stylu Fragonarda rozpocząć cały rytuał na nowo. Kucharka, pani Posture, i stara służąca, Ivy Tiplady, na czas owych wyjazdowych kuracji dostawały wolne, natomiast człowiek dbający o park i przez cały sezon wegetacyjny zatrudniony na pełen etat, pojawiał się raz na tydzień, by założyć szlaban na najbardziej agresywne formy pełzającej wegetacji. Szofer Fitterbee natomiast po dostarczeniu pracodawczyni do właściwego punktu zaokrętowania chałturzył starym rolls-royce'em na ulicach Londynu.

—Zobaczysz, klienci oszaleją na punkcie tego wszystkiego — Simon władczym gestem wskazał na rozciągający się we wszystkie strony park, strzyżone trawniki i dumne posągi, na rozpadający się gołębnik i ogródek ziołowy prowadzony w przemyślnie niedbały sposób.

—Możesz ich sobie wyobrazić — ciągnął dalej — jak spływają w dół paradnych schodów w pełnej gali lat trzydziestych i podążają na obiad do jadalni Holbeina? Płomyki świec migocą w kryształowych świecznikach, a rodowe sreb...

—Co takiego?

—Płomyki świec migocą...

—Przedtem.

—Obiad w jadalni Holbeina...

—Wcześniej. Coś o gali.

—Ach, to. W pełnej gali lat trzydziestych.



—No, właśnie — przytaknęła Laurie. — Nie wspominałeś o strojach.

—To podstawa. Nie będzie dobrego morderstwa w wiejskim domu bez mówiącej przez nos pokojówki w fartuszkach i krochmalonym czepku, kamerdynera w pełnym rynsztunku, syna pana domu w luźnych pumpach i uroczej córki w kolorowych dżetach.

—Simon, to nie jest wcale morderstwo w wiejskim domu. To farsa w wiejskim domu.

—Będą zachwyceni — niewzruszenie odparł brat. A i tak teraz nie da się już nic zmienić. Uwzględniłem w ogłoszeniu.

—Co takiego...? W jakim ogłoszeniu?!

—W „Timesie”. „Morderstwo w Madingley Grange”.

—Ciotka Maude wyjechała zaledwie pięć minut temu.

—Po co marnować czas?

—Nie miałeś prawa tego robić. Nie ustalaliśmy tego.

—Ja ustaliłem.

—W takim razie możesz jutro zamieścić następne ogłoszenie, w którym sprustujesz dzisiejsze.

—Laurie, mamy dwadzieścia pokoi świecących pustkami. Uwzględniając to, że ty, ja i Hugh zajmiemy po jednym, a personel umieścimy na dole w tych dwóch pomieszczeniach dla służby obok kuchni...

—Personel?

—...i tak zostaje siedemnaście. Możemy każdy z nich wynająć jako podwójny.

—Jaki personel?

—To daje trzydzieści cztery razy dwieście pięćdziesiąt...

—Simon, to absolutnie wykluczone, żebyśmy pozwolili sobie tutaj pałętać trzydziestu czterem kompletnie obcym **osobom**. Te wszystkie obrazy, ozdoby, meble i dywany...

—Przecież nie przyjadą tu furgonetkami na meble.

—Mówię poważnie.

—Ja też. Wszystko jest zapięte na ostatni guzik.

—Więc go rozepnij.

—Nie da się.

—Stanę u wejścia do domu i będę ich zawracać.

—Nie zrobisz tego.

—Przekonasz się.

Simon zdjął nogi w szarych klapkach ze szczebla stołu i postawił je pewnie na wyłożonej kafkami podłodze.

—Z ciebie zawsze była apodyktyczna osóbka. Żeby nie powiedzieć samolubna.

—Jak na to wpadłeś?

—Daję pospolitym, nudnym mieszczuchom szansę przeistoczenia się na czterdzieści osiem godzin w członków szlacheckiej elity, do tego jeszcze małą awanturkę, a ty byś im chciała odmówić tej wspaniałej przyjemności. Powinnaś się wstydzić.

—Simon, w ten sposób sobie ze mną nie poradzisz.

—Naprawdę jestem w sytuacji podbramkowej.

—Czyżby?

—Wiesz, jakie mam długi?

—To zacznij pracować. Nic nie robiłeś, odkąd rzuciłeś uniwersytet.

—Nic?! Siedem lat planów, kombinowania i konspiracji nazywasz niczym? Miałem kapitalne pomysły. Żadnego z nich nie udało się sfinalizować. A dlaczego? Z braku kasy. Gdybym nie był taki spłukany, byłbym dziś milionerem.

— Mówisz tak, jakbyś był w rynsztoku.

— Wszyscy jesteśmy w rynsztoku, moja siostruniu — odparł Simon. — A niektórzy z nas spłyną nim do ścieku.

— Będziesz musiał sobie znaleźć bogatą wdówkę.

—Nie myśl, że nad tym nie pracuję. Tymczasem mój debet narasta, a tamci mnie cisną, żebym się z nim uporał. Chcesz zobaczyć, jak mi strzelają w kolana i zakopują do pasa w cemencie?

—Zależy, kiedy to będzie. Jutro przed siódmą muszę być w Oksfordzie.

—Tyle cię to obchodzi, co zeszłoroczny śnieg, co nie? Według ciebie mogę paść z głodu. Dobrze — a co z twoją przyszłością? Nie macie zamiaru się pobrać? — Milczenie. — Ty i Hugh? Dobry, stary Hugh. Nudny jak flaki z olejem, cierpliwy i wierny.

— To brzmi, jakbyś opisywał jakiegoś basseta.

— Jak na basseta jest zdecydowanie za wysoki — zaśmiał się Simon. — No więc, macie taki zamiar czy nie?

— Jasne, że tak.

Laurie naprawdę nie musiała się wcale zastanawiać nad odpowiedzią. Ona i Hugh byli... no cóż... po prostu byli. Byli od zawsze. Razem dorastali; chodzili do jednego przedszkola, do pierwszych klas podstawówki, na te same dziecięce bale. Spędzali wspólnie wakacje i święta Bożego Narodzenia. Jeśli Laurie nie znalazłaby jakiegoś ważnego powodu czy bodaj przeszkody na drodze do ich małżeństwa, powinni zostać ze sobą do końca życia. A ona żadnej takiej przeszkody nie widziała. Naprawdę. Bardzo lubiła Hugh. Świetnie nadawał się na towarzysza długiej podróży zwanej życiem. Był cichy, cierpliwy i zrównoważo-

ny. Tolerancyjny, gdy była rozdrażniona, i miły, kiedy miała chandrę. Nigdy nie zapominał o jej urodzinach, mimo że jego prezenty nie były zbyt pomysłowe, a nawet siadywał z nią przed telewizorem, udając, że lubi *Świat ogrodnika*. Czego więcej może oczekiwać dziewczyna, zastanawiała się Laurie.

Niekiedy, z poczuciem winy, myślała, że musi być coś jeszcze. Na przyjęciu zaręczynowym kuzynki Laurie na krótko znalazła się obok Charlotty w trakcie poprawiania makijażu w damskiej toalecie. (Właściwie to Charlotta poprawiała makijaż; Laurie w ponurym nastroju próbowała wilgotną szczotką wygładzić swoje włosy). W trakcie tej czynności nagle uderzyła ją jaśniejąca twarz sąsiadki. Na jej tle jej własna wyglądała doprawdy nieciekawie. Policzki Charlotty pokrywał żywy rumieniec, a jej oczy — Laurie zawahała się przed tym porównaniem, ale nie można mu było zaprzeczyć — świeciły jak gwiazdy. Laurie była na tyle nieroztropna, że natknąwszy się po pewnym czasie na brata, w chwili gdy delectował się na schodach *salmon roulade*, nie omieszkała wspomnieć mu o swoim spostrzeżeniu.

—Wyglądasz trochę smętnie — zauważył, a ona wyjaśniła mu dlaczego, dodając na koniec, że będąc z Hugh, nigdy nie widziała gwiazd, nawet wtedy, gdy ją całował.

—Gwiazdy widzisz, kiedy ktoś cię znokautuje — odparł Simon. — A nie wtedy, kiedy cię całuje.

—Ale przecież powinno coś się wydarzyć? — nalegała Laurie. — Czytałam w jakiejś książce, że ziemia się porusza.

—Och, nie przywiązywałbym zbytnej wagi do tego, co pisał Hemingway o Hiszpanii. Dla niego ziemia zawsze się poruszała. Głównie dlatego, że nie przebywał nigdy dalej niż pięć minut od eksplodujących bomb.

Laurie westchnęła i niechętnie wróciła do teraźniejszości, świadoma, że Simon patrzy na nią wyczekująco. Nie zrezygnował. On nigdy nie rezygnował.

—Zatem przypuszczalnie trzydziestu czterech nie wchodzi w grę...

—Niepotrzebne tu żadne przypuszczenia.

—Ilu mogłoby być?

Laurie dołała sobie trochę lemoniady. Żałowała, że nie wie, w jak wielkich tarapatach znajduje się jej brat. Simon miał poważne kryzysy związane z brakiem gotówki od czasu, kiedy zaczęła rozumieć znaczenie tego pojęcia. Przeskakiwał często od dużego szmalu do kompletnej nędzy, by w ciągu jednego dnia wrócić znów do grubego portfela. Czasami przyczyną był hazard, dużo częściej jego spontaniczna wielkoduszność. Zawsze kupował prezenty, które wybierał, odwrotnie niż Hugh, dowcipnie i z wyobraźnią. Laurie przypomniła sobie niedowierzające podekscytowanie, z jakim w swoje dwunaste urodziny, otoczona beznadziejnymi książkami o kucykach pony, piórami do pisania i nowymi pizami, rozwijała ogromny plan trzynastowiecznego klasztornego ogrodu, który Simon skopiował ze starego manuskryptu, powiększył i pomalował. Były tam nazwy wszystkich roślin, a nawet ogrodnik, zgarbiony stary mnich, zagrabiający żwir. Plan wciąż wisiał nad jej łóżkiem.

—Laurie?

—Nie wiem.

—Ilu najwięcej?

Laurie, wiedząc, że popełnia straszny błąd, rzekła:

—Sześciu.

—To śmieszne. Dla mniej niż dwudziestu nie warto się za to zabierać.

—Więc się nie zabierajmy — Laurie wycofała się z ulgą.

—Ach, nie bądź taka marudna. Domowe przyjęcia to świetna zabawa. Przecież bardzo lubisz ludzi.

—A właśnie, że ich nie lubię. Lubię urobić sobie ręce po łokcie w ogrodowej ziemi, spędzać czas między konewkami, kwiatami i rozsadnikami.

—Wobec tego dwudziestu?

—Nie.

—Piętnastu?

—Nie.

—Dziesięciu. Ładna, okrągła liczba — ciągnął prędko dalej, widząc, że Laurie otwiera buzię, by się odezwać. — I z pewnością będą z wyższych sfer. Dobrze wychowani i śmierzący forszą.

—Jak ich znajdziesz?

— A myślisz, że dlaczego dałem ogłoszenie do „Timesa”? Nie mam zamiaru wynajmować pokoi ludziom, których zachowanie przy stole ujdzie wyłącznie w taniej spelunce. Dziesięciu? Proszę...

Laurie się zawahała. Wydawało się jej, że w głosie Simona słyszy nutę autentycznej rozpacz. Tylko że zdarzało jej się ją słyszeć dość często. A on był urodzonym aktorem. Miała wrażenie, że od kiedy tylko sięgała pamięcią, Simon działał w sobie tylko właściwy sposób, który to wpędzał go, to wyciągał z kłopotów. Teraz nachylił się i pocałował siostrę.

— Jesteś aniołem. Dzięki, że się zgadzasz.

— Nie zgodziłam się — zaprzeczyła Laurie, wiedząc, że jej milczenie przyjąłby jako aprobatę. Spojrzała na brata. Powodzenie nadało jego bladej cerze rumieńców, a oczy zabłyśły zielenią. Uśmiechnął się. Znała doskonale ten uśmiech. Przez całe dzieciństwo widywała go dość regularnie. Powodował, że osoba, do której był adresowany, kapała się w świetlanym blasku szczęścia, a zarazem przeszywał ją lekki strach, spowodowany poczuciem, że coś wyjątkowo groźnego prześlizguje się tuż obok.

Zobaczyła ten uśmiech po raz pierwszy, gdy miała pięć lat, a jej owdowiała matka przyprowadziła do dziecinnego pokoju Victora Hannaforda, którego planowała poślubić, i jego trzynastoletniego syna. Simon z ogromną pewnością siebie wyszedł naprzód, uścisnął rękę niani, pocałował Laurel w policzek i zgrabnie wyciągnął z jej kosza z zabawkami pudełko galaretek w czekoladzie. Obserwowała z niepokojem, jak znikali za drzwiami, gdyż galaretki były jej ulubionymi słodyczami, po czym ogromnie jej ulżyło, kiedy chłopak wrócił, żeby się pożegnać, i odłożył kartonik na miejsce. Później okazało się, że był pusty.

—Nic nie da ten twój uśmiech.

—Jaki uśmiech?

—Uśmiech rekina.

— Można by pomyśleć, że mi nie ufasz. — Simon nalał sobie trzecią szklaniczkę wódki z tonikiem, dodał lód i cytrynę. Szybko zamieszał, podziwiając srebrzysty połysk na powierzchni napoju, po czym wychylił go jednym haustem. — Dobrze. — Zmienił ton i zaczął mówić szybciej: — Mamy więc dziesięć razy dwieście pięćdziesiąt... Mniej jedzenia, rzecz jasna. Możemy zrobić skok na piwnicę z winem...

—Też coś, wykluczone!

—A czemu nie, u licha?! Te zakurzone butelki z jabolem z wolna wypełniają się octem...

—Jeśli to jaból, to octem stał się już dawno temu. Nie przypuszczam, żeby ktoś tam schodził od czasu, gdy ostatni raz był tam wuj George.

—No właśnie. Zrobimy cioci Maude przysługę, opróżniając piwniczkę.

—Wątpię, żeby ona tak to widziała.

—Prędzej czy później najpewniej to wszystko i tak będzie nasze.

—„Prędzej czy później” nie znaczy teraz. I nie dziel skóry na niedźwiedziu. Nie tylko my możemy dziedziczyć.

—A niby kto?

—Na przykład Syn Hazel.

—Mervyn? Ciotka Maude go nie znosi. Mówi, że wygląda jak chomik, który cierpi na obstrukcję.

Laurie zachichotała.

—Trochę ma rację. A Jocelyn? Albo ta dziwaczna kuzynka, która dostawała palpacji i spała w akwarium?

—Hetty? Wyjechała do Australii.

—Może Handsom-Nortysowie?

—Po tym wyciszonym skandalu ze sprzedażą udziałów? Nie, ty i ja mamy jak dotychczas największe szanse — powtórzył zdecydowanie Simon. — A teraz wróćmy, proszę, do interesów. Jak sądzisz, ile trzeba będzie zapłacić personelowi?

—A ty wciąż to samo. Jaki personel?

—Musimy mieć kamerdynera i pokojówkę.

—Co ci się nie podoba u pani Posture i Ivy?

—Boże, jesteś naprawdę tępą. — Simon zaczął wyjaśniać powoli i dobitnie: — Oprócz tego, że żadna z nich, choćby nie wiem jak przebrana, nie wyglądałaby na kamerdynera, jest jeszcze duże prawdopodobieństwo, że po powrocie cioteczki Maude opowiedziałyby jej o wszystkim.

—Mówiłeś, że nie miałyby nic przeciwko temu.

—Co za zrzęda! Dam ogłoszenie w „Oxford Mail”, że potrzebujemy pomocy domowej.

—Bezpieczniej skorzystać z usług agencji.

—Wielkie dzięki, nie mam zamiaru wydać na to majątku. Zwłaszcza że nasze zyski obcięliśmy do minimum przez to całe biadolenie o liczbie gości. Rzecz jasna, poproszę o referencje.

— Mam nadzieję.

Simon odstawił szklankę na stół i uniósł spokojną, zadowoloną twarz w stronę ciepłego, przedwieczornego słońca. Nie miał żadnej pewności, że zdoła przekonać Laurie do swojego planu. A gdyby jego perswazja jakimś cudownym zrządzeniem losu miała się okazać skuteczna, nie przypuszczał, że zgodzi się na więcej niż dwoje, góra — czworo gości naraz. Niczym przekupień na rynku podsunął jej najpierw ponad trzydziestu, wiedząc, że tym ją bardzo wystraszy, po czym zgodził się na dziesięciu. Niewiarygodne. Jutro faktycznie da ogłoszenie do „Timesa”.



—Ale z morderstwa nie rezygnujemy? — spytał, a gdy Laurie zmarszczyła brwi, dodał szybko: — Ja wszystko zorganizuję.

—Co ty wiesz o zabawach w morderstwo?

—Przeprowadziłem dogłębne badania — Simon wskazał na stertę broszur leżących obok książek w miękkich okładkach i dzbanka z lemoniadą. Podniósł egzemplarz *Śmierci na Nilu* i pomachał nim przed siostrą. — I mam mnóstwo pomysłów. Nakreślę teraz w głównych zarysach intrygę, każdemu przydzielę określoną rolę i niech sobie dalej radzą.

—To brzmi nieco mgliście.

—Mglistość to podstawa. Pozostawia miejsce na improwizację. Zazwyczaj, według tego, co tutaj piszą — postukał palcami w broszury — angażuje się aktorów, ale ja, rzecz jasna, żadnego z nich nie zatrudnię. Wszyscy żądają tak zwanego związkowego minimum. Byłem zszokowany, kiedy się dowiedziałem, co to takiego. Myślałem, że robią to bezinteresownie. Jak zakonnice i misjonarze.

—Będę chciała zweryfikować wszystkie osoby, które odpowiedzą na ogłoszenie.

—Naturalnie.

—I tego kamerdynera i pokojówkę.

—Oczywiście. Można ich po prostu odpowiednio ucharakteryzować. Do przyjazdu gości mogłabyś przygotować trochę żarcia i odpicować dom. No, wiesz, ustawić kwiaty we wszystkich pokojach...

—Wielkie dzięki!

—Myślałem, że lubisz kwiaty. W porządku, wobec tego następny weekend. Między piętnastym a siedemnastym czerwca.

—A czym ty się będziesz w tym czasie zajmował?

—Ja — odparł wielkopańsko Simon, odchylając się do tyłu na krześle i opierając jeszcze raz klapki o szczebel stołu — wyprasuję swoje pumpy.

## Rozdział drugi

---

O dziwo, pod jednym względem Simon miał rację. Odkąd Laurie rzuciła się w organizację weekendu, jej wątpliwości, przynajmniej tymczasowo, zniknęły. Wycierała kurze, odkurzała, biegła po schodach na górę i z powrotem ze stertą pachnących lawendą prześcieradeł i powłoczek, sprawdzając, czy w każdym z pokoiów są świeże kwiaty, púchate ręczniki, pachnące mydełka i coś do czytania, a na nocnych stolikach wypisana ręcznie karta menu.

Dla podniebienia gości przygotowała: *térrine* z gołębi, *boeuj en croûte*, pudding cytrynowy, a na wypadek, gdyby ktoś okazał się wegetarianinem — ratatuję, ser Stilton i quiche z brokułami. Wszystko to umieściła w zamrażarce razem z setką bułek i zestawem pięćdziesięciu różnorodnych *croissantów* i *brioche*. Pozostały jeszcze do przyrządzenia bażanty i łosoś, oczekujący w lodówce na sobotni lunch. Po raz pierwszy Laurie poczuła wdzięczność wobec ciotki, która wykazując osobliwe przekonanie, że ogrodnictwo nie jest zajęciem dla dam, odmówiła opłacenia siostrzenicy czesnego za naukę w Pershore College, dopóki nie ukończy ona dwóch pełnych semestrów kursu gotowania. Teraz Laurie, czując się rześko i kompetentnie, raz po raz sprawdzała domową listę spraw do załatwienia, aby się upewnić, że o niczym nie zapomniała. Oczywiście, myliła się.

Simon jak zawsze, gdy udawało mu się postawić na swoim, był wzorem ciepła, życzliwości i oddania. Objechał kosiarką rozległe połacie trawników i osiągnął wspaniały efekt, wyrzucając w górę skrzące się tumany ściętej trawy i zostawiając za sobą wyjątkowej doskonałości pasy. Zamienił też (tymczasowo) swojego starego volkswagena Karmann Ghia na minibus (dla wszystkich gości korzystających z oferty darmowego przejazdu pociągiem). Bus stal teraz wymyty i wypucowany przed frontowym wejściem. Jego przednią szybę okalała złocisto-pomarańczowa taśma chroniąca przed słońcem i opatrzona dużym napisem MADINGLEY GRANGE.

Poprzedniego dnia oboje odważyli się zejść do piwnicy. Jej rozmiary bardzo ich zdumiały, gdyż nigdy tam wcześniej nie schodzili. Był to jakby mały hangar

dla samolotów niewyraźnie oświetlony trzema sześćdziesięciowatowymi żarówkami zawieszonymi na starych, strzępiących się kablach elektrycznych. Panowała tam zagadkowa woń, a podłogę pokrywała warstwa pyłu, który zmuszał Laurie do kichania. Nie było żadnego echa — odgłos kichania był natychmiast tłumiony. W powietrzu unosiła się obezwładniająca stęchlizna. Kiedy tak stali dość blisko siebie, jedna z żarówek na chwilę zaiskrzyła, po czym zgasła.

— Wspaniale — powiedział Simon. — Już i tak prawie nic nie było widać. Powinienem zabrać latarkę.

— Pójdę i przyniosę.

— Ani mi się waź! — Pochwycił wzrok siostry. — I lepiej sobie nie żartuj — jego głos załamał się dramatycznie. — Kto może wiedzieć, co czai się tam w ciemności?

Laurie wyciągnęła rękę i pchnęła żarówkę, która zakołysała się w przód i w tył. Z mroku wyłoniły się jakieś olbrzymie kształty, zatarły się, znów się pojawiły. Stare meble ustawione jedno na drugich, jakieś kufry, archaiczna łódka odwrócona do góry dnem. Rakiетки, piłeczki i siatki do ping-ponga, zestaw młotków do krokietu. Oraz skrzynki, skrzynki i jeszcze raz skrzynki z winem.

—Mój Boże... — westchnął Simon. — Raj dla enofila.

—Założę się, że wszystkie opróżnione.

— Jedyne sposob, żeby się przekonać... — Simon podszedł w stronę najbliższego stosu skrzynek. Wyciągnął butelkę.

— Nie machaj nią tak! Na dnie musi być osad.

— Więc jedną zmarnowałem. Są ich tu całe setki. Co weźmiemy? Ty jesteś *chef de cuisine*.

— Czerwone i białe.

—Myślałem, że po całym tym kosztownym szkoleniu będziesz miała trochę lepsze pojęcie o markach i rocznikach win i będziesz potrafiła powiedzieć więcej niż „czerwone i białe”.

—Jak mam wybierać, skoro nie wiem, co tu mamy?

—Tak, to jest... — Simon przyjrzał się butelce. — Etykieta jest w strzępach.

—Na korku powinna być jakaś informacja.

—Trzeba tu będzie przeprowadzić poważniejsze badania. Nie możemy podawać klientom czegoś, czego sami nie przetestowaliśmy. Ty weź te trzy, a ja zabiorę to.

—Simon... — Laurie przesunęła się kilka kroków dalej. — Chodź tu na chwilkę.

Simon przyłączył się do niej.

—Szampanik. Mniam, mniam.

—To Krug, rocznik 1955.

—Najwyższy czas, żebyśmy go napoczęli.

—Ależ skąd. Na pewno jest wart fortunę.

—Laurie, zaczynasz być nieznośna, wiesz o tym?

—Co jest napisane na innych?

—*Wypij mnie*. — Simon pewnie zawrócił Laurie w stronę piwnicznych schodów i pchnął ją lekko do przodu. — Idź i poszukaj korkociągu. — Zabrał jeszcze trzy butelki i podążył za siostrą, popychając ją, kiedy się ociągała.

Znalazłszy się w jadalni, wyjął kilka kieliszków na długich nóżkach w kształcie tulipana, obtarł z kurzu i pajęczyn butelkę numer jeden — wciąż była niemal czarna — i wyciągnął korek. Wino połyskiwało jak rubin, a znad szkła unosił się ciężki, niesłychanie gęsty aromat. Czarnej porzeczeki, drewna cedru (a może sandałowego?), śliwek. Laurie opróżniła swój kieliszek i spojrzała na Simona. Sprawiał wrażenie całkowicie oszołomionego.

— Cudowne.

Simon pociągnął za następny korek.

— To jest białe. Prosiłaś, zdaje się, o to i o to.

Białe na swój sposób było równie doskonałe. Maślano-żółtej barwy z domieszką zieleni. Nie dając wiary pierwszej lampce, wychylili po następnej. Pachniało jak...

—Wanilia.

—Orzechy.

—Chleb.

—*Chleb?*

—Z masłem.

—Nie powiedziałabym — zaprzeczyła Laurie, kręcąc kilkakrotnie głową. — Wydaje mi się — smakowała dalej — że czuć w nim wyjątkowy, ale subtelny posmak dębu...

—Oszczędź mi lepiej tego winiarskiego bełkotu.

—Ooh... too... dęę... boo...

—Jeszcze jedno słówko o wyjątkowym i subtelnym posmaku dębu, a to wszystko powędruje do zlewu.

—Nie!

—Więc się zachowuj.

—Dobrze, Simon.

—Przestańmy głądzić o aromatycznych detalach, ale to już.

—Nie, Simon. — Laurie wessała w siebie jeszcze trochę napoju. — Janowiec ciernisty.

—O, rany, nie zgrywaj się! — Simon sięgnął po butelkę numer trzy.

—Wobec tego mięso i ryba.

—To znaczy?

—To znaczy, że jesteśmy po prostu... — w wysiłonym skupieniu Laurie zmarszczyła czoło i uchwyciła się krawędzi stołu — ...pijani.

—Widzę, że jesteś pijana. Przynosisz rodowemu nazwisku ujmę.

—Nieprawda. Teraz... — Laurie z opanowaniem i powagą położyła dłoń na ramieniu brata. — Potrzebujemy czegoś, co będzie pasowało do puddingu.

—Do puddingu, madam? — Simon owinał czystą ścierkę do naczyń wokół butelki. — Nic więcej nie mów.

— Będę mówić, co mi się podoba. Za kogo się uważasz? Simon nalał do kieliszków. Łany świeżo skoszonego siana

pod palącym słońcem. Wonna rezeda zgnieciona w dłoni. Koniczyna i polne kwiaty. Wino barwy starego złota z obwódką w kolorze spalonego cukru, słodkie, o bogatym aromacie. Pszczela słodycz, która pozostaje w ustach. I trwa, i trwa.

—To — Simon osuszył kieliszek — jest cudowne. Obawiam się, że tak blisko nieba nie będę ani na tym, ani na tamtym świecie. Co tam robisz na dole?

—Na dole?

—Na podłodze.

—Nie jestem na podłodze.

—Owszem, jesteś.

—Nie jestem.

—W każdym razie któreś z nas.

—To ty! — Laurie zaczęła się śmiać, kołysząc się na krześle. — Wstawaj... wstawaj...

—Te wina... — Simon z trudem się podniósł na nogi, przy czym niemal zepchnął Laurie na podłogę — ...są jakieś inne.

—Muszę się dowiedzieć, co to za marka. I wypisać nazwy na menu.

—Obowiązkowo. A teraz... otwórz Kruga — zażądał Simon. — I niech się stanie światłość.

Kilka godzin później, kiedy Laurie poczuła się na siłach, wróciła do piwnicy z latarką i niewielkim taboretem i starła kurz z trzech skrzynek. Wyjaśniło się później, że piątkowi goście do mięsa wypiją Mouton-Rothschild rocznik 45, do ryby Louis Latour Corton-Charlemagne z 1962 roku, a razem z deserem Château d'Yquem z roku 1921.

— A każde po prostu boskie — mruknęła Laurie, poprawiając karty menu. — Myślę, że ludzie będą gotowi zapłacić dwieście pięćdziesiąt funtów za sam przywilej ich spróbowania.

I była to najprawdziwsza prawda.

Następnego dnia Simon, narzekając jeszcze na niewyraźne brzęczenie w uszach, wyjechał do Oksfordu, żeby przesłuchać kandydatów na *les domestiques*, jak upierał się ich nazywać. Oboje przyjechali z Londynu, powiadomieni jakoby przez kuzynkę z Witney, która przeczytała ogłoszenie Simona w „Daily Mail”.

Rozmowa kwalifikacyjna miała się odbyć przy herbatce w Mitre, co Laurie uważała za nieco głupi pomysł. W końcu, jak oznajmiła bratu, chodziło nie o to, czy ubiegający się o pracę potrafią ładnie siedzieć i zachowywać się przy stole, a raczej, czy sami potrafią obsługiwać. Simon odparł, że chyba trudno oczekiwać, iż oboje w kompletnie nieznanym hotelu zaczną mu podawać lukrowane ciasteczka wyłącznie po to, by pokazać, ha co ich stać.

Chyba jest jakaś niezgodność, pomyślała Laurie buszująca po wyjeździe brata w ciocinym sekretarzyku w stylu Boullé'a, między jego deklaracjami o tym, że został zasypany podaniami o pracę, a pojedynczym listem napisanym zamasytym piśmem na tanim papierze w linie, który podpięty wystawał z tyłu pliku papierów z napisem „Morderstwo”. Koperta upstrzona była czymś, co wyglądało, jakby swoje ślady zostawił na niej pajak, który po obfitym lunchu z przejrzałych much zahaczył o najbliższy kałamarz. Sam list był krótki. Niżej podpisana, A. Bennet (pani), której uwagę zwróciło ogłoszenie Simona, pragnie zaoferować usługi swoje i swojego brata na krótki okres przed spodziewanym podjęciem

pracy w Irlandii u lady Keele na zamku Triamory. Uprzednio pełnili oni służbę u szanownej pani Hatherley. Tu następowała wzmianka o doskonałych referencjach. W istocie ton listu był tak wzniosły, a rzucone nazwiska tak głośne, że Laurie zastanowiła się przez chwilę, czy przedstawiano w nim referencje, czy ich żądano.

Odłożyła list do pliku papierów i wybrała z nich kilka dotyczących gości Simona. Tutaj przynajmniej panował porządek. Chociaż do zaplanowanych przez Simona dziesięciu brakowało jednego, to wszystkie czeki zostały dokładnie sprawdzone, a papier listowy był na ogół, jak to określał Simon, „godny zaufania”.

Laurie nie była zbyt przekonana co do pana Gibbsa, który pisał z Peep O'Day na jaskrawym papierze ozdobionym dwiema przyodzianymi w bikini nimfietkami grającymi w siatkówkę plażową, zwłaszcza że wyglądało na to, iż miał zamiar przyjechać z dwiema żonami. Lecz pani Saville (prosty, błękitny pergamin, mocny, gotycki charakter pisma), pan Lewis (biały papier, bez zdobień, dobrej jakości) i państwo Gregory (kremowa papeteria wyróżniająca się skrzyżowanymi szklami powiększającymi i czapką z nausznikami a la Sherlock Holmes wokół słów Grimpen Villas) byli najwyraźniej bez zarzutu. Głos pani Gregory, która zadzwoniła z zapytaniem o jedzenie i inne szczegóły, brzmiał naprawdę uroczo.

Państwo Gregory przyjeżdżali z Brize Norton, a więc z niezbyt daleka. Ale Gibbsowie pochodzili z Północy, a Arthur Gillette mieszkał jeszcze dalej, a mianowicie w Fishwick w Berwick on Tweed. I co z twoim przekonaniem, skomentował to zgryźliwie Simon, że nikt nie zdobędzie się na dłuższą podróż na jeden weekend?

W czwartkowy ranek przyszły kostiumy. Laurie poprosiła, żeby umieścić kosz w sąsiadującym z kuchnią aneksie służącym do zmywania naczyń. Było to przestronne pomieszczenie z długim, sosnowym stołem przemalowanym na biało z wyraźnymi uszkodzeniami pośrodku oraz trzema wielkimi kamiennymi zlewomywakami połączonymi starymi ociekaczami z drewna, które wykorzystywano wyłącznie do pracy przy kwiatkach. Trzy ściany aneksu od podłogi po sufit zajmowały mahoniowe kredensy wypełnione po brzegi żółto-błękitną fajansową zastawą Regency z firmy Mason's. Setki rozmaitych naczyń, włącznie z kieliszka-



mi do jajek. Wiedząc, że największym osiągnięciem jej ciotki w dziedzinie towarzyskiej było zaproszenie pań z Klubu Kobiet w Madingley na herbatkę, Laurie zapytała ją kiedyś, po co trzyma taki wielki, efektowny serwis. Pani Ma-berley wyjaśniła, że to należy do dobrego tonu.

—Ale nikt nie ma pojęcia, że to tu jest.

—Ja wiem, że jest, Laurel — odparła ciocia Maud. — I to ma znaczenie. Dzięki takim ekscentrycznym praktykom utrzymujemy poziom. To jak zakładanie zawsze czystej halki.

Mimo że deprymująca ciotuchna znajdowała się w bezpiecznej odległości pośrodku Oceanu Indyjskiego, na jej wspomnienie Laurie ścierpła skóra. Ucieszyła się, kiedy Simon powrócił z Mitrę przeświadczony o zdatności kandydatów. Oboje mogli wówczas skierować swą uwagę na kostiumy. Simon zajął się kupioną w Bowater's lufką do papierosów, podczas gdy Laurie otwierała kosz.

Stroje, ślicznie opakowane i przełożone bibułkami, leżały we wnętrzu dwóch pudeł. Laurie wyjęła większe z nich i podała je Simonowi, który niecierpliwie zaczął rozrywać papier.

—Kapelusze!

—Na co nam kapelusze?

—Ten dla ciebie — Simon wręczył jej turban z lamy zdobiony białymi piórami czapli przymocowanymi błyszczącą zapinką w kształcie bułata.

— Nie założę czegoś takiego!

—Nawet nie zaczęliśmy, a ty już marudzisz. — Simon znowu pogrzebał w koszu i wyciągnął płaski słomiany kapelusz i wielką kraciastą czapkę w musztardowo-brązowych kolorach.

—To musi być dla mnie. — Założył czapkę na głowę. Laurie parsknęła ze zdumienia. Simon zdjął ją z powrotem. — A może dla Hugh. No właśnie, co się z nim dzieje? Myślałem, że przyjeżdża na lunch.

—Owszem. Przypuszczam, że coś go zatrzymało. — Laurie rozpakowała pantofle, rękawiczki i wieczorową torebkę wyszywaną cekinami. — Muszę przyznać, że są szykowne.

Zwrócili teraz uwagę na zawartość samego kosza. Simon wyjął kanarkową kamizelkę, na której połyskiwały wzorzyste lisy, męskie półbuty z wystającymi ochoczo językami i pumpy w kolorze tabaki. Laurie znowu parsknęła śmiechem. Simon położył to wszystko na stole obok czapki dla Hugh z taką czcią, jakby miał do czynienia z nieboszczykiem, po czym wy dostał frak.

— Ach! — westchnął z głęboką satysfakcją. — W sam raz dla kamerdynera. A to — wskazał na śnieżnobiały, falbaniasty żabocik — dla pokojówki.

Laurie położyła go na swojej głowie. Jego końce opadły prosto do wysokości nasady nosa i tam pozostały. Potrząsnęła głową.

— Jok wyglodom, ser?

— Jak neandertalska mniszka. — Simon wciągnął na ramiona kremową marynarkę z jedwabiu, a do dzinsów przyłożył spodnie z czarnego materiału. — A ja?

Wyglądał bardzo seksownie, ale Laurie nie miała zamiaru mu tego mówić.

— Jak wybrakowany żigolo. A gdzie strój jego partnerki?

—*Voilà!* — Simon gestem matadora z muletą pomachał przed oczami siostry połyskliwym potokiem jasnoblękitnej lamy. Wzięła ją ostrożnie do ręki.

—Jest nieco śliska. Ale dość efektowna. To mają być buty? O, rany! — Istne szcudła.

—Któregoś razu narzekałaś, że nie wyrosłaś ponad swoje półtora metra. — Simon przechylił się nad koszem i chwycił siostrę za rękę. — Odważ się, skarbie. Spróbuj wczuć się w atmosferę.

—Będę w tym wszystkim wyglądać jak idiotka.

—Wobec tego pomyśl o kasie. Będiesz mogła kupić tyle kompostu, że przykryjesz nim całe hrabstwo. Do tego rozsadniaki. I złącza...

—Kłacza, Simon.

—Dokładnie — potwierdził Simon z taką satysfakcją, jakby rozwiązał właśnie strasznie trudne równanie. — Mamy tu — zamaszystym ruchem wyciągnął jakiś ciuszek w kawowo-kre-mowe geometryczne wzory — twoją — przestudiował metkę — popołudniową kreację...

—Popołudniowa kreacja?! Nie wierzę. Sądzisz, że ludzie jeszcze przebierają się na podwieczorek?

—Naturalnie, w pewnych kręgach.

—Nie pleć.

—Proponuję, żebyś ją założyła na jutrzejsze powitanie gości. Będziesz też musiała zmienić makijaż. Albo raczej — zerknął na piegowatą, spaloną słońcem twarz Laurie — zacząć go robić. Uważam, że świetna byłaby karminowa szminka. Może w tych prehistorycznych żurnalach na strychu znajdzie się coś, na czym będzie można się wzorować. Do tego cienko wyrysowana, uniesiona brew...

—Nie mam zamiaru wyskubywać sobie brwi.

—No cóż, nie możesz przechadzać się w kreacji bez pleców z lamy i z takimi brwiami. Są jak opadnięte okapy.

—Nic im nie brakuje — Laurie opuszką palca przyglądała połyskujące ciemne skrzydła. — A gdyby sukces całego naszego przedsięwzięcia miał zależeć od...

Rozległ się przeraźliwy dźwięk dzwonka, na co Laurie z krzykiem: „To Hugh!” wybiegła do holu.

Telefony w Madingley Grange zainstalowano w latach czterdziestych; były to wielkie i ciężkie bakelitowe urządzenia, które od mięśni przedramienia wymagały użycia sporej siły. Laurie podniosła słuchawkę do ucha.

—Hugh? Gdzie jesteś?

—Jeszcze w Gloucester, kochanie. Okropnie mi przykro. Rzecz w tym, że w połowie drogi do stacji w landroverze nastąpiło spięcie albo pękła jakaś uszczel-

ka, albo jeszcze coś tam... w każdym razie musieliśmy czekać całe godziny, zanim ktoś się pojawił... My?

—Pacey prowadziła. Ktoś musiał odprowadzić samochód.

—Myślałam, że mają więcej niż jedno auto?

—Tak, ale gdy wyjeżdżaliśmy do Hall, sir Pierś pojechał rolls-royce'em z Frobisherem, babcia zabrała mini, żeby odwiedzić panią Pargeter w Chipping Campden, a lady Kettersley-Gore wybrała się roverem na zakupy.

—To trochę donkiszoteria, nie sądzisz?

—Co takiego? — zaniemówił na chwilę. — A kiedy wreszcie naprawili wóz, zrobiło się zbyt późno, żeby złapać pociąg jadący do Oksfordu.

—A co z roadsterem?

—Toby pożyczył go na trochę. Kochanie, chyba się nie obraziłaś, co? — ciągnął Hugh. — Słyszę w twoim głosie... jakiś... chłód...

—Hugh — Laurie usiłowała zachować spokojny ton i starannie dobierała słowa. — Wiesz, że weekend z morderstwem zaczyna się jutro. Będę potrzebować ogromnie dużo pomocy i moralnego wsparcia. Posłuchaj, zjawisz się tu najpóźniej na podwieczorek, rozumiesz? — Pomimo całej determinacji głos Laurie załamał się na ostatnim zdaniu, a strach przedostał się przez powstałą lukę.

—Załatwione. Chociaż jestem pewien, że macie już wszystko przygotowane.

—Cóż, z jedzeniem mniej więcej załatwione. Stroje są szalone. Ale najlepsze są twoje pumpy.

Nastąpiła krótka pauza; dość długa jednak, żeby po ciosie zdążyć upaść na ziemię i się podnieść.

—Muszą być jakieś zakłócenia na linii. Przez chwilę mi się wydawało, że powiedziałaś, iż najlepsze są moje pumpy.

—Ależ skąd... — odparła Laurie, wyczuwając u swego narzeczonego prawdopodobny spadek entuzjazmu. Powiedziałam, że... hm... najlepsza jest... pogodą.

—Naprawdę? Tutaj leje jak z cebra.

Kiedy powróciła do aneksu, Simon powiedział:

— Sprawiasz wrażenie rozbitej. Co się stało? Laurie wyjaśniła mu sytuację.

—Co on tam właściwie robi?

—Toby Kettersley-Gore to jego najlepszy przyjaciel. Byli razem u Greshamów. Hypaetia i Poppy są siostrami Toby'ego. Na pewno pamiętasz Pacey. Była moją najlepszą przyjaciółką.

—Ehm...

—Co ma znaczyć: ehm?

—Być może nie oparł się przyjacielskiej zażyłości.

—Bzdura. Poppy to mała buntowniczką z kucykami, która podkładała mi żaby do łóżka, kiedy tam nocowałam. A zęby Pacey sterczą jak u królika, no i zawsze rzuca się na ludzi.

—Od jak dawna jej nie widziałas?

—Rok... może półtora...

—Przez ten czas mogła je sobie wyprostować. A niektórzy faceci lubią być atakowani.

Laurie zignorowała brata, opróżniła kosz i zaczęła wnosić ubrania na górę.

## Rozdział trzeci

---

W piątkowe południe Simon, rozstawiwszy uprzednio na murawie bramki do krokieta i wyczyściwszy drewniane młotki, przygotowywał się do wyjazdu do Oksfordu i zabrania stamtąd wynajętej służby.

—Nie zapominaj — powiedział do Laurie, wsiadając do busa. — Ty pełnisz obowiązki pani na włościach i ty tu rządzisz. Bądź stanowcza. I żadnych uprzejmych pytań, czy kamerdyner nie ma aby niestrawności, albo sugestii, żeby pokojówka zrelaksowała się z nogami w górze, OK? — Urwał na widok jej zmarszczonej twarzy. — O co chodzi?

—Jak myślisz, będę miała czas, żeby pouszczykiwać pędy pomidorów, zanim wrócisz?

—Nawet nie próbuj zbliżyć się do cieplarni! Ani w pobliże tego paskudnego ogródka ziołowego. Nie zdobędziesz szacunku u służby, jeśli zastaną cię tam ze słomą we włosach.

Tak więc po lunchu Laurie opiłowała paznokcie, wyszła ze swoich starych ogrodniczek i wsunęła się w suknię w kolorze kwiatów barwinka. Czekając nerwowo w holu, ćwiczyła „nie-znoszący sprzeciwu” ton głosu i powtarzała sobie, że ten, kto płaci, ma prawo wymagać. Żałowała, że miała tak mgliste pojęcie, co właściwie należy do obowiązków kamerdynera. Wiedziała na pewno tylko to, że otwiera drzwi, odbiera od gości wierzchnie okrycia i sunie tu i tam na małych kółkach, podtrzymując srebrne tace.

Jej wiedza na temat obowiązków pokojówki była jeszcze skromniejsza, brała się głównie ze starych filmów, w których układały one swoim paniom włosy, sznurowały dziewiętnasto-calowe talie, wpychając kolano w dolną część pleców, i wołały: „O rety, panienko Scarlett — ale śliczniutko będzie panienka wyglądać!”.

Będąc prawie pewną, że żadne z gości nie będzie wymagać tej szczególnej kombinacji brutalnej siły i pochlebstwa, Laurie miała tylko nadzieję, że A. Ben-

net (pani) potrafi wykonać wszystko, co się mieści w dwudziestowiecznym odpowiedniku owych czynności, a o co może zostać poproszona.

Laurie ustawiła pośpiesznie kwiaty w różnych miejscach długiego stołu w jadalni, po czym przespacerowała się trochę tam i z powrotem. Jej wzrok przykuła różowa zasłona z ciężkiego aksamitu w końcu holu, za którą znajdował się korytarz prowadzący do kuchni i pokoi służby. Czy tak naprawdę nie chodzi o zasygnalizowanie, że goście zasiadający u szczytu stołu na własne ryzyko przekraczają granicę, którą stanowią „drzwi obite zielonym rypsem”<sup>1</sup>? I że od chwili kiedy personel się tu zainstaluje, cały ten teren może się stać ziemią niczyją, na którą nie da się wkroczyć bez wypowiedzania przymilnych próśb?

Na żwirze podjazdu zachrobotwały opony. Już tu są! Chyba padnę trupem, jeśli nazwą mnie madam, pomyślała Laurie.

Lekko wyzywająca nuta w wykrzykniętym przez Simona „Hee...ej!” uświadomiła jej od razu, że zachowanie *les domestiques* pozostawia nieco do życzenia. Gdyby wiedziała wtedy, jak bardzo owe niedostatki okażą się notoryczne, wzięłaby nogi za pas i zatrzymałaby się dopiero w Afryce; Tymczasem odchrząknęła nerwowo i wystąpiła naprzód. Kobieta weszła pierwsza. Laurie się cofnęła.

Pani Bennet była wysokim pasmem jednolitego mroku. Miała na sobie szary płaszcz i spódnicę, szare bawełniane pończochy, a jej miękki sweterek był koloru mysich kupek. Stopy miała wciśnięte w szczególny rodzaj obuwia z lakierowanej skórki, poszerzonego tak, by pomieścić jej halluksy. Wciśnięty na głowę kapełusz uroczo nawiązywał do stylu niemieckich hełmów. Oczy barwy brudnoszarego lodu wydawały się wielkie za grubymi szklami okularów.

— Dzień dobry, pani Bennet — powiedziała Laurie, podchodząc dzielnie z wyciągniętą dłonią.

— Jestem pewna, że dobry, madam — odparta pokojówka, niemal nie otwierając zaciśniętych ust i prawie zgniatając palce Laurie. — To jest, panno. I nie ma potrzeby tytułować mnie pani. Wystarczy Bennet.

---

<sup>1</sup> \* Drzwi obite zielonym rypsem w dawnych angielskich dworach oznaczały pomieszczenia przeznaczone dla służby (przyp. tłum.).

Jej ton sugerował, że ktoś, komu trzeba wyjaśniać sprawy, które dla osoby z klasą są oczywistością, nie zasługuje od razu na pokojówkę. Szanowna pani Hattherley i lady Keele, pomyślała z irytacją Laurie, z pewnością wyssały tego typu rzeczy z mlekiem matki.

— Bardzo dobrze, Bennet — powiedziała zimno i dodała w myśli: to tylko dwa dni i może kamerdyner okaże się mniej deprymujący.

Był niskim mężczyzną o nadnaturalnie wyprostowanej sylwetce. Ale chociaż miał na sobie dobrze wyprasowany ciemny garnitur i śnieżnobiałą koszulę i stał jak żołnierz na defiladzie, to w jego postawie „połkniętego kija od szczotki” było dla Laurie coś podejznanego. Niepokojące wrażenie skrywanego powłóczenia nogami. Poczucie, że to człowiek, który pęknie pod najlżejszym naciskiem. Takim jak prośba o wyczyszczenie butów albo zaparzenie herbaty dla jednej osoby. Jego oczy były przekrwione i wilgotne, na zębach widniały plamy, a policzki zdobiła niemal królewska purpura.

Laurie nie powtórzyła błędu z podaniem ręki, powiedziała tylko:

—Dzień dobry... hm...?

—Gaunt, madam.

—Gaunt?

—Tak jest.

—Simon... pan Hannaford pokaże wam wasze pokoje. Kiedy się rozpakujecie i umyjecie, chciałabym, żebyście przyszli do biblioteki, a objaśnię wam nasze plany na ten weekend.

Po powrocie Simona Laurie powiedziała natychmiast:

—Ten człowiek pije. — Simon przewrócił oczami. — Wiem, co mówię. A ty nie musisz się zaraz czerwienić niczym zadek pawiana na widok soku cytrynowego.

—Wszyscy lokaje piją. To nic szczególnego. Po coś przecież wymyślono spżarnię przy kuchni.



—Naszą zaraz zarygluję — rzekła Laurie. — Mówiłeś im o cudacznych strojach?

—O strojach z epoki. Owszem. I nie mają nic przeciwko. Ich referencje od pani Hatherley — dodał, jako że Laurie nadal sprawiała wrażenie zde gustowanej — były doskonałe.

—Dzwoniłeś, żeby sprawdzić?

—Nie widziałem takiej potrzeby.

—Wobec tego ja to zrobię.

Lecz kiedy w pół godziny później Gaunt i Bennet pojawili się w bibliotece, zdawali się tak doskonale uosabiać najlepsze cechy przedwojennej służby, że poczuła, iż jej podejrzenia mogły być zbyt pochopne. Ich ubiory wyprasowała dzień wcześniej i teraz mogła tylko podziwiać efekty swej pracy. Poły Gaunta prezentowały się nienagannie, a przymocowany perłowymi zapinkami kołnierzyk gorsu lśnił bielą. Fartuch Bennet stanowił śnieżny wykrzyknik na tle smolistej czerni. Wykroch-malony, karbowany czepek nasadzony był zupełnie prosto i bez cienia zalotności na czoło, a bazyliżkowe spojrzenie nieco złagodniało. Laurie ze zdziwieniem zauważyła pod ciemną suknią okrągły zarys całkiem atrakcyjnego biustu i zrozumiała, że Bennet pomimo swych siwych włosów, kilku pieprzyków i delikatnego wąsika była zaledwie w średnim wieku. A Gaunt niewiele starszy. Gdy Laurie zaczęła mówić, obydwójce patrzyli na nią z szacunkiem.

Zacząła od pokazania im jadalni i objaśnienia menu. Bennet wydawała się zupełnie nieprzestraszona faktem, że za niecałe cztery godziny na obiedzie będzie dwanaście osób, zauważyła jedynie, że u szanownej pani Hatherley pojawiało się często dwa razy więcej gości nieomal bez uprzedzenia, a dla ich ugoszczenia nie było nic prócz łownego ptaka w spiżarni.

Zachęcona tą reakcją Laurie poprowadziła oboje przez kolejne sypialnie i wręczyła Gauntowi listę z nazwiskami gości oraz nazwami przydzielonych im pokoiów.

— Uroczu odnowiony, madam, jeśli wolno mi tak powiedzieć — rzekł lokaj, rzuciwszy okiem na *toile de Jouy*.

Olbrzymią kuchnię pokazała im z pewną obawą. Nie było to przytulne miejsce (Simon nazwał ją „szpetnym szkaradztwem”), brakowało w niej też zmywarki do naczyń. Skromna liczba brudnych naczyń i sreber cioteczki Maude czyszczona była przez Ivy, kucharka zmywała przy okazji robienia innych rzeczy, a kiedy pojawiły się na herbatkę panie z Klubu Kobiet, obie robiły to wspólnie. Przez środek kuchni biegła wielka stalowa maszyna składająca się z dwunastu palników na gaz i trzech piekarników z dwiema zamrażarkami po obu stronach. Ziejące palenisko mieściło w sobie żeliwny rożen. Kiście ziół zebranych przez panią Maberley poprzedniego lata podczas przelotnego najścia Laury Ashley dyndały śmiesznie z poczerwiałych belek. Podłoga wyłożona kamiennymi płytami nawet w gorące czerwcowe dni była bardzo zimna. Na bocznym stole stał przenośny piekarnik i mała elektryczna płytka.

Laurie pootwieriała rozmaite szafki, pokazała służbie, gdzie przechowywane są ręczniki i środki higieniczne, a Bennet skonstatowała, że kamień, bez dwóch zdań, bardzo źle wpływa na stopy. Laurie wyjaśniła, że szkło i sztucce znajdują się w wysokiej komodzie w jadalni.

—A obrusy i serwetki, miss?

—Również tam.

Te profesjonalnie brzmiące pytania ucieszyły Laurie. Nagle to, co dwadzieścia cztery godziny temu wydawało się niemożliwe — zadowoleni goście rozprawiający z ożywieniem nad stołem, do tego szybko i dyskretnie serwowane smakowite dania i wyborne wina — zaczęło się teraz wydawać nie tylko możliwe, ale i całkiem prawdopodobne.

—Być może będą jeszcze buty do wyczyszczenia — rzuciła odważnie, a nie usłyszawszy reakcji, dodała: — Oczywiście nie wszystkich gości. Sądzę, że niektórzy będą woleli sami się tym zająć. — Dorzuciła spieszenie: — Jeśli to za dużo pracy... — i pomyślała zaraz: „Do licha, już zaczynam wpadać w służalczy ton”.

—Nawyklę do ciężkiej pracy, madam — powiedział Gaunt.

—To... wspaniale.

—A teraz — ciągnął lokaj — może będzie pani tak miła i wskaże mi spizarnię.

—Ach. Cóż... kłopot w tym...

—Jeśli ma pani zamiar serwować porto, madam, powinno się je teraz rozlać do karafek.

—Nie mamy porto. Kamerdyner zachwiał się nieco.

—Doprawdy?

—Ani zbyt wielu karafek. Prócz tych do koktajli.

—Wobec tego winka...?

—Co takiego?

—Czy zostały przyniesione z piwnicy? Są otwarte? Czy zostały przewietrzone?

—Tak. I nie. Więc prawdopodobnie nie.

Do diabła. Laurie zmarszczyła brwi, gdy tymczasem mężczyzna stanął w pozie uprzejmego wyczekiwania. Pomyślała, że jestem zupełną idiotką. Nawet jeśli rzeczywiście mam rację, to jaki sens trzymać go z dala od spizarni? Jeżeli na serio zamierza podpijać alkohol, może to zrobić gdziekolwiek. W istocie należałoby się zastanowić, czy nie lepiej, żeby robił to w znanej i ograniczonej przestrzeni. Przynajmniej dałoby się tam składować puste butelki. No i nie było wykluczone, że pomyliła się w ocenie subtelnie fiołkowego odcienia jego cery. Facet może mieć nadciśnienie. Albo kłopoty z sercem. Laurie skarciła się za brak zaufania już na wstępie znajomości.

— Masz rację, Gaunt — powiedziała. — Jakoś nie zdążyłam się jeszcze zająć napojami. Jeśli pójdziesz teraz ze mną, dam ci klucze.

Dwie godziny później, kiedy Simon szykował się, by wyruszyć na stację, Hugh wciąż jeszcze się nie pojawił. W końcu urażona Laurie postanowiła sama zadzwonić do Kettersley Hall. Nikt nie podnosił słuchawki. Simon orzekł, że pusty

dom musi oznaczać, iż Hugh jest właśnie w drodze, a Laurie odparła, że pokłada nadzieję w niebiosach, iż nie zabiera ze sobą wszystkich przedstawicieli Ketersley-Gore'ów.

—Mógłbyś jednak założyć pumpy — ciągnęła dalej, zerkając na kremowe, workowate oksfordzkie spodnie brata, koszulę z krótkimi rękawami i wełniany pulower.

—Nie bądź złośliwa — odparował Simon. — Nie mam zamiaru naprzykrzać się naszym gościom z takim ubiorem. Na świecie i tak jest dość nieszczęść.

Laurie patrzyła za nim, kiedy odjeżdżał, i wyobraziła sobie jego powrót, samochód wyrzucający z siebie hordy przyjezdnych, żądnych ujrzenia chaosu, ran i krwi. Dziewięcioro obcych pętających się po bezcennych włościach cioci Maud. Poczula, jak jej gardło ściska strach i drzenie, jakby uwiązał w nim mały ptaszek. Jak mogła dać się przekonać do tego szalonego przedsięwzięcia? Kilka subtelnych chrząknięć przywróciło ją do teraźniejszości. Gaunt stał przy jednym z oleandrów.

—Madam, przygotowałem wszystko, co związane z napojami, z wyjątkiem najważniejszego. Bennet pyta, czy mogłaby pani łaskawie przyjść i obejrzeć nakrycie stołu.

—Oczywiście — Laurie podążyła za dostojną postacią do jadalni, w której powierzchnia długiego stołu w stylu Sherato-na nieomal znikła pod cudowną wspaniałością skrzących się kryształów, ciężkich sreber, krochmalonych podstawek, serwetek i wonnych kwiatów. — Piękny widok. Dziękuję, Bennet.

Pokojówka skinęła brodą i zrobiła niewielki dyg; po czym oboje przybrali wyczekującą pozę, a Laurie zorientowała się, że wszystkim trojgu pozostało jeszcze półtorej godziny czasu.

—Jak się mają sprawy w kuchni?

—Wszystko w najlepszym porządku, madam.

—Dobrze. W takim razie nie widzę powodu, żebyście nie mogli odpocząć godzinę. Będzie sporo pracy dziś wieczorem. Przypuszczam, że potrwa to do

późna. Gdyby zadzwonił pan Wriothsley, będę w... — urwała, spojrzawszy na swoją jedwabną suknię. Ogródek ziołowy był oczywiście poza zasięgiem. Tak samo jak jej ulubiony ponad wszystko ogród warzywny. Z drugiej strony, Laurie czuła pilną potrzebę znalezienia się w bliskim sąsiedztwie jakiegokolwiek roślinności. Już na samą tę myśl jej skonsternowana dusza uciszyła się. — Będę w oranżerii.

TLR

## Rozdział czwarty

---

Nie podoba mi się sposób, w jaki ta sowa na mnie patrzy. — Zamknij lepiej te pieprzone drzwi.

— Sam je zamknij. Ty jesteś na nogach.

Gaunt leża! na łóżku i palii. Zdjął z siebie frak i podwinał rękawy, ale wciąż był w butach. Bennet w jaskraworóżowej przykrótkiej podomce i bokserkach chodził w tę i z powrotem.

Ich sypialnia była bardzo przestronna, mieściła miednicę z wodą, podwójne łóżko (orzechowy fornir, z połowy wieku) i wąski tapczanik. Oba meble przykrywały czyste, bawełniane prześcieradła i czyste, choć nieco przetarte, luźno tkane pledy. Z sypialni przechodziło się do saloniku, w którym prawie nie dawało się poruszać, tak był zastawiony niepotrzebnymi gdzie indziej rupieciami i szpargałami. Okrągły stół, pogryziony przez robaki klęcznik, stół z opuszczanymi blatami i powierzchnią oszpeconą mnóstwem nachodzących na siebie bladoszarych okręgów, sześć krzeseł ze strzępiącymi się, misternie wyszywanymi siedzeniami, połamana bambusowa etażerka i kilka gablotek z wypchanymi ptakami, w jednej z których znajdowała się wścibska sowa.

—Powinni nas przyskrzynić, jeśli nie załatwimy sprawy w miejscu takim jak to. — Gaunt odwrócił się w stronę otwartych drzwi. — Niesamowite, żeby zostawić dom pod opieką dwójki młokosów!

—Jego bym nie nazwał młokosem. Facet ma lodowate spojrzenie. Ona jest w porządku.

—Dla nas to pestka. — Kamerdyner zgasił peta. — Pójdzie jak z płatka.

—Gdzie ja to wcześniej słyszałem?

—Dzięki za braterskie wsparcie.

—Chcę tylko powiedzieć...

—To, co zwiniemy przez ten weekend, może nas ustawić na całe życie.

—Przestań, Gordon. Wiesz, jak to na mnie działa.

—Przepraszam. Jednak lepsze to od ostatniej roboty, co nie? — Gaunt uśmiechem próbował zatrzeć złe wrażenie. — Cóż to było za fałszywe krówsko. Mówiła o sobie, że jest uczciwa, a obnosiła się z podróbkami. Mniej uczciwa niż moje lewe jajco.

—Bez porównania. — Bennet zamknął drzwi.

—Mówiła, że ten pierścionek ma dla niej wartość sentymentalną.

—Pięćdziesiąt funciaków! — zaśmiał się gorzko Bennet. — Ostatni raz zrobiłem się sentymentalny przez pięćdziesiąt funciaków, kiedy miałem trzynaście lat i kradłem opony z samochodów w czasie, gdy kierowcy zabawiali się w burdelu.

—To były czasy...

—To wcale nie były dobre czasy, Gordon. Automaty do gier, lewe przesyłki, złom. Jeżeli uważasz, że to było zabawne, to masz chyba nierówno pod sufitem.

—Mogłeś przynajmniej polegać na kumplach — Gaunt zanurzył się we wspomnieniach. — Wszyscy trzymali się razem.

—Kiedy akurat nie donosili jeden na drugiego.

—Tacie udało się przekręć.

—A później udało mu się dostać piętnaście lat.

—Zaufał niewłaściwym ludziom.

—A na co wydał to, co zarobił?

—Przestań — Gaunt wyglądał bardzo nieswojo.

—Na najlepszą szkołę, jaką można kupić za forszę. Same żyłетки kosztowały go majątek. Jednak było warto, nie? Taka okazja, żeby poznać krajową elitę. A co my do tej pory osiągnęliśmy? Tu cedzak, tam solniczka. Ten walnięty obraz, o którym myślałeś, że to Picasso...

—Mieliśmy pecha. Aż do teraz.

—Nieźle tu jest. — Bennet cofnął się i zamruczał pod nosem: — Całkiem nieźle.

Rozciągnął szczupłe, kościste palce. Można nie widzieć dobrze bez okularów, ale dotyk to podstawa. Te palce miały niemal magnetyczną moc. Przedmioty (zazwyczaj małe i błyszczące) momentalnie się do nich przyklejały. Kłopot w tym, iż z powodu słabego wzroku Bena fanty były często nic nie warte. I tu zjawiał się Gordon. Stanowili zespół. Z pewnością nim byli.

—Moglibyśmy się załadować, kiedy będą spali — do głosu Bena wkradła się odrobina entuzjazmu — przeciąć kable telefoniczne, zabrać busa...

—Będziemy w Londynie, zanim zdążysz powiedzieć „Pedał Vernon”.

— On ma teraz na imię Vera.

—Naprawdę? — Gaunt zdziwiony usiadł na łóżku. — Gdzie to słyszałeś? ,

—Zrobili mu operację. Będę musiał też sobie taką załatwić, jeśli przyjdzie mi jeszcze dłużej łązić w tych cholernych szmatach — wskazał na czarną suknię i biały, marszczony żabot, leżące na łóżku. — Przysięgnęłbym, że ta peruka jest żywa. No, zabieraj swój tyłek. Czas się ubierać.

Gaunt zdjął wypchany wata biustonosz ze szczytu łóżka i rzucił go bratu.

—Założę się, że to niezła kupa palantów. Żeby marnować czas na zabawy w morderstwo...

—Muszą w końcu coś robić. Bogate próżniaki. — Ben mocował się z haftkami. — Co za cholerstwo!

—Już dosyć rozpiąłeś. — Gordon ordynarnie zarechotał, po czym wyrzwał przez okno. — Popatrz na te pawie. Toż to diabły wcielone.

—Jeżeli... posłuchaj: *jeżeli* zdecydujemy się na skok, mogę na tobie polegać?

—Ben! — mieszanina zdziwienia i wyrzutu w głosie. — Czyś się kiedy na mnie zawiódł?



—Nieważne, co było kiedyś. Pytam o dzień dzisiejszy. — Bennet założył perukę, po czym usiadł na tóżku obok brata. — Co było, minęło, nie będziemy do tego wracać.

Twarz Gordona wykrzywił niepokój.

— Nie ufasz mi — usta mu zadrżały. — Nigdy nie ufałeś.

— Nie gadaj głupot. Po prostu czasami źle na tym wychodzę... — Ben urwał i poważnie się zastanowił. — Teraz nie... nie próbowałeś...

—Nie.

—Dależ słowo.

—Nie liznałem ani kropelki. Możesz na mnie polegać.

—No, jeśli cię przyłapię w sąsiedztwie flaszki, to pożałujesz jak cholera. Dobra... — wstał i poprawił swój żabot. — Bryka będzie tu za minutkę. Zbieraj się.

Laurie w dobrym humorze kręciła się po oranżerii. Właśnie skończyła zmywać gąbką olbrzymie liście diffenbachii, a teraz wyrywała pojedyncze, maleńkie chwasty; uwielbiała czuć między palcami grudki torfowej ziemi. Spryskała filodendrona, który wyglądał na nieco wysuszonego, podlała odżywką zaślaz, na koniec wzięła się za zmiatanie wyłożonej płytkami podłogi (turkusowo-biały rysunek amarantusa z motywem klucza greckiego na brzegu) i zdjęła z siebie kremowy, bardzo brudny ogrodowy fartuch z długą plamą ziemi na przodzie.

Pomieszczenie było tak śliczne ze swoimi kwitnącymi roślinami i bambusowymi meblami obitymi kwiecistym kretonem, że każdego ciągnęło, żeby tu posiedzieć. Jednak roboczy kitel wiszący na wieszaku za drzwiami w czasie, kiedy udawała się do domu, niewątpliwie obniżał ogólne wrażenie. Laurie zwinęła fartuch w kłębek i wcisnęła za jedną z poduszek kanapy, przyklepując i wygładzając pozostałe.

Zatrzymała się przy drzwiach, żeby sprawdzić efekt. Wszystko wyglądało bardzo przytulnie i schludnie, ale gnębiło ją poczucie, że czegoś tu brakuje. Wówczas zauważyła, że nie ma żadnych książek ani czasopism. To jedno, o czym zapomniała. Laurie poszła prędko do biblioteki i przyjrzała się oszklonym

witrynom. Żaden z ciężkich tomów nie nadawał się do przeglądania. Wtedy spostrzegła należący do Simona stosik kryminałów, otworzyła regał i zabrała książki ze sobą.

Wróciwszy do oranżerii, umieściła je na plecionym stoliku, zerknęła na zegarek i westchnęła ze zgrozą. Mogą być w każdej chwili! Gdy tylko o tym pomyślała, w drzwiach ukazała się Bennet z informacją, że mikrobus właśnie przejeżdża przez główną bramę.

TLR

# Intryga

---



TLR

## Rozdział piąty

---

Gdzie się, u licha, wszyscy podzieli? — Mamo, na litość boską. Jesteśmy tu dopiero od paru minut.

Pani Laetitia Saville, nieudobruchana, przesywała wzrokiem błyszczące nie-skazitelną czystością okno znajdujące się o kilka cali od jej lewego ramienia. Szyba skurczyła się w swoich ramach. Rosemary rzuciła z boku krótkie spojrzenie na niepokojący profil rodzicielki. Na wielki, rzymski łuk nosa, sprawiający wrażenie, jakby jego kość miała się zaraz przebić przez skórę, wydatną szczękę, zaciśnięte mocno wargi wymalowane jaskrawym różem oraz na płomień brylantów przy uchu. Szczęśliwie nieświadoma wyglądu własnych ust i lekkiego, ale zdecydowanego wysunięcia swojego podbródka, pewna natomiast opinii innych, że jest śliczna jak obrazek, dziewiętnastoletnia Rosemary usadowiła się wygodniej w fotelu i wyobraziła sobie siebie kroczącą w dół wielkich schodów — które z pewnością znajdowały się we wszystkich wiejskich rezydencjach — w swojej kreacji z szyfonu barwy morskiej zieleni. Ostry głos matki zakłócił przyjemne fantazje.

—Słucham, mamusiu...?

—Pytałam, dlaczego nie wyglądasz na zbyt zmartwioną.

—Co masz na myśli?

—Bardzo dobrze wiesz, co mam na myśli. Bynajmniej nie wierzę, że zrobiłaś to, co obiecałaś.

—Owszem, zrobiłam.

—Zerwałaś z nim ostatecznie?

—Ostatecznie.

—Zatem uczucie nie było zbyt poważne.

— Kochałam go do szaleństwa! — zawołała Rosemary, cofnąwszy się już do roku mniej więcej 1935. — Patrzę w swoje serce i widzę wyłącznie smutek i pustkę.

Pani Saville prychnęła. Nie miała czasu na takie ckliwe in-trospekcje. Według jej własnych słów, człowiek powinien najpierw zaprowadzić porządek w swoim środowisku i otoczeniu domowym oraz wśród towarzysko akceptowalnych znajomych, a później — po prostu korzystać z życia.

— Ale robię dobrą minę do złej gry — kontynuowała Rosemary — i oczywiście jestem bardzo dzielna, a mam to po tobie.

Matka i córka wymieniły spojrzenia wyrażające wzajemne powinszowania, a ich usta przybrały wyraz cierpkawego uśmiechu. Pani Saville poklepała Rosemary po ramieniu.

— Sama wiesz, kochanie, że nic by z tego nie wyszło.

— Gdybyś go tylko poznała...

— Nie musiałam go poznawać. Zajmował się handlem. I to tym najgorszego rodzaju. Jako komiwojażer.

— Nie będzie nim przez cały czas. Ma zamiar otworzyć w przyszłości własny interes.

— Za czyje pieniądze? Jestem ciekawa.

— To wstrętne, co mówisz. A w ogóle, co jest złego w robieniu interesów? Tata też się tym zajmował.

— Bankowość to profesja, Rosemary, tak jak prawo i Kościół. Saville'owie nigdy nie zajmowali się handlem. A twój dziadek, nigdy o tym nie zapominaj, był kontradmirałem.

Akurat, pomyślała Rosemary, która miała już po dziurki w nosie tego ciągłego gadania o dziadku ze strony matki. Kolejne osoby zaczęły zajmować miejsca. Rosemary przyglądała się im z ciekawością i niesmakiem, pani Saville z przerażeniem, które mieszało się z narastającym oburzeniem.

Korpulentny mężczyzna w jaskrawoniebieskim garniturze w prążki wszedł po stopniach, potem odwrócił się i schylił. Nogawki jego spodni były rozciągnięte jak dwa wielkie, nadmuchane balony.

— No, chodź, mamó — rzekł natarczywym tonem. — Jeszcze tylko dwa stopnie i zobaczysz widok, który zaprze ci dech w piersiach. — Zaparł się nogami, jakby brał udział w zawodach w przeciąganiu liny i mocno pociągnął, wydając z siebie głośne stęknienie. Potem zawołał: — Violet, popchnij ze swojej strony. Już ją prawie mam!

Na drugim stopniu, dysząc jak orka, spoczywała bardzo niska, bardzo kępna, wiekowa dama. Jej braki postury były tak dobrze ukryte, że zdawała się raczej kucać niż stać, a w połączeniu z ciemną, plamiastą, pokrytą brodawkami cerą nadawało jej to wygląd skonsternowanej ropuchy. Ubrana była cała na czarno z wyjątkiem filcowego kapelusza, odświeżonego projektu Carmen Mirandy w kolorze szmaragdowym, uwieńczonego stertą skrzących się szklanych owoców.

Mężczyzna w garniturze i pchająca z tyłu kobieta zaczerpnęli głęboko powietrza, a starsza pani odetchnęła chrapliwie i przycisnęła się nieco bliżej stopnia. Z okrzykiem: „Do góry!... Spada!” jeszcze raz ją przytrzymali i ze sporym wysiłkiem posadzili naprzeciw pań Saville, gdzie zajęła oba miejsca wraz z kawałkiem przejścia. Mężczyzna odwrócił się i wyciągnął dłoń.

—Sie macie. Jesteśmy Gibbsowie. Gibbs, Gibbs i Gibbs. A w języku potocznym: Fred, Vi i Matka.

—Cześć! — Jego dłoń była tak wielka i tak blisko przy nosie dziewczyny, że Rosemary nie pozostawało nic innego, jak odwzajemnić jego gest. — Rosemary Saville. A to *moja* matka.

Natychmiast po przekazaniu kontaktu z sąsiadującym monstrum Rosemary poczuła, jak jej rodzicielka silnie się zatrzęsła, jakby na skutek zdradzieckiego ciosu. Albo ugryzienia węża. Pani Saville zignorowała wyciągniętą rękę, obrzucając pana Gibbsa spojrzeniem, które zdołałoby obedrzyć korę z drzewa eukaliptusa. Ten cofnął się z uśmiechem i powiedział:

—Pani mama nie wygląda najlepiej.

—Nie... — Rosemary zdenerwowała się, że zmuszono ją do prostowania matczynego grubiaństwa. — To przez pociąg. Podróż jej nie służy.

—Miałem sznaucerkę z podobnymi problemami. Pomóc jej mogła tylko miseczka rumu.

Violet Gibbs kręciła się na miejscu i przyglądała Rosemary. Miała głupiotką niczym laleczka buzię i zwiędłe loczki w kolorze bladożółtym upięte na szczycie głowy w coś na kształt sztucznych serdelków. Jej uśmiech posiadał uniwersalną właściwość zacierania niekorzystnego wrażenia. Po chwili otworzyła maleńkie, wilgotne niczym ukwiał usta i przemówiła:

—Byłaś już kiedyś, złociutka, na takiej imprezie?

—Nie. A pani?

—O, tak. Wiele razy.

—Ale nie w wiejskiej posiadłości otoczonej fosą — poprawił ją mąż. — Mów prawdę, Vi.

—To prawda. Tylko w hotelach. — Violet szarpnęła głową, dając znak Rosemary, żeby pochyliła się do przodu. Dziewczyna wzięła głęboki oddech i gotowa wstrzymać go tak długo, jak to będzie konieczne, skłoniła się w stronę sąsiadki. Violet zniżyła głos, jakby chcąc dodać swej informacji pikanterii.

—On woli średniowiecze.

—Słucham?

—Hulanki, swawole, pojedynki na kopie. Tymczasem ja — ciągnęła Violet wciąż dyskretnym szeptem — skłaniam się bardziej w stronę Dzikiego Zachodu. Mięsko z rożna, strzelaniny i żadnych kłopotów z woalką.

—Rogi, które miałaś na głowie — zarechotała starsza pani Gibbs — wyglądały jak reklama befsztyków.

—Pamiętacie te zawody sobowtórów Ryszarda Trzeciego w Bosford? Kiedy wcisnęli na mnie kaftan i rajtuzy? — Fred odwrócił się do pani Saville i mrugnął do niej ufnie okiem. — Zanim udało mi się z4jąc sącdek, pękał mi już pęcherz..

Violet, spostrzegłszy naprzeciwko dramatyczne zaczątki niebezpiecznej eksplozji, pośpieszyła z wyjaśnieniami:

— Przyjechaliśmy tak naprawdę ze względu na Mamę. Rosemary rzuciła ukradkowe spojrzenie na starszą panią, która otworzyła elegancką, jedwabną torebkę i skutecznie zdierała przezroczyste opakowanie z wielkiego kawałka wieprzowiny zapiekanej w cieście.

—Biedactwo, nie ma w życiu zbyt wielu przyjemności — ciągnęła Violet — ale pokażcie jej tylko martwe ciało, a zobaczycie, jak jej się oczy zaświecą.

—No cóż — odparła nerwowo Rosemary. — Żeby tylko nie chodziło o moje ciało.

—No proszę, ostra dziewczuszka! — zawołał Fred. — Czyżby ktoś się kręcił koło pojemnika na noże?

W drzwiach busa stanęła atrakcyjna kobieta z gładko zaczesanymi włosami koloru oberżyny, a za nią mężczyzna, mimo ciepłego dnia odziany w długi płaszcz.

— Kierunek na zamek Drakuli — wyrecytował Fred i się przedstawił: — Jesteśmy Gibbsowie. Gibbs, Gibbs i Gibbs. W języku potocznym: Fred, Vi i Matka.

Sheila Gregory odpowiedziała mu chłodnym uśmiechem. Jej mąż odwrócił się i zmierzył nowego znajomego przeszywającym spojrzeniem. Jego płaszcz z wełny w szaro-zieloną kratę miał doczepioną krótką pelerynkę. Do tego nosił czapkę a la Sherlock Holmes z zawiązanymi pod brodą klapkami. Miał długi, nieco spiczasty nos, który drżał lekko, kiedy zaczynał mówić, a w ręce trzymał futerał na skrzypce.

—W sam raz żeś się pan ubrał, panie Sherlock — Fred skinął porozumiewawczo głową w stronę przybysza, — A to pański Watson? Wygląda odrobinę podejrzanie. Nie chciałbym się nachylać w jego obecności.

—Wszędzie się taki znajdzie, nieprawdaż? — szepnęła Sheila do męża, który odpowiedział znaczącym uniesieniem palca na wzór nauczyciela.



—Czy załoga w komplecie, kapitanie? — dopytywał się pokładowy dowcipniś.

Odpowiedź Simona była uprzejma, ale trochę niepewna. Jeszcze nie w pełni doszedł do siebie po pierwszym zetknięciu z państwem Gibbs. Nie mógł pojąć, jak to możliwe, żeby ludzie ich pokroju czytali „Timesa”. Chyba że w tę właśnie gazetę mieli zawiniętą porcję swoich frytek.

— Czekamy na pana Gillette. I pana Lewisa — jego pociąg planowo powinien przyjechać kilka minut temu.

Do busa zbliżyli się teraz dwaj mężczyźni, obaj z ciężkimi bagażami. Pan Lewis chwiał się pod ciężarem swojego; walizka pana Gillette potulnie toczyła się jego śladem na małych kółkach. Ten ostatni, tak jak pan Gregory, miał ze sobą futerał na instrument: długi, wąski i zaokrąglony na końcu. Nie pozwolił Simonowi go zabrać do bagażnika i na stopniach do auta potknął się o niego.

Pan Lewis wszedł jako pierwszy, chyląc nieśmiało głowę na powitanie. Ubrany w jasnobezowy garnitur, miał miłą, ale nieco sowią powierzchowność, głównie za przyczyną gęstwiny puszystych włosów i okularów w okrągłych, rogowych oprawkach. Zajął miejsce za państwem Gregory. Czując, że jest obserwowany, zrobił się różowy na karku. Pan Gillette (marynarka i jasne spodnie z miękkiej wełenki) zdjął słomkowy kapelusz i usiadł obok pana Lewisa, który w tym momencie zadrżał nerwowo. ' Fred, najwyraźniej zdecydowany nie pozostawiać nowo przybyłych w nieświadomości co do tożsamości swojej rodziny, czy to w oficjalnym, czy w nieformalnym wydaniu, podniósł się z miejsca. W tejże chwili Simon gwałtownie zatrzaskał klapę bagażnika.

—Aaaach...! — wrzasnął Fred, osuwając się z powrotem na fotel. — Dopadli mnie, Vi. Już po mnie...

—Nie wkurzaj mnie — powiedziała Violet z nutką irytacji w głosie. — Wiesz, jaka jestem.

—Matko Boska! — jej mąż przycisnął kurczowo ręce do piersi. — Czyżby to koniec z Fredziem?

—Niewątpliwie ze mną będzie koniec, jeśli będę musiała dalej znosić tego typu sytuacje — odezwała się cierpko pani Saville, nie starając się zniżyć głosu. Zignorowała próbującą ją uciszyć Rosemary. — Gdybyś pojechała do Bath, tak jak proponowałam, mogłybyśmy teraz siedzieć przy aperitifie na palmowym dziedzińcu w Royal Georgian.

—Trzeba po nich biegać — poinformowała zebranych staruszka. — Po aperitifach. — Mlasnęła, połykając ostatni kęs zapiekanej wieprzowiny. Zgniotła opakowanie w małą kulkę i machnęła nią w drugi koniec busa, uderzając siedzącego za kierownicą Simona w tył głowy.

—Banda w komplecie? — zasięgnął informacji Fred.

Herszt powstrzymał się przed odpowiedzią. Ruszył, starając się jechać z maksymalną prędkością, na jaką pozwalał ruch uliczny w Oksfordzie, potem zjechał na B480, prowadzącą do Toot Balden, a stamtąd skręcił do Madingley. Padło wiele uwag na temat ładnego krajobrazu, a Simon zastanawiał się, kto pierwszy powie: „A jakie dogodne położenie względem autostrady”. Jak się okazało, był to pan Gillette.

—Braliście wcześniej udział w weekendzie z morderstwem? — spytała pani Gibbs, zdecydowana odnosić się przyjaźnie wobec pary na przednim siedzeniu.

—Niezupełnie — odparł Derek Gregory. —Ale zamierzam na...

—Spodoba się wam. Mam rację, Fred?

—Z pewnością.

—Zatem macie państwo w tym względzie doświadczenie? — spytała grzecznie Sheila.

—Doświadczenie? — zagdaka! pan Gibbs w stronę dachu busa, jakby z tej strony spodziewał się wyrazów poparcia. — Doświadczenie? Myślę, że mamy. Będziecie musieli wcześniej wstać, jeśli zechcecie nas ubiec.

Na tę uwagę pan Gregory uśmiechnął się szyderczo. Uniósł górną wargę, rozszerzył nozdrza, a cała jego twarz przybrała wyraz bezgranicznej wyniosło-

ści/Zauważywszy to, siedząca za nim z boku pani Saville natychmiast nabrała do niego sympatii, tak wiernie oddawało to jej własny stan ducha.

—Pamiętasz ten weekend — Violet do przewinienia swego męża dołożyła własne — kiedy ofiarę dwukrotnie zamordowano? Facet został uduszony przy śniadaniu, potem przywrócono go do życia metodą usta-usta, a następnie zadźgano na śmierć w Palatine Lounge.

—To nie był weekend z morderstwem — odparł jej mąż. — To było na wakacjach. W Billericay.

Pojazd mknął przed siebie.

Simon znał Madingley Grange prawie od zawsze i tak przywykł do jego wyglądu, że gdy pokonali ostatni zakręt drogi przez okalający dom park i domostwo objawiło się w całej swej okazałości, nie był przygotowany na raptowne okrzyki zdumienia i pomruki uznania. Próbował ujrzeć je oczami swoich pasażerów, lecz nie udało mu się to. Stwierdził jedynie na własny użytek, że szkaradztwo na tak wyjątkową i ekstrawagancką skalę musi na swój sposób stanowić pewną wartość. Kiedy auto podskakiwało na wybojach zwodzonego mostu, zobaczył z przykrością, że łabędzie przeniosły się na drugą stronę ogrodu, ale sytuację wynagrodził jeden z pawi, przechadzający się dostojnym krokiem w chwili, gdy Simon z chrzęstem żwiru pod kołami zajeżdżał przed główne wejście.

Już po raz któryś z rzędu gratulował sobie pomysłu na scenerię w stylu lat trzydziestych. Trójka na schodach (gdzie się podział Hugh?) była jakby żywcem przeniesiona z wczesnych książek Agathy Christie. Stali od lewej — Gaunt we fraku z grobową miną, chuda jak trzcina Bennet ze skromnie zaciśniętymi ustami i siwiejącymi włosami wciśniętymi pod wykrochmalony czepek oraz Laurie...

Dobra, stara Laurie, pomyślał Simon. Naprawdę się postarała. Miała na sobie jedwabną suknię w geometryczne wzory i pantofle na wysokich obcasach. Jej naturalnie zarumieniona cera zmatowiała i nabrała gładkiej, brzoskwiniowej tonacji, a lśniące usta barwy ciemnego wina rozchyłał wyraźny uśmiech.

Simon rozsunął drzwi busa i zeskoczył na ziemię usatysfakcjonowany doskonałą trafnością tego wszystkiego. A jeżeli jutro o tej porze nie znajdę w bibliote-

ce trupa, pomyślał, z pewnością nie będzie to spowodowane brakiem inicjatywy z mojej strony. Podszedł do bagażnika i zaczął wyjmować walizki. Gaunt i Benet przybyli z pomocą.

Laurie zeszła na dół i przywitała pierwszego gościa:

— Witam, jestem Laurel Hannaford — mówiąc to, spostrzegła, że ścisła wilgotną niczym płastuga dłoń. Należała ona do zgiętego teraz w paragraf w gorliwym powitaniu wysokiego mężczyzny o okrągłych, wodnisto-zielonych oczach i gęstym, kudłatym wąsie przypominającym sztywną szczoteczkę.

— Jestem Arthur Gillette, znany jako Gilly. Twarde „g”, rzecz jasna. — Z jego gardła wydobył się wysoki, rżący śmiech. — Chichacha... chichacha...

Laurie wzdrygnęła się na myśl, że przyjdzie jej tego słuchać przez następne czterdzieści osiem godzin. Na głos zaś powiedziała:

— Mam nadzieję, że pobyt tutaj zaliczy pan do udanych. — Czekaając na gości, nauczyła się pół tuzina rozmaitych odzywek powitalnych, a teraz zorientowała się, że pięć z nich kompletnie uleciało jej z pamięci. Będę się powtarzać jak papuga, pomyślała, jeśli ich sobie szybko nie przypomnę.

Jako następna wysiadła śliczna dziewczyna o surowych rysach twarzy, a za nią wysoka kobieta o onieśmielającym wyglądzie. Ta ostatnia rozejrzała się dookoła; największe wrażenie — bez wątplenia w wyniku jakiejś podświadomej identyfikacji — zdawały się na niej robić gargulce.

— Zachwycające! — wykrzyknęła. — Cóż za majestatyczna siedziba!

Następnie ukazał się starannie ubrany mężczyzna pracy do przodu niczym pies myśliwski. Słońce odbijało się od jego okularów w stalowych oprawkach, kiedy w jakimś ekstatycznym transie wpatrywał się w wielkie, paradne drzwi i pokryty kurzem bluszcz.

— Cudownie... cudownie... Zupełnie jak Baskerville Hall...

— Derek, blokujesz wszystkim przejście.

Na polecenie Simona Gaunt poprowadził państwa Gregory do pokoju w stylu Vuillarda, przy czym Derek kroczył za nim pogrążony bez przerwy w rozkosznych marzeniach. Zagapiwszy się po drodze w holu, wpadł na postument, na którym stała turkusowo-żółta chińska waza. Sheila zdołała ją pochwycić w ostatniej chwili.

Starsza pani Gibbs ponownie utknęła w drzwiach busa. Laurie, w równej mierze wystraszona, rozbawiona, jak i zdegustowana tym wydarzeniem, próbowała przyjść jej z pomocą. W końcu staruszka wyskoczyła przy wtórze odgłosu przypominającego wystrzał korka od szampana, a Laurie pod wpływem siły uderzenia zatoczyła się do tyłu.

—Uważajcie na nią — zaczął Fred, a u niego oznaczało to, że będzie mówić dalej. — Nie wiecie, do czego może być zdolna.

—Miło mi panią poznać, moja droga — Violet uścisnęła rękę Laurie. — Przepraszam za Matkę.

—Dla pani i pani męża przeznaczyłam apartament w stylu Hogartha — powiedziała Laurie, gdy tylko zdołała się odezwać. — Pomyślałam, że ponieważ jest was troje, to przyda się wam salonik. A druga pani Gibbs zajmie pokój na przeciwko. Simon — dodała głośno — pomoże państwu z bagażami.

Simon, który właśnie zamierzał się ulotnić, zawrócił i nie odezwawszy się słówkiem, podniósł z ziemi dwie walizki.

—Aaach... — Violet westchnęła na widok pawia kroczącego dostojnie po zwodzonym moście. — Spójrz na jego lordow-ską mość. Czyż nie jest śliczny? Czy rozłoży ogon, jeśli go pani poprosi?

—Obawiam się, że nie — z trudem wywalczona pewność siebie Laurie przepadła bez śladu. Poczowała się beznadziejnie, doszedłszy do wniosku, że kolejne dwa dni wypełnią jej pytania i prośby ludzi o załatwienie rzeczy absolutnie niemożliwych.

— To znaczy, że nie jest tresowany?

— Nie. — Spróbowała usprawiedliwić ów karygodny brak entuzjazmu: — Są bardzo niezależne.

— Ma swój rozum, co nie? — zauważył Fred. — Musi być pani stanowcza wobec zwierząt. Pokazać im, kto tu rządzi.

— Fred miał zawsze dobry kontakt z milczącymi stworzeniami.

— W innym razie, kochanie, nie byłoby udanego małżeństwa. — Fred wyciągnął dłoń w stronę pawia. — No, chodź do mnie... daj się pogłaskać...

Ptaka zatrzymał się, rzucił Gibbsowi niewymownie pogardliwe spojrzenie i wypróżnił się na deskach. Zażenowana Laurie skierowała uwagę na ostatniego gościa i natychmiast odzyskała odrobinę pewności siebie. Ponieważ był tam ktoś równie nieśmiały i spięty jak ona.

Marynarka wypadła panu Lewisowi z drżących rąk, a twarz pokryła się rumieńcem. Oboje wymienili niepewne uśmiechy, po czym Laurie zaprowadziła go do pokoju w stylu Watteau i pozostawiła stojącego z walizką pośród rokokowych gobelinów, między którymi sprawiał wrażenie, jak się zdawało, uroczo zagubionego.

## Rozdział szósty

---

Fanaberii cioci Maud należało przypisać nazwanie każdego pokoju w Madingley Grange imieniem słynnego artysty i stosowne ich wyposażenie. Ale jako że zasobów wuja Geor-ge'a nie starczało na choćby najbardziej skromne oryginalne płótno słynnego artysty, wynajęto malarza z Oksfordu do wykonania kopii dzieł. Rezultat, mimo iż dość przyjemny dla niewyrobionego oka, nie zwiódłby ani na chwilę poważnego bywalca galerii malarstwa. Jednakże pani Maberley, zupełnie niespeszona, przedstawiała je swoim gościom, mówiąc stanowczo: „Mój Renoir” albo „Mój Degas”, i biada temu, kto śmiałby wnosić jakieś zastrzeżenia.

Później, w apartamencie w stylu Greuzego, pod nazbyt pełną życia interpretacją *Rozpieszczonego dziecka*, pani Saville podzieliła się z córką swoimi krytycznymi uwagami:

— Nie wiem, dlaczego tak się dzieje, ale choćby młodzi ludzie założyli wierne kostiumy z epoki, zrobili odpowiedni dla danego okresu makijaż i fryzury, i tak wyglądają nieprzekonująco.

Sama zadowolona ze swoich olśniewających cielistych koronek, pani Saville zdjęła kolczyki z brylantami i założyła szafiry w kształcie gwiazd. Podeszła do toaletki i otworzyła czarną, aksamitną szkatułkę wyściełaną przymarszczonym atłasem.

—Mamusiu... — po raz któryś z rzędu spytała Rosemary. — -Czy jesteś pewna, że nie wolałabyś spać w pokoju obok?

—Dziękuję ci, kochanie, jestem absolutnie pewna.

—Tylko że... ten wychodzi prosto na korytarz i może być w nim głośno. Przechodzący ludzie i tak dalej...

—Muszę mieć pokój z oknem — oświadczyła pani Saville. — Wiesz, świeże powietrze.

—Ale...

—Koniec dyskusji, Rosemary. — Pani Saville wyjęta ze szkatułki oszałamiający naszyjnik i wróciła do pierwotnego tematu: — W naszej rodzinie zawsze dobrze rozumiano sztukę właściwego doboru. O sukniach popołudniowych twojej babki mówiło się w całym Fuller.

—Uważam, że ówczesna bielizna była okropna. Gumowe podwiązki, metalowe haftki. I wszystkie te śliskie, elastyczne tkaniny. Fuj.

—Zapnij to, proszę.

Rosemary posłusznie podeszła do matki i chwyciła naszyjnik. Zapięcie tworzyły dwie spłaszczone, olbrzymie perły. Połączyła je ze sobą, potem stanęła z boku naprzeciwko wysokiego, stojącego na podłodze lustra. Minęła dłuższa chwila, podczas której pani Saville zachwycała się panią Saville, a Rosemary swoim dziedzictwem.

To był rzeczywiście wyjątkowo wspaniały okaz. Blask wielkiego brylantu podporządkowywał sobie ogień ośmiu mniejszych kamieni. Wszystkie świeciły w oprawie z drobnych pereł i szafirów. Pani Saville posiadała imponujący biust. Zaczynał się on bezpośrednio poniżej zagłębienia na szyi i kończył ociupinkę powyżej tego, co przy obecności minimalnego wcięcia można by nazwać talią. Wraz z podnoszeniem się i opadaniem wspaniałej krzywizny naszyjnik drgał i wszystkie kolory tęczy lśniły żywym blaskiem. Natychmiastowym, olśniewającym, oślepiającym, wstrzymującym oddech, napętlającym zachwytem serce.

—Muszę przyznać — pani Saville pogłaskała uspokajająco klejnoty, jak gdyby układała je do snu — że jestem mile zaskoczona wysokim poziomem higieny. — Owinęła palec koronkową chusteczką i przejechała nim po blacie nocnego stolika. Najmniejszego pyłku. — Do tego świeże kwiaty. I czekoladki Bath Olivers. Widać troskliwą rękę.

—Pościel pachnie lawendą. — Rosemary dostrzegła biało--niebieski kartonik leżący obok matczynej wieczorowej torebki i dodała: — Och, mamuś... — w jej głosie brzmiało rozdrażnienie. — Chyba nie zabrałaś kart?



—Oczywiście, że zabrałam. W cywilizowanym towarzystwie na pewno znajdą się ludzie, z którymi można zrobić robra.

—Przecież dopiero co grałaś w czwartek.

—Nie grałam w czwartek. Odwołano partyjkę. Przez matkę Daviny Bingley, jeśli sobie przypominasz.

—Hm... — Rosemary, której uwagę zajął teraz własny wizerunek, okręciła się powoli wokół własnej osi. Sukienka w kolorze morskiej zieleni była boska, brzeg rozcięty głęboko w ośmiu miejscach, a każdy z nich obciążony pojedynczą perłą. Tylko czy pantofle, zwłaszcza przefarbowane, dobrze do niej pasowały?

—Zamierzam zachować duży dystans wobec tych parwe-niuszy z Północy. — Pani Saville mówiła o Północy jak o niższych kręgach piekieł. — Będziemy mieli szczęście, jeśli nie okaże się, że jedzą palcami.

—To może nie być takie łatwe, kochana mamó — powiedziała Rosemary, przepychając pasmo szyfonu przez cienkie kółko z nefrytu. — Nie wydaje mi się, żeby oprócz pasażerów mikrobusa był tu ktoś jeszcze.

Pani Saville się wzdrygnęła.

—Z pewnością się mylisz! — zawołała przerażona.

—Sprawdzę, dobrze? — Rosemary rzuciła się do drzwi. — To proste. Policzę miejsca w jadalni.

—Zaczekaj...

—Sekundkę.

—Doprowadziłaś dłonie do porządku? — pytanie to skierowane było już do powietrza, bo Rosemary zdążyła zniknąć. Zastanowiwszy się krótko nad tym, jak trafne było w jej przypadku ulokowanie się w pokoju chlubiącym się portretem *Rozpieszczonego dziecka*, pani Saville podniosła swoją torebkę i sprawdziła jej zawartość. Puder, szminka, grzebień, flakonik perfum. Podeszła do toaletki, otworzyła kosmetyczkę i wyciągnęła z niej buteleczkę z pachnącymi lawendą solami. Pomyślała, że pod koniec dnia prawdopodobnie będzie ich potrzebować.

W sypialni apartamentu poświęconego Hogarthrowi rodzina Gibbsów, szczęśliwie nieświadoma potępienia, jakie ich obecność wywołała w jednym z sąsiednich pokoi, wciskała się w coś, co Fred nazywał karnawałowym ekwipunkiem. Violet miała poczucie, że lata trzydzieste są „nieco bezbarwne i zbyt militarystyczne”, wybrali więc szalone lata dwudzieste.

Fred założył marynarkę w stylu „zimnego drania” w jaskrawą kratę, po czym zepsuł efekt epoki, dodając do niej współczesny krawat z atlasu przedstawiający damskie nogi w ozdobionych cekinami wieczorowych sandałkach kopiające kieliszek od szampana, z którego wyskakiwało słowo: O-LA-LA!

— No i jak wyglądam? /

Fred odwrócił się i obejrzał swoją żonę: istne szaleństwo jasnoczerwonego atlasu, pomarańczowych piór i sznurów dyndających koralu; wszystko to utrzymywało równowagę na grubych, różowych jak serdelki nogach.

— Prześlicznie, kaczuszek. W tym będziesz mogła zatańczyć prawdziwe fandango. — A po chwili dodał: — Więc czas na uśmiech.

Ale kończąca swój obrót Violet pozostała poważna i zamyślona.

— Martwię się o dziewczęta.

— Nie zaczynaj znowu. Mieliśmy już tego dosyć w pociągu. Consuela sobie poradzi.

— Emeraldą ma tę wysypkę.

— To nic takiego, mówiłem ci.

— A jeśli pozostałe to od niej złapią?

— Jasne, że nie. Nie opowiadaj głupot. — Fred podszedł do kominka i żeby zmienić temat, uczepił się *Hrabiny przy porannej toalecie*. — Kim jest ten Hogarth?

— Skąd mam wiedzieć?

— Całkiem komiczna ferajna. — Obejrzał uważniej obraz. — Jest tu gość w długich, różowych kalesonach i w peruce z loczkami.

—Wtedy się takie nosiło.

—Może i masz rację. Często się zastanawiałem... no, wiesz. To sporo kosztuje...

—Daj spokój, Fred! Przecież to zupełnie niemodne. — Violet zdecydowanie zmieniła temat: — Twojej matki w ogóle nie słyhać.

—Mojej matki?! — Fred zachwiał się w udawanym zdumieniu. — Myślałem, że to twoja matka. Przez te wszystkie lata cierpliwie ją znosiliśmy...

—Idź i zobacz, co ona tam wyprawia.

Matka leżała na sofie w przyległym saloniku. Owinięta w opalizującą materię, błyszczała jak olbrzymi czarny żuk. Kurczowo ścisnęła swoją ozdobną torebkę, a jej żuchwy poruszały się rytmicznie. Fred wysunął głowę przez drzwi.

— Stale musisz coś chrupać. Co jesz?

Starsza pani otworzyła usta, wyjęła resztki pastylki miętowej, chwytając ją między kciuk a palec wskazujący dłoni odzianej w gruzelkowatą mitenkę, i na powrót wepchnęła ją do buzi.

— Nie będziesz miała ochoty na kolację. — Pani Gibbs cmoknęła głośno. — I masz się zachowywać, kiedy zejdziemy na dół, jasne?

Ten surowy ton wywołał u starszej pani konsternację i nieśmiały uśmiech. Poniżej małego siwego wąsika ukazały się ocalałe zęby, żółte i mocne jak drobne kły, nadając jej wygląd zaintrygowanego morsa.

— Nie patrz tak na mnie — ciągnął Fred. — Wiesz, o czym mówię. Spróbuj tylko czegoś... czegokolwiek... a z miejsca jedziesz do domu.

—Będę grzeczna jak aniołek — zapewnił mors.

—A to nowina!

—To miejsce jest nawiedzone.

—Tak myślisz? — pytanie Freda podszyte było szacunkiem. Określenie: „percepcja pozazmysłowa” mogło być stworzone dla Matki.

—Czuję to po zapachu. Wyraźnie. Jak zapach wrzącego dżemu malinowego.

—O, rany! — Fred wrócił do sypialni i zamknął dokładnie drzwi za sobą. — Mówi, że posiadłość jest nawiedzona.

—No to będzie trochę śmiechu przez te dwa dni.

—Jest czysta? Sprawdzałaś?

— Jasne, że sprawdzałam. I torebkę, i walizkę. Czysta jak łąka. Violet opychała się ciasteczkami znalezionymi w pudełku.

Na ślicznej, ręcznie wypisanej karteczce widniały słowa: „Napoje na tarasie o siódmej trzydzieści” — zostało więc jeszcze bardzo dużo czasu.

Fred, ze słowami: „Jesteś zupełnie taka sama jak ona”, otworzył okno i wyszedł na balkon, żeby zbadać okolicę.

—A niech to, Violet! — Przysłonił oczy niczym odkrywca. — Mogłabyś tu rozwiesić niezłą porcję prania.

—Ludzie, którzy mieszkają w takich miejscach, nie rozwieszają prania.

—Wobec tego muszą być niezłe upaprani.

—Popraw skarpetki, Fred. Wyglądasz, jakby nikt o ciebie nie dbał. I spróbuj tych ciasteczek.

W czasie gdy Violet przeżuwała ciasteczka, a jej mąż posłusznie wykladał równe mankiety na skarpetkach, Matka siedziała cichutko na sofie przed przykrytym papier-mache stolikiem do bezika. W pokoju panowała cisza, nie licząc odgłosu aksamitnych plaśnięć tasowanych kart. Starsza pani przedzieliła talię na pół i uniosła dwa stwardniałe kciuki. Błyskawiczna smuga bieli, furkot i talia znów była w komplecie. Później w mgnieniu oka stała się wachlarzem i, niemal tak samo prędko, wysoką wieżą.

Pani Gibbs rozłożyła szeroko ramiona. Karty doskonałym łukiem wyskoczyły z jej prawej dłoni i z furkotem opadły na lewą. Jeszcze raz podzieliła talię na pół, błyskawicznie ją przetasowała i jednym szybkim ruchem wyłożyła rzędem siedem zakrytych kart. Odwróciła pierwszą i przyjrzała jej się ze skupioną, niemal

natchnioną uwagą, lecz dźwięk dochodzący z innego pomieszczenia przeszkodził jej w koncentracji. Karty wlatywały w fałdy jej spódnicy jak wystraszone ptaki. W chwili, kiedy syn i synowa weszli do pokoju, splecione ręce staruszki leżały spokojnie na podolku, a jej twarz miała wyraz prawie anielskiej niewinności.

Rosemary puściła się pędem przez korytarz i bez stukania wpadła do pokoju Watteau.

—Kochany!

—Kochana!

Młody mężczyzna w okrągłych okularach zeskoczył z fotela pod oknem i podszedł do swego gościa, po czym omal się nie przewrócił pod naporem żywiołowych uścisków.

—Kocham cię.

—Kocham cię.

—Mam tylko sekundkę. Och... — zachwycona, zlustrowała go wzrokiem z góry na dół. — Wyglądasz tak... tak bosko. O rany... — spojrzała na jego stopy. — Co to jest?

Martin również popatrzył w dół.

—Getry.

—Nie założysz getrów do wieczorowego garnituru.

—Nie?

—Oczywiście, że nie. Musisz je natychmiast zdjąć.

—Dobrze.

Powrócił na siedzenie pod oknem i zaczął rozpinąć getry. Rosemary przysiadła obok niego i powiedziała:

—Czy to nie wspaniałe? W końcu naprawdę tutaj jesteśmy.

—Zgadza się.

—Co sądzisz o mamie?

—No cóż... — Martin się zawahał. Czuł, że raczej nie zadowoli narzeczonej, wyjawiając jej prawdę, a mianowicie, że sylwetka pani Saville wywarła na nim tak zatrważające wrażenie, iż na przyszłość wolałby widywać jedynie jej stonowane odbicie, może na powierzchni tacy do podawania herbaty. — Doprawdy, trudno powiedzieć. Ledwo mignęła mi przed oczami.

—Miałam straszną przeprawę, żeby ją tu ściągnąć. Zgodziła się tylko dlatego, że przysięgłam jej, iż cię rzuciłam. Teraz masz całe dwa dni, żeby zrobić dobre wrażenie, poczynając od dzisiejszego wieczora.

—A co, jeśli nie będę siedział obok niej?

—Użyj swoich szarych komórek.

—Albo megafonu. Ha, ha.

—Bądź poważny, Martin.

—Przepraszam.

—Masz ze sobą katalog wazeliniarza?

—Tak. — Martin poklepał się po wewnętrznej kieszeni marynarki. —Ale wołałbym, żebyś tak tego nie nazywała. Czuję się wtedy, jakbym cały ociekał tłuszczem.

—Recytuj, proszę. Jej ulubione. Dziewiętnastowieczna porcelana...

—Dziewiętnastowieczna chińska porcelana. Urok pekińczyków. Biografie sławnych postaci. Kompozytorzy... hm... Czajkowski...

—Tylko *Jezioro łabędzie*.

—Ivor Novello.

—Tylko *Królewska rapsodia*. I trzymaj się ściśle muzyki.

—Nie dyskutować o ich tajemniczych wariacjach?

—Absolutnie. No i jest córką admirała, więc trzymaj się z dala od Jutlandii.

—Od czego?

—Pośpiesz się, Martin.

—Dobrze... pasjonatka kart. Uwielbia grać w wista...

—W brydża. Gra w brydża.

—O, Boże! — Martin wyciągnął kartkę papieru. — Nigdy nie zapamiętam tych wszystkich faktów.

—Nie musisz. Wystarczą jeden albo dwa tematy, żebyś przebrnął przez obiad. Zanim ponownie będziesz z nią rozmawiał, możesz z powrotem skorzystać ze ściagi. Będzie mnóstwo okazji.

—Nie sądzisz, że byłoby lepiej, gdybym był nieco bardziej... no... spontaniczny?

—Nie, Martin. Nie czas, żeby polegać na uroku osobistym. Mama może nie zauważyć, że w ogóle masz jakiś. No i, Słoneczko... — rzuciła mu się znowu na szyję. — Mój pokój jest przedostatni po tamtej stronie korytarza.

—W tę stronę?

—W tamtą. Niestety, drzwi wychodzą na pokój mamy. Próbowałam zająć zewnętrzny, ale nie dała się przekonać. Nie martw się — dodała, widząc, jak pobladł na twarzy. — Gdy tylko zaśnie, nawet salwa armatnia jej nie obudzi. Poczekam, aż zaśnie, otworzę ociupinkę drzwi i to będzie sygnał, że możesz wejść, i och, kochany! Będziemy nareszcie razem.

—Jasne — odparł Martin.

Kiedy Sheila Gregory z szyderczym chichotem zwróciła uwagę swojemu mężowi na ogłoszenie „Weekend z morderstwem: W stylu lat trzydziestych”, jego entuzjazm nie miał granic. Nie zważając na jęki protestu żony, natychmiast zapisał adres i popędził wysłać rezerwację — po czym powrócił z kompletnie nową czapką a la Sherlock Holmes, zwiększając ich całkowitą liczbę do siedemnastu.

Sheila gderała, dąsała się i biadoliła, ale później Derek dał jej wolną rękę w wypożyczeniu kostiumów, co wielce poprawiło jej nastrój. Gdyż jakkolwiek Derek był dobrze sytuowany (w istocie bardzo dobrze), to wydobyć od niego kasę było niemal tak samo łatwo, jak dobrać się do zasobów królewskiej mennicy.

Spoglądała teraz na męża przebranego do obiadu, ale wciąż w holmsowskim nakryciu głowy. Zagrał wcześniej na skrzypcach, bardzo nieudolnie, fragment *Kołysanki*, nabił swoją fajkę (długą, z drewna czereśniowego) tytoniem Bulwark, a teraz zadowolony przechadzał się tam i z powrotem, pozostawiając za sobą smugi dymu. Zatrzymał się i skierował władcze spojrzenie w stronę parku i długiej alei wysadzonej strzyżonymi lipami.

—Ach, Sheilo — przemówił z taką satysfakcją w głosie, jakby osobiście je wszystkie posadził. — Spójrz na te wiązy. Są takie... prastare.

—Owszem — przyznała Sheila, pudrując swój zadarty nos. — Przynajmniej te, które nie padły od holenderskiego trypra.

Przyglądała się z bliska swojej twarzy. Miała bladą cerę i piegi, które są częste przy rudych włosach, chociaż w tej chwili pod makijażem nie były wcale widoczne. Falujące łagodnie włosy przytrzymywały w dwóch miejscach zdobione dżetami motylki. Miała na sobie długą do ziemi, aksamitną suknię w kremowym kolorze z małym trenem w kształcie wachlarza i trzema szkarłatnymi makami przypiętymi do ramienia. Jej usta były równie czerwone jak kwiaty i bardzo wąskie, co zadawało kłam powszechnie głoszonym opiniom, że wszyscy sybaryci mają piękne, pełne wargi — tymczasem Sheila miała bardzo gorącą naturę. Fakt, którego jej mąż nie był w dużej mierze świadom. Powiesiła teraz swoje codzienne ubrania do wspaniałej szafy z mahoni, podeszła do łóżka, odpięła zamek należącej do Dereka poduszczeni w kształcie tropiącego psa i wyciągnęła stamtąd nocną koszulę męża.

—Powinnaś zlecić pokojówce, żeby to zrobiła.

—Niezła z nich para. Ten kamerdyner... wygląda, jakby wrósł w fundamenty posiadłości.



—Są cudowni — potwierdził Derek. Osobiście miał raczej nadzieję na kamerdynera z garbem, ale od życia nie można zbyt wiele oczekiwać. Wrócił do swojej wędrowni po pokoju, zatrzymując się niekiedy, żeby postukać w wyłożoną rzeźbioną boazerią ścianę. Przycisnął ucho do szczególnie sielankowej sceny, jakby spodziewał się usłyszeć odgłosy odległej biesiady. Miał wyjątkowo dziwne uszy: wielkie, różowe i tak cienkie, że wydawały się niemal przezroczyste. Sterczały z obu stron głowy jak pokaźne plastry szynki. Sheili często przychodziło na myśl, że gdyby świnię miały skrzydła, to wyglądałyby (skrzydła, nie świnię) dokładnie tak jak uszy Dereka.

— Nie mogę tego zrozumieć. — Stuknął głośno w oracza, z nadzieją na sukces. — Tutaj musi być gdzieś dziura. Te stare domostwa pełne są tajemnych przejść...

— Nie sędzę, żeby ten był jakiś bardzo stary.

— Ależ Sheilo, doktora Belliniego znaleziono w identycznym pokoju. Udużono go niezwykle mocnym pejcem z wołowej skóry i z rączką z nogi strusia.

— Niektórzy kolekcjonują takie rzeczy.

—Morderca uciekł właśnie takim ukrytym w ścianie korytarzem.

—Sprytnie. Twoją marynarkę przydałoby się wyszczotkować...

—Na pewno pamiętasz — obstawał przy swoim Derek, zdejmując smoking i wręczając go żonie. — Ukradł rubin hrabiemu Markovitchowi. Uciekał przed pościgiem, a kiedy mieli go już dopaść, cisnął klejnot do fosy, żeby później po niego wrócić.

Sheila zmarszczyła brwi.

—Czy rubin był wielkości gołębiego jaja?

—Dokładnie.

—*Przypadek pardwy cierpiącej na zaparcie.*

—Kapitalne, czyż nie?

—Yhm.

Sheila pamiętała piąte przez dziesiąte. Co wieczór przed pójściem spać Derek czytał na głos fragment powieści detektywistycznej. Jego żona, która wolałaby coś nieco bardziej zbliżonego do ćwiczeń fizycznych, nigdy nie potrafiła odróżnić jednej książki od drugiej. Ich wspólną cechą był niekończący się potok tępych narzędzi, głupich służących, wyszukanych trucizn, złowrogich sztyletów (zawsze kunsztownie wykutych) oraz zaprzęzenie do pracy szarych komórek. Często przy końcu wyjątkowo surowego przesłuchania jakaś dzielna dziewczyna załamywała się i krzyczała: „Dłużej tego nie zniosę”, co idealnie odzwierciedlało stan ducha Sheili.

Wyciągnęła szkło powiększające z rękawa marynarki, wręczyła je mężowi i podniosła swój szal. Był to prześliczny, ozdobiony frędzlami szarozielony jedwab z wymalowanymi tygrysimi liliami i paprociami. Kiedy w końcu zadowolili ją sposób ułożenia szala, powiedziała Derekowi, że już prawie siódma trzydzieści i że powinien się wreszcie przyczesać. Nie odpowiedział. Odwróciła się i zobaczyła go, jak stoi bez ruchu pośrodku pokoju z drgającymi nozdrzami.

—Co znowu?

—Sheilo, jesteście obserwowani.

—Nie bądź głupi. Po co, u licha, miano by nas obserwować?

—Czuje... — w jego głosie zabrzmiał grobowy ton. — Czyjeś oczy krążą za mną, kiedy chodzę po pokoju.

—Przecież wcale nie chodzisz. Stoisz w miejscu.

Derek, który stał zwrócony twarzą do szafy, zrobił gwałtowny zwrot w miejscu. Na lewo od łóżka z baldachimem znajdował się posepny portret starego mężczyzny w sędziowskiej todze. Derek przymrużył oczy. Podniósł stojący przed toaletką taboret i zbliżył się ukradkiem do obrazu, a ostatnie kilka jardów przebył na kolanach. Potem bezpośrednio pod ramą obrazu postawił taboret, wszedł nań i przyłożył wskazujące palce dłoni do namalowanych źrenic sędziego. Z okrzykiem: „Teraz zobaczymy, kto kogo obserwuje!” wcisnął silnie palce w płótno. Rozległ się cichy odgłos rozdzieranej tkaniny.

—Mój Boże! — wyrwało się Sheili. — Co ty zrobiłeś?! To może być warte majątek.

—Bzdura. — Derek zszedł na dół, otrzepując energicznie ręce z pyłu. — Materiał był kompletnie zbutwiały; staruteńki jak te wzgórza. Najpewniej od dawna już czekali na jakąś okazję, żeby się go pozbyć. A my — przeszedł do przyległej łazienki — niewątpliwie jesteśmy inwigilowani. Czuję wyjątkowe napięcie. Ciekaw jestem — zdjął z półki pastę, kubki i szczoteczki do zębów — czy to lustro jest dwustronne.

—Nie dotykaj tego! — krzyknęła Sheila takim głosem, że Derek natychmiast porzucił zamiar odkręcenia lustra od ściany i zadowolił się samym zasłonięciem go ręcznikiem. — Myślę, że powinniśmy już iść — kontynuowała — póki zostało jeszcze coś niezniszczonego. — Podeszła do drzwi, a gdy mąż szykował się, żeby pójść jej śladem, zatrzymała go. — Za chwilę zacznie się elegancki obiad w uroczy, letni wieczór w ślicznej wiejskiej rezydencji...

—Więc?

—Więc zdejmij z głowy tę śmieszoną czapkę.

Dochodziła siódma. Bennet zajęty układaniem pościeli na krótką, magiczną chwilę pozostawił Gaunta samego. Ten drugi szacował, że każdy pokój zajmie bratu dobre pięć minut. Cztery na zlokalizowanie łóżka, jedna na wyrównanie i wywiniecie pościeli. Niekiedy słaby wzrok Bena miał też swoje dobre strony.

Gaunt wszedł do przepastnej kuchni i bardzo starannie zamknął za sobą drzwi. Pomieszczenie pełne przyjemnych woni i cichych odgłosów gotującego się jedzenia wydawało się puste, mimo to sprawdził jeszcze schowek na przybory do sprzątania i aneks do mycia naczyń, po czym zbliżył się do przenośnego piecyka i ostrożnie, powolutku uchylił pokryte szklistą emalią drzwiczki, jakby się bał, że mogą zaskrzypieć. Zajrzał do środka i westchnął z ulgą. Znalezienie odpowiedniej skrytki było sprawą do pewnego stopnia niecierpiącą zwłoki, a Gaunt wiedział, że chociaż zdołał ukryć pokrzepiający jałowcowy destylat, to piecyk pozostawiał w tym względzie wiele do życzenia. Był kwadratowy, biały i widoczny z daleka. Właśnie do czegoś takiego pewna osoba od razu wścibiłaby nos.

Gaunt miał ogromnie za złe Benowi jego brak zaufania. Przez to naprawdę nie miał żadnego bodźca, żeby się starać. A Gaunt się starał. Ograniczał picie przez trzy tygodnie. Wyznaczył sobie tempo, przygotowywał płuca, wątrobę i inne uzależnione organy na długotrwały szok, który nieuchronnie niosła ze sobą zmiana części składowych krwi w żyłach. Gdyż cały proces należało przeprowadzić stopniowo. Nie można tak po prostu nagle przestać raczyć się alkoholem. Gaunt zrobił to kiedyś (pewnej wielkanocnej niedzieli z rana), żeby sprawić radość matce, a przed końcem lunchu był już skołowaną, trzęsącą się galaretą. Nie, zdecydowanie należy postępować łagodnie. Tego reszta rodziny nie potrafiła albo nie chciała zrozumieć.

Odkręcił zakrętkę butelki z ginem i rozejrzał się za naczyniem do picia. Pod ręką znalazł się dzbanuszek do śmietanki. Napełnił go i wypił zawartość do dna, zrobiwszy w połowie krótką przerwę dla zaczerpnięcia oddechu. Zakręcił butelkę, zmarszczył czoło na znak koncentracji i z flaszką Beefeatersa w ręce zaczął chodzić po kuchni. Ale im dłużej chodził, tym bardziej kuchnia wydawała mu się pozbawiona stosownych zakamarków. Wówczas spostrzegł sporej wielkości kamionkowy garnek, który okazał się w trzech czwartych wypełniony mąką. Wewnątrz tkwiła niewielka mosiężna łopatka. Za jej pomocą Gaunt zrobił wgłębienie, w którym delikatnie umieścił butelkę, a następnie przykrył ją resztą mąki. Dzbanuszek do śmietany zapewnił Gauntowi tyle wzmacniającej energii, że czuł, iż do samego rana nie będzie musiał tankować. Ale tak na wszelki wypadek...

Nagły, bezlitosny dzwonek w uszach sprawił, że Gaunt podskoczył z miejsca i trzeba było kolejnego, krótkiego szarpnięcia, by zdołał na nowo podjąć się swoich obowiązków i podnieść słuchawkę telefonu.

Biblioteka w Madingley Grange nie była często używana. Nieskazitelnie czyste książki za kryształowym szkłem witryn wydawały się nieskażone czymś tak ordynarnym jak ludzkie dociekliwe spojrzenia. Wszystkie ustawione były w kompletnych zestawach. Kolekcja encyklopedii i komplet dzieł Dickensa. Książki Thackeraya, Trollope'a i Jane Austen. Chociaż poszczególni autorzy byli oprawieni w różny sposób, to wszystko razem, nawet uwzględniając nachalny szkarłat sióstr Bronte, sprawiało nieskalane wrażenie.

—Nie sądzisz, że wuj George kupował je na jardy? — spytała Laurie brata.  
— Sześć brązowych, trzy zielone i jedna czerwona dla rozjaśnienia ciemnych kątów. Czy to nie smutne, że nie ma tu wcale literatury dziecięcej?

—A co widzisz smutnego w nieposiadaniu dzieci? Paskudne małe szkodniki.

—Brak mi obdartych książek Nesbit z okruszkami po ciasteczkach i plamami od kakao. Gdzie jest *O czym szumią wierzby*? I gdzie Puchatek...

—Och, zamknij się już.

—Boję się.

—Wszyscy się boimy.

—Ty się nie boisz. Nie bałbyś się nawet wtedy, gdyby cię ktoś spychał z urwiska. — Laurie wykręciła swoją wilgotną, koronkową chusteczkę, spostrzegła bulwersujący stan swoich paznokci i usunęła dłonie poza zasięg wzroku. — Gdy pomyślę, że oni tam wszystko demolują...

— Nikt niczego nie demoluje. Jest cicho jak w grobie.

— O, Boże, a to dopiero! — Laurie poderwała się na nogi.

— Czemu tak cicho? Co oni tam robią?

— Podejrzewam, że szykują się do obiadu. Usiądź. Simon machnął jej przed oczami swą długą, szagrynową firką, a Laurie niechętnie usiadła i powiedziała:

— Do tego jeszcze ten ser.

—Oj, trzeba się nagłówkować, żeby za tobą nadążyć. Jaki ser?

—Mam niecałe pół kilograma Double Gloucester na jutro i na koniec lunchu w niedzielę. A co, jeśli ktoś będzie miał na niego ochotę dziś wieczór?

—Mówiłaś, zdaje się, że masz pełną zamrażarkę jedzenia.

—Sera nie wolno zamrażać.

—Musimy więc wziąć na wstrzymanie. Muszę przyznać — uśmiechnął się, mając nadzieję, że poprawi jej humor — że wyglądasz fantastycznie w tej lśniącej kiecce.

—Nie sędzę. — Miał rację. Błękitna lama ślizgała się i opływała kasztanową skórę. —Czuję, że za chwilę zacznę piszczeć.

— Jakby nie dość tego wszystkiego, Laurie była świadoma, że jej głęboka opalenizna kończy się dobre sześć cali powyżej wycięcia sukni. I że jej krnąbrne włosy, w tej chwili zduszone pod srebrzystym turbanem, czekają tylko na sposobność, żeby przecisnąć się przez ścisłe zwoje i wymknąć się na wszystkie strony.

— Hugh padnie z wrażenia — ciągnął Simon. — A tak w ogóle, gdzie on jest?

— Skąd mam wiedzieć?

— Rozumiem — Simon podniósł górną wargę niczym gryzoń i wysunął przednie zęby.

— Nic nie rozumiesz. Pacey nie jest „taka”.

— Wszystkie dziewczyny są takie, jeśli tylko nadarzy im się okazja.

— Nie masz niczego do roboty?

—Wszystko zrobione. Udało mi się nawet zdobyć piwo i kapkę guinnessa dla tych okropnych Gibbsów.

—Wcale nie są okropni. Pan Gibbs mówił, że ma jakąś dużą firmę.

— Pewnie skupu złomu.

—Zatrudnia ponad dwieście osób.

—Bzdura. Uważasz, że kabaretowy tandem i wypchany szop pracz w damskim przebraniu nadają się do prowadzenia interesów? Nabiera cię.

—Jeśli po tym, jak ściągnąłeś z nich tyle kasy, będziesz wobec nich nieuprzejmy, to się wścieknę.

—Nieuprzejmy? A czyja byłem kiedyś nieuprzejmy? Będę się zachowywał bez zarzutu, jak zawsze zresztą. — Simon przysiadł na biurku obok wielkiego globusa, który po latach obcowania z dymem tytoniowym wuja George'a nabrał ciemno-bursztynowej barwy. Zakręcił nim powoli, trzymając palec na samym jego środku.

—Pamiętasz... Hej! — Laurie spojrzała na niego. — Pamiętasz, jak mówiłaś kiedyś na równik?

—Nie.

—Lew z menażerii pędzący dookoła świata.

Laurie zamknęła oczy, bardziej z irytacji niż z pragnienia przywołania przeszłości. Mimo to nagle jej się przypomniał. Widziała go tak wyraźnie, jak wtedy, gdy miała siedem lat. Sadził susami pod palącym słońcem, nie rozglądając się na boki, a wiatr buszował w jego grzywie. Jego wielkie stopy zostawiały ślady na piasku niczym kwiaty. Oczy dzikiego kota były trójkątami złocistego światła. Był dobry.

Oczy Laurie napełniły się łzami i ledwie udało jej się powstrzymać od płaczu. Była zła i zmęczona. Nie chciała się przejmować tymi wszystkimi ludźmi. Jak również czystą pościelą, kwiatami w wazonach, ciasteczkami Bath Oliver ani serem. Szczególnie nie chciała się przejmować serem. Natomiast bardzo chciała być znowu dzieckiem i w ogródku warzywnym w przeciwdeszczowym płaszczu pomagać sadzić szczypiorek. Odpowiedzialność za to, że było to niemożliwe, należało, według niej, przypisać Simonowi. On był wszystkiemu winien. Otworzyła oczy, rzuciła mu gniewne spojrzenie i powiedziała nieprzyjemnym tonem:

—Bardzo jesteś sceptyczny, jeśli idzie o Hugh i o mnie. A co z twoją przyszłością? Kiedy zamierzasz się zakochać?

—O rany! — Usłyszała ostry, zgrzytliwy dźwięk. Globus przestał się kręcić, a Simon oglądał złamany paznokieć. — To zupełnie bez sensu. Co za strata energii. Godziny wlotów i upadków, wzdychania i snucia się bez celu po to, żeby na koniec nic z tego nie mieć. Mnie wystarczy codzienna pogoń za pieniądzem.

— To znaczy, chcesz się ożenić dla forsy.

— Żebyś wiedziała! Jeśli się „zakocham”, to tylko w kimś bogatym.

—Może zatem w Rosemary Saville? Jest śliczna.

—Wszystkie spadkobierczynie są śliczne. To cytat.

—A może już spotkałeś tę „nieszczęsną” dziewczynę?

—To moja sprawa.

—Jesteś bardzo tajemniczy, jeśli idzie o twoje życie osobiste.

—Po to przecież się je ma.

Laurie nie mogła sobie wyobrazić Simona, z jego ironicznym pesymizmem, zimnymi, jasnymi oczami i zwodniczym uśmiechem, zakochanego. Nie, jeśli miłość miała oznaczać nieznośne katusze w oczekiwaniu na dzwonek telefonu i jękanie się na dźwięk wytęsknionego głosu. Albo chodzenie całymi dniami po linie między bezchmurnym niebem zachwytu a kamienistą otchłanią rozpacz. Albo bezustanne przekonywanie się, że ziemia pod stopami jest dziwnie ruchoma. Nie potrafiła go sobie wyobrazić w żadnej z tych sytuacji. Lecz nagle, w jakimś ponurym przeblasku świadomości pomyślała, że siebie samej również nie widzi w tej roli.

—Pomimo tego, co powiedziałaś —kontynuowała swoją myśl — zauważyłam przypadki wycinania kwiatów z ogródka i chowania czegoś w bagażniku twojego auta. Jak poprzedniej środy, na przykład.

—Dochodzenie zacznie się dopiero jutro rano, panno Marple.

—A co z...

Na dźwięk telefonu oboje podskoczyli. Telefon dzwonił, a Simon w tym czasie przekonywał Laurie, żeby siedziała i czekała, aż kamerdyner zrobi, co do niego należy. W końcu otworzyły się drzwi biblioteki, zza których wychynął Gaunt. Skłonił się z gracją do pasa i wymamrotał:

—Pan Wriothlesley pragnie z panią mówić, madam.



—Hugh! — Nieprzywykła do obcasów, Laurie potknęła się na posadzce holu. — Kochany! — krzyknęła w słuchawkę. — Gdzie jesteś? — Simon, który podążył za siostrą, obserwował, jak jej poirytowana twarz łagodnieje i przechodzi w pełne zrozumienia zatroskanie. — Och, nie... Biedaczysko. Jak, u licha, sobie z tym poradziłeś? — Słuchała dalej, a potem powiedziała: — Oczywiście, damy radę. Simon jest tutaj, mamy dwoje pomocników. Nie martw się... Nie, nie rób tego. Nie przydasz nam się tu ze skreconą kostką, wręcz odwrotnie... W porządku. Zadzwoń, kiedy wszyscy się rozjadą. W niedzielę. Pa, pa! — Odłożyła słuchawkę. Simon znowu łypnął okiem złośliwego gryzonia. — To nie jest ani trochę bardziej śmieszne niż za pierwszym razem.

— Wdepnął w króliczą norę, co?

Zanim Laurie zdołała odpowiedzieć, pojawił się Gaunt.

—Chciałem zauważyć, madam, że jest siódma trzydzieści. Czy życzy pani sobie, żebym zwołał gości?

—Tak, zrób to — przy tych słowach Laurie cofnęła się lekko pod wpływem sinego oblicza i smoczego oddechu kamerdynera.

Gaunt uniósł delikatny młoteczek i z wielką werwą zrobił zamach do tyłu, bez wątpienia po to, by wzmocnić uderzenie. Niestety, włożył w ruch tyle entuzjazmu, że pociągnął za nim całe swoje ciało i opisał w powietrzu dwa pełne koła, nim udało mu się grzmotnąć w gong silnie i precyzyjnie.

Drgania fali dźwiękowej uniosły się ku okrągłym, złocisto -niebiesko- czerwonym broszom na suficie paradnego holu, rozeszły się przez korytarze i półpiętra, minęły przygłuchych antenatów w bogatych ramach, by dotrzeć do świadomości gości Madingley. Laurie uścisnęła rękę brata.

—Och, Simon — szepnęła. — Mam okropnego pietra. Powiedz mi coś pocieszającego.

—Zaraz... — Simon wziął ją pod rękę i przeszedł się z nią w stronę tarasu. — Uderzyła mnie właśnie jedna interesująca rzecz.

— Co takiego?

— Jako że Hugh nie przyjeżdża, będzie nas teraz trzynaścioro.

Gdy wyszli na zewnątrz, rozległ się krzyk pawia. Dziki, ostry wrzask. Rozpoczął się weekend.

TLR

## Rozdział siódmy

---

Wieczór był cichy i ciepły, a różowo-złociste niebo przypominało o bliskim zachodzie słońca. Ptaki wciąż jeszcze krążyły w powietrzu, a ich słodkie trele radowały uszy. Simon, który wymachiwał zamasyście srebrnym shakerem do koktajli, podziwiał jednocześnie kamienne donice, z których buchały białe, czerwone i żółte kwiaty ustawione wzdłuż tarasu, doszedł do wniosku, że wszystko wygląda znakomicie.

Laurie również była tego zdania. Rozczarowanie i zły humor uleciały, kiedy zobaczyła odległą mgiełkę srebrzystych kropeł tryskających ze smoka, skrecającego i owijającego zwoje swego cielska pośrodku jeziora. Drzewa rzucały długie, mroczne cienie. Płynąca fosą woda uderzała o kamienną balustradę, a koniki polne pogrążały wyschniętymi nóżkami. Laurie przyszło do głowy, że w takim miejscu mógłby się pojawić Apollo. Że mógłby przyjść przyciągnięty cichym, odświeżającym wyglądem krajobrazu i towarzyszącym mu spokojem drzew, by zająć swoje miejsce pomiędzy gośćmi Madingley Grange.

Apollo od zawsze był jej ulubionym bóstwem: taki jasny, pogodny i pełen miłości. W wieku dziesięciu lat pokłóciła się z nauczycielką historii, dowodząc, że prócz tego, iż odpowiadał on za leczenie, prorocstwa i muzykę, był również bogiem ogrodnictwa. Fakt, że ów patronat nie został odnotowany w żadnych starożytnych tekstach, nie zajmował jej młodego umysłu ani trochę. Teraz wzięła głęboki, krzepiący oddech i poddała się kojącej ciszy, temu dobrze znanemu zwiastunowi nadciągającej burzy.

Pani Saville i Rosemary odpoczywały, siedząc w wiklinowych fotelach. Zdecydowały się na Gibsona i sidecar. Simon napełnił szklanki i postawił je na srebrnej tacy, którą wręczył Gauntowi razem z półmiskiem świeżutkich kminkowych krakersów oraz roladek ze śmietankowego sera i anchois, po czym obserwował, jak kamerdyner z nią odpływa.

—Widzisz? — trącił siostrę łokciem. — Wszystko idzie gładko jak po maśle. Całe to sprawdzanie referencji było zupełnie niepotrzebne. Zwykła strata pieniędzy na rozmowę zamiejscową.

—Nie zgadzam się. — Laurie odwróciła się od szumiących drzew. Kiedy się przebierała do obiadu, wykręciła numer znaleziony na zdobionej herbem kartce od szanownej pani Ha-therley. Dowiedziała się tylko, że dama odleciała do Biarritz. Sekretarka czy też dama do towarzystwa, z którą Laurie się połączyła, miała właśnie podążyć za swoją pracodawczynią i w chwili, gdy podnosiła słuchawkę, czekała na nią przed drzwiami taksówka. Mówiła z ożywieniem przez krótką chwilę i pozostawiła Laurie z niepokojącą informacją, że „biedna, droga Vivienne” przeniosła się na południe, „by podźwignąć się po tragedii”.

Ale gdy Laurie przekazała alarmującą nowinę bratu, ten zareagował śmiechem.

— Pewnie złamała sobie paznokiec. Wiesz, jacy są ci z wyższych sfer.

Laurie spojrzała na niego. Sprawiał wrażenie bardzo zadowolonego z siebie, kiedy kieliszkiem Martini wznosił toast za Rosemary Saville.

Rosemary podziękowała mu uśmiechem, odchyliła się do tyłu i przez cienkie podeszwy wieczorowych pantofelków poczuła ciepło kamiennych płytek. Zdjęła nogę z nogi, po czym odziane w błyszczące, jedwabne pończochy kończyny skrzyżowała w drugą stronę i zaczęła się bawić bransoletką z nefrytu. Jak łatwo i z jakim szykiem, pogratulowała sobie w duchu, udało mi się wskoczyć w styl lat trzydziestych. Nie to co ta dziewczyna stojąca niezgrabnie za barkiem na kółkach. Wygląda na łobuziaka, a w tej ślicznej sukience sprawia wrażenie dziecka przebranego w matczyne stroje.

Potem Rosemary zaczęła się zastanawiać, gdzie jest Martin, i poczuła rozkoszny dreszcz na myśl o wszystkich swoich tajemnych gierkach, ale dreszcz z wolna ustąpił obawie, czy kiedy przyjdzie chwila prawdy, jej wybranek zdoła stanąć na wysokości zadania. Odniosła bowiem wrażenie, że w pokoju Watteau zachował się prawie jak oferma. Miała nadzieję, że nie będzie musiała za nich oboje wykazywać się charakterem, to jest zdolnością, którą jej matka chlubiła się niestrudzenie przez dwadzieścia pięć lat swojego małżeństwa. Ojciec Rosemary,

nawet w najlepszych czasach zagadkowa postać, w 1977 roku kompletnie odszedł w zapomnienie. W tej chwili uwagę dziewczyny przykuło jakieś poruszenie.

Pan Gibbs wystawił głowę za jedno skrzydło harmonijkowych drzwi wiodących na taras, chwycił się jedną ręką za gardło, a drugą zakrył usta, zacharczał (wydawało się, jakby zmagał się z niewidzialnym przeciwnikiem), po czym zniknął za zasłoną. W międzyczasie jego żona zaprowadziła swoją teściową do fotela z niskim oparciem. Kiedy starsza pani zajęła miejsce, fotel zniknął całkowicie. Jej ciało przykryło siedzenie i oparcie, a rozpostarta suknia skrywała nogi tak, iż miało się wrażenie, jakby staruszka unosiła się w powietrzu. Nikomu z obecnych to zjawisko nie wydało się zabawne. Seniorka rodu Gibbsów sprawiała wrażenie zupełnie zrelaksowanej, co zdziwiło Simona, który podejrzewał, że jej najbardziej naturalne siedlisko znajduje się pod kamieniem. Ewentualnie na dnie stawu.

Spostrzegłszy, że na kminkowe krakersy goście tylko podejrzliwie kręcą nosem, Laurie podniosła miseczkę z mieszanką orzeszków i zebrała siły, by przejść się z nią przed zgromadzonymi i zaproponować im tę alternatywną formę pożywienia.

Oczy Matki zajaśniały, a twarz wykrzywił uśmiech wyczekiwania. Zanurzyła w naczyniu zakrzywione palce i przemieszała nimi po omacku. Laurie przyszły na myśl sępy rzucające się na sterty tandety na jarmarku, grzebiące w wystawionych towarach i rozrzucające je po kątach. Gdy starsza pani zapchała już sobie usta orzechami, Fred powiedział do Violet:

— Zaraz złamie sobie trzonowy ząb.

—Czego się państwo napijecie? — Simon nachylił się do dolnej półki barku na kółkach, gdzie zza Punt e Mes i Oloroso wychylały się nieśmiało butelki piwa. — Pani Gibbs?

—Dla mnie gin z tonikiem.

—Proszę bardzo — odparł gotów do działania Simon. — Z lodem i cytryną?

—Macie limonkę?

—Obawiam się, że nie.

—Wobec tego cytryna. A dla Matki campari z sokiem pomarańczowym . Tylko sok musi być świeżo wyciśnięty. Po innym dostaje kolki.

—I spokojnie z campari — dodał po chwili Fred. — Dasz jej kapkę za dużo, a nie ruszy się z miejsca.

Simon skinął na kamerdynera, który przydryfował, odstawivszy tacę.

—Wyciśnij kilka pomarańcz, dobrze? Sok ma być precedzony.

—Już się robi, sir. — Gaunt skierował swe kroki w stronę stopni schodzących do fosy. Laurie pośpiesznie go zawróciła, a Simon spytał Freda z głupia frant, co by mu sprawiło przyjemność.

—Tego ci nie powiem przy paniach — odparł Fred. — Ostatnio na pewno jej nie miałem. — Mrugnął porozumiewawczo i zerknął badawczo na zawartość barku. Czy to to, o czym myślę? — kucnął, żeby przyjrzeć się bliżej. — Luknij, Vi... porter.

Violet podeszła do męża i rzekła:

—Cóż, nie dla mnie.

—Od paru dobrych lat tego nie próbowałem. Pamiętasz tę ostrygowo-mięsną papkę w Cock and Buli? Spłukiwaliśmy ją dokładnie czymś takim.

—Za gęste na twoją krew.

—Można by rozcieńczyć — z nadzieją w głosie zaproponował Fred. — Znajdzie się trochę szampana, Simon?

—Nie — odparł Simon, który nie miał zamiaru marnować swojego Kruga na kaprysy Freda.

—Wobec tego, to co zwykle. Szkocka. Z lodem. Może być Talisker.

— Teacher's?

—Tak to nazywacie? — Simon przytaknął cierpko. — Co tam, ewentualnie niech będzie.

—Rozpuścił się jak dziadowski bicz — przyznała Violet. — Przydałoby mu się choć raz zebrać jakieś cięgi.

Simon podniósł masywną szklanę ze rżniętego szkła i sięgnął po szczypczyki. Stawało się oczywiste, że Gibbsowie nie zamierzają zachowywać się jak należy. Można się było tego spodziewać. Nalał sporą porcję whisky, dodał lodu i podał drinka Fredowi. Gdy zamieszał gin z tonikiem dla Violet, Fred powiedział:

— Z miejsca, gdzie stoję, morze się cofa, brachu — i zwrócił mu pustą szklanę.

Simon napełnił ją ponownie i podał Fredowi z ujmującym uśmiechem:

— Obawiam się, że kuflami nie dysponujemy. Fred zarechotał.

—To lubię. Facet z poczuciem humoru. Bo gdzie byśmy byli, Simon, bez poczucia humoru?

—Chyba dokładnie wiem, gdzie wcześniej byłeś, tylko bez uśmiechu na twarzy.

—Ale nudziarz. Powiedz, Violet, czy on nie jest nudziarzem?

Violet przyznała, że Simon jest wielkim nudziarzem. Pojawili się państwo Gregory, a tuż za nimi pan Lewis. Dwie nieduże sherry i sok pomidorowy. Wszyscy obecni, z wyjątkiem dwóch matron, przedstawili się sobie po imieniu. Zapanowała atmosfera wesołości. Simon opuścił barek dla pogaduszek i mamienia większości obecnych swoim urokiem, pozostawiając Laurie obok młodego człowieka w okrągłych okularach, znanego jej teraz jako Martin. Nie mogła się oprzeć zdumieniu, co go sprowadziło do Madingley, gdyż sprawiał wrażenie tak samo zakłopotanego jak wtedy, gdy niepewnym krokiem wysiadał z busa. Zapominając o własnym skrepowaniu, spróbowała go trochę rozerwać i poczęstowała go roladką z sera i anchois.

—Sama je robiłam.

—Naprawdę? — Martin wziął jedną. Była jak płatki śniegu i rozpływała się na języku; ser utrzymywał się dłużej. — Są naprawdę wyborne. — Poczul się nieco zrelaksowany, co go samego zdumiało, gdyż w towarzystwie atrakcyjnych

dziewczyn zazwyczaj nie czuł się swobodnie. Potem dostrzegł jej dłonie, opalone i krótkie palce, niezbyt czyste paznokcie. Wydawały się absolutnie nie pasować do całej reszty. Spytała go, czy jest pewien, że nie chce mocniejszego dodatku do soku pomidorowego.

—Najzupełniej — odparł Martin. — Wiesz, nie mam zamiaru spać.

—Och — Laurie jeszcze raz podsunęła mu tacę. — Chyba trochę wcześniej, żeby przejmować się snem, nie sądzisz?

—Chodzi mi o to — sięgnął po roladkę — że w ogóle nie chcę iść spać.

—O, kurczę! To co chcesz robić przez całą noc? Wałęsać się po sypialniach?

Dłonie Martina otwarły się, a jego szklanka roztrzaskała się na kamiennej posadzce. Sok pomidorowy rozlał się na wszystkie strony.

— Co... co masz na myśli?

— Och, przepraszam... Nic takiego... Próbowałam tylko zażartować. No wiesz... towarzyska konwersacja... Jestem w tym zupełnie beznadziejna.

Laurie schyliła się, by posprzątać kawałki szkła. Zanim to zrobiła i nalała mu soku do nowej szklanki, na jego policzki powrócił rumieniec, a ją zmroziła niezręczna cisza. Sztywna z zażenowania dodała do soku odrobinę sosu Worcester i wręczyła mu szklankę.

I wtedy nastąpiło coś nadzwyczajnego. Palce Martina odbierającego sok owiwały się wokół dłoni Laurie, a ona poczuła ciepłe mrowienie, jak gdyby tysiące szpileczek przebiegło jej po skórze. Ciepło rozchodziło się dalej, płynąc wzdłuż jej przedramienia, potem w górę, aż cała ręka stała się gorąca, miękka i uległa. Martin przeprosił, oswobodził dłoń i się uśmiechnął. Na ten uśmiech żołądek Laurie zakręcił fikołka i znów energicznie klapnął. Oszołomiona, próbowała zrozumieć tę niesłychaną reakcję organu, który do tej pory zawsze był całkowicie przewidywalny, kiedy czyjś głos zagruchał jej słodko w ucho:

— Może zrobiłabyś mi drugiego drinka, chyba że jesteś zbyt zajęta?



Podczas gdy Laurie przygotowywała dla Rosemary kolejnego sidecara, Gaunt zrobił rundę na trasie taras — kuchnia — taras po campari z sokiem pomarańczowym, a Simon w dalszym ciągu mieszał drinki i zabawiał gości. Był grzeczny wobec pań Saville, uprzejmy wobec Gregorych, a teraz zbierał siły, żeby poradzić sobie z Violet, Fredem i jego nadętą i zołzowa-tą matką. Zdając sobie w pełni sprawę, że jego wiedza na temat stylu życia klasy pracującej pozostawia wiele do życzenia, Simon łamał sobie głowę nad błyskotliwym nawiązaniem konwersacji. Jediną rzeczą, jaką zapamiętał ze sporadycznego i nieuważnego oglądania paskudnych programów dokumentalnych na czwartym kanale, było to, że większość ludzi w typie Freda sporą część życia spędza rozwalona w fotelu przed ekranem telewizora z puszką piwa przyklejoną do dolnej wargi, torbą chipsów w jednej ręce i zgrabną porcją skwarek w drugiej. Simon wyszczerzył zęby w kierunku Matki, która przymrużyła złowrogo oczy.

— Spodziewam się — powiedział — że podczas swojego pobytu tutaj będzie pani brakować... hm... szklanego ekranu?

—Ona wcale nie ogląda telewizji — powiedziała Violet. — Za dużo King Kongów — dodała Matka.

—Przepraszam, nie dosłyszałem.

—Programów przyrodniczych — poczuł się w obowiązku wyjaśnić Fred. — Nie znosi programów przyrodniczych.

—Może ma pani zatem inne hobby, pani Gibbs?

—Owszem, hazard — przytaknęła zdecydowanie.

—Hazard? — Pewnie bingo, przyszło na myśl Simonowi, Albo turniej wista w kółku seniora. — Jakiego rodzaju?

—Poker. Blackjack.

—Naprawdę? — chcąc nie chcąc, przyznał się do zdziwienia. — Ja sam lubię pokera. Musimy później zagrać.

— Nie radzę, Simon — uciał Fred. — Załatwi cię. Nadszedł Gaunt z campari. Starsza pani prędko wychylił szklaneczkę, odstawiła ją na tacę, puściła oko i rzekła:

— *Encore*, Antonio.

Kamerdyner, po którego twarzy przemknęło coś na kształt szacunku, odmaszerował z tacą.

—A ty, Fred...? — nie ustawał Simon, gdyż postanowił, że nawet jeśli jego whisky nie okaże się zbyt dobra, to przynajmniej nikt mu nie zarzuci braku ogłady. — Jakie są twoje ulubione programy?

—Moje? Chyba żartujesz! Kiedy niby mam mieć czas na telewizję?

—Nie można go oderwać od teleksu i komputera — wyjaśniła Violet. — Z powodu giełdy, no wiesz.

— Ach! A twoje, Violet...?

— No wiesz?! Mój drogi, przez cały czas muszę mieć oko na interesy. Zatrudniamy ponad dwieście osób, które pracują na okrągło. — Uśmiechnęła się współczująco do gospodarza. Biedny chłopak. Robi, co może, żeby się okazać sympatycznym, ale doprawdy traci grunt pod nogami. Na tym właśnie polega kłopot z młodymi ludźmi. Przez całe życie przyklejeni do telewizora. Nic dziwnego, że nie potrafią udzielać się towarzysko. — Każdą chwilę wolnego czasu, którą dysponuję, a wierz mi, Simon, to rzeczywiście chwilka, poświęcam na haftowanie. Głównie do kościoła. Mam właśnie w połowie zrobiony śliczny ornat.

— Ornat — powtórzył Simon, drepcząc w miejscu. — Tak.

— I kiedy mogę, chodzę na seanse spirytystyczne teściowej. O, Boże, pomyślał Simon. Wolałbym być w Timbuktu. Tam

przynajmniej wszystko jest na swoim miejscu. Ludzie na ziemi, małpy na drzewach.

— Seanse — wymamrotał. — Bardzo ciekawe.

—Ona jest siódmym synem siódmego syna — wyjaśniała dalej Violet. — Albo raczej byłaby, gdyby była chłopcem.

—Jej dziadek ze strony matki — wtrącił Fred — to Trafalgar „Nicpoń” Gwatkin. A jego matka z kolei to słynna Cyganka Uspienskaja. W stu procentach czysto romska krew. Urodzeni w Karpatach. Tutaj zajmowali się handlem końmi. Nigdy nie oglądali się za siebie.

Pani Saville, usatysfakcjonowana, że potwierdziły się jej najgorsze przeczu-  
cia, wysłuchiwała tego wszystkiego ze wzrokiem utkwionym w horyzont i posłała córce niemrawy, ale zadowolony uśmiech.

— Bardzo egzotyczne — powiedział cicho Simon.

—Ludzie przekopaliby swoją przeszłość wszczepiając ją wszędzie, żeby mieć dziadka  
przepowiadającego przyszłość. Bardzo był szanowany przez innych.

—Więcej powiem — powiedziała Matka. — Nigdy nie zniszczył swojej bała-  
łajki. Fakt, że snob był z niego jak diabli.

—Snob...?

—Ożenił się poza swoją sferą. Przez to osłabił dar u swoich dzieciaczków.

—Nie dajcie się nabrać — rzekł Fred. — Jest prawowierna do szpiku kości.

—Widzę, że nie zabraknie nam poobiedniej rozrywki. Proszę mi teraz wyba-  
czyć...

—Chwilunia! — Matka chwyciła za kremową, czesankową wełnę marynarki  
Simona, zatrzymując go gwałtownie. Skinęła ręką, a on, co prawda niechętnie,  
ale pochylił głowę. — Simon, czuję obecność. W tym domu. Chwytasz? — wy-  
szepiała i dmuchnęła mu w ucho frapującą mieszanką campari, pastylek mięto-  
wych i przezutych orzechów.

—Obecność? Czyją obecność?

—Obecność ducha. Bardzo potężnego. Czarna porzeczką przede wszystkim.

—Zdawało mi się, że mówiłaś o dżemie malinowym — wtrąciła Violet.

—To się zmienia. Ale owocowy na pewno, co do tego nie mam wątpliwości. Simon, twój przodek był sklepikarzem?

—Ależ skąd! A teraz naprawdę muszę... — Simon cofnął się i prawie zderzył z kamerdynerem wracającym z drugim Campari. — Masz coś na rękawie, Gaunt. Nie tu, niżej. — Gaunt podniósł rękę, a Simon przytrzymał raptownie szklanekę i miseczkę z orzechami. — Wygląda jak mąka.

—Bardzo dziwne, sir. — Gaunt wyciągnął chusteczkę i machnął nią pogardliwie w stronę białej smużki, po czym odszedł wolnym krokiem. Simon powrócił do Laurie.

—Zastanawiam się, co się stało z... — spojrzał na siostrę i urwał nagle. — O co chodzi, u licha?

—Dziwnie się czuję.

—A dokładniej?

—Tak mnie jakoś mdli.

—Chyba nie piłaś ginu?

—Jasne, że nie.

—Bo mógłbym przysiąc, że miałem tam dwie butelki.

—Simon, gdybym opróżniła całą butelkę ginu, to bym tu nie stała i nie gadała z tobą. Prędzej leżałabym zwalona pod barkiem.

Zdenerwowana odeszła i oparła się o balustradę. Wpatrywała się najpierw w wodę nakrapianą milionem oślepiających punkcików światła, potem skierowała wzrok na park. Blask ciągnął się dalej. Krzewy wydawały się surowe i olśniewające, ich kontury były tak wyraźnie zarysowane, że wyglądały jak wycięte z papieru. Liście lśniły jak zielone szkło. Kwietne rabaty syciły wzrok nienaturalnie intensywnymi barwami, a niebo rozbrzmiewało światłem. Żadne z tych zjawisk nie budziło niepokoju. W istocie wydawały się Laurie całkowicie naturalne. Jak gdyby taka właśnie była rzeczywistość, a ona sama oglądała przedtem świat przez szarą zasłonę. Przyszło jej do głowy, że może jest trochę pijana. Simon

zrobił jej świetny koktajl z martini, a ona nie miała czasu na zjedzenie lunchu. Otóż to. Alkohol na pusty żołądek. Wtedy przypomniała sobie panią Tiplady, która miała skłonność do bujania w obłokach, co ona sama nazywała „zagłądaniem przez zasłonę tajemnicy”, a ciotka Maude mawiała wówczas o kolejnym ataku biednej Ivy. Może, pomyślała Laurie, przyszła kolej na mnie.

Wtedy usłyszała niegłośnie pokrzykiwania i spostrzegła dwa łabędzie. Unosiły się obojętnie na wodzie przed zachwyconymi oczami Laurie, wiosłując żywo pomarańczowymi nogami. Dziewczyna miała nadzieję, że ich pojawienie się w pewien sposób wynagrodzi Violet nieugięte zachowanie pawia i była zadowolona, kiedy pani Gibbs krzyknęła z radości, po czym stwierdziła, że to kapitalna scena i że musi być miło wiedzieć, iż ma się partnera na całe życie.

Derek, który ze szkłem powiększającym w ręku zdążył już kilka razy pojawić się i zniknąć, teraz znów się ukazał i z wyczekiwaniem spojrział na gospodarza.

— Co za kapitalna sceneria dla morderstwa, Hannaford. Kiedy zaczynamy działać?

—Racja! — zawołała Matka. — Niech pies zobaczy królika.

—Wszystko się wyjaśni przy obiedzie — powiedział Simon. — Wtedy się wszystko zacznie.

Derek podszedł do balustrady, rżąc z uznaniem.

—To mi przypomina ogromnie fosę, w której znaleziono ciało Hrabiego de Heliota. — Przechylił się i zepchnął doniczkę z mirtą, która wpadła do wody. Jeden z łabędzi zasyczał na niego. — Został zabity jednym pchnięciem kunsztownego ma-lajskiego sztyletu.

—Boże jedyny! — Tym razem do balustrady zbliżyła się pani Saville i z pewną trwogą wyjrzała na zewnątrz.

—Na czole miał dziwny znak, a kieszenie obładowano mu kamieniami.

—Bardzo rozsądnie — zauważył Simon. — W innym przypadku bardzo szybko by wypłynął na powierzchnię.

—Jego twarz była w okropnym stanie. Jedno oko...

—Derek — Sheila położyła spokojnie dłoń na ramieniu męża. — Nie zaczynaj znowu ze swoimi wariactwami.

—Chciałem ci już wcześniej powiedzieć — Simon zwrócił się ponownie do siostry — zanim wpadłaś w trans, że brakuje nam pana Gillette. Mogłabyś pójść i go poszukać?

—Nie może pójść Bennet?

—Jest teraz w kuchni. Obiad ma być lada chwila. Gaunt zbiera szkło. Ja mam oko na barek. — Podniósł w górę karafkę z martini. — Chcesz jeszcze jednego?

—Nie, dzięki — odparła Laurie. — Boję się, żeby mi nie zaszkodziło.

Później, kiedy wracała myślą wstecz, miała widzieć te chwile (kiedy odchodziła od Simona, przechodziła przez hol, schodziła po paradnych schodach) jako ostatnie prawdziwie spokojne momenty przed końcem całej tej okropnej historii. Przedtem, mimo iż niespokojna o samopoczucie gości, trzeźwość służby i bezpieczeństwo dobytku ciotki, Laurie nie wierzyła, tak w głębi serca, że przed niedzielnym popołudniem mogłoby się wydarzyć coś naprawdę złego. Kiedy powróciła z misji przywołania pana Gillette, zmieniła zdanie.

Podczas jej krótkiej nieobecności sceneria jeszcze raz się zmieniła, jakby przystosowując się do nowej sytuacji. Zmierzch nadszedł nie na swój zwykły, uroczy sposób, lecz, jak to później zrozumiała, pojedynczym, odpowiednio złowieszczym ciosem. Niebo, mimo iż nadal świetliste, pociemniało, a jaskrawo szmaragdowe pasma trawy przybrały barwę mocnego błękitu. Kwiaty w pojemnikach na tarasie, tak niedawno żywe i bujne, wydawały się naraz papierowe i blade. Drzewa uformowały się w złowieszczą gęstwinę. Wraz z dźwiękiem gongu jego echo zadudniło pod ogromnym łukiem nieba i o ramię Laurie uderzyła kropla deszczu. Ludzie pozabierali swoje okrycia i ruszyli spiesznie do domu. Simon przesunął barek na kółkach pod dach i gotował się do wyjścia za innymi. Laurie złapała go za ramię.

—Simon...

—Nie teraz, kochanie. Idziemy na obiad.

—To pilne.

—Może poczekać. Rosemary?

Simon podsunął dziewczynie ramię. Rosemary uśmiechnęła się słodko. Miała trochę kłopotu ze swoim szalem, więc Simon pomógł jej poprawić fałdy — i robił to, wydawało się Laurie, znacznie dłużej, niż było konieczne. Kiedy oboje weszli za nią do środka, deszcz, drobny i szary jak dym, zaczął padać szybciej.

TLR

## Rozdział ósmy

---

Arthur Gillette przysnął. Droga z Fishwick była długa i wyczerpała go. Wziął bardzo przyjemną kąpiel, założył swój rdzawoczerwony atłasowy szlafrok z pikowanymi klapami, położył się na szezlongu i zapadł w sen.

Śniło mu się, że znajduje się w schronie przeciwlotniczym i przygotowuje ciasto. Dochodziły do niego stłumione dźwięki spadających i rozrywających się bomb, podczas gdy on ucierał rzepę i odważał grubo mieloną, brązową mąkę, dodawał wodę do suszonych jajek i metalową łyżką kruszył tabletki sacharyny. Obok stało wypełnione słomą pudło wielkości skrzynki do przechowywania herbaty, służące do utrzymywania potraw w ciepłe. Wszystkie sny pana Gillette, na jawie czy we śnie, miały miejsce w latach trzydziestych albo nieco później.

Z powodu swojego nieustannego żalu, że wydany na świat przez rodziców w średnim wieku w roku 1944 spóźnił się na tę właśnie dekadę, odtworzył ją na tyle, na ile potrafił. Otoczył się meblami i przedmiotami z tamtego okresu tak dokładnie, że ani jedna rzecz w jego niewielkim mieszkaniu (oprócz gniazdka elektrycznego) nie pochodziła z innej epoki. Naturalnie nie posiadał telewizora i chodził czasami do domu przyjaciela, Phillipa, żeby oglądać filmy, których akcja rozgrywała się w latach trzydziestych.

Inną sprawą były ubrania. Cała jego bielizna była trafiona w dziesiątkę. W tej chwili miał na sobie podkoszulek od Pon-ting's Celanese i bokserki z jedwabiu na czasie spadochronowe z guzikami obszytymi materiałem. Lecz inne rzeczy zdobywane głównie na pchlich targach i w sklepach z używaną odzieżą nadawały się do noszenia dopiero wraz z zapadnięciem zmroku. Albo podczas rzadkich i niestety krótkich okresów, kiedy workowate spodnie i pozbawione kołnierzyków „dziadkowe” koszule akurat stawały się modne. Gdyby był bardzo młody, nie byłoby z tym wielkiego problemu. Młody człowiek może nosić cokolwiek. Ale mężczyzna w średnim wieku, nieco odmiennie się poruszający, postępował rozsądnie, nie zwracając na siebie zbytnej uwagi otoczenia. Ludzie potrafią być bardzo okrutni. Z tego powodu posiadał mały zestaw nieefektywnych, współcze-



snych ubrań zakupionych poprzez katalog wysyłkowy, które nosił do pracy w zakładzie energetycznym, gdzie przebieranki nie były mile widziane. Ubrania te były tak samo obce jego skórze jak średniowieczne kaftany i pantalony albo zbroje z kolczugi.

Doskonale pamiętał ten moment, kiedy przeżył wstrząs, uświadomiwszy sobie swoje naturalne miejsce w ogólnym porządku świata. Od zawsze zadreślał matkę, żeby mu opowiadała historie ze swojego dzieciństwa, a kiedy miał osiem lat, u jego ojca nastąpił pierwszy z, jak się później okazało, kilku zawałów serca. Chory potrzebował wtedy spokoju i pani Gillette opróżniła gościnny pokój, by móc tam spać. Tekturowe pudło w kącie szafy pełne było starych egzemplarzy „Daily Herald”, kwitów z totalizatora piłkarskiego i roczników „Woman's Weekly”. Arthur otworzył któreś z nich i... wpadł po uszy.

Wszystko z miejsca rozpoznawał, wszystko było mu nieomal dobrze znane. Modelki w swoich gładko pofalowanych ondulacją fryzurach i opływających, elastycznych sukienkach. Kuchenki stojące na nakrapianych nóżkach. Nawet reklamy (Pigułki Beechama! Jedna gwinea za pudełko!). Arthur uwielbiał też wzory dziewiarskie: wszystkie takie cieniutkie, proste i schludne, nie jak te włochate, olbrzymie swetrzyska, które się nosi dzisiaj. Szczególnie zachwycał go wielobarwny beret z Fair Isle — ciocia zrobiła mu taki na drutach. Zakładał go na bok głowy jak naleśnik obsypany konfetti i był on jego dumą i radością, dopóki któregoś wieczora jakieś nieokrzeseane chłopaczyska nie wrzuciły mu go do stawu.

Ta sama ciocia mawiała o nim zawsze, że jest swego rodzaju „reliktem”. Kiedy przed rokiem w Corn Exchange odbywał się wieczór przywoływania poprzednich wcieleń, Phillip przekonał go, żeby tam poszedł — stracone popołudnie. Gdy się „ocknął”, specjaliści od regresji wyrazili opinię, że, sądząc z jego gładzenia, z całą pewnością był kiedyś żołnierzem w armii Hannibala przedzierającej się przez Alpy, pełniącym w niej prawdopodobnie jakąś mało znaczącą funkcję. Być może był konserwatorem słoniowych siodeł.

Obecnie, wciąż jeszcze we śnie, Arthur zaczął przekopywać siano w skrzynce, żeby zrobić odpowiednie wgłębienie dla ciasta. Ale nim udało mu się je tam umieścić, usłyszał sygnał odwołujący alarm. Dziwny odgłos uderzeń w dzwon zamiast normalnego wycia syreny. Potem skrzyp otwieranych drzwi, gwar roz-

mów, zamknięcie drzwi. Usiadł na łóżku całkiem obudzony. Przez otwarte okno dochodziły go wyraźne dźwięki. Brzęk kostek lodu, kobiecy śmiech i rozlegający się na powrót gwar rozmów. Spóźnił się do źródła!

Arthur Gillette poderwał się spiesznie i wskoczył w wieczorowy garnitur (Fifty Shilling Tailor). Martwił się trochę prążkowanymi klapami marynarki, które przy pewnym oświetleniu nabierały lekko zielonkawego odcienia, ale jego kamizelka z marszczonego aksamitu, oryginalne jedwabne skarpety i buty z lakierowanej skóry w sam raz do tańca wyglądały doskonale. Przygładził włosy olejkami laurowym, wyskubał z nosa kilka zabłąkanych włosków i szybkim ruchem wyszczotkował sumiaste wąsiska. Potem przypiął do klapy marynarki długą jedwabną tasiemkę monokla, a następnie osadził go na lewym oczodole. Monokl, wykonany ze zwykłego szkła, był nowym nabytkiem pana Gillette. Utrzymanie go na miejscu nie było tak łatwe, jak sobie wyobrażał, i udawało mu się to osiągnąć dopiero wówczas, gdy naprawdę mocno unosił kość policzkową. W ten sposób powieka mu się zamykała, a twarz przybierała zdeformowany wyraz, jak po lekkim udarze. Być może powinien częściej ćwiczyć.

Zastanowił się nad swoim ukulele z długim gryfem i trochę na nim pobrzękał. Czy powinien je zabierać? Nie potraktują tego chyba jako bezczelność z jego strony? Przyjęcie w wiejskiej rezydencji stanowi przecież idealną scenerię dla jego składanki piosenek ze strunowym akompaniamentem. No i przypadkiem zauważył, że któryś z gości również miał przy sobie futerał od instrumentu. Może udałoby się stworzyć duet? Gilly widział już siebie wyciągającego od niechcienia instrument tuż po sprzątnięciu ze stołu po kawie. „A teraz, panie i panowie, gwo-li waszej przyjemności krótka przyśpiewka pod tytułem: *Była tylko córką pułkownika, lecz na wojsku znała się jak mało kto*”. Tak, zdecydowanie trzeba je zabrać na dół.

Prawie gotów, Gilly wyciągnął jedwabną chustkę, spryskał ją kilkoma kroplami wody kolońskiej 4711 i wetknął do rękawa. Potem, nucąc od niechcienia: „Jesteś śmietanką w mojej kawie”, otworzył górną szufladę toaletki i wyjął z niej pistolet.

W świetle świec stół wyglądał prześlicznie. Cztery małe bukietki jaśminu, fiołków i kwiatów stefanotisa zdobiły woskowane liście kamelii i gustownie przewiązane jedwabne kokardy. Płomienie morelowych świec drżały lekko, mimo iż przeszklone drzwi, po których teraz spływał deszcz, były szczelnie zamknięte. Wszyscy z wyjątkiem Rosemary zajęli miejsca wskazane im przez kartki z nazwiskami.

— Obok mamy mogę siedzieć kiedykolwiek — wniosła sprzeciw panna Saville i zamieniła się miejscami z Martinem.

Pierwsze danie, galaretowaty bulion z cytryną i estragodem, podane zostało przez Bennet dość sprawnie, chociaż wiele osób spostrzegło, że pokojówka przed położeniem każdemu z gości od lewej strony czarek na małych podstawkach z kruszonego lodu, za każdym razem dotykała prawą ręką krawędzi stołu. Laurie, siedząca na krześle z podłokietnikami, nie zauważyła tego. Wątpliwe zresztą, czy nawet gdyby pokojówka obeszła stół dookoła, stawiając biesiadnikom na głowach odwrócone do góry dnem miseczki, Laurie byłaby w stanie zwrócić na to uwagę. Gdyż od czasu swoich odwiedzin w pokoju Reynoldsa po to, by sprawdzić samopoczucie pana Gillette, zupełnie nie mogła zebrać myśli i spodziewała się wszystkiego co najgorsze. Widząc, że drzwi do pokoju pana Gillette są niedomknięte, zapukała delikatnie i nie otrzymawszy odpowiedzi, pchnęła je lekko. To właśnie wtedy zobaczyła, jak zaginiony gość, a właściwie jego postać odbita w lustrze, wsuwa pistolet do wewnętrznej kieszeni smokingu.

Szybko wycofała się na korytarz, gdzie stanęła, szcękając zębami, 'po czym słaniając się na nogach, zsunęła się w dół schodów. Wyobrażając sobie następny ruch na moment przed ostatecznym, jak sądziła, zdemaskowaniem bandyty, w jej umyśle pojawiły się różne scenariusze, na przykład: Simon po cichu informuje pozostałych, a ci obezwładniają złoczyńcę i odbierają mu broń. Albo: przy obiedzie Laurie (jakże nieświadomie wybrała miejsce przy stole obok gangstera) upuszcza na niego kieliszek z winem i nalega, żeby Gaunt zabrał jego marynarkę do wyczyszczenia i uprasowania.

Jednak przy tym wszystkim naszała ją inna myśl. A jeśli manewr nie wypali? Przyparty do muru Gillette może być niebezpieczny. Laurie zobaczyła go, jak wymachuje rewolwerem niczym bronią maszynową i zmusza ich do położenia

się na ziemię. A może weźmie zakładniczkę (zgadnijcie kogo?) i posłuży się nią jak tarczą, przyciskając zimny metal do jej skroni, z palcem drżącym mściwie i nerwowo na spuście. Jednak ostatecznie do żadnego z tych przerażających zdarzeń nie doszło. Gdy z powrotem znalazła się na tarasie, zdołała jedynie stać rozpaczliwie i w milczeniu obserwować, jak Simon z namaszczeniem poprawia szarfę Rosemary i odprowadza ją na miejsce.

Teraz wręczając Bennet nietkniętą miseczkę galaretki w kolorze karmelu, Laurie, pomimo swej niewzruszonej determinacji, żeby patrzeć wszędzie, tylko nie w stronę lewego boku smokinga pana Gillette, zorientowała się, że jej oczy z wolna kierują się ku temu właśnie miejscu. Był tam. Widziała jego złowieszczy kontur. Tę przerażającą wypukłość. Była zdumiona, że nikt przy stole niczego nie zauważył. Na domiar złego złoczyńca przyniósł ze sobą futerał od instrumentu, leżący teraz dyskretnie z boku jego krzesła. Laurie pomyślała, że będą mieli szczęście, jeśli nie schował w nim obrzynka.

— Wiedziała pani, panno Laurel, że pierwszy helikopter skonstruowano w latach trzydziestych? — Uniosła wzrok i ujrzała te landrynkowo-agrestowe oczy. Jakąż miał cieką i białą skórę! Jakie blade i wyprane z koloru włosy! Wyglądał, jakby dopiero co wyrwano go morzu. Pokręciła przecząco głową. — To były naprawdę wdechowe czasy. — Po chwili dodał: — To prawdziwa lama, prawda? — pochwalił jej sukienkę i szepnął: — Myślę, że u Rosemary to tylko nylon. Chodzi mi o to... gdzie tu sens, jeśli materiał nie jest autentyczny?

Laurie wykrzywiła usta w uśmiechu, a potem wymieniła spojrzenie z Simonem, który sprawiał wrażenie mocno poirytowanego. Odebrawszy to jako reakcję na fakt, że odkąd usiadła, nie odezwała się ani słówkiem pomimo pełnienia obowiązków pani domu, dziewczyna oprócz uśmiechu przybrała minę wyrażającą wyteżone zainteresowanie i spróbowała dostroić się do prowadzonych rozmów.

Przy jej końcu stołu rej wodził Derek, wygłaszając zebrany, w większości pograżonym w rozmowie, prelekcję na temat historii powieści detektywistycznej. Właśnie wyłożył swoją ocenę *Morderstwa przy Rue Morgue*. Jego żona wyglądała na śmiertelnie znudzoną. Martin z desperackim ożywieniem rozprawiał z panią Saville.

Na stół podano bązanta, a do niego butelkę Mouton-Rothschild. Gaunt napełnił kieliszki z niespotykaną precyzją. Na specjalnie w tym celu przełożoną przez rękę serwetkę nie spłynęła ani jedna kropla. Fred z okrzykiem: „Twoje zdrowie, kochanie!” pociągnął łyka, przełknął, zawahał się, spojrzął na Simona i bardzo ostrożnie odstawił kieliszek na stół.

—Cholera, Simon... Gdzieś ty to, do diabła, znalazł?

—W piwnicy — odparł Simon, a w jego głosie pobrzmiwało pytanie: „A gdzie by indziej?”.

—Człowieku, to wspaniałe... — Frank wypił jeszcze trochę. Tym razem powoli, trzymając płyn w ustach tak ostrożnie jak dumny retriwer dopiero co ustrzelonego ptaka. — To... to cholernie wspaniałe. — Kolejny łyk. — Nie wierzę... Po prostu nie wierzę. Violet, co ty na to?

—Niczego sobie — przyznała Violet. — Pełen bukiet i dobrze zharmonizowane. Leżało dobrych kilka lat.

—Przypuszczam, Simon, że zdajesz sobie sprawę, iż to, co pijemy, równoważy koszt całego naszego pobytu? — Simon, który bynajmniej nie wiedział, odparł, że owszem, zdaje sobie sprawę. — Spójrz na nich wszystkich — ciągnął Fred. — Chleją jak spragnione szkapy. Niektórzy nie mają w ogóle zielonego pojęcia... Tylko się zachowuj! — ostatnią uwagę skierował do swojej matki, której haczykowaty nos, za przyczyną bogatego bukietu dobywającego się z jej kieliszka, zaczął się niepokojąco marszczyć i podrygiwać.

—A ty zamknij tę swoją jadaczkę — odgryzła się. — W powietrzu wisi coś, czego nie można zobaczyć. Czulaam już kiedyś ten zapaszek. Jest w nim coś owocowego.

—Chodzi pewnie o cytrynę, pani Gibbs — Simon mrugnął okiem przez stół do Sheili Gregory, która w odpowiedzi posłała mu zmysłowy uśmiech.

—Nie kpij sobie, Simon — zaprotestował Fred. — Ona widzi i słyszy takie rzeczy, na które wszyscy inni są ślepi.

Cała ta wymiana zdań nie dotarła do Laurie. Mimo że potakiwała encyklopedycznym wywodom Dereka, uświadomiła sobie, że większość jej uwagi przyciąga wciąż tył głowy Martina Lewisa.

Widziała go od tej strony, ilekroć rozmawiał z Rosemary Saville, co też robił przez dość długi czas. Mogła mu się przyglądać, co odkryła przeszło dwadzieścia minut temu, prawie bez skrepowania. A jednak, kiedy Martin zwrócił się do matki Rosemary, prezentując Laurie swój profil trzy czwarte, powróciło do niej dziwne uczucie słabości, którego doświadczyła na tarasie. Na szczęście jej niewytłumaczalnie trafna zdolność odczytywania jego zamiarów sprawiała, że udawało jej się odwracać wzrok w tej samej chwili, gdy on próbował przechwycić jej spojrzenie, i w ten sposób unikała bezpośredniej konwersacji. Mimo to słuchała. Właśnie kończył opowiadać pani Saville o zwyczajach i postawie sealyham terriera. Później, po przerwie koniecznej jedynie dla złapania oddechu, ruszył już w wyprawę na Wschód.

—Czy słyszała pani, że w dziewiętnastowiecznych Chinach żyła nałożnica, Yung-Kei-Fie, która udawała pijaną, kiedy tańczyła przed cesarzem? Mówiono, że jeden jej pocałunek wart był tysiąc wielbłądów.

—Nie słyszałam — odparła nagabywana. — I nie sądzę...

—Albo o tym, że słynny wojownik Husan Fo spłodził jakoby czterystu synów, zanim skończył dwadzieścia jeden lat? — Odebrał spojrzenie zdolne rozebrać śmiałka na strzępy, ale mężnie brnął dalej: — No i... nie uwierzy pani...

—Uwierzę we wszystko — ucięła zdecydowanie pani Saville — co dotyczy Chin.

—Och!

—O ile mi wiadomo, panie Lewis, Wschód to Wschód, a Zachód to Zachód. Jakikolwiek mieszanie ich jest całkowicie wbrew prawom natury i tym bardziej godne ubolewania. — Uporawszy się w ten sposób z „żółtym zagrożeniem”, pani Saville rzuciła Martinowi uśmiech jak zaciśniętą pięść i poczęstowała się marchewką. — Gustuję raczej w warzywach z innej półki — huknęła na Laurie — ale te są wyborne. Czy dobrze rozpoznaję smak mięty?

— Mięta z odrobiną miodu.

Laurie, nie mogąc znieść widoku zrozpaczonych nagle rysów twarzy Martina, powróciła do mentorstwa Dereka, który mimo huraganu obojętności wokół, szedł dalej w zaparte.

— Doprawdy, nie wierzę, żeby nikt z państwa nie słyszał o Wilkie Collinsie — powiedział płaczącym głosem. — Przecież to od jego *Kamienia Księżycowego* wszystko się zaczęło. — Powiódł wzrokiem dokoła stołu. Większość zebranych, pogrążona w cichych rozmowach, ignorowała go. — Nikt?! — Derek stuknął widelcem o brzeg kieliszka z winem. — Pytam, czy nikt nie słyszał? — Laurie miała wrażenie, że zaraz usłyszy: „Ci, którzy nie słyszeli o Wilkie Collinsie, ręce do góry!”.

Rozmowy się urwały. Derek zyskał u biesiadników niepodzielną uwagę, z wyjątkiem wciąż zajętej bulionem starszej pani Gibbs, która kawałkiem chleba zbierała jego resztki. Bennet, oczekujący z wyrazem wzgardliwej rezygnacji na twarzy za krzesłem staruszki, w chwili, kiedy ta na moment oderwała się od jedzenia, zabrał migiem talerz i zwrócił go jej wraz z porcją bażanta.

—Jeśli nie znacie państwo *Kamienia Księżycowego*, to może *Kobietę w bieli*?

—Oddam wszystko za paczkę playersów! — zawołał Fred.

—Wobec tego Poe\*<sup>2</sup>?

—Jak ty się wyrażasz?! Są tu z nami damy. — Fred niemal podskoczył z radości na krześle, spodziewając się błyskotliwej szermierki słownej, lecz Derek nie wyraził ochoty na pojedynek i dalej zwracał się do wszystkich obecnych.

—Koniecznie musimy też pamiętać o *Samotni*. Nie, dziękuję — przykrył kieliszek dłonią, więc Gaunt podszedł do Laurie, która zrobiła to samo. — Tak — ciągnął Derek. — Nie wolno nam pominąć Dickensa. — Przechylił się do przo-

---

<sup>2</sup> \* Gra słów: angielskie słowo *po* oznacza nocnik (przyp. tłum.).

du, złączył ze sobą koniuszki palców, zmrużył oczy i syknął złowieszczym półgłosem: — Jestem inspektor Bucket z Yardu, ot co.

Nagle rozległ się brzęk. Butelka wymsknęła się z dłoni, wino zalało talerz i spodnie pana Gillette.

—Och! — podskoczyła z miejsca Laurie. — Gaunt, jak możesz być taki nieuważny?

—Ręka mi zdrętwiała, madam.

—Bardzo mi przykro, panie Gillette. Cóż możemy zrobić? Jest pan przemoczony! — zawołała Laurie, myśląc w duchu: „Że też nie zachlapał marynarki”.

— Ależ skąd. Jedna plamka. Wszystko gra, słowo honoru. Bennet wyniosła rozbity kieliszek i talerz; Gaunt wytarł

plamę, przyniósł czystą serwetkę i nowy kieliszek z winem. Gilly, obstający nieustannie przy tym, że nie chce sprawiać sobą kłopotu, że doprawdy wszystko w porządku i że nie będzie zdejmował spodni, żeby je przetrzeć gąbką i wyprasować, w istocie był zrozpaczony. Przed pięcioma laty, kiedy po raz ostatni oddawał do czyszczenia swój drogocenny garnitur, dziewczyna z pralni poradziła mu, żeby, ze względu na zaawansowany wiek ubrania, więcej tego nie robił. Nagłe niewielkie ożywienie ustąpiło i Fred podjął dyskusję w miejscu, w którym się urwała.

—Wiedziałem, że jest pan *incognito*, inspektorze, już w chwili, kiedy zobaczyłem pańską czapkę.

—To postać z Dickensa! — odpowiedział Derek z rosnącą irytacją w głosie. — Przecież nawet pan musiał słyszeć o Dickensie.

—Jasne, że słyszałem — odparł Fred, wielce urażony przypuszczeniem, że jego znajomość literatury angielskiej jest nie taka, jak należy.

—I co o nim sądzisz? — spytał Simon w nadziei złagodzenia wyrazu twarzy Freda i, być może, podniesienia poziomu debaty na bardziej wyrafinowany poziom.



—No cóż, tak między nami mówiąc, paniczku... Myślę, że przypomina trochę Charliego.

Ta cięta uwaga wprawiła Freda w tak dobry humor, że nie mógł przestać rechotać. Violet powiedziała, że kiedyś się przy nim wykończy, a Simon pomyślał: „Akurat”. Bennet wyniosła półmiski z jarzynami. Derek zaczął coś głądzić o Maud Silver i pannie Marple, a Gilly, który podziwiał naszyjnik pani Saville i wyraził przypuszczenie, że podróżuje razem z kasą pancerną, zapytał ją, jak w latach trzydziestych radziła sobie ze świeżymi jajkami.

—Jak pan śmie?! W latach trzydziestych nie było mnie jeszcze na świecie. — Spiorunowała go wzrokiem i zamaszystym ruchem odwróciła swoje usztywnione gorsetem krągłości w stronę Martina. — Co za chamski typ.

—Och, sądzę, że jest raczej krótkowzroczny niż chamski — sprostował mężczyźni Martin. — Każdy widzi, że nie mogła się pani urodzić w latach trzydziestych. — Zachęcające milczenie Rosemary wniosło zamęt w jego wrodzoną prawdęmówność. — Ani też w czterdziestych.

—No właśnie — potwierdziła pani Saville. Skinęła łaskawie głową i posłała mu coś, co można by nazwać załączkiem uśmiechu. Jeszcze kilka takich uwag, pomyślał Martin, a będzie mi jadła z ręki. Na wszelki wypadek położył rękę na kolanach i owinął ją serwetką.

—Zastanawiam się — kontynuował, by nie stracić weny — czy po obiedzie miałyby pani ochotę na partyjkę wista? — Nie zdążył jeszcze do końca wyartykułować ostatniego słowa, gdy gładki, zielonkawy obcas zmiażdżył jego wrażliwą kostkę. Jęknął z bólu. — To znaczy... — wykrztusił — brydza.

—Brzmi interesująco — odparła pani Saville. — Spróbujemy zrobić robra. O ile oczywiście — spojrzała prawie miło w jego pełne łez oczy — doszedł pan do siebie po swoim ataku.

—Myślałem przez chwilę — zawołał Derek przez stół — że to już początek. To znaczy, że... że ktoś pana morduje.

—Niestety, nie — odpowiedziała Rosemary, po czym nastąpiła dość nieprzyjemna cisza, przerywana jedynie przez staruszkę zajęętą obgryzaniem bażanciego

udka. Kość wystawała jej nieco po obu stronach ust, nadając nieco wygląd kaniabala. Bennet powróciła z kuchni z brzoskwiniowo-migdałowym tortem, a Gaunt pozbierał kieliszki, w ich miejsce stawiając wąskie i wysokie, w kształcie tulipana. Odkorkowa-no butelkę Chateau d'Yquem.

— Otóż, żeby podtrzymać kwestię podobieństw — ciągnął niezrażony Derek — proponuję, żebyśmy rozważyli motyw zainteresowań. Z pewnością nie uszło państwa uwagi, czym podczas intensywnego myślenia zajmują się obie panie, Maud Silver i panna Marple? — Milczenie. — Robią na drutach!

Nadal nikt się nie odezwał, więc głos zabrała Laurie:

— O Boże.

Miała nadzieję, że obowiązek domagania się końca wykładu nie spocznie całkowicie na jej barkach. Nigdy nie słyszała o Maud Silver ani o kobiecie w bieli, nie mówiąc już o inspektorze Buckecie z Yardu.

— Porównajcie to państwo z zamiłowaniem Sherlocka Holmesa do skrzypiec. Naturalnie, robienie na drutach jest mniej twórcze i płytsze intelektualnie. Mimo wszystko są to kobiety...

— Pilnuj się, Derek — ostrzegła go żona.

— Ale jeśli zastanowicie się państwo głębiej — ciągnął, zaślepiony optymizmem — to zauważycie coś ciekawego. Prawie w każdym przypadku obie damy dziergają ubranka dla dzieci!

Zakończywszy tym mocnym akcentem, Derek usiadł na krześle i spojrzał po zebranych, unosząc wyniośle brwi i prowokując do sporu. Nastąpiła chwila milczenia, w czasie której wszyscy chłonęli najnowszą rewelację i zastanawiali się, w jaki sposób można ją najlepiej wpleść w tkanekę ich codziennego życia. Wreszcie odezwała się Violet:

— Kim jest Maud Silver?

— Kim... Kim jest Maud... — wybełkotał Derek, wpatrując się w pytającą osłupiałym wzrokiem. — *Kim jest Maud Silver?*] Ale kim jest panna Marple,

chyba wiecie? — ogólny pomruk potwierdzenia. — Albo Hercule Poirot? — Tak. Takie samo zdecydowanie.

— Ich się widuje w telewizji — wyjaśniła Rosemary.

—Czyżbyście nie czytali książek? — zdumiał się Derek. — Mój Boże... Myślałem, że wszyscy należycie do kręgu miłośników kryminału.

—Znałem kiedyś takiego jednego — przyznał Fred. — O rety, Simon — spróbował wina — znów to zrobiłeś. To jakiś cholerny cud. Twoja piwniczka musi być warta majątek.

— Staramy się, jak możemy.

— Nie pojmuję, co wy wszyscy tutaj robicie... — Derek załamał ręce, dając wyraz bolesnemu rozczarowaniu. — Równie dobrze moglibyście siedzieć w domu i czytać Barbarę Cartland.

W następstwie tej bezceremonialnej uwagi zapanowała grobowa cisza, a atmosfera wyraźnie się ochłodziła. Pani Saville odezwała się lodowatym tonem:

— Nie musi nas pan obrażać, panie Gregory.

Sheila dość ostentacyjnie uniosła pusty kieliszek, a Laurie rozejrzała się za Gauntem, który przybył z kuchni z dzbanuszkim kremu. Postawił go w nienaturalnie wytworny sposób, jakby w zwolnionym tempie, dokładnie pośrodku stołu, po czym uzupełnił zawartość kieliszka pani Gregory, wylewając przy tym jedną czy dwie krople. Kiedy biesiadnicy zabrali się do jedzenia, kwiatowy aromat wina zmieszał się z luksusową, brzoskwińową dojrzałością puddingu, dając w efekcie bogatą woń. Dzbanuszek zrobił rundę wokół stołu.

—Cudownie słodziutkie, moja droga — pochwaliła Violet. — Czuję w kremie coś jeszcze. Kapka cytryny?

—Chyba coś bardziej subtelnego... — Pani Saville nabierała krem z koniuszka łyżeczki, poruszając ustami jak złota rybka łapiąca powietrze. — Powiedziałabym raczej, cień kirszu.

—Naprawdę? —Laurie spróbowała kremu. Istotnie, smakował nieco dziwnie. Starsza pani Gibbs siorbnęła głośno i orzekła:

—Moim zdaniem to trąci dżinem.

Gilly zrezygnował z puddingu i poprosił o ser.

—Kawałek Double Gloucester, sir? — Kamerdyner sunął już w stronę wielkiego, rzeźbionego kredensu, kiedy Laurie syknęła:

—Stój! — i złapała go za rękaw. — Obawiam się, że może nie wystarczyć.

—Nie sędzę, madam.

—Na pewno? — Laurie zobaczyła kamerdynera wnoszącego edwardiański, zielono-złoty półmisek z serem. — Gaunt — ścisnęła go mocno za rękę. — Nie można by ukroić parę plasterków i położyć mu ich na talerz?

—Och, madam... — spojrzał na Laurie z takim wyrzutem, że zwiesiła głowę i poczuła się, jakby przyłapano ją na okradaniu skarbonki na jałmużnę. Mruknęła: „Przepraszam” i wróciła na miejsce, gdzie momentalnie potwierdziły się jej najgorsze obawy.

Sheila Gregory zawołała:

— O, ser! Pyszności! — i ukroiła sobie kawałek większy niż ten, który dostał pan Gillette. Skusiła się też pani Saville, następnie Martin, Violet i Fred. Ostatni plasterek spoczął przed staruszką, która wysunęła doń swoje szpony.

— Spokojnie — napomniała ją Violet. — Wiesz przecież, co się z tobą dzieje po serze. — Zbliżyła się ufnie do Simona. — Telepie nią, że coś strasznego. Najpierw męczą ją nocne koszmary, a potem zaczynają się zawodzenia. No i łązi podczas snu.

— Dobry Boże!

—Co ci mówiłam? — Matka wepchnęła ser do buzi i przeżuwała go z lubością. — Ona nie chce słuchać.

—Trzykrotne hip, hip, hura! na cześć gorgonzoli — zachrypiała staruszka. Violet potrząsnęła smutno głową, postukała się w czoło i rzekła:

— Wiesz, o co mi chodzi. Ona jest bardzo roztargniona.

Simonowi, który napotkał łakome i zdecydowane spojrzenie pani Gibbs, to określenie zupełnie nie odpowiadało. Pomyślał, że jest prawie tak samo roztargniona jak kartaczownica Gatlinga. Staruszka przełknęła swój ser, opróżniła kieliszek i spytała bardzo głośno:

— To co z naszym morderstwem?

Pytanie to wywołało lekki wstrząs wśród zgromadzonego towarzystwa. Wstrząs nie był nieprzyjemny i przyniósł satysfakcjonujące poczucie, że oto dotknięto sedna sprawy. Morderstwo rzeczywiście było osiã, wokół której miało się obracać koło weekendu, i starsza pani nie była jedynã osobã w tym gronie, która uważała, że najwyższy czas, by ktoś ruszył je z miejsca. Metalowe oprawki okularów Dereka wręcz zamigotały, kiedy zawołał:

— Racja, madam! — co wprawiło paniã Gibbs w stan hałaśliwej wesołości.

Jedynie Laurie nie dała się wciągnãc w krãg radosnego oczekiwania. Teraz, gdy słowo to padło w ciemnym, nagle spokojnym pokoju, gdzie twarze obcych ludzi w migotliwym świetle świec wyglądały jeszcze bardziej obco, nie wydawało się ono już odpowiednim tematem do żartów. Doprawdy, zdumiewała się Laurie, jak kiedykolwiek mogli odnosić takie wrażenie? Przyglądała się Simonowi, który z oczyma przesłoniętymi głębokim cieniem wstał, po czym skinął dyskretnie na kamerdynera. Gaunt zniknął w ciemnym kącie pokoju, z którego w chwilę później popłynęła muzyka.

Simon nie pomylił się w wyborze. Kręte akordy wiły się klaustrofobicznie wokół pokoju, zaciskając swoje odnogi i dusząc jak tuman gęstej mgły. Zabrzmiał dźwięk rogu, wysoki i przywołujący. Laurie przypomniała sobie swoje wcześniejsze wrażenie z nasłonecznionego tarasu, że wyczuwa obecność Apolla. Teraz, słuchając wysokiego, żywego i ostrzegawczego wycia, usiłowała przywrócić w swoim sercu poprzednie odczucie cichego spokoju. Nie udało się. Złocista maska zsuwała się niepostrzeżenie. A zaraz za nią mogła dostrzec innã. Roześmianã, niesamowicie rozradowanã. Maskę Dionizosa czującego się w Luperkalu jak w domu. No właśni, pomyślała. Oto początek. I serce jej przepełnił lęk.

# Gry i zabawy

---



TLR

# Rozdział dziewiąty

---

Morderstwo... — powiedział Simon i zawiesił głos, pozwalając przeróżnym wyobrażeniom biorącym początek z tego potwornego słowa rozwinać się, rozmnożyć i wyroić. — Najbardziej potworna zbrodnia, do której zdolna jest ludzka istota. A przecież wiadomo, jak bardzo wszyscy jesteśmy nią zafascynowani. Czytamy o zabójstwach, śnimy o nich, dzięki nim gazety lepiej się sprzedają. Najokrutniejsi mordercy mają zagwarantowane trwale miejsce na czarnym pantheonie zbrodni. Któż z nas... — pochylił się do przodu z dłońmi wspartymi lekko o krawędź stołu i przyjrzał się zebranym — ...któż z nas nie pomyślał sobie kiedyś, że świat byłby lepszy bez jakiejś osoby? Albo nie wyobrażał sobie, jak wysła ją na tamten świat. A teraz, w Madingley Grange, ktoś może zaspo koić to pragnienie. Ponieważ jutro o tej porze jedno z nas będzie trupem...

— A niech to... — powiedział Fred.

— ...a ktoś inny okaże się mordercą. Tylko kto dopuści się zbrodniczego czynu? I w jaki sposób ofiara pożegna się z życiem?

Simon wstał i zaczął okrażać stół. Najpierw zatrzymał się za krzesłem Violet.

— Może trucizna? Człowiek jęczy, skreca się w niewysłowionych męczarniach, lecz próżno szukać antidotum...

Derek, zachwycony, wymamrotał: „Musujący cyjanek”, a Violet spojrzała podejrzliwie na swój pusty talerz po puddingu. Zauważywszy to, Simon dodał:

— Słusznie się tego obawiacie. Nietrudno dosypać coś do drinka. Albo do talerza z jedzeniem. Może ktoś już to zrobił? W końcu mięso bażanta ma zdecydowany smak. Któż by zdołał dostrzec maleńką szczyptę śmiertcionośnego dodatku? A może zastanówmy się nad kremem. Co najmniej jedna osoba wypowiedziała się o jego dziwnym smaku.

— Racja! — Rozległ się brzęk, gdy Rosemary upuściła sztućce na talerz. — A ja wzięłam dokładkę!

—Albo nóż... — Simon szybko przesunął się do Sheili Gregory, przycisnął ją do krzesła i bardzo powoli paznokciem kciuka przejechał po jej szyi. Z jej gardła wydobył się zduszony krzyk. Simon uśmiechnął się i pokazał lśniące jak u wilka zęby. — Szybki, skuteczny. W kuchni zawsze się jakiś znajdzie. Niepotrzebne żadne szczególne umiejętności. Każdy może się nim posłużyć.

—*Morderstwo w Orient Expressie* — dorzucił swoje trzy grosze Derek.

— A co powiecie o zabójstwie przez uduszenie?

—*Czwarta pięćdziesiąt z Paddington* — Derek postanowił być wierny brytyjskim kolejom.

—Zaletą tej metody jest jej szybkość. — Simon zatrzymał się przy siedzeniu swojej siostry. — No i, rzecz jasna, prostota. Po prostu doskakujesz — jego zimne palce zacisnęły się wokół gardła dziewczyny — i ofiara nie powinna mieć nawet czasu, żeby krzyknąć. Później delikatnie zaciskasz... i zaciskasz... co powoduje dzwonięcie w uszach i czerwoną mgiełkę przed oczami...

— Przestań! — krzyknął Martin. — To ją boli.

— Po prostu tworzę nastrój. — Simon zabrał dłonie. — Nic ci nie jest?

Wciągnąwszy do płuc wielki haust powietrza pełnego dymu z płonących świec, Laurie przytaknęła. Potem, gdy Simon ruszył dalej, poczuła znowu ciepłe mrowienie, tym razem w okolicach stóp. Rozwinęło się to w wyraźne, przyjemne uczucie ciepła przechodzące w górę wzdłuż nóg, przez całe ciało; na koniec wydawało jej się, że od stóp do głowy owinięta jest w przytulny pled. Zerknęła prędko na mężczyznę, który tak się o nią niepokoił, ale ów odwrócił się w stronę Rosemary Saville i Laurie nie mogła dostrzec jego twarzy.

— A może nasze morderstwo będzie efektem nieudanego rabunku. — Rozległ się brzęk porcelany, gdy Bennet zbierająca deserowe talerzyki się potknęła. Pani Saville, w której ucho Simon skierował te słowa, zacisnęła troskliwie dłonie na swoim naszyjniku. — Bardzo proste. Ktoś zostaje przyłapany na kradzieży, wpada w panikę, chwytą najbliższy ciężki przedmiot i... bach! Albo — ciągnął prędko dalej, zanim Derek zdołał skojarzyć jego słowa z literaturą — inna klasyczna metoda, charakterystyczna dla damskich porachunków: zgrabny rewolwer



z rączką wysadzaną masą perłową. Pasuje jak ulał do wieczorowej torebki. — Uniósł wysoko ku górze błyszczącą torebkę Rosemary, pomacał ją z podejrzliwą miną, po czym odłożył na stół. — Którą metodą posłuży się nasz morderca? — Simon stał już z powrotem na swoim miejscu. — Może nie będzie to żadna z tych, które wymieniłem. Kto wie, może jutro o tej porze staniemy wobec najrzadszego i najbardziej intrygującego fenomenu, wobec metody absolutnie oryginalnej. Albo — jeśli będziemy mieli szczęście — zbrodni doskonałej.

Na to Derek zachichotał i udało mu się sprawić wrażenie jednocześnie podkscytowanego i zadowolonego z siebie, a to niezwykle osiągnięcie zaimponowało wszystkim daleko bardziej niż wykład na temat historii powieści detektywistycznej.

Simon rozejrzał się wokół. Był więcej niż zadowolony z rezultatów swojego zagajenia. Na twarzach biesiadników (z wyjątkiem jego siostry) malowała się mieszanka strachu, podniecenia i entuzjazmu w rozmaitych proporcjach. Laurie wprost skamieniała ze strachu. Nagły podmuch powietrza zdmuchnął świece. W tej samej chwili rozległ się głuchy odgłos grzmotu, a po chwili niebo rozświetliła efektowna błyskawica. Biały błysk, który przeobraził na krótko pokój, stół i nieruchome postacie w malowidło z głębokim światłowieniem.

Goście, których na chwilę oszołomiła oczywista gotowość Wszechmocnego do wzięcia udziału w stworzeniu na ich imprezie odpowiedniej atmosfery, podawali się ku spontanicznym oklaskom. Matka wykorzystała łyżkę i widelec do wystukania werbla. Simon rozpostarł ręce i złożył głęboki, żartobliwy pokłon. Gaunt zapalił światła, przez co przywrócił pomieszczeniu aurę pogodnej normalności, a uwaga Dereka, że przez chwilę poczuł obecność autentycznego zła, przyjęta została pogardliwym śmiechem. Wówczas Simon nie wiadomo skąd wyciągnął melonik.

—Tutaj oto — uniósł kapelusz w górę — mam jedenaście złożonych kartek papieru. Na każdej z nich scharakteryzowane są dwie postacie, męska i żeńska. Chciałbym, żebyście wybrali państwo dla siebie jedną z tych ról. Każdy może się oczywiście wycofać i po prostu być sobą, ale mam nadzieję, że podejmiecie państwo ten wysiłek. Będzie to dużo bardziej zabawne — przemawiając, przespac-

rował się wzdłuż stołu i stanął za krzesłem Laurie, po czym podsunął jej kape-  
lusz.

—Jedną chwileczkę! — zawołał Derek. — Wolałbym, żeby te kartki zostały  
starannie wymieszane. — Simon posłusznie potrząsnął melonikiem i lewą ręką  
dokładnie wymieszał karteczki. — Nie chcemy tu żadnych szwindli.

— Myślałem — odezwał się Gilly z szokująco śmiałą miną — że *tego* wła-  
śnie chcemy. He, he — zarżał.

— Osoba, która odegra rolę ofiary... nie, Laurie, jeszcze nie otwieraj!... zoba-  
czy na wylosowanej kartce, oprócz opisu postaci, czerwony krzyżyk. Mordercy  
przypada czarny. — Simon obszedł stół dokoła, a przechodząc, upuścił kartkę  
również na własny talerz. Kiedy Derek jako ostatni wyciągnął los, Simon odwró-  
cił melonik, postukał w denko w sposób świadczący, że „nic tu się w nim nie  
kryje”, zostawił go na stole i powrócił na miejsce.

— Dobrze — zwrócił się w stronę zapatrzonego w niego szeregu twarzy. —  
Zobaczmy, kto jest kim, zgoda?

Dał się słyszeć szelest niecierpliwie rozwijanego papieru, gdy wszyscy śpie-  
szyli poznać swoje nowe role, a później szmer rozbawienia i dopytywań. Potem  
nastąpiła przeciągająca się cisza, którą przerwał Simon słowami:

— Spodziewamy się, że morderca swoją misję zachowa dla siebie, dobrze by  
jednak było, żeby ujawniła nam się ofiara. W przeciwnym razie przez cały week-  
end nie doczekamy się trupa.

Jednak milczenie się przedłużało, dopóki Sheila Gregory nie odwróciła się do  
siedzącej po jej prawej ręce osoby, poddającej najsurowszej kontroli melonik  
Simona, i podniosła jego karteczkę.

— Och, Derek! — zawołała. — To ty! Ty będziesz ofiarą...

Laurie zerknęła na siną ze wściekłości twarz Dereka, odchrząknęła nerwowo i  
skinęła na pokojówkę.

— Bennet, myślę, że kawę wypijemy w bibliotece.

Rozpalony w bibliotecznym kominku ogień podnosił na duchu. Gaunt rozniósł gościom kruche ciasteczka, Bennet kawę, Gaunt likier, Bennet jeszcze raz kawę, na co Fred zauważył, że to już lekka przesada.

Determinację pani Saville, żeby zachować dystans wobec paskudnych Cyganów z Północy, pokrzyżował Simon, który zaaranżował kameralne ustawienie foteli i kanap skupionych wokół wspaniałego kominka. A jej wstępu wobec sąsiadów nie zmniejszało bynajmniej odkrycie, że pulchne, uniesione nogi tancerzki na krawacie Freda świecą w ciemności. Mogła przynajmniej odwrócić się tyłem do starszej pani siedzącej w fotelu na biegunach kilka stóp od niej, która w niezwykle sposób raczyła się kawą — miażdżyła mianowicie brzeg filiżanki zwiedłymi ustami, głośno przy tym siorbiąc.

Laurie zastanawiała się właśnie, czy powinna spuścić zasłony na srebrzyste strugi deszczu uderzające o okna, kiedy Gilly wstał z miejsca, podszedł do najbliższej biblioteczki i podniósł swój zostawiony tam wcześniej futerał.

—Co państwo powiecie na odrobinę poobiedniej rozrywki? Miło mi będzie zaprezentować wam piosenkę. — Zanim ktokolwiek zdołał odpowiedzieć, Gilly zwrócił się do Dereka: — Nie mogłem nie zauważyć w autobusie kolegi muzyka. Może zagramy w duecie?

—Nie gram na skrzypcach na przyjęciach towarzyskich — odparł lodowato Derek. — Instrument jest dla mnie środkiem na oczyszczenie umysłu podczas moich wnikliwych intelektualnych rozważań.

—Przepraszam. Nie chciałem urazić. — Gilly chwycił za ukulele i powiódł wzruszająco stremowanym spojrzeniem po zebranych.

—No, to zaczynaj, chłopie — powiedział Fred. — Lubię dobre melodyjki.

Zachęcony Gilly zaintonował pierwszy utwór. Niestety — nie umiał śpiewać. Grać także nie potrafił. Brzdąkania, zgrzyty, popiskiwanie i bulgotanie były wprost koszmarnie.

— Zastanawiam się, czy nie lepiej — przerwał mu po chwili Simon — żebyśmy, zanim zrobi się późno, spojrzeli na plan domu i okolicy. Nie chciałby pan dokończyć piosenki innym razem?

Gilly, sprawiający wrażenie nieco zdruzgotanego, uśmiechnął się nienaturalnie wesoło i dołączył do reszty osób ściśniętych na kanapach wokół stolika do kawy, na którym Simon umieścił długi zwój przyciśnięty *Pierścieniem i różą* z jednej strony, a *Śmiercią Artura* z drugiej.

—Nasz chłopak też lubił muzykę — Fred próbował pocieszyć pechowego grajka. — Tak jak pan. Chciał zostać gwiazdą popu.

—Biedny Den. Nie zaszedł daleko — dodała Violet. — Chociaż sporą kasę wpompowaliśmy w sprzęt i cały zespół.

Gilly skinął głową ze zrozumieniem.

—Trzeba mieć talent.

—Och, on miał talent, co nie Fred?

— Jasne, że tak. Kupę talentu. Tego mu odmówić nie można. Nie miał tylko głosu.

Laurie spoglądała na nich, siedząc niewygodnie na krawędzi krzesła. W głowie kłębiły jej się nerwowe myśli. Obawa numer jeden wiązała się z panem Gillette (nie potrafiła się zmusić, żeby nazywać go w myślach Gilly), który stał teraz naprzeciw kominka w parujących spodniach z kieliszkiem *creme de menthe* w dłoni. Co prawda zmuszona była podziwiać profesjonalizm jego kretyńskiego przebrania, ale zatrwożyły ją podsłuchane przy obiedzie pytania o kasę pancerną pani Saville, wobec czego postanowiła wypytać go o jego przeszłość i zatrudnienie. Gilly jednak upuścił monokl do likieru, dzięki czemu sprytnie udało mu się uniknąć przesłuchania.

Zerkającej wciąż ukradkiem Laurie wydawało się, że Gilly i teraz spogląda pożądliwym wzrokiem na całą obecną *bijouterie*. Mogła go sobie wyobrazić, jak skrada się nad ranem z pistoletem w ręce i napycha kieszenie wszelkimi kosztownościami, a jego twarz deformuje nylonowa pończocha. (Dlaczego miałby ni z tego, ni z owego stosować taki kamuflaż, kiedy wszyscy doskonale znali jego rysopis? W obecnym stanie jej umysłu było to pytanie stanowczo zbyt racjonalne).

Wątek drugi dotyczył pana Gregory'ego, siedzącego teraz na krześle obitym czerwoną skórą i ostentacyjnie odwróconego tyłem do pozostałych. Laurie czuła, że dręczy go autentyczny żal. W końcu wybulił przecież sporo forsy i stawiał się gorliwie w Madingley Grange ze swoją czapką a la Sherlock Holmes, skrzypcami i małym szkłem powiększającym tylko po to, by odpaść w przedbiegach. Należy to koniecznie naprawić i Laurie postanowiła to zrobić, zamieniając się z nim rolami. Nie denerwowała się, że zostanie ofiarą — w końcu to tylko zabawa — raczej tym, że musi o tym powiedzieć w obecności wszystkich gości. Czuła, że nie nadszedł jeszcze właściwy moment, i zbierała siły, by zmierzyć się z sytuacją.

Męczyły ją też sprawy mniejszej wagi. Zagadki raczej niż prawdziwe zmartwienia, jednak niedające się rozwiązać. Na przykład dlaczego przy obiedzie Rosemary Saville co chwila spoglądała krzywym wzrokiem na Martina? Dlaczego starsza pani Gibbs opiera filiżankę z kawą o swoją kość policzkową, jakby chciała sobie zrobić płukanie oka? I dlaczego Gaunt, za każdym razem, kiedy częstuje gości ciasteczkami, robi coraz głębsze pokłony i zdaje się mieć coraz większe problemy z wyprostowaniem się? Laurie, pozbawiona już całkiem spokoju, jeszcze raz wychwyciła fragment przemowy Simona.

— Zauważcie państwo, że poza podwójnymi drzwiami wejściowymi są jeszcze te, które prowadzą do kuchni, kolejne do salonu Gainsborough i jeszcze jedne do drugiej toalety, w tym miejscu... — pokazał palcem na planie.

Mój Boże, pomyślała Laurie, gdy pan Gillette powiedział: „Znakomicie” i podniósł swoją parującą nogę w celu przyjrzenia się jej z bliska. Plan domu. Podstawowy warunek powodzenia włamania. Dlaczego po prostu nie spakować wszystkich cennych rzeczy i nie wręczyć ich złodziejowi w torbie z napisem: ŁUP?

—Zaznaczyłeś też tajemne przejścia i schowki? — spytała Violet. — I drzwi w podłodze?

—Niestety, nie ma ich tu. Przynajmniej ciotce nigdy nie udało się czegoś podobnego znaleźć. Dwór nie jest taki stary, na jaki wygląda.

—Tak samo jak moja stara — powiedział Fred, a Violet ryknęła śmiechem i krzyknęła do niego, żeby się lepiej nie łudził, kto kogo przeżyje.

—Trudno się nie zastanawiać, kto nim jest — szepnęła Sheila z okrągłymi oczami. — To znaczy — jej głos przybrał niemal grobowy ton — kto jest mordercą.

Fred zgarbił się i rozpostarł groźnie ręce, rzucając na ścianę złowrogi cień. Później zaryczał przeraźliwie:

— Mmuaaarrr!!!

Rosemary wrzasnęła. Gaunt zachwiał się nieco i stracił kontrolę nad swoją tańcą. Ciasteczka rozsypały się po podłodze. Laurie ruszyła, żeby pomóc mu je zbierać, i spytała, czy dobrze się czuje.

— Dziękuję, madam, nie ma sprawy. Mały szok, i tyle. To stało się tuż za moimi plecami. Czy mogłaby pani otworzyć mi drzwi?

Kiedy kamerdyner na trzęsących się nogach opuścił bibliotekę, Rosemary, skłonna teraz bardziej do śmiechu niż krzyku, spytała:

—Od kiedy mamy zacząć grać swoje role?

—Proponuję od jutrzejszego ranka — odparł Simon. — Zrobiło się już trochę późno. Na stole w holu zostawiłem dużą kartkę z krótkim opisem relacji między postaciami. Możecie wszyscy z tego korzystać, jeżeli macie ochotę.

—Derek... — Sheila skierowała swe słowa w stronę sztywnego oparcia fotela. — Chodź i spójrz na ten plan. — Milczenie. — Derek!

—Jaki to ma sens, żebym szedł i „spojrzał na plan”? — nadeszła zjadliwa riposta. — Jako że jestem tym, który ma być zamordowany, i tak nie będę mógł brać udziału w grze.

—Ależ oczywiście, że możesz brać udział, mój drogi — Violet zwróciła się do fotela jak do grymaszącego dziecka.

—Ja tak czy owak rzuciłbym okiem na plan — zauważył Fred. — Można przecież próbować wykonać parę zwodów. W każdym razie ja bym tak zrobił, gdyby ktoś stał za mną z siekierą.

—W końcu jeśli on... — Rosemary pochyliła się w stronę Sheili — no wiesz... zostanie załatwiony dość szybko, a my złapiemy mordercę, to zanim wyjedziemy, będzie czas na jeszcze jedną grę i wtedy to on może ją wygrać.

Wszyscy się odwrócili i wpatrywali w szkarłatne oparcie fotela, które milczało jak zaklęte.

—Jest jedna rzecz, której nie znoszę, a mianowicie strojenie fochów — rzekła pani Saville.

—Nie stroję fochów — pobudzony do działania Derek skoczył na równe nogi. — Ale muszę zaznaczyć... — stał i spoglądał na nich, a przede wszystkim na gospodarza domu. — Otóż, uważam za absolutnie skandaliczne, że weekend z morderstwem organizuje się w ten sposób, iż jednego z gości pozbawia się możliwości działania.

—Myślę, że Derek... — zaczęła Laurie, ale przerwała jej pani Saville:

—Mówi pan tak tylko dlatego, że los padł na pana. Gdyby chodziło o któreś z nas, byłby pan zachwycony. A poza tym — ciągnęła — gdy tylko odkryjemy ciało, będzie pan mógł się do nas dołączyć i razem z nami polować na zabójcę.

—Kapitalnie! — pogarda Dereka była bezgraniczna. — Nie ma co, niesłychanie realistyczne. Nieboszczyk zrywa się z miejsca i bierze podejrzanych w krzyżowy ogień pytań. Oczywiście, fakt, że wiedziałbym, kim jest zabójca, mógłby nieco pomóc w śledztwie. Co za farsa!

—Może zabójca, kimkolwiek jest, powinien nosić maskę? — spytał pan Gillette, a Laurie pobladła na ten rewelacyjny dowód znajomości świata przestępczego. Zanim Gilly'emu udało się dalej wyłożyć swą teorię, Laurie podeszła z boku do Dereka i położyła mu dłoń na ramieniu. Jego zachmurzona na skutek niesprawiedliwego traktowania twarz zwróciła się w jej stronę, ale słowa: „Byłoby mi bardzo przyjemnie...” nie zdążyły paść z jej ust, gdyż przeszkodziło jej coś niespodziewanego i zatrważającego.

Sheila podskoczyła z miejsca, wyprostowaną rękę wyciągnęła w stronę okna, czarnego teraz od strug deszczu, i krzyknęła, głośno i przeraźliwie.

TLR



## Rozdział dziesiąty

---

Twarz! —jej wrzask przeszedł w zawodzenie. — Tam, na zewnątrz, przyciśnięta do szyby. To było... potworne...

Zatoczyła się i wydawało się, jakby miała lada chwila zemdleć. Derek podskoczył do jej boku, zmotywowany, jak się wydawało kilkorgu obecnym, raczej żądzą przeprowadzenia śledztwa niż mężowską troską.

Simon ruszył do okna i otworzył je. Zastony wydeły się w stronę pokoju niczym wielkie żagle, a wiatr i deszcz siekły go po twarzy. Wychylił się i przez dłuższą chwilę wpatrywał się bacznie w mrok, po czym z trzaskiem zasunął okno w dół.

—Nic tam nie ma.

—Hannaford, moja żona nie buja w obłokach — oświadczył rzeczowo Derek. — Jeśli mówi, że widziała twarz w oknie, to znaczy, że ją tam widziała.

Przerwawszy jedynie po to, by przekazać drżącą małżonkę najbliższej stacji pocieszenia (Rosemary Saville), Derek pobiegł przez pokój i otworzył gwałtownie okno. Tak samo jak przed chwilą Simon wychylił się i utkwiał wzrok w ciemności.

—Myślę, że go widziałem! — krzyknął przez ramię do pozostałych. Potem z trzaskiem zamknął okno. — Biegł tam... ciemny kształt. Na drugą stronę domu.

—Ooo.ch! — Sheila znowu zaczęła się trząść.

—To bzdura! — zaoponował Simon. — Dlaczego ja go nie widziałem? Pierwszy wyjrzałem przez okno.

—Elementarne, mój drogi Hannafordzie. Kucał pod oknem, czekając, aż je zamkniesz. — Derek, jeszcze przed chwilą markotny i rozczarowany, teraz zmienił się całkowicie. Oczy mu zajaśniały, a na twarz, wystawioną na działanie żywiołów i podekscytowaną pasjonującą świadomością, że nareszcie naprawdę coś się dzieje, wystąpiły mu wypieki.

—Obawiam się, że to skutek całego tego gadania o morderstwie — uspokajał Simon. — Nie przypomina wam to momentów z kiepskich filmów, kiedy goście odpoczywają po obiedzie, a jeden z nich dostrzega bladą twarz przyklejoną do szyby?

—Ja sobie tego nie wymyśliłam! — prawie krzyknęła Sheila. — Ktoś tam był. Och, Derek... Boję się.

—No już dobrze. — Derek, rozdarty pomiędzy rycerskim obowiązkiem stania u boku małżonki a chęcią maszerowania tam i z powrotem, poszedł na kompromis i przebierał nogami w miejscu. — Mamy nieproszonego gościa. Bez cienia wątpliwości.

—Jak można mówić o nieproszonego gościu, jeśli został on na zewnątrz? — spytała pani Saville, której flegmą pozostała niewzruszona w trakcie całego tego epizodu. — Takie osoby wchodzą nieproszone. Dlatego są nieproszoneymi gośćmi.

—Jesteśmy tu wszyscy — powiedział Derek ze zbytecznym dostojeństwem — oprócz... służących? — Podszedł do dekoracyjnego sznura od dzwonka i podniósł oczy na Simona. — Mogę?

—Ależ proszę bardzo — odparł Simon. —Ale obawiam się, że po drugiej stronie nie ma dzwonka.

—Czy mam ich zawołać? — Usłyszawszy odpowiedź twierdzącą, Laurie miała już wychodzić, kiedy drzwi się otworzyły i ukazał się w nich Gaunt ze srebrną tacą pod pachą trzymający się kurczowo klamki.

—Czy chciałaby pani, madam, żebym poznosił teraz naczynia? — Laurie przytaknęła, a kamerdyner zaczął niepewnie ustawiać filiżanki i podstawki w stosy. Nabijając fajkę, Derek ostentacyjnie przygotowywał się do nadchodzącego przesłuchania. Gdy wyciągnął zapalnik, na przeszkodzie stanął Fred.

—Nie robiłbym tego, Sherlocku, póki on tu jest — wskazał na poruszającą się niepewnym krokiem postać. — Możemy wszyscy pójść z dymem.

Kiedy Gaunt podnosił filiżankę Sheili, Matka władczy, chrapliwym tonem wezwała go do siebie i wskazała swoje nakrycie. Chwyciła filiżankę, odepchnęła spodek i gestem ręki odesłała kamerdynera. Gaunt, który minimalnym skinieniem głowy skwitował afront, dochodząc do wniosku, że chociaż świat składa się z najrozmaitszego kalibru dziwaków, to nie spodziewał się, że komuś takiemu przyjdzie mu tutaj usługiwać, niepewnie kontynuował swoje zajęcie przy stole, kiedy drogę zastąpił mu Derek Gregory.

— Pozwól no, na chwileczkę.

— Słucham, sir? — Gaunt w gotowości odstawił tacę i wyprostował się maksymalnie. Ruch ten wykrzywił nieco jego gors, który wystrzelił z uwięzi i zwinął się z terkotem jak maleńka roleta. Gdy został ponownie zakotwiczony na właściwym miejscu, Derek zabrał głos.

— Zamierzam ci teraz zadać pytanie. — Wysunął twarz do przodu. — Jeśli szczerze odpowiesz, nie stanie ci się żadna krzywda. Nie ma czego się bać. — Gaunt sprawiał wrażenie, jakby wcale nie był tego pewien i cofnął się o krok. — Powiedz, czy zaglądałeś do tego pokoju przez tamto okno — Derek wskazał je teatralnym gestem — mniej więcej dwie minuty temu? Tak czy nie?

— Tam?

— Dokładnie.

— Dwie minuty temu?

— To właśnie chciałbym wiedzieć — Derek odprężył się nieco. — Zastanów się, zanim odpowiesz. Nie ma pośpiechu.

Gaunt chwilę się zastanawiał, po czym powiedział:

— Przecież leje jak z cebra.

— A twoja koleżanka?

— Myje naczynia, sir. W kuchni.

— Bardzo dobrze, Gaunt. Możesz odejść... na razie. Ale być może będę chciał cię jeszcze przesłuchać. Proszę, żebyś był w gotowości.

Kamerdyner podniósł tacę i ustawivszy ostatni element serwisu na czubku chwiejącego się stosu naczyń, skierował się w stronę drzwi. Nie wybrał najkrótszej trasy i z początku wydawało się, że idzie w przeciwnym kierunku. Posuwał się, krzyżując lewą stopę bezpośrednio nad prawą i dosuwając potem prawą do lewej, na sposób sunącego zygzakiem węża. Natrafiwszy na witrynę z książkami, zmarszczył brwi, odwrócił się i w tym samym stylu pokonał drogę powrotną, tym razem nabierając odrobinę prędkości.

Stojący najbliżej drzwi Simon podskoczył, żeby je otworzyć. Gaunt wystrzelił przez nie i zniknął w holu. Wszyscy stłoczyli się przy drzwiach, żeby obserwować przejście kamerdynera. Ten przemknął po czarno-białych kafelkach, schylając się coraz bardziej i dotarł do ciężkiej, ciemnoróżowej zasłony z aksamitu skrywającej przejście do kuchni. Wydawało się pewne, że zapłacze się w jej fałdy i wyrznie w podłogę, jednak zasłona błyskawicznie się rozsunęła i... już go nie było. Widzowie czekali przez chwilę na odgłos upadku, który nie nastąpił, po czym wrócili na swoje miejsca z wyraźnym poczuciem zawodu.

—Chłop z ikłą — kiwnął z podziwem głową Fred. — Na niezłym gazie.

—Czy te białe klapy marynarki oznaczają, że przeszedł specjalne szkolenie?  
— spytała Violet.

—A jednak musiał mówić prawdę o tym, że nie wychodził na zewnątrz — stwierdziła Sheila. — Ubranie i buty miał suche. Nie miał czasu, żeby się przebrać. — Chociaż była jedną z pierwszych osób przy drzwiach, teraz na jej twarzy wróciła znowu poprzednia przerażona mina. — Co znaczy, że faktycznie kręci się tu jakiś podejrzany typ.

—Ja wiem, w czym rzecz! — Rosemary klasnęła nieśmiało w dłonie. — Simon ukrył kogoś.

— Co takiego?

— Żeby podglądał. W zaroślach i... i innych miejscach. Żeby wprowadzić nastrój. Założę się, że w tej chwili służący częstują go herbatą i resztkami jedzenia w kuchni.

Uśmiechnęła się promiennie do Simona, a Laurie z rosnącym niedowierzaniem patrzyła na brata, który nie próbował wcale wyjaśniać, że to zupełnie nie tak, a na jego twarzy pojawiła się na chwilę mina psotnego chłopczyka. Wzruszył rozbijając ramionami i podniósł w górę ręce na znak, że się poddaje.

Nastąpił ogólny i słyszalny spadek napięcia. Kilka: „No proszę” i „Ach”. Fred stwierdził, że tego się właśnie spodziewał, a Sheila poczuła taką ulgę, że niemal zanosła się śmiechem, nieco drżącym, co prawda. Jedynie sfrustrowany Derek, którego dochodzenie udaremniono, zanim na dobre się rozpoczęło, trzymał się na uboczu.

Wszyscy zapomnieli o matce Freda. Wtem Laurie, której uwagę zwróciło głośne skrzypnięcie jej krzesła, zaczęła przyglądać się starszej pani Gibbs. Ta bujała się w przód i w tył z coraz większą werwą, a jej zapięte na klamerkę pantofelki fruwały coraz wyżej. W końcu kołysanie nabrało takiej mocy, że postawiło ją na nogi. Trzymając wciąż w ręce filiżankę kawy, której zażądała od Gaunta, i świszcząc z cicha z podniecenia, poczłapała w stronę kominka i wyrzuciła resztki kawy do ognia. Potem wróciła na miejsce, zakołysała przez moment filiżanką w dłoniach i mrużąc oczy, zajrzała w nią, a na jej twarzy malowało się złowrogie wyczekiwanie.

—Co ona robi? — Laurie zapytała Violet.

—Czyta z fusów, złotko. Szczycimy się tą jej zdolnością: jest ogromnie rzadka. Robi to jedynie wtedy, kiedy sądzi, że coś wisi w powietrzu.

—Naprawdę? — Laurie poczuła się bardziej wystraszona niż zaszczycona. Wcześniej z wyraźnym niepokojem słuchała na tarasie rewelacji o cygańskim rodowodzie pani Gibbs. — Mam nadzieję, że... nie rzuci filiżanką.

—Ależ skąd — zapewniła ją spokojnie Violet. — Chyba że nadeszłyby złe wieści.

Laurie obserwowała, jak starsza pani przestaje się interesować błękitno-żółtą filiżanką, i zastanawiała się, w jaki sposób mogły się w niej znaleźć jakieś nowiny, złe czy dobre, skoro większość fusów pozostała w kuchni w trzech wielkich dzbankach do kawy. Po chwili matka Freda wciągnęła głęboko powietrze, wyda-

jąc jednocześnie bulgoczący syk. Jej jędzowata twarz nie wyrażała krztyny zadowolenia, tylko srogie, niemal groźne przewidywania.

— Ma coś — powiedziała Violet ściszym głosem.

Pani Gibbs podniosła rękę i z trudem prostując zniekształcony reumatyzmem palec, wskazała nim kierunek. Wszyscy podążyli za nim wzrokiem i ujrzeli Sheilę Gregory, która wydała cichy okrzyk i przywarła do ramienia męża. Pani Gibbs uniosła wargi, odsłaniając zakrzywione zęby, i przemówiła. Z jej ust wydobyły się tylko dwa słowa: — Strzeżcie się...

— Co to ma znaczyć? — Sheila, dygocząc, wlepiała wzrok w twarz swojego męża. — Kochanie... co ona ma na myśli?

Lecz tym razem Derek nie wiedział, co odpowiedzieć. Zapatrzony w owe migoczące oczy sprawiał wrażenie tak samo zahipnotyzowanego jak reszta towarzystwa. Staruszka siedziała, ciemna i przygarbiona, tak samo jak musieli siedzieć jej przodkowie w taborach i jaskiniach całej Europy, kiedy przepowiadali przyszłość nad dymiącym ogniskiem.

— Pani *musi* mi powiedzieć! — krzyknęła Sheila. — Nie można tak... tak po prostu ni z tego, ni z owego pokazywać na kogoś i mówić takie rzeczy. Chcę wiedzieć, co ma pani na myśli.

Powiedziawszy ostatnie zdanie, Sheila podbiegła do pani Gibbs i chwyciła ją za rękę, jednak zbyt późno. Niebiesko-żółta plama śmignęła w kierunku kominka i filiżanka roztrzaskała się o ruszt paleniska. Sheila stała, jakby jej nogi wrosły w ziemię, i autentycznie zaniemówiła. Staruszka pokazała jej, żeby przysunęła się bliżej, i Sheila w pięknej, aksamitnej sukni w kolorze ecru z purpurowymi makami uklękła na podłodze.

— Śmierć... — chrypliwy głos był ledwo słyszalny. — Mówię o śmierci... o morderstwie...

Sheila, z twarzą koloru swojej sukni, z wolna podniosła się na nogi i rozejrzała się wokół niewidzącymi oczami. Zachwiała się, a Derek ruszył ku niej z drugiej strony pokoju.

—No i proszę. — Odwrócił się do pani Gibbs i chociaż starał się, by jego głos zabrzmiał gniewnie, wszyscy obecni dostrzegli w nim ton rozradowania. Jego jaśniejące oblicze mówiło wyraźnie: gra się rozpoczyna, i to bez dwóch zdań. — Radziłbym, żeby pani bardziej uważała...

—Derek, tu chodzi o mnie — Sheila zaczęła płakać. — Ktoś chce mnie zabić.

—Nic ci nie będzie, dopóki ja tu jestem.

—Chcę do domu. Zabierz mnie do domu, Derek... proszę.

—Nikt nie zamierza nikogo zabijać — powiedział spokojnie Simon. — To tylko gra. — Odwrócił się i uśmiechnął do Sheili. — Przepraszam. Spodziewałem się, jako że jest już późno, iż odłożymy początek zabawy i wchodzenie w nasze nowe role do jutrzejszego ranka, ale wygląda na to, że jedno z nas nie miało ochoty czekać. —Zwrócił się do starszej pani: —Doskonały popis aktorski, pani Gibbs. Jeżeli wszyscy zagramy równie dobrze, czekają nas chwile pełne wrażeń. Przypuszczam, że to pani wylosowała rolę wróżbitki i plotkarki Szalonej Betty, która zadaje cios Czarnemu Tomowi?

Wszyscy patrzyli na Matkę, która nie przestawała milczeć, zachowując kamienny wyraz twarzy. Po chwili złośliwość, która zdawała się nad nią wisieć jak ciężka chmara owadów, rozproszyła się. Mimo to zignorowała pytanie Simona. Promień jej uwagi, niczym lanca, odsunął się od Sheili i okrążył pokój, by spocząć w miejscu, gdzie stał stolik z alkoholami. Wówczas jej twarz, zamknięta i tajemnicza, otworzyła się, ukazując jakieś zawzięte skupienie. Sękaty dłonie raz po raz zaciskały się na oparciach fotela. Powoli wypuściła powietrze, wydając przy tym cichy świst. Laurie zastanawiała się, czy nie są to pierwsze oznaki ataku. Fred wstał i podszedł z boku do matki.

—Chodź już...

—No nie! — wrzasnęła, odwracając się w jego stronę. — Ty ciamajdo! Byłam już tak blisko...

—Przecież nic się nie stało.

—Myślę, że pójdziemy sobie teraz grzecznie do łóżeczka. — Violet pomogła starszej pani stanąć na nogi, przy czym natknęła się na spory opór z jej strony. — Wstań, Mamo. Jak na jeden wieczór narobiłaś wystarczającego zamieszania. Prawie na śmierć ich wystraszyłaś. — Po drodze do drzwi Violet zatrzymała się i odezwała łagodnie do Sheili: —Już dobrze, złotko?

Sheila zmusiła się do uśmiechu.

—Myślę, że tak.

—Nie pozwól, żeby cię denerwowała. Czasami za bardzo ponoszą ją emocje.

—Co... co ona zobaczyła? Tam?

—Nic, złotko. Zupełnie nic.

Odejście Gibbsów przypieczętowało koniec wieczoru. Zebrani opuścili bibliotekę i ruszyli przez hol, a potem w górę po szerokich schodach, rozmawiając głośniej, niż było to konieczne, i trzymając się blisko jeden drugiego. Fred, zatrzymawszy się tylko po to, by podnieść przyłbicę zbroi i powiedzieć: „Teleportuj mnie, Scotty”, poszedł pierwszy. Wzajemne życzenia dobrej nocy odbiły się echem od ścian korytarza, a po nich dały się słyszeć odgłosy dokładnego zamknięcia drzwi i kilkakrotnego przekręcania kluczy w zamkach.

—Cóż — powiedział Simon, wcinając migdałowe ciasteczka i rozkładając się wygodnie na sofie. — Na brak atmosfery nie możemy narzekać.

—Zdecydowanie nie — zgodziła się Laurie. — Niewiele brakowało, a zaczęłabym z wraskiem biegać po ścianach. I zostaw w spokoju te ciasteczka. Nie piekłam ich dla ciebie.

—Muszę powiedzieć — rzekł Simon, skończywszy przeżuwać — że nigdy nie przypuszczałem, iż udawanie może być na dłuższą metę tak męczące. Nigdy więcej nie będę zazdrościł politykom. — Przeciągnął się i ziewnął. — W porządku. Uderzamy w kimono?

—Nie, Simon, nie uderzamy w kimono. Musimy porozmawiać.

—O czym?



—Po pierwsze, po co, u licha, opowiadałeś ludziom, że wynająłeś kogoś do roli intruza?

—Wcale tego nie powiedziałem — w głosie Simona zabrzmiało szczere oburzenie. — Oni tak to zrozumieli.

—Nie wyprowadziłeś ich z błędu.

—Słuchaj, Laurie — Simon wstał i wziął siostrę za rękę. Wyszarpnęła dłoń. — Bądź rozsądna. W sytuacji takiej jak ta trzeba działać bardzo szybko. Obrócić incydent — w naszym przypadku spowodowany przez głupią kobietę, której się zdaje, że zobaczyła w oknie czyjąś twarz — na swoją korzyść.

—To znaczy, jesteś pewien, że nikogo nie widziała?

—Jasne, że nie. Nikogo tam nie było.

—Ale jej mąż mówił...

—Daj spokój! Wiesz, jaki on jest. Najchętniej w każdej szafie widziałby trupa, a w każdej wannie topielca. Chyba nie traktujesz go serio.

Laurie się zawahała.

—Raczej nie.

—Nasi goście byli tym wszystkim zachwyceni. Szczególnie tą starą kłepą i jej wyrocznią.

—Nie sądzisz, że... naprawdę mogła coś zobaczyć?

—Nie zaczynaj.

—Fred mówił o niej, że jest jasnowidzką.

—Taka z niej jasnowidzką jak z tego marcepana orzech brazylijski. Dziwię ci się... żeby dawać wiarę takim dyrdymałom. Ale trzeba przyznać, że stara dodaje tutaj pewnego klimatu grozy. W każdym razie wszystko idzie jak po maśle. A je-dzonko było przepyszne. Dzięki.

—A ten makabryczny grymas ma oznaczać wdzięczność?

—Owszem. Czy teraz możemy już iść spać? Jestem skonany.

—Simon, przed kolacją odkryłam coś strasznego. Chciałam ci o tym powiedzieć na tarasie, ale nie słuchałeś.

—No to strzelaj.

—Zabawne, że to powiedziałaś. Pan Gillette ma broń.

—Co?! Ten stary pocziwina?

—Widziałam, jak wsuwał ją do kieszeni marynarki, kiedy poszłam go zawołać na obiad.

—To z całą pewnością rekwizyt. Jak szkło powiększające Dereka. Prawdopodobnie każdy z nich coś z sobą przytargał. Założę się, że mają tam kompletny zestaw narzędzi tortur.

—Ten pistolet był prawdziwy.

—Cóż, nawet jeśli tak jest, a wcale nie twierdzę, że się nie mylisz, to o ile mi wiadomo, ludziom wolno posiadać broń. Jeżeli tylko mają stosowne zezwolenie.

—Ale po co, u licha, przyzwoity człowiek miałby ją ze sobą zabierać na przyjęcie w wiejskiej rezydencji?

—Prawdopodobnie zabiera ją gdzieś dalej.

—Gdzieś dalej? *Broń?! Dokąd, na miłość boską?*

—Skąd mam wiedzieć? Na kongres kłusowników. Zjazd ojców chrzestnych. Wieczorny bankiet Partii Konserwatywnej.

—Nie wierzę — Laurie zatopiła się w fotelu. — W ogóle nie bierzesz serio tego, co mówię.

—Ależ, kochanie, po prostu jestem szczery. — Simon przysiadł na poręczu kanapy. — I nie rozumiem, czego ode mnie oczekujesz.

—Mógłbyś stawić mu czoło.

—No nie, daj spokój. Wiesz, jaki jestem. Nie potrafię stawić czoła nawet gumowej kaczce.

—Chodziło mi o to, żebyś z nim porozmawiał. Dowiedział się, dlaczego jest... — Laurie niemal zakrztusiła się tym słowem — ...uzbrojony.

—Spodziewam się, że to płatny zabójca. Dostał zlecenie na jednego z gości.

—Simon, proszę...

—No dobrze już, dobrze. Nie wpadaj w panikę. Jutro pogadam z nim na osobności. — Objął Laurie i czule ją uścisnął, a potem wspięli się w milczeniu po schodach i zatrzymali się przed pokojem Renoira.

—Myślisz, że Gaunt naprawdę jest... — Laurie zmarszczyła brwi, usiłując przypomnieć sobie opisowe określenie Freda. — Na gazie?

—Wcale by mnie to nie zdziwiło. No to miłych snów. Śpij dobrze. Jutro będzie ciężki dzień. Niecne knowania z wszystkich stron.

—Przypomniało mi się. Zamierzam zaproponować, że zagram za Dereka rolę ofiary.

Simon wzruszył ramionami.

—Jak chcesz.

—A ty sam byś nie chciał?

—Też coś! I stracić całą zabawę?

—Simon... przecież ty to wszystko wymyśliłeś.

—Altruizm żadnego pożytku nie przynosi. — Simon pocałował siostrę w policzek i żwawo odmaszerował.

## Rozdział jedenasty

---

Większość gości udała się na spoczynek w swoich apartamentach, tylko w pokoju poświęconym Vuillardowi (*Śniadanie w Villeneuve-sur-Yonne*) Derek zasypywał swoją żonę gradem pytań. Zasnuty śmierdzącym dymem z fajki, przechadza! się po pokoju. Wzrok mia! wyostrzony i czuł, że jego krok, pod wpływem niewypowiedzianego, acz sugestywnego nakazu: „Śpiesz się, Watsonie! Nie ma chwili do stracenia!”, jest zdecydowanie „holmesowski”. I chyba tylko osoba pozbawiona uczuć mogłaby dojść do wniosku, że niejaka giętkość w okolicach stawów kolanowych Dereka przywodzi raczej na myśl krok Groucho Marxa.

—Ale powiedz, jak wyglądała ta twarz?

—Derek, jeśli jeszcze raz mnie o to zapytasz, to eksploduję! Zwariuję! Uderzę cię! Powiedziałam już milion razy: była przyciśniętą do szyby białą plamą. Zniknęła, zanim zdążyłam krzyknąć.

—Mogłabyś ją rozpoznać?

—Oczywiście, że nie. Nawet nie jestem pewna, czy to był mężczyzna.

—Rozumiem. — Derek pyknął fajeczkę z wiśniowego drewna, zrobił kilka susów w stronę okna i spojrzał na nie karcącym wzrokiem. — Sheila, ten maniak gdzieś tam jest. Włóczy się po okolicy. Terroryzuje niewinnych ludzi. — Popatrzył na łóżko, w którym jego żona siedziała wsparta o stertę poduszek z falbankami. — Nie potrafię zrozumieć, dlaczego Hannaford nie pobiegł za nim. Nie sprowadził go do domu.

— Ponieważ to był tylko aktor. Słyszałeś, co powiedział.

— Tak naprawdę niczego nie powiedział. A gdyby nawet, to skłamał. Uważnego obserwatora nie zwiódą takie sztuczki. — Derek porzucił swoją wizję oblezionej twierdzy i podniósł skrzypce.

— Derek, już północ!

Rozległo się pełne napięcia zawodzenie.

— Jutro rano — Derek przekrzykiwał *Humoreskę* Dworzaka — wyjdę na dwór i poszukam tropów. Ziemia będzie wilgotna, więc odciski stóp na pewno będą widoczne. Może niedopałek cygara...

— Albo kartonik zapalek z obskurnego pubu w Limehouse? — podchwyciła Sheila, obserwując, jak ostry zarys łokcia jej męża to pojawia się, to znika w gęstych kłębach dymu.

— Dokładnie! — Nieświadomy ironii Derek odłożył na bok instrument, postukał fajką o pasteczkę rodem z Miśni i zaczął się szykować do spania. Sheila, uważając za mało prawdopodobne, aby dramatyczny koniec wieczoru miał ją uczynić łatwym łupem dla Morfeusza, odkręciła ciemnobrązową buteleczkę i wytrząsnęła z niej pigułki na sen.

— Co to?

— Tabletki z cyjankiem. Część mojego ekwipunku tajnego agenta. — Połknęła je, zapijając wodą.— Reklamują je w „Co-smopolitan”.

Derek spojrzał na nią surowo i założył swoją nocną koszulę. Z zasady był przeciwny tabletkom i wciąż jeszcze nie pogodził się z nałogiem swojej bogini.

— Chęć schwywania podglądacza to nie powód do żartów.

— Położył się, sięgnął po penguinowskie wydanie Conan Doyle'a i wziął się za bary ze *Związkiem Rudowłosych*. — Czasami myślę, że nie masz zielonego pojęcia o prawdziwym życiu.

— Derek...

— Hm? — mruknął niezadowolony, gdyż Jabez Wilson właśnie porwał się z krzesła. Zapowiedź czegoś interesującego.

—Myślałam o jutrzejszym dniu... o morderstwie...

—Znasz już moją opinię...

— Ale wpadłam na pomysł... Derek! — Syknął z irytacją przez zęby. — Nie wiem, czemu tak się denerwujesz. Czytałeś to już setki razy.

— To konieczne dla dokładnego przestudiowania działalności największego detektywa wszech czasów.

Sheila nie mogła prosić swego męża o lepsze zagajenie.

—Całkowicie się z tobą zgadzam. To bardzo przykre, nie uważasz, że inni wydają się nie brać tych spraw zbyt serio? — Już go miała.

—Ależ oczywiście. — Derek z kłaśnięciem zamknął książkę i szykował się, by ponownie dać wyraz swym żalom. — Tak się cieszyłem na spotkanie z inteligentnymi ludźmi. Wyobrażałem sobie, jak rozpracowujemy szczegółowo słynne przypadki, porównujemy spostrzeżenia i teorie. Zamiast tego... — obrzydzenie nie pozwoliło mu mówić dalej.

—Trzeba im zrobić jakiś kawał. — Derek przytaknął z zaciśniętymi ze złości wargami. — Myślę — Sheila wsunęła mu dłoń pod ramię — że należy im się nauczka.

Derek się rozchmurzył.

—Co dokładnie masz na myśli?

—Derek, oni nie doceniają twojej wartości. Nie wiedzą, kogo mają przed sobą.

—To prawda.

—Więc... może powinniśmy im pokazać?

—Zastanawiam się, czy nie zadzwonić do Consueli.

—Nie rób tego. — Fred płukał gardło w łazience. — Masz wolne.

—Mamy tę grupę japońskich biznesmenów. Akurat teraz przylatują.

—No to będzie dziś ostro.

—Nie jestem pewna, czy ona sobie z tym poradzi.

—Skoro poradziła sobie z zawodnikami Evertonu, kiedy ci przegrali u siebie siedem do zera, to ze wszystkim da sobie radę.

—To co innego.

—Nie chcę już o tym słuchać. Skoncentruj się lepiej na naszym weekendzie.  
— Cisza. — W porządku? — Dłuższa cisza. — Więc jak myślisz, kto będzie mordercą?

—Nie wiem. —Violet niechętnie zdjęła dłoń ze słuchawki telefonu. — Nie ja. Myślałam o Gillym. Jest taki cichy. Prawie się nie odzywa.

— Za to dużo widzi. — Fred pojawił się w drzwiach łazienki, ze szczoteczką do zębów w ręce i z pianą wokół ust, nadającą mu wygląd świętego Mikołaja. — Obserwowałem go. Nic nie ujdzie jego uwadze.

— Ma taki śmieszny...

— Zaczekaj. Muszę nadgonić z papierkową robotą. — Fred dokończył toaletę, spuścił wodę i wrócił do sterty szmaragdowego tiulu w łóżku z baldachimem.

— ...śmieszny sposób mówienia. Jak ze starego filmu.

— Pierwsza klasa! — Fred otworzył porcelanowy pojemnik i zabrał się do kilku ostatnich ciasteczek. — Mówię ci, staruszko, są naprawdę pierwszorzędne.

— Dopiero co myłeś zęby...

—Tylko przód. Same resztki z lat trzydziestych. Violet przestała wcierać w szyję krem.

—Przód czego?

—To profesjonalista. Nie zauważyłaś jego spluwy? Tego wybrzuszenia z lewej strony smokingu? Mamy tu goryla.

—Kogo?

—Chyba wiesz, kto to goryl. Jak Terry od Arthura.

—Ale... co on ochrania? Biżuterię tego nadętego babsztyla?

—Faktycznie, jest nadęta. Ale na mnie takie baby nie zrobią wrażenia/Rpzuje na Bóg wie kogo, a w głowie sieczka. Ale to nie chodzi o nią. Nie... — Fred przysunął się bliżej i rozejrzał po pokoju. Violet, której udzieliła się jego nagła potrzeba dyskrecji, pochyliła głowę w stronę męża. — Jestem pewien, że został zatrudniony przez właścicieli. Jest tu pełno fantastycznych rzeczy, które aż się proszą, żeby je sobie wypożyczyć. A ci Hannafordowie mają klasę. Nie zatrudnią przecież jakiegoś owłosionego osiłka z tatuażami, który biega na czworakach i gwizdże przez zęby...

—Terry wcale nie jest taki.

—Słuchasz mnie czy nie? Więc biorą faceta, który wygląda jak należy. Który nie będzie się rzucał ludziom w oczy. Tym razem różnie głupa w marynarce; później znowu będzie kimś innym. Wierz mi, on tu jest prawdziwym detektywem.

Violet była pod wrażeniem.

— Może ta piosenka była jakimś szyfrem?

—Tego nie wiem, ale na pewno była beznadziejna. Violet powróciła do wcierania kremu.

—Co do twojej matki, założę się, że wytropi ducha.

—Wcale mnie, to nie zdziwi. Sam coś zwąchałem. Dokładnie w chwili, zanim wyszliśmy na taras.

—Naprawdę?

—Coś kwaśnego i ponurego. — Fred zdjął swoje laczki. — Ma rację, że coś z owoców. Rzekłbym jednak, że bardziej czarna porzeczka niż malina.

—Może lubił owocowe gummy. Kimkolwiek był. Tak czy inaczej, powiedz jej, żeby to zachowała dla siebie. Ludzie się denerwują.

—Ty jej powiedz.

—To twoja matka.

—Ciebie posłucha.



—I musi przestać tłuc filiżanki. Nie sędzę, żeby Laurie się to podobało.

—Będzie musiała to jakoś przełknąć. Za kasę, którą jej płacimy, może wykupić sklep z porcelaną. A tak w ogóle, filiżanka nie była większa od króliczego bobka.

—Tylko pamiętaj, żebyś jej to powiedział, kiedy pójdziesz jej życzyć dobrej nocy.

—Już jej mówiłem dobranoc.

—Wcale nie. Nie ruszałeś się z tego pokoju, odkąd weszliśmy na górę. — Fred westchnął ciężko. — No idź. Musisz tylko przejść przez salonik.

—Uparta z ciebie kobieta, Violet — Fred założył laczki. — I pomyśleć, że kiedy się z tobą żeniłem, byłaś takim wesołym dziewczęciem.

Matka siedziała w łóżku sztywno, jakby połknęła kij, i przyglądała się z pewnym rozczarowaniem pustemu pudełku ciasteczek.

—Zdażyłaś wszystko opędzlować? — Przybrała minę skrzywdzonej niewinności. — Po całym tym serze? Będiesz biegać w nocy w tę i z powrotem. Jak się czujesz?

—Wspaniale.

—No to świetnie — odparł automatycznie Fred. — Masz przestać ciskać naczyniami. Przynosisz nam wszystkim wstyd.

—To romski zwyczaj.

— Ale nie zwyczaj Hannafordów i nie podoba im się to, więc przestań. I przestań gadać o duchach. Nie zwracaj na siebie uwagi. Jasne?

Fred musnął wargami szorstki, pokryty włoskami policzek matki i wyobraził sobie, tak jak to niekiedy robił przy takich okazjach, cudowną transformację. Pachnącą lawendą, słodką starszą panią z cerą jak pomarszczony płatek róży, z miłymi, błękitnymi oczyma, białymi jak śnieg loczkami i łagodnym uśmiechem. Spojrzał w dół na gęstwinę włosów na poduszce i powiedział:

— Zachowuj się. Dobrze?

Matka uniosła w górę brwi przypominające wąsy starej krewetki, zgnębiona tą krzywdzącą połajanką.

— No to się uspokój.

Uspokoila się, chowając zbłąkaną fałdę suto marszczonej nocnej koszuli, a w chwilę później po pokoju rozniosło się chrapanie mogące obudzić umarłego.

Pani Saville podniosła się, wysoka, rozłożysta i przystojna w połyskliwych atlasach, i ustawiła budzenie na swoim podróżnym budziku. Pomimo znakomitego obiadu i najwyraźniej sprawnego prowadzenia domu nie wierzyła, żeby ktoś ze służby pojawił się punktualnie o ósmej trzydzieści z filiżanką earl greya i imbirowymi orzeszkami, by ją obudzić. Odstawiła budzik na toaletkę i z zadowoleniem przyjrzała się sobie w wysokim lustrze.

— Kochanie, czy wspominałam ci już, jak twój dziadek stwierdził kiedyś, że byłabym wspaniałym modelem dla galionu żaglowca?

— Owszem, kilka razy, mamusiu. — I miał rację, pomyślała Rosemary, omiatając wzrokiem masywne ramiona i zwycięski profil matki. Na widok takiego galionu prącego przez fale najbardziej nieustraszony pirat byłby zmuszony czmychnąć w bok. Zauważywszy u swojej rodzicielki całkiem nieprzyjemne ożywienie, Rosemary rozciągnęła usta w udawanym ziewnięciu. Mówi się przecież, że ziewanie jest zaraźliwe. Tymczasem szczeka pani Saville pozostawała uparcie zamknięta. Żeby podkreślić sens swojego gestu, Rosemary dodała:

— O rany, ale jestem zmęczona.

— A ja bynajmniej. Wątpię, czy zdoiam zmrużyć oko.

—Przecież... — stojąc w drzwiach przyległego pokoju, Rosemary wpatrywała się w matkę z przerażeniem — zawsze śpisz jak kłoda.

—Serdeczne dzięki, myśl o tej potwornej rodzinie zza ściany to więcej niż trzeba, żeby nie dać mi spać. I jeszcze ta obrzydliwa starucha! Słyszałaś, co powiedziała na tarasie... Cyganicha!

—Kiedy szliśmy na górę, spytałam ją, czy naprawdę ma w sobie romską krew, a ona z zagadkową miną dotknęła swego nosa i powiedziała: „Mam różne, złotko. W szafce pod schodami” — Rosemary zachichotała.

—Nie będzie ci do śmiechu, kiedy obudzisz się jutro rano i zobaczysz, że okradziono cię w nocy ze wszystkich kosztowności. — Pani Saville zabrała z toaletki szkatułkę na klejnoty, zamknęła ją, odłożyła do szuflady, i tę również zamknęła.

—Jestem pewna, mamusiu, że nie są nieuczciwi. Po prostu... ekscentryczni.

—Bzdura. Ludzie tego rodzaju nie mają żadnego szacunku dla własności innych. A zauważyłaś to paskudztwo na jego szyi? — ciągnęła, zręcznie niczym górską kozica przeskakując od teorii do konkretności. — Ktoś, kto chodzi w krawacie, który świeci w ciemności, musi być do szczytu zdemoralizowany.

—Właściwie wcale się nie świecił...

—Nie spieraj się ze mną, Rosemary.

Rosemary weszła do łóżka i leżała, słuchając, jak jej matka rozwodzi się nad szokująco niesprawiedliwymi zmianami w obecnej strukturze klasowej w Anglii, gdzie pokojówka oczekuje, że każdego tygodnia przysługiwać jej będzie dzień wolny, a służący pozwala sobie siadać w obecności pana. Uspokojona znajomym trajlowaniem i całkowicie wbrew swojej woli, Rosemary zapadła w sen.

Laurie była zmęczona i z upragnieniem oczekiwała pory pójścia spać, jednak teraz, gdy wieczór dobiegł wreszcie końca, spostrzegła, że jakoś dziwnie nie jest w stanie przebrnąć przez najprostsze wieczorne rytuały. Owładnięta bezustan-

nym niepokojem, to wchodziła, to wychodziła z łazienki, okrążała meble w sypialni, przyglądała się *Paryżance* Renoira, całej w błękitach. W końcu usadowiła się na siedzeniu pod oknem. Zsunęła pantofle na wysokich obcasach, uklękła na dekoracyjnych poduszkach, otworzyła okno i wyjrzała na zewnątrz.

Deszcz ustał, księżyc jaśniał olśniewająco, niebo było spokojne i roziskrzone gwiazdami. Zaczęła oddychać powoli i głęboko z nadzieją, że uda jej się zapamiętać nad łomoczącym wciąż w piersi sercem. Z tarasu unosił się słodki, intensywny aromat goździków i białych lilii przemieszany z gęstym zapachem ciepłej gleby. Laurie, która nigdy nie dostrzegła w sobie sentymentalizmu, podniosła teraz wzrok na niezmierny łuk nieba i poczuła, że zbiera jej się na płacz.

Usiadła. Stopniowo jej serce uciszyło się, a obraz pana Gillette, realizującego swoje mordercze zachcianki, odszedł w cień, zostawiając ją, mniej czy bardziej, ale uspokojoną. Czowała się bardzo dziwnie. Wieczór, który właśnie dobiegał końca, stopniowo nabierał cech snu. Wszystko żywe i realne, lecz w jakiś nierzeeczywisty sposób pozbawione odpowiedniej ostrości. Czy istotnie była tam biała twarz przyciśnięta do szyby? Czy naprawdę pani Gibbs przepowiadała okrutne, straszliwe wydarzenia, a Sheila Gregory krzyczała na nią w przestraszu? Czy to możliwe, że przywoływano ducha z zaświatów?

Wracając teraz w myślach do tej sceny i jej uczestników stojących kręgiem w wyszukanych strojach, Laurie zrozumiała, że traktuje ich jak jakieś woskowe figury. W przeciwieństwie do milczących drzew, krzewów i atramentowych wód fosy, które choć nieruchome, zdawały się emanować jakąś pulsującą, powściąganą energią. Usłyszała dźwięk. Dwa gołębie, srebrzyste w księżycowej poświacie i czule do siebie gruchające, dreptały po zmytych deszczem chodnikowych płytkach.

Ogarnięta intensywną falą emocji, Laurie zamknęła okno i skierowała się do łazienki. Umyła twarz i zafrasowała się, kiedy po skończonych ablucjach odnalazła na niej ślady różu i szminki. Nie posiadając mleczka do demakijażu, namydliła się jeszcze raz. Po dwóch kolejnych tarcjach i płukaniach cała nienawistna tapeta stała się niewidoczna. Postanowiła nigdy więcej jej nie nakładać, ani dla lat trzydziestych, ani dla Simona.

Wyszorowała zęby i odwracała się już od lustra, kiedy uderzył ją wyjątkowy blask własnego oblicza. Przyjrzała się bliżej. Jej policzki rozkwitały, a oczy, które wydawały się bardzo szeroko rozstawione, migotały i błyszczały w jakiś niemal niesamowity sposób. Traktując tę transformację z niejakim zdziwieniem, Laurie uświadomiła sobie, że chociaż w jej przypadku (o ile mogła sobie przypomnieć) było to zjawisko wyjątkowe, jednak w jakiejś niezbyt odległej przeszłości widziała kogoś w identycznym, dość niezwykłym stanie. Stała i rozmyślała przez chwilę, po czym nagle ogromnie zmęczona, zdjęła seksowną sukienkę, założyła luźną piżamę w paski, wgramoliła się do łóżka i momentalnie zapadła w sen.

Kwadratowy skrawek papieru pochodzący z melonika Simona, który z braku kieszeni wsunęła za ramię sukni, upadł niezauważony na podłogę. Gdyby Laurie zadała sobie trud, by przeczytać jego treść, prawdopodobnie nie spałaby tak spokojnie. Gdyż z kartki wynikało jasno, że to ona została obsadzona w roli Szalonej Betty, która ma zadźgać Czarnego Toma. I że uspokajające wyjaśnienia Simona co do przepowiedni pani Gibbs mogły być bardzo dalekie od prawdy.

Źle się działo za obitymi zielonym sukniem drzwiami. Słysząc było zawodzenia, łomoty, jęki i stłumione okrzyki. Beri, rozebrany, zlewał głowę swego brata silnym strumieniem lodowatej wody.

—Aaaach! — zduszony krzyk Gordona, walczącego o haust powietrza. Ben napiął mięśnie muskularnych ramion i wepchnął kark starszego brata głębiej pod wodę.

—Ty skurczybyku! — krzyczał. — Co mi mówiłeś?! He? Co obiecywałeś?

— Ohhhuaaamuu...

— Żadnego. Tankowania. Tym. Razem. — Ben wypunktował te cztery słowa, uderzając rytmicznie czołem kamerdynera o brzeg umywalki. Nogi Gordona ślizgały się bezładnie we wszystkie strony. — Ty zalana pało, zawszona moczymordo, pieprzony zakuty łbie!

— Blee... glee...

Nagle Ben uwolnił brata. Obserwował, jak ociekające wodą głowa i ramiona powoli unoszą się znad umywalki. Potem podszedł do łóżka i, najwyraźniej załamany, zwał się na pościel. Nos i usta Gordona zalane były wodą. Parsknął kilka razy. W głowie słyszał ostre, żywe dzwonienie, niczym radosne brzęczenie dzwonka, a w oczach czuł pieczenie. Sprawdził swoje nogi i przekonał się, że odmawiają mu posłuszeństwa.

— Spójrz na siebie. Jesteś tak zalany, że nie możesz ustać na nogach.

Gordon zastanowił się nad tą surową konkluzją. Choć rzeczywiście nie mógł sobie wyobrazić puszczania w najbliższej przyszłości krawędzi umywalki, to wydawało mu się, że gdzieś w tej okrutnej, krytycznej ocenie kryło się niezrozumienie co do właściwych relacji przyczynowo-skutkowych. Powodowany narastającym poczuciem krzywdy wyjrzał zza chmury alkoholowych oparów na prawie nagą postać po przeciwnej stronie pokoju. I w jednej chwili dotarła do niego istota rzeczy.

—Pókiś mnie nie walnął, mogłem stać prościuteńko.

—Gówno prawda! Gdybym nie złapał tacy, kiedy pruleś przez zasłonę, przeleciałbyś przez kuchnię i drzwi na zewnątrz i ostrzyłbyś sobie zęby na żwirze.

—Nie można ostrzy...

—Zamknij się!

Gordon zamilkł. Znał już złe humory brata. Lepiej się nie odzywać. Wyjął muszkę i ściągnął do siebie poły przemoczonego fraka w patetycznej próbie przywrócenia *status quo*. Potem wyprostował ramiona i puścił się swojej podpory. Prędko chwycił ją ponownie, poczekał chwilę, puścił się jeszcze ostrożniej i bardzo powoli podszedł do fotela. Szybko osunął się na niego.

—Niech ci się nie wydaje, że będziesz tu sobie kimał! — Ben wsunął cążki do metalu do płóciennego, roboczego ubrania. Zwinął je w rulon, który przewiązał potem na kokardę. — Uciałem kabel... słuchasz mnie, głupia pało? — Odpowiedział mu głuchy pomruk. — Uciałem kabel, tam, za tym wielkim kredensem...

—A jak żeś go tam zobaczył?

—Ty, mądralo... — Ben ruszył gwałtownie w drugą stronę pokoju. Gordon skulił się na fotelu i podniósł ręce w geście obrony, gdy brat chwycił za jego muszkę. — Własnymi palcami wymacałem, którądy biegnie od telefonu. A gdzie ty wtedy byłeś? Opróżniałeś trzecią butelkę... — Gaunt wykonał wymowny gest. — Drugą? O, przepraszam! — zaśmiał się gorzko Ben. — Lepiej bym wyszedł, zdając się na psa-przewodnika. One przynajmniej nie piją.

—Ben... — wykrztusił Gordon. — Prze... przepraszam...

—Ciagle to robisz. „Przepraszam” to twoje drugie imię.

—Pr... proszę... — Gordon wykonał zeszywniałymi palcami niewyraźny ruch w okolicy gardła. Ben puścił go. — Wynagrodzę ci to, Ben...

—Oj, zrobisz to. Bez dwóch zdań.

—Następnym razem...

—Nie rozmawiamy o następnym razie. Liczy się to, co jest teraz. Widziałeś, co ten babsztyl nosi na sobie. Na górze ma tego całą furę. Druga taka okazja nam się nie trafi. Zajrzałem do jej szkatułki z biżuterią, kiedy ścieliłem łóżka — ści-szył nabożnie głos na wspomnienie tamtej chwili. — Nigdy nie widziałeś takich świecidełek. No i są *autentyczne*. Trzeba tylko tam wejść, zgarnąć szkatułkę i wyjść. Bierzemy busa i znikamy. Proste.

Gordon zakrztusił się mocno, tak że zatrząśł się cały, i wy-stękał:

—Tyić.

—Jak to ja mam iść, ty durnowaty troglodyto? Przecież nie widzę.

—...idę spać...

—Nic z tego! Będziesz tu siedział i brał się w garść. Ja tymczasem... — Ben założył klapki, perukę i szlafrok. — ...pójdę do kuchni i zaparzę wielki kubek czarnej kawy, który potem wleję w ciebie, nieważne, w jaki sposób. Wszystkie chwytaki dozwolone.

Gordon jęknął, potem wykręcił głowę do tyłu i spojrział wzrokiem zaszczutej zwierzyny ponad ramieniem Bena.

—Czego chcesz?

—Znowu ta sowa.

—Ona ma w sobie więcej życia niż ty, leniwy sukinsynu.

—Nie leniwy... zmęczony...

—To ja jestem zmęczony, Gordon. Bardzo zmęczony. Muszę mieć energię za nas obu. Zapał, zaangażowanie i silną wolę, żeby starczyło za dwóch, i tak przez całe życie. Utrzymuję cię od dnia, gdy się urodziłem. Kiedy wyprowadzałeś mnie w wózku na spacer, potrafiłeś tak się schlać, że musiałem wychodzić z niego i samemu znajdować drogę do domu. Zawsze mnie wykorzystywałeś, wciągając w te swoje nędzne machlojki. Bez ciebie naprawdę mógłbym zostać kimś. — Gordon zaczął łkać. — Nie masz wyobraźni, człowieku? — głos Bena złagodniał. — Nie masz żadnych marzeń?

—Jak mogę mieć marzenia? Nie dajesz mi się położyć do łóżka. — Gordon wytarł nos w rękaw. — Zawsze byłeś samoból.

—To ty jesteś samolub! — Ben zaczął tracić nadzieję. — Jeśli nie chcesz zrobić tego dla mnie, to może byś pomyślał o mamie, co? Pomyśl, że wracasz do Whipps Cross i wysypujesz to wszystko na kuchenny stół. Wyobraź sobie jej twarz.

Fioletowe oblicze Gordona rozpadło się, by złożyć się ponownie w ruchomą płaszczyznę niewysłowionego smutku.

—...markotna...

—Tak, jest markotna. Znużona całymi latami opieki nad nami. A teraz mamy szansę, by się jej odwdziaczyć. Nie uważasz, że nadszedł czas, żeby sobie odpoczęła? Zwolniła nieco?

—Mogłaby pójść na emeryturę.

—Jeśli będzie chciała, to jak najbardziej. I pomyśl, jaki tato będzie dumny.



Gordon skrzywił się i powiedział:

—Tato siedzi.

—Siedzi teraz, ale przecież nie na zawsze. Dwanaście latek szybko zleci. A potem wróci do rodzinnego gniazda. — Ben chwycił brata za rękę. — Jesteśmy o krok od sukcesu. Jedna robota i mamy wszystko. Mercedesy, roleksy, łańcuchy ze szczerego złota i ciuchy na zamówienie... najlepsze żarcie i alkohol... cudowne laski, słoneczna plaża...

—Słoneczna plaża?

—No pewnie, czemu nie?! Za pieniądze możesz mieć wszystko. Możesz zmienić swoje życie. — Ben patrzył natarczywie na brata i ścisnął mocno jego rękę, pragnąc przyśpieszyć niemrawo płynącą krew, a sercu dodać nadziei. — Możesz nawet sam się kompletnie zmienić.

Tego już było za wiele. Gordon, który na wspomnienie alkoholu z miejsca poweselał, teraz sprawiał wrażenie wyraźnie wystraszonego. Powiedział zachrypłym głosem:

— A bo ja wiem, co robić...

— Ja ci powiem, tępaku, co zrobisz. Weźmiesz zimny prysznic, a potem wypijesz kilka litrów mocnej kawy. Później wejdiesz po tych schodach i wrócisz na dół ze szkatułką. Zrobisz to wszystko, bo jak nie, to wrzucę cię tam, gdzie nikt nie usłyszy twoich wrzasków, i wypruję ci flaki.

Martin jeszcze raz się rozebrał. Rozebrał się już wcześniej — wtedy wziął długą, niespieszną kąpiel, żeby zabić czas, i przebrał się w piżamę. Pół godziny później przyszło mu do głowy, że pojawienie się w sypialni Rosemary, choćby było się najbardziej usilnie tam zapraszany, w tego typu stroju z lekkiej bawełny musiałoby się wydawać niestosowne, żeby nie powiedzieć — szokujące. Czuł też, że gdyby (co nie daj Boże!) jego przyszła teściowa obudziła się w czasie, kiedy będzie się przekradał przez jej pokój, to ogromnie mu się przyda, jeśli nie odzież ochronna, to przynajmniej coś nieco bardziej serio niż lekki, dwuczęściowy nocny strój. I wtedy właśnie przywdział swój letni, tweedowy garnitur.

Pół godziny później zdjął go z siebie. Bo gdy siedział przy kaloryferze z nieczytanym egzemplarzem „Domu i Zagrody” na kolanach, uderzyła go myśl, że kiedy się błądzi po korytarzach wiejskiej rezydencji w środku nocy, to najbardziej podejrzanym strojem, jaki można sobie wyobrazić (oprócz, być może, pasiastej koszulki i kominiarki), jest właśnie tweedowy garnitur. Kto go zobaczy, pomyśli od razu, że dobiera się do rodowych sreber. Wobec czego wskoczył z powrotem w piżamę.

Teraz po raz któryś z rzędu wstał z fotela, uchylił lekko drzwi i wyjrzał na korytarz. Drzwi do apartamentu Rosemary były dokładnie zamknięte. Zmierzył wzrokiem odległość. Niewielka. Mógłby ją pokonać w jakieś dziesięć sekund, chociaż wspomniawszy pełną wigoru i nadziei energię narzeczonej, Martin czuł, że droga powrotna zajęłaby mu więcej niż dziesięć minut. Wślizgnął się w swój stary, włochaty szlafrok z wielbłądziej wełny, bardziej po to, żeby coś zrobić, niż ze względu na temperaturę otoczenia, i spojrzął na zegarek. Za pięć druga. Bardzo późno.

To z pewnością oznacza, że Rosemary, która nie zostawiła mu umówionego znaku, śpi teraz głębokim snem, zamiast leżeć z bijącym sercem w oczekiwaniu na siodkie pieścizoty. Z drugiej strony, kto wie, może leży tam tak pochłonięta marzeniami o wspomnianych pieścizotach, że zwyczajnie zapomniała otworzyć drzwi? Co będzie czuła, ona, która zaoferowała mu nie tylko serce, ale i wszystko pozostałe, skoro noc upłynie jej na daremnym oczekiwaniu na faceta, którego nie stać na to, żeby przebyć kilka kroków po chodniku dzielącym go od raję?

Martin, chłopak o dobrym sercu, nie życzyłby nikomu takiego otrzeźwiającego doświadczenia, a tym bardziej dziewczynie, którą miał zamiar poślubić. Poza tym, i tu doszedł do głosu uśpiony instynkt samozachowawczy Martina, Rosemary miała skłonność do nieobliczalnych reakcji, kiedy coś stawało na jej drodze. Mógł to być potok łez i trzęsąca się dolna warga. A w tych rzadkich chwilach, kiedy nie udawało jej się postawić na swoim, jej delikatna dłoń była również w stanie wypuścić szybko dochodzący do celu cios.

Wzjął głęboki oddech, przewiązał porządnie pasek szlafroka wokół talii i podjął decyzję. Pójdzie. Jeżeli okaże się, że Rosemary śpi, będzie mógł z rana

szczerze powiedzieć, że ze swej strony wywiązał się z umowy. Jeśli nie będzie spała...

Martin nie był pewien, co zrobi w tym drugim przypadku, gdyż nie odczuwał akurat najmniejszego ukłucia pożądania. Nie będę się martwić na zapas, pomyślał. Po chwili ruszył. Poniżej, w holu, wysoki zegar szafkowy wybił drugą.

TLR

# Rozdział dwunasty

---

Kiedy Martin uchylał ostrożnie drzwi do pokoju Greuze'ego, przywitało go donośne chrapanie. Miał nadzieję, że odgłosy te wydaje pani Saville, i to nie tylko dlatego, że byłby to znak, iż zmorzył ją głęboki sen. W końcu żadnemu mężczyźnie nie uśmiecha się leżeć całe życie obok dziewczyny, choćby nie wiem jak ślicznej, która podczas snu wydaje dźwięki niczym sekcja instrumentów blaszanych w orkiestrze symfonicznej.

W pokoju panowały niemal kompletne ciemności. Martin odczekał chwilę, przyzwyczajając oczy do mroku i próbując oszacować możliwe przeszkody zwalone na jego drodze. Zorientował się teraz, co powinien był uczynić po obiedzie, a mianowicie przeprosić zebranych, podskoczyć na górę i rzucić okiem na pokój. Teraz już za późno. Dojrzał jednak odrobinę światła. Zasłony nie były do końca zasunięte i snop zimnego blasku księżyca padał na fragment toaletki, ramę łóżka i drzwi pokoju Rosemary. Były otwarte.

No jasne! To przecież powiedziała. „Zostawię uchylone drzwi”. Co prawda chwila zastanowienia mogła podsunąć Martinowi myśl, że to optymistyczne spostrzeżenie zostało oparte na dość niepewnej przesłance, zakładającej, iż powinien widzieć przez ścianę, jednak ta chwila nie nadeszła. Zamiast tego, cały spięty, zaczął się poruszać ostrożnie na palcach, chwytając powietrze wyciągniętymi naprzód rękami. Wymacał kształt toaletki, potem poczuł przy kolanie nogi łóżka. Zrobił kilka dalszych kroków i zahaczył stopą o podnózek. Wyprostował się gwałtownie, próbując zapobiec upadkowi i przesadził; zachwiał się do tyłu, zatoczył i podparł się na moment ręką o materac.

Zamarł w bezruchu, czując przerażenie. Po chwili nastąpił potworny rozdzierający ziemię wstrząs. To pani Saville, śliski atłasowy morski kolos, zerwała z siebie przykrycie, zmieniła kurs na prawą burtę i otworzyła oczy. Przerażony Martin, któremu lodowaty pot mroził czoło, a serce wierzgało w piersi niczym szalony mustang, stał cicho w miejscu, wiedząc, że to jego jedyna szansa. Nie poruszając się, znajdował się częściowo w mroMt Pani Saville, której głowę

oświetlał blask księżyca, zamrugała powiekami. Pomyślał, że światło będzie ją drażnić. Że na pewno wstanie, żeby zaciągnąć zasłony. Postanowił się nie ruszać i nie rozglądać. Jego oczy zdawały się przykute do jej oczu. Na pewno *widzi go* stojącego przed łóżkiem. Martin czuł, jak po skórze przebiegają mu dreszcze, a mięśnie bolą z wysiłku, żeby zachować wymuszony bezruch, podczas gdy jego rozum krzyczy: „Uciekaj!”.

Przypomniały mu się wszystkie przeczytane dotychczas historie o ludziach, którzy umarli ze strachu po nocy spędzonej w pomieszczeniach nawiedzanych przez duchy albo budzili się następnego ranka z włosami białymi jak śnieg i nerwami w strzępach. O, Boże... jeśli ześlesz na nią z powrotem sen, już nigdy... Nigdy co? Prowadził tak uporządkowane życie, zawsze przestrzegał przepisów. Gdzie podziały się jego grzeszki? Czasami przekraczał dozwoloną prędkość. To będzie musiał zmienić. Ale ledwie zdołał przedłożyć swoją ofiarę, pani Saville zamknęła oczy, opadła na poduszki i uciszyła się.

Martin zmusił się do odczekania całej nieskończonej długiej minuty, po czym odwrócił się i przekradł na powrót w kierunku drzwi. Wejście do pokoju Rosemary byłoby bezcelowe. Odkrył, że strach, którym został skarcony, usunął miłość. Przepadły jakiegokolwiek szanse na rozruszanie libido. Będzie wdzięczny, jeśli uda mu się wrócić do swojego pokoju w jednym kawałku.

Piętro niżej, w wielkim holu panowała cisza, nie licząc niemrawego tykania szafkowego zegara. Księżycowy chłodny blask bił w wysokie okna z szybkami w ołowianych ramkach i wylewał się na podłogę ozdobioną deseniem w szachownicę. Pozbawione swoich żywiołowych dziennych barw, szare i wyblakłe jak trumienne nakrycia, gobeliny zwisały smętnie. U stóp schodów stała ciężka zbroja, a obie części jej przyłbicy szczepiły się ze sobą w agresywnym zwarciu niczym szczęki olbrzymiej, drapieżnej ryby.

Dało się słyszeć ciche grzechotanie kólek od zasłon i w zamkniętą czarno-białą przestrzeń wkroczyły dwie postacie. Pierwsza z nich sunęła dość szybko, jakby impulsywnie pchana długim ramieniem, druga posuwała się w groźnej, nasrożonej postawie. Wywiązał się sykliwy dialog...

— Wdrapuj się na te cholerne schody. — Stękniecie, pochlipywanie. — I przestań uwieszać się na mojej szyi. Mógłbyś stanąć, gdybyś chciał. — Stłumione kwilenie spłoszonego ptaka. — Kiedy będziesz na górze, skreśisz w lewo i otworzysz pierwsze drzwi na prawo. Szkatułka leży na toaletce. Jeśli wrócisz bez niej, wypruję ci flaki. Jasne?

Ben pchnął swego brata na pierwszy stopień tak mocno, że ten przeleciał następnych sześć, zanim udało mu się zatrzymać. Wtedy na wpeł się odwrócił i rzucił za siebie tak żalosne i niepewne spojrzenie, że u najbardziej bezwzględne-go obserwatora musiałby wzbudzić litość. Ben zrobił ruch, jakby chciał ruszyć w ślad za bratem. Ten natychmiast podbiegł na piętro, gdzie się zatrzymał. Wyciągnął szeroko ręce, obejrzał najpierw jedną dłoń, potem drugą, próbując pojąć, która jest która. W końcu zrobił kilka kroków w lewo, zawahał się i najwidoczniej nie ufając ani pamięci, ani własnej ocenie sytuacji, zmienił zdanie i obrócił się w prawo.

Wpatrując się przed siebie tak pilnie, na ile pozwalał mu jego krótki wzrok, Ben zacisnął kciuki, a potem zaniepokojony rozluźnił je. A ponieważ słuch miał tak wyostrzony jak wzrok kiepski, gdzieś na lewo ponad swoją głowę uchwycił wyjątkowo zagadkowy hałas.

Ciche, niepewne gruchanie, podobne do gołębiego. Pędziło w górę i dół gamy jak strumyczki rozedrganych dźwięków. Potem dotarło do wysokiego C i się zatrzymało. Gaunt, który do tej chwili mocno zboczył z kursu i stał przed drzwiami sypialni państwa Gregory, usłyszał te odgłosy i zaczął się trząść. Usłyszał je również Martin zamykający z wyjątkową starannością drzwi pokoju pani Saville. Dźwięki zdawały się dochodzić z bardzo bliska i w normalnych okolicznościach by go zaniepokoiły. Teraz jednak czuł tak wielką ulgę, że udało mu się wydostać bez szwanku, iż ledwie przemknęło mu przez myśl, że niektórzy ludzie faktycznie wybierają sobie ciekawy czas na ćwiczenie gam, i ponownie zwrócił swą uwagę ku gałce drzwi. Choć bardzo uważał, wyskoczyła mu na koniec ze spocynych palców, powodując głośny trzask.

Gaunt odwrócił się powoli, przestraszony i z poczuciem winy. Martin zaczął się na powrót przekradać do pokoju Watteau. I powoli, bardzo powoli otworzyły się drzwi pokoju Matki. Gaunt, zaniepokojony gruchaniem i trzaskiem, zlustro-

wał wzrokiem fragment podłogi. Oceniał ją jako pustą (Martin stojący w zacienionej części był praktycznie niewidoczny) i wypuścił z ulgą mocno wstrzymywany oddech. Ale ulga skończyła się prawie natychmiast. Gdyż w rozrzedzonym mroku na końcu korytarza ujrzał nagle przyodzianą w biel postać. Pojawiła się tam w jakiś niewytłumaczalnie nagły sposób i świecąc widmowym blaskiem, zdawała się płynąć w powietrzu.

Gaunt, któremu zjeżyły się włosy na karku, oczy rozszerzyły się z przerażenia, a zęby zaczęły dzwonić jak kastaniety, widział, jak to coś unosi w górę białe ramiona. Zobaczył haczykowate szpony, usłyszał delikatny szelest, niczym odgłos suchych liści poruszanych wiatrem, i zrozumiał, że monstrialne widmo sunie w jego kierunku.

Rozpaczliwie szukał drogi odwrotu. Nacisnął klamkę drzwi państwa Gregory. Były zamknięte. Simona — to samo. Za nim okno z witrażowego szkła i trzydzieści stóp do ziemi. Pomiędzy nim a powoli poruszającą się zjawą — schody. Gaunt już się nie wahał. Ale gdy ruszył do ucieczki, wydarzyło się coś jeszcze potworniejszego. Umykając przed jedną nocną marą, natknął się na drugą, podwójnie wstrząsającą, jeszcze bardziej fantasmagoryczną. Dotarłszy do szczytu schodów, zderzył się (o zgrozo!) z czymś miękkim, zapuchniętym i owłosionym, co pisnęło i uchwyciło go w pasie.

Krzycząc w odpowiedzi i balansując niebezpiecznie na krawędzi schodów i zdrowych zmysłów, Gaunt, wciąż w objęciach koszmarnego sukuba, upadł na bok i poturlał się z hukiem i łomotem w dół, za każdym półobrotem amortyzując upadek w nieoczekiwanie miękkich objęciach stwora, dopóki ostatecznie nie osiągnęli posadzki w szachownicy, przy czym Martin zakończył turlanie się na spodzie. Usiłując podnieść się i uciec, chwycił za coś, co wydawało mu się słupkiem poręczy schodów, i przewrócił zbroję, która runęła tuż obok jego głowy.

Ben wymknął się w samą porę. Kilka sekund później zapaliło się światło na korytarzu i pojawiła się Rosemary zawiązująca pasek swego szlafroka. Zbiegła ze schodów i uklękła obok leżącej postaci owiniętej w milutką wielbłądzia wełnę.

— Martin... — Podtrzymała go, wsunawszy mu rękę pod ramię, i spiorunowała wzrokiem kamerdynera. — Ty! — krzyknęła i zerwała się na równe nogi, pozwalając tym samym głowie Martina na ponowne zetknięcie się z płytkami, co odbyło się przy wtórze silnego łomotu. — Co mu zrobiłeś?

Gaunt nie odpowiedział, usiłując wyswobodzić się z nałokietników, kolczugi i nagolenników. Przy wtórze stukotania gramolił się z podłogi. Zanim udało mu się wstać, Rosemary pchnęła go mocno na naramienniki i kamerdyner z łoskotem ponownie zwałił się w dół.

—Co tu się, do diabła, dzieje? — na korytarzu pojawił się Simon, a po chwili do reszta gości, zadających mniej więcej te same pytania. Nadciągnęła Bennet, ostentacyjnie zapinając swój szlafrok, i brutalnie postawiła kamerdynera do pionu.

—Cholerka — powiedział Fred, spoglądając na postać w pełnym rynsztunku. — Ma ktoś może otwieracz do konserw? To ci jatka... idę rzucić okiem. — Trącił łokciem Gilly'ego. — Widzisz? To dopiero rąbanka.

—Proszę się nie ruszać z miejsca — opanowanym i nieznośnym sprzeciwu głosem powiedział Derek. —Ja tu dowodzę.

Pojawiła się dokumentnie rozbudzona starsza pani Gibbs, owinięta w połyskliwą chustę i w kapeluszu zwieńczonym sałatką owocową. Krzyknęła zaciękawiona:

—Czy to trup? — i kuśtykając, zaczęła schodzić ze schodów.

—Nie — warknął anioł stróż Martina.

—Przede wszystkim chciałbym...

—Rosemary! Wstań!

—Nie wstanę — odparła rozpuszczona córka. Po czym, nie chcąc wzbudzać podejrzeń u rodzicielki, dodała: — Może się przydać moje doświadczenie pielęgniarstwa.

—Nie masz żadnego pielęgniarstwa doświadczenia.



—Zdobyłam na obozie sprawność ratowniczkę.

—Jak przy całym tym jazgocie mam prowadzić śledztwo? — nie ustępował Derek. — A teraz — zwrócił się w stronę nieszczęsnego kamerdynera — bądź tak dobry i wyjaśnij nam, dlaczego się szwendasz po domu — odrzucił do tyłu mankiet szlafroka (kurza stopka, zapięcie na kołeczki, długość do podłogi) — o drugiej piętnaście nad ranem w rycerskiej zbroi.

Gaunt zsunął z siebie ostatnią nagolenicę. Sprawiał wrażenie zaszczutego. Rozejrzał się po otaczających go kręgiem twarzach, jakby w poszukiwaniu inspiracji. Jego i tak podatne na rumieńce lico pociemniało do tego stopnia, że jego głowa przypominała teraz rozdęty bakłażan.

Bennet wystąpiła naprzód.

— Wydawało nam się, sir, że słyszymy włamywacza. Gaunt, olśniony oszłamiającą bezczelnością tej odpowiedzi, złapał się słupka poręczy schodów i rozdziawił usta.

—Więc dla ochrony trzeba było się wcisnąć w zbroję — przytaknął Derek z mądrą miną. — Bardzo rozsądnie.

—Z pewnością spadł po prostu ze schodów i walnął w zbroję — rzekł Simon.

—Ja tutaj jestem od dedukowania.

—Proszę was — wtrąciła Laurie — czy to wszystko nie może poczekać? Musimy zająć się biednym panem Lewisem.

—Słusznie — Rosemary jeszcze raz podskoczyła na nogi, a wołanie Laurie, żeby uważała na głowę, w ogólnym rozgardiaszu przepadło bez echa.

— Musimy go zabrać do jego pokoju. Ja złapię jedno ramię — zaoferował się Gilly.

—Byłoby dużo łatwiej, gdybyśmy go najpierw ocucili.

—Racja — Laurie zgodziła się z Violet. — Przydałaby się woda. Bennet, przynieś, dobrze?

Pokojówka podeszła do stołu w jadalni, z wielkiego, miedzianego dzbana wyjęła bukiet piwonii, ostróżek i łubinu i wróciła do kręgu zebranych.

— Dzięki... — Laurie wyciągnęła rękę, ale Bennet minęła ją, stanęła nad Martinem i wylała mu zawartość dzbana na głowę.

— Bennet! — krzyknęła Laurie. — Chodziło mi o wodę z kuchni. Żeby dać mu do picia. Po troszeczkę. W ten sposób go ocucić.

Martin usiadł i się otrząsnął. Krople rozbryzgnęły się we wszystkich kierunkach.

— To go właśnie ocuciło.

Laurie spojrzała wściekłym wzrokiem na Simona, który zaczął się śmiać, potem zwróciła takie samo spojrzenie na pokojówkę. Złość przybrała odcień zdumienia. W postaci Bennet było coś dziwnego. Tylko co? Z pewnością nie chodziło tylko o fakt, że była bez uniformu i miała na sobie dość brzydką, brzoskwińową kieckę plus solidne skórzane laczki. (Jakie masz duże stopy, Bennet?!) Ani że jej fryzura była wprost w idealnym stanie jak na kogoś, kto przypuszczalnie właśnie wstał z łóżka.

W jednej chwili całe jej zdziwienie wyglądem pokojówki przepadło pod wpływem czegoś tak zwyczajnego jak dźwięk. Ale co za dźwięk! Najdelikatniejsze, najbardziej urocze *tre-molo*, jakie można sobie wyobrazić. Pełne patosu, odrobinę piskliwe, aczkolwiek uroczo melodyjne. Martin zawodził. Laurie, drżąc z niepokoju, upadła na kolana, uprzedzając o włos Rosemary. Zapytały leżącego, jak się czuje; Rosemary bardzo oficjalnym tonem, a Laurie, powracając do czułej intonacji. Przerwał im Derek.

— Proszę, żebyście się przesunęły. Przeprowadzamy tu dochodzenie.

— Zostaw go w spokoju! — zawołały obie westalki.

—Więcej krwi widziałam na tacy z małżami — zagrzmiała Matka.

—Simon, czy jesteś absolutnie pewien, że to nie część scenariusza? — spytał Gilly i pomachał w kierunku leżącej na wznak na podłodze postaci. — Mówię o grze w morderstwo.

Zanim Simon zdążył odpowiedzieć, pani Saville warknęła na niego:

— Jeżeli tak to wygląda, to muszę powiedzieć, młody człowieku, że masz bardzo osobliwe poczucie humoru. Rosemary! Przestań się turlać tam na dole i wracaj do łóżka. — Ruszyła z miejsca, tupiąc głośno, i rzuciła przez ramię z urazą: — A następnym razem, kiedy zaproponuję weekend w Royal Georgian, przypomnisz sobie tę kompromitację i zrobisz to, co ci powiem.

Rosemary, która niemrawo klepała Martina po policzkach, widząc teraz, że czas ucieka, uderzyła go dość solidnie.

—Nie sędzę, żeby mu to mogło pomóc — zauważyła krótko Laurie.

—Zawsze się oklepuje policzki — równie zwięźle odparła Rosemary. — To znany medyczny sposób.

Martin przyjrzał się swoim ratowniczkom.

—Gdzie ja jestem?

—No, proszę. Przez ciebie dostał amnezji.

— Nonsens! — żywo i energicznie zapewnił Derek. — Wybieg z utratą pamięci to bardzo stara sztuczka. — Przysunął twarz bardzo blisko Martina. — Będzie się pan musiał lepiej postarać, panie Lewis.

—Kim jest pan Lewis?

—Całkiem odleciał — rzekł Fred.

—I taki ci się podoba, złotko? — spytała Violet. — Facet z amnezją?

—Z niego wiele nie wyciągniecie — zaopiniował Fred. — Spróbujmy z tym. — Zwrócił się do żywego trupa ściskającego nadal tralkę schodów. — Co miały znaczyć — krzyknął w twarz osłupiałego kamerdynera — te zapasy na podłodze w środku nocy?!

—Dokładnie to usiłuję ustalić — wtrącił Derek. — Za pozwoleniem, chciałbym kontynuować... Co pani wyprawia?

Przemieszczając stopniowo rękę w dół poręczy, starsza pani Gibbs dotarła do holu. Przesunęła się na sam środek, zrobiła obrót i posłała wszystkim promienny uśmiech. Potem wyciągnęła ręce i zaczęła poruszać się w kółko, rytmicznie i bardzo powoli: raz, drugi, trzeci. Jej biała, płócienna koszula wirowała blado, a szklane owoce na kapeluszu podrygiwały do taktu. Przekrzywiona głowa wyrażała nieoczekiwane szczęście, jak gdyby nagle zdała sobie sprawę z istnienia muzyki sfer. Fred jęknął, świadom nekromanckich pobudek kryjących się za tym ekstatycznym popisem.

Przedziwne zachowanie, które pokrzyżowało to, co powinno być w pełni kontrolowanym i sumiennym przesłuchaniem, wprawiło Dereka we wściekłość i konsternację. Nie wiedział, co robić. Podejrzani u Holmesa mogli wyciągnąć rewolwer albo rzucić się z pięściami, kiedy dociekania okazywały się zbyt wnikliwe i ostre. Nigdy natomiast nie dochodziło do popisów tanecznych. Skierował się w stronę najniższego stopnia schodów, aby w razie czego zagrozić drogę krnąbrnemu świadkowi.

—Proszę podejść, pani Gibbs! — zawołał. — To nic nie da. Musimy zastanowić się nad protokołem.

—Protokół? — Matka zatrzymała się na chwilę i uniosła powoli dłoń. — Wsadź go sobie tam, gdzie słońce nie dochodzi — powiedziała i na nowo podjęła swój taniec. Czerwony na twarzy, Derek powrócił do grupy.

—No cóż... Jestem pewien, że zdajemy sobie wszyscy sprawę z powagi sytuacji. Poprowadzę teraz przesłuchania w bibliotece i chcę, żebyście państwo wchodzili pojedynczo.

—Cóż, nie zamierzam nigdzie wchodzić pojedynczo — oświadczył Simon. — Mam zamiar wrócić do łóżka. I proponuję, żeby wszyscy uczynili to samo. A tajemnica, jeżeli taka w ogóle jest, może poczekać do rana. Chodź ze mną, Martin...

— Nachylił się i postawił na nogi prawie nieświadomą tego, co się stało, osobę. — Na pewno zapomniałeś, gdzie znajduje się pokój Watteau, więc cię odprowadzę.

Laurie stała rozdarta między pragnieniem ulżenia Simonowi w jego zadaniu a obawą, że gdyby ręka Martina zsunęła się, choćby i nieświadomie, poniżej jej ramienia, to ona z miejsca zemdleje. Jednakże prawo podjęcia decyzji zostało jej dość brutalnie odebrane przez Rosemary Saville, która odepchnęła ją na bok i podtrzymała ramię Martina w sposób, który wydał się Laurie bardzo znaczący — znać w nim było właściciela.

—Jeszcze chwilkę... — zacharczał domorosły detektyw, gdy świadkowie zaczęli się rozpierzchać. —Ja jeszcze... zaczekajcie... może będziecie tylko...

—Derek... — Sheila podeszła do męża i wyciągnęła do niego rękę. — Nie możesz na siłę zmuszać ludzi do współpracy. Chodź już, zostaw to do jutra.

Derek przyjrzał się jej dłoniom, jakby podejrzewał je o ukrywanie waikich dowodów, po czym z twarzą zachmurzoną roz-, czarowaniem podążył niechętnie za pozostałymi. Fred krótko spierał się o coś ze swoją żoną, po czym zniknął. Violet usiadła na najniższym stopniu schodów.

— Możemy też się udać na spoczynek, proszę pani? Bennet z wysiłkiem podpierала Gaunta. Laurie słuchała jednym uchem. Patrzyła w nabożnym skupieniu, jak Martin i jego świta znikają w korytarzu. Jej spojrzenie stało się bardzo intensywne, niemal błagalne. Przygryzła wargę; zacisnęła mocno wilgotne palce dłoni. Potem drzwi się zamknęły. Rosemary pojawiła się na korytarzu i wróciła do własnego pokoju, a puls i bicie serca Laurie powróciły w okolice normalnego stanu.

— Proszę pani?

—Co? Ach tak... oczywiście... — odparła. — Potrzebna ci pomoc?

—Pomoc? — Bennet wydawała się obrażona, nawet przestraszona. Sama myśl o czymś podobnym spowodowała, że jej głos zabrzmiał szorstko.

—Zatem dobrej nocy — powiedziała Laurie i patrzyła, jak zataczając się, odchodzą. Zaniepokoiła się nagle, czy Gaunt będzie w stanie poradzić sobie z porannymi obowiązkami. Kamerdyner, który nie potrafi utrzymać się na własnych nogach o drugiej trzydzieści nad ranem, nie zdoła raczej śmigać z herbatą i tostami o godzinie ósmej.

No, trudno, pomyślała Laurie, wspinając się mozolnie po schodach, zawsze mogę w coś pomóc. Prawdę mówiąc, sprawiłoby jej to dużo większą satysfakcję niż kręcenie się w kółko z wymuszonym uśmiechem i zajmowanie się bezsensowną konwersacją. Wówczas przypomniała sobie, że miała zamiar wcielić się w rolę ofiary morderstwa w miejsce Dere-ka. Zamiana ról w istocie rzeczy niczego jednak nie zmieniała. Zabójca mógł ją zaatakować niezależnie od tego, czy w starej sukience będzie akurat zmywać naczynia, czy też ubrana w preten-sjonalny strój będzie zajęta grą na murawie.

Wchodząc do pokoju, zauważyła białą karteczkę na dywaniku przy łóżku, podniosła ją i wrzuciła do kosza na śmieci. Całkiem zadowolona z symbolicznego odrzucenia tego, czym obarczył ją kapelusz mizdrzącego się w swej fałszywej roli Simona, Laurie położyła się do łóżka i miała już zasnąć, kiedy przysła jej do głowy zdumiewająca myśl. Usiadła i wpatrywała się w ciemność. Uświadomiła sobie, co w Bennet było takiego dziwnego. Nie okropne ubranie ani też klapki rozmiaru kajaków, tylko fakt, że atrakcyjnie sterczący biust pokojówki przepadł bez śladu.

Przysadzista postać wirująca na posadzce w szachownicę wreszcie się zatrzymała. Stała, rozłożywszy ręce na kształt krzyża, i wpatrywała się w pozłaczany sufit. Potem opuściła ramiona, dzięki czemu wydawała się mniej odstręcająca; jej twarz wyrażała stan kompletnego zrozumienia. Skinęła ręką i Violet z trzaskiem kolan dźwignęła się na nogi. Mruczając pod nosem: „Najwyższy czas”, podeszła do teściowej, żeby jej pomóc wejść po schodach. Lecz pani Gibbs zaproponowała i powłócząc nogami, udała się w stronę przeciwległej części holu.

Jej droga wiła się między obitymi skórą, prostymi krzesłami, ominęła stół z miedzianym, pustym w tej chwili dzbanem, by zakończyć się przed niskimi, drewnianymi, łukowato wygiętymi drzwiami. Starsza pani położyła na nich obie dłonie i oparła lewą stronę twarzy, wykrzywioną bacznym skupieniem, o środkową płycinę.

— Posłuchaj... tam na dole...

Violet wyteńczyła słuch. Z początku nie słyszała niczego prócz niemrawego bicia własnego serca. Później leciutki dźwięk, odrobinę głośniejszy niż wibrowanie

powietrza. Dokoła jej twarzy i szyi owinęło się coś oślizłego, przypominającego zimną, wilgotną błonę. Wibracje stawały się coraz intensywniejsze, prawie dudniące, potem zmieniły charakter. Przeszły w bulgotanie, przypominające odgłos płynącej rynną wody, po czym nagle ucichły.

Po chwili przerwy rozległ się potworny krzyk głodzonego stworzenia i wielki szloch. Potem, równie nagle jak poprzednio, zapadła cisza.

—Poddał się — powiedziała Matka chrypiącym głosem. — Wyszedł.

—Czas najwyższy—rzekła Violet z wdzięcznością i ulgą w głosie. — Zaraz będzie dzień. — Dłonie i stopy miała lodowate.

Obie panie skierowały się do schodów, zostawiając za sobą smętną ciszę pachnącą silnie śliwkami i czarną porzeczką z nutką drzewa sandałowego.

TLR

## Rozdział trzynasty

---

Następnego ranka w połowie śniadania Derek, ku kompletnemu zaskoczeniu wszystkich, oświadczył, że mimo wszystko jest gotów zostać ofiarą. Towarzystwo (oprócz Martina i Laurie) zajmowało miejsca przy stole w jadalni. Bukieci-ki drobnych kwiatów i kolcorośl ustąpiły miejsca dzbanowi z ładnie kwitnącymi gipsówką i groszkiem pachnącym. Na pomocniku cztery przykryte półmiski spoczywały na podgrzewanych tacach. Mieściły się w nich cynaderki, bekon, jajecz-nica, kedgeree i kiełbaski. Była również gotowana szynka na zimno, koszyk cro-issantów i zmrożony sok owocowy. Każdy czymś się poczęstował, z wyjątkiem Freda, który poczęstował się wszystkim. Właśnie wypolerował talerz kawałkiem chleba, przełknął skórkę i beknął.

—Lepiej wychodzi niż wchodzi, co, Simon? — Lodowaty uśmiech w odpo-wiedzi. — Muszę przyznać, że znasz najkrótszą drogę do serca mężczyzny.

—Wprost między żebra, jak sądzę.

—Oświadczam — powtórzył Derek, cedząc słowa — że zmieniłem zdanie, jeśli idzie o zagranie roli ofiary morderstwa.

—Zatem w jaki sposób chciałbyś być załatwiony, Sherlo-cku? — spytał Fred.

—To chyba nie zależy od niego, prawda? — zapytała Matka i otworzyła cro-issanta, po czym wetknęła do środka cynaderki i odrobinę musztardy. — Raczej od mordercy. Ktokolwiek to jest.

—Dokładnie — zgodził się Derek. —Ale ostrzegam, że nie zamierzam jemu czy też jej ułatwiać zadania. Mogę państwa zapewnić, że będę wyjątkowo ostrożny. Ukrywanie się i szukanie, na tym ta gra polega. Prócz tego wyznaczam godzinę trzynastą jako nieprzekraczalny termin. Jeżeli do tej pory nie zostaną zgładzony, uznam się za zwycięzcę, a nie pokonanego, i wtedy ktoś inny będzie musiał zostać ofiarą.



—Lepiej uważaj, gdzie się będziesz chować. Duch im się tu gdzieś kręci — zarechotała starsza pani Gibbs, dodając do croissanta porcyjkę galaretki z pigwy i wkładając wszystko do buzi.

—*Duch...* — Derek odstawił filiżankę z herbatą. Duch to doskonała wiadomość. Gdyby się tylko potwierdziła, wynagrodziłoby to z nawiązką brak garbatego kamerdynera. Z płonącymi oczami poprosił o wyjaśnienie.

—To było za tymi spiczastymi drzwiami — powiedziała Violet. — W holu. Dokąd one prowadzą, Simon?

—Do piwnicy. — Simon, który w następstwie alarmującego oświadczenia starszej pani przez krótką chwilę obawiał się o spokój ducha swoich gości, uświadomił sobie, że nie ma takiej potrzeby. Okazywane przez nich spore poruszenie i zaintrygowanie pozbawione były najmniejszego śladu niepokoju. — Jak wyglądał?

—Nie przenikam wzrokiem przez drewno — odparła Matka, rozrzucając wokół okruchy pieczywa. — Zejdę na dół rzucić okiem, kiedy skończę bułę.

—Ale przecież — uśmiechnęła się skromnie Laurie — za dnia nie będzie pani chyba w stanie niczego zobaczyć? Zdaje mi się, że duchy to nocne stworzenia. Jak nietoperze i inne takie.

—Łażą o każdej porze — orzekła Matka. — Kiedy tylko mają nastrój.

—Sądzi pani — zapytał tęsknie Gilly — że nam też udałoby się go zobaczyć? — Zaczerwienił się, kiedy to mówił, a grdyka zaczęła mu się poruszać w górę i w dół.

Violet potrząsnęła przecząco głową.

—Ale może uda się go panu usłyszeć. Wczoraj w nocy słyszałam, jak płakał.

—Coś takiego, biedny duch — mruknął Simon. Potem, czując, że prawdziwy cel weekendu przestaje być ośrodkiem zainteresowania, skierował rozmowę na temat nowego pomysłu Dereka. — Wczoraj wieczorem Laurie powiedziała mi, że mogłaby się z panem zamienić rolami.

—Nie trzeba — odpowiedział Derek. — Ale pierwsza po południu to ostateczny termin.

—Jakie są państwa postacie? — spytała Rosemary, grzebiąc z gracją widelcem w jajecznicy. Miała na sobie bardzo szerokie spodnie z drukowanego we fiołki, lejącego się szyfonu i bladozieloną jedwabną bluzkę z marynarskim kołnierzem, — To znaczy, chciałabym wiedzieć, kto z nas będzie miał powód, żeby zabić.

—Ja jestem dyrektorem lokalnego oddziału banku.

—Pewnie znieawidzonym przez wszystkich — wtrącił Simon. — Oczywiście ja, jako Kit Fanshawe, artysta bez grosza przy duszy i zakochany w Felicity, pańskiej córce, będę głównym podejrzanym.

—Ja jestem Felicity — odezwała się cichutko Rosemary z oczami wlepionymi w talerz.

—Czyli że będę się za tobą uganiał po krzakach — Simon mrugnął okiem przez stół.

—Może lepiej, żebyśmy wszyscy ujawnili, kto jest kim — Violet sięgnęła po staroświecki dzbanek do kawy. — Żeby wiedzieć, na czym stoimy.

Gilly miał być Herbertem Pottle, wiejskim notariuszem, Violet — sprzątaczką na plebanii, Adą Bloggs. Sheila miała się wcielić w Lorelei la Rue, gwiazdę komedii muzycznych na West Endzie, mieszkającą w miejscowym hoteliku i uganiającą się za Kitem. Pani Saville wylosowała rolę żony proboszcza, a Fred (pani Saville zakrztusiła się herbata) proboszcza. Seniorka rodu Gibbsów miała grać pannę Featherstone-Gough, ekscentryczną miłośniczkę psów i koni.

—Sądziłam — powiedziała pani Saville, kiedy doszła do siebie — że to pani jest Szaloną Betty, która zabija Czarnego Toma.

—Hm, bynajmniej.

—Ale mówiła nam pani...

—Ależ skąd. Ten tu — starsza pani spojrzała ostro na Simona — to mąciwo-  
da. Cały ten kram to jego sprawa.

Zanim Simonowi udało się odezwać — miał zamiar przedstawić sensowne  
wyjaśnienie — Derek wyciągnął fajkę z pianki morskiej i powiedział:

—Zamierzam po śniadaniu wziąć kamerdynera w krzyżowy ogień pytań i do-  
trzeć do sedna nocnych zajęć. — Pojawił się skórzany kapciuch do tytoniu. —  
Obawiam się, że może to być problem na trzy fajki. — Ubił tytoń w fajce, spo-  
kojnie założywszy, że uzyska pozwolenie (zagranie doprowadzające do szachu  
nieuzależnionych), po czym dodał: — Jeśli nikt nie ma nic przeciwko.

—W porządku — zgodził się Fred. — Zawsze powtarzam, że gdzie kopca,  
tam i łososia uwędzą.

—Cóż, mnie to akurat przeszkadza — oświadczyła pani Sa-ville. — Więk-  
szość nas jest jeszcze w trakcie śniadania.

—No, no — powiedział Fred i pomachał swojej fikcyjnej małżonce umaza-  
nym w dżemie nożem. — Zachowuj się, żonko, jeśli nie chcesz, żebym ci spra-  
wił manto w zakrystii.

Pani Saville podniosła się dostojnie z miejsca.

—Przynajmniej pogoda jest przyjemna. Zamierzam przespacerować się po  
okolicy. — Rzuciła gospodarzowi lodowate spojrzenie. — Simonie, nie mam  
zamiaru brać udziału w tej dziecinnej szaradzie i przypuszczam, że uwzględni  
pan to odpowiednio w rachunku za weekend. Rosemary?

—Dogonię cię, mamó.

—Wolałabym, żebyś poszła teraz.

—Sekundkę. Tylko dopiję kawę. Jest taka pyszna. — Rosemary spojrzała na  
Simona z wielkim uznaniem i aprobatą. A on poczuł się tak, jakby nie tylko za-  
parzył kawę, ale też wdrapał się na bosaka na kamieniste wzgórze i własnoręcz-  
nie zebrał kawowe ziarenka.

Pani Saville obstawała, żeby zaczekać na córkę. W końcu Violet spytała ją:

—Nie zamieniłabyś się ze mną, złotko? I została sprzątaczką? — na co ta odmaszerowała bez słowa, a chwilę później widziano ją, jak na koński sposób przemierza zieloną murawę.

—Głupia kłępa — powiedział Fred. — Bez urazy, Rosie, ale twoja mama nie zna się na żartach. Nie mam racji?

Rosemary sprawiała wrażenie, jakby nie wiedziała, co to kłępa, bo gdyby wiedziała, to Fredowi dostałoby się za swoje. Teraz ponownie zwróciła uwagę na uśmiechającego się życzliwie Simona. Jakiż był troskliwy i pewny siebie. Jak niepodobny do biednego Martina, który przy wczorajszym obiedzie popełnił całe mnóstwo gaf, a do tego na koniec zleciał ze schodów.

—Chciałbym, żebyś przekazała swej mamie moje przeprosiny — nalegał Fred. — Nie miałem zbyt dobrego startu życiowego. Widzisz — przybrał wyraz groteskowej melancholii — pochodzę z rozbitej rodziny.

—Coś takiego.

—Niestety — kontynuował Fred, a jego twarz zmarszczyła się w wyrazie jowialnego wyczekiwania. — Tata się nie sprawdził.

Violet zawołała, że to dla niej prawdziwa nowina, po czym spytała Dereka, czy to, co nabił do swojej fajki, nie jest aby łajnem łosia.

—To Bulwark. Holmes nabywał go u Bradleya z Oxford Street. Ten tutaj nie pochodzi stamtąd, rzecz jasna. — Zapalił jeszcze jedną zapalną, żeby ożywić toksyczną fajkę, i upuścił niewygaszoną draskę na wyszywaną podkładkę pod nakrycie. — Wszystkie stare, dobre sklepy zniknęły. W dzisiejszych czasach niezwykle trudno dostać naprawdę dobrą czarną machorkę.

—Myślę, że mogę ci w tym pomóc, chłopie — powiedział *sotto voce* Fred i mrugnął okiem. — Krepa Jones.

—O tej nie słyszałem. Dobra?

—Niewiarygodnie, stary. — Fred otworzył portfel i podał rozmówcy białą karteczkę. — Pogadamy później. — Popukał się w bok nosa. — Mama coś wie na ten temat.

—Jako przyszła ofiara — powiedział Gilly — może miałby pan ochotę ponosić to przy sobie — sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki w pomarańczowe, czerwone i kremowe prążki i wyciągnął pistolet.

Reakcje były różne. Stłumione okrzyki, posykiwania i gwizdy (Matki). Fred udawał przerażenie, a Rosemary dostała ataku czkawkki i zapiszczała:

—Czy to prawdziwe?

—O, tak! To jest...

—Major Fontaine — w pewności Dereka była domieszka wyniosłości. Chwycił broń demonstracyjnie nonszalancko. — Tysiąc dziewięćset trzydziesty szósty. Krótki zasięg: około piętnastu metrów. Wymienny magazynek.

—Doprawdy? Myślałem, że to Browning Baby.

—Pospolity błąd. Opublikowałem broszurkę o krótkiej broni z tamtego okresu. Można ją znaleźć w bibliotece Brize Norton.

—Nie opublikowałeś, Derek, tylko wydrukowałeś — sprostowała Sheila. — I proszę, zwróć rewolwer. Potkniesz się o coś i wystrzeli. Nikt nie chce cię zabić. To tylko gra.

—Możesz mi zaufać, Sheilo, potrafię się posługiwać prostą bronią palną — odparł jej mąż, wsuwając rewolwer do kieszeni marynarki.

—Jest naładowany? — spytała Violet.

—Nie mam zielonego pojęcia.

—Nie wygłupiaj się, Gil — nie mógł uwierzyć Fred.

—Mówię szczerze. To jedna z moich pamiątek. Nie chciałem w nim grzebać, żeby czegoś nie zepsuć. Tak czy inaczej, jako że mam go prawie dwadzieścia lat, nawet gdyby był naładowany, to do tej pory mechanizm na pewno zdążył się zaciąć.

—Bardzo prawdopodobne — powiedział Derek— ale i tak, jeśli idzie o broń, to lepiej, żeby posługiwały się nią osoby znające się na rzeczy. — Odsunął swoje krzesło i wstał. Rozległ się cichy trzask i zbolący okrzyk Gilly'ego.

—Mój kapelusz! — zawołał i podniósł zmaglowane resztki słomkowego nakrycia głowy. — Należał do mojego ojca. Miał go na sobie w Henley w trzydziestym szóstym roku.

—Przepraszam — głos Dereka wyrażał raczej wyniosłość niż przeprosiny. — Jeśli rzeczywiście był tak cenny, to czemu, u licha, leżał na ziemi?

—Jestem pewien — Simon też podniósł się z miejsca — że w naszym koszu znajdzie się coś podobnego. Wypożyczyliśmy różnego rodzaju akcesoria. Może pójdziemy zobaczyć?

—To nie będzie to samo — odparł płaczliwy głos.

—Oczywiście, że nie. Ale ma pan wspaniałe ubranie. Niezbędne jest do niego jakieś nakrycie głowy. — Simon zagryzł wargi, gdy złapał Gilly'ego za ramię. Trudno było się nie uśmiechnąć na widok kontrastu między zmartwionymi oczami i opuszczonymi smutno wąsami a radosnym wyglądem marynarki.

—Chciałem go założyć na przejażdżkę łodzią — powiedział Gilly, kiedy wychodzili.

Derek poszedł za nimi ku wyjściu, odwrócił się przy drzwiach w stronę zebranych i zawołał teatralnym głosem:

—Pamiętajcie! Macie czas tylko do pierwszej po południu!

—Jednej rzeczy nie pojmuję — rzekła Violet do Sheili — a mianowicie, jak udało ci się go nakłonić, żeby zmienił zdanie.

Wyglądało na to, że wszystkich dręczyło to pytanie. Przysunięto bliżej krzesła, łokcie oparły się o krawędź stołu. Jedynie Matka zachowała dystans i nalewała sobie szczerze miodu na płatki kukurydziane.

—Skąd wiesz, że to ja go przekonałam?

—Kobiety nie oszukasz, złotko.

—Faktycznie, masz rację — powiedziała z ociąganiem Sheila. — Ale nie chcę was zanudzać.

—Ależ skąd! — zawołali wszyscy z nadzieją w głosie.

—Po prostu podpowiedziałam mu, że ponieważ wylosował rolę ofiary, to zamiast gderać i narzekać, powinien potraktować to jako wyzwanie. Rzucić rękawicę. Wysiłnić cały swój spryt, żeby sobie poradzić z zabójcą, zamiast zwyczajnie się załamać po pierwszym ciosie. Nietrudno było go przekonać. Było mu przykro, bo nikt z was nie wziął na poważnie ani jego, ani powieści detektywistycznej. — Fred przygrywał na niewidzialnych skrzypcach, nucąc pod nosem *Serca i kwiaty*. — Pomyślał, że byłoby dobrze dać wam nauczkę.

—Ale czy przez to cała gra nie weźmie w łeb? — zapytała Rosemary. — To znaczy, myślę, że bez nieboszczyka...

—Oczywiście, oboje jesteśmy świadomi naszych zobowiązań — ciągnęła Sheila. — Dlatego właśnie zgodziłam się, że jeśli do lunchu Derek nie zostanie zamordowany, to ja zajmę jego miejsce.

—Najpóźniej do pierwszej — rzekł Fred. — Za przeproszeniem łaskawej pani.

—Ale wobec propozycji Laurel, ja już nie będę musiała.

—Co oznacza, że tak czy owak całe przedpołudnie musimy się obejść bez zwłok — powiedziała Rosemary. — Uważam, że oboje jesteście dość samolubni.

—Twoje zdanie, Rosemary, nic mnie nie obchodzi.

—Tylko spokojnie — wtrąciła Violet pojednawczo. — Ptaszki w gniazdkach żyją w zgodzie.

Oczy Rosemary błysnęły, Sheila zacisnęła wargi, ale zanim rzeczywiście udało się przyglądać piórka, wydarzyło się coś, co przykuło uwagę wszystkich. Matka Freda zaczęła się śmiać.

Było to krótkie, zduszone szczekanie. Wpatrywała się bacznie w filiżankę do herbaty, którą trzymała w dłoniach.

—Ha, ha, ha — zanosiła się śmiechem, tak jak to potrafią tylko złe starsze panie. Potem uniosła ramię. Fred złapał ją w ostatniej chwili.

—*Mówiłem ci* — powiedział z naciskiem i wyrwał jej filiżankę z ręki.

—Była mowa o spanielu.

—Dostaniesz spaniela.

—Mamo, jeśli skończyłaś — rzekła pogodnie, ale stanowczo Violet — mogłybyśmy pójść rozejrzeć się po piwnicy. Spodoba ci się. Co ty na to?

Pani Gibbs nie odpowiedziała. Pozbawiona możliwości rozbicia filiżanki, spuściła głowę i przybrała poirytowaną minę. Zwróciła błyskające gniewem oczy na Sheilę i skuliła się w fotelu, stając się mniejsza, a zarazem potężniejsza, jakby gotowała się do skoku. Sheila zmierzyła ją zimnym spojrzeniem.

— Kompletnie nie zwracam na panią uwagi, pani Gibbs, i nie wierzę w te pani idiotyczne duchy. A ponadto uważam za haniebne to całe wczorajsze wskazywanie palcem i oskarżanie, bo wcale nie jest pani Szaloną Betty, wróżbitką. — Wstała. — Wszystko po to, żeby ludzi wystraszyć na śmierć.

Matka zamruczała prawie bezgłośnie:

—Co wiem, to wiem.

—Niczego pani nie wie. Jest pani po prostu głupią staruszką — kłapnęła Sheila i odmaszerowała w zalaną słońcem przestrzeń.



## Rozdział czternasty

---

Laurie myła naczynia w aneksie przy kuchni. Na krześle z okrągłym oparciem, z nogami opartymi o drewnianą skrzynkę siedział ranny Gaunt. Laurie zaproponowała mu wcześniej, że zadzwoni po lekarza, ale na te słowa służący podnieśli krzyk, zapewniając, że nie chcą sprawiać kłopotu, a poza tym medycyna jest im obojgu obca. Laurie, zakłopotana, nie nalegała. Mogła wezwać tylko znanej jej Lionela Murchisona, lekarza cioci Maude, który był starym przyjacielem rodziny i z pewnością nie zatrzymałby dla siebie pikantnego odkrycia o rozgrywającej się w Madingley Grange błazenadzie. Ponadto równie dobrze mógł zdiagnozować u Gaunta jakieś poważniejsze obrażenia, wymagające odwiezienia go karetką pogotowia, do tego bez wątpienia w towarzystwie troskliwej siostry. Wówczas obsługa całej imprezy spadłaby całkowicie na barki Laurie.

Już i tak musiała się podejmować większości prac domowych. Wprawdzie Simon (po tym, jak mu zagroziła, że pojedzie do Oksfordu i nie wróci przed niedzielą wieczór), zaoferował łaskawą pomoc w przygotowaniu śniadania. Zaparzył kawę i smażył kielbaski na grillu, piorunując przez cały czas wzrokiem wynajęty personel.

— Powiem szczerze — gderał — mogliście się bardziej postarać. Ta Wczorajsza burza dawała szansę zrobienia czegoś dużo bardziej efektownego.

Był bardzo otwarty, jeśli idzie o okazywanie emocji wobec *les domestiques*, i gromił głośno Gaunta za szwendanie się w nocy po domu. Odmówił osobistego obejrzenia nogi i oświadczył, że nie zapłaci im całej umówionej stawki za weekend. Mało tego, jeżeli nie wezmą się w garść i nie poprawią swego zachowania, nie zobaczą złamanego grosza. Zakończył sugestią, że gdyby któreś z nich miało czelność poprosić go o referencje, to sformułuje je w taki sposób, że potencjalny pracodawca będzie wolał na ich miejsce zatrudnić nosicieli dżumy. Później powrócił do kielbasek, dżgając brutalnie lśniące pęta przed wrzuceniem ich na gorący półmisek.

Ale zły nastój Simona nie trwał długo i kiedy Laurie zaniósła do jadalni następną porcję croissantów oraz galaretkę z pigwy domowej roboty, rozsyłał już uśmiechy na prawo i lewo, a Sheili Gregory nalał filiżankę chińskiej herbaty. Teraz natomiast — Laurie skończyła na chwilę robotę i spłukiwała mydło z rąk — widziała go na murawie, jak uczy Rosemary podstaw krokieta. Najwidoczniej było to zajęcie wymagające strasznie dużej bliskości. Stał tuż za nią i obejmował ją w pasie rękoma, robiąc jednocześnie zamach młotkiem. Jednak później nie nastąpiło spodziewane ciche uderzenie drewna o drewno. Zdziwiająco, pomimo całej swej skupionej uwagi nie trafili i musieli zaczynać od początku.

Laurie ze smętną miną wycierała ręcznikiem ręce. Rosemary była śliczna. Nosiała słomkowy kapelusz od słońca przewiązany aksamitnymi tasiemkami, a jej obszerny, przypominający piżamę strój falował i wydymał się, kiedy się poruszała. Ocieniona szerokim rondem twarz wyglądała blado i interesująco.

Gdybym tylko była wyższa, pomyślała Laurie uderzona nagłym bólem. Albo nie tak smągła i nie tak mocno zbudowana. Albo gdybym miała lśniące włosy i ładne brwi, i pozbyła się piegów. I do tego paznokcie w kształcie idealnych migdałów, wymalowane na truskawkowy róż. Nie mogła zrozumieć tej swojej nagłej awersji do własnego wyglądu. Wcześniej nigdy nie miała kompleksów z tego powodu. Satysfakcji również nie odczuwała. Po prostu nie zwracała na to uwagi. Więc skąd to raptowne palące pragnienie, żeby się zmienić?

Na murawie pojawiła się teraz Sheila Gregory, w sięgającej nieomal kostek wyszczuplającej sukience z białego lnu, białym turbanie i przeciwsłonecznych okularach z oprawkami przypominającymi skorupę żółwia. Stała i pomachała beznadziejnie młotkiem, a Simon, skłoniwszy w końcu kulę Rosemary do przejścia przez bramkę, zwrócił uwagę na nowo przybyłą i natychmiast oboje pograżyli się w czymś, co sprawiało wrażenie uroczego połączenia nieporadności i niestosowności. Widząc, jak Sheila wykręca głowę i zaśmiewa się z ustami w odległości paru centymetrów od swego towarzysza, Laurie zastanawiała się, co by pomyślał Derek, gdyby zobaczył ów zmysłowy uścisk. Ledwie zdążyła o tym pomyśleć, gdy drzwi się otworzyły i wszedł ten ostatni.

—No tak, tu jesteście! — zawołał oskarżycielskim tonem. Bennet udała, że go nie dostrzega. Gaunt porwał się, żeby wstać.

—Nie ma potrzeby. Możesz usiąść. Siadaj — powtórzył Derek i kamerdyner, niczym posłuszny mastif ponownie klapnął na krzesło.

—Będę teraz kontynuował dochodzenie w sprawie nadzwyczajnych wydarzeń, które miały miejsce dzisiaj we wczesnych godzinach rannych. Zakładam, że nie muszę odświeżać waszej pamięci?

—Nie sędzę, sir. Złamana noga nie daje zapomnieć.

—Otóż to — Derek ochoczo przeszedł do porządku nad nieistotnym szczegółem. — Po pierwsze, muszę dokładnie wiedzieć, dlaczego w ogóle znalazłeś się na schodach?

—Myślałem, że zostawiłem otwarte okno.

—Myślał, że słyszy włamywacza.

Laurie nie zdziwił ten brak zgodności. Oprócz krótkiego wspólnego wystąpienia na froncie antymedycznym, para ta zdawała się zamieszkiwać całkiem osobne światy. Gaunt rozczulał się nad swoją zranioną nogą, a Bennet w ściśle kontrolowany sposób wykonywała skromne zadania na tyle, na ile pozwalała jej wada wzroku, i rzucała na partnera spojrzenia tak pełne gniewu, urazy i dezaprobaty, że kiedy Laurie musiała przejść między nimi, odczuwała je niczym tnące błyskawice.

— Interesująca i wiele mówiąca odpowiedź — orzekł Derek. — Rozumiesz, Laurel, chociaż mieli dostatecznie dużo czasu, żeby wypracować wspólną wersję wydarzeń, postanowili tego nie robić. To z całą pewnością dowodzi albo wyjątkowej przebiegłości, albo kompletnej niewinności. Skłaniam się raczej ku tej drugiej.

—Tak — powiedziała Laurie. — Cóż... proszę mi wybaczyć...

—Rozumiecie powagę sprawy? — Obaj podejrzani przytaknęli. — Dobrze. Wobec tego, Gaunt, przeanalizujemy najpierw historię z oknem.

—Myślałem, że sprawdziłem wszystkie okna, zanim poszedłem spać. Prawie już zasypiałem, kiedy coś mnie uderzyło...

—Co się stało? Ktoś cię zaatakował?

—Ależ skąd, sir. Po prostu myśl. Usiadłem w łóżku. Powiedziałem: „Bennet... ”

—Chwileczkę. Zwracasz się do siostry po nazwisku?

—No... tak, we śnie, sir.

—Bardzo osobliwe. — Derek złączył ze sobą opuszki palców obu dłoni i zaczął maszerować dokoła sprężystym krokiem. — Kontynuuj...

—Powiedziałem: „Bennet, zdaje mi się, że nie sprawdziłem wysokiego okna na końcu korytarza”.

Jakoś nie widzę w tym wiele sensu, pomyślała Laurie. Okno w żółciach i błękitach przedstawiających żonkile i rwące strumienie w stylu Burne-Jonesa miało charakter czysto dekoracyjny. Na wpół zirytowana przestojem — zostało jeszcze dużo do zrobienia przed lunchem, na wpół rozbawiona, jeszcze raz przeprosiła i wyszła do kuchni, żeby zabrać się do pracy.

—Nie mogłem znieść myśli — ciągnął Gaunt — że nie wykonałem swoich obowiązków najlepiej, jak mogłem...

—To była podstawa naszego szkolenia w Blades, sir. Zawsze wykonuj...

—Dobrze, już dobrze — Derek pokazał Bennet ręką, żeby się uciszyła. — Kontynuuj, człowieku.

—Więc założyłem szlafrok i poszedłem na górę. Niepotrzebnie się martwiłem. Z oknem było wszystko w porządku. Ale gdy się odwróciłem, żeby zawrócić, nagle coś się... pojawiło... — kamerdyner zaczął się trząść i zakrył rękoma twarz.

—No dalej... *dalej*... — oczy Dereka zabłyśły.

—Nie mogę... klnę się na moją matkę, sir... Gdyby pan to zobaczył, to by pan wiedział.

—To twój obowiązek — nalegał wielki detektyw, bezwzględnie wykorzystując najsilniejszy argument.

— Cóż... — Gaunt odetchnął głęboko. — Wyrosło jakoś tak z podłogi... przy oknie naprzeciwko mnie i... i zaczęło się wlec i... i sunąć w moją stronę. Widmo. Miało szpony i oczy jak rozżarzone węgle i jakoś tak... jaśniało... — przerażenie zdusiło głos kamerdynera.

W tym opisie Derek nie zdołał się dopatrzeć widmowej postaci pani Gibbs.

—Czy w rodzinie mówiło się o dwóch duchach, panno Laurel? — rzucił pytanie w kierunku pobliskich drzwi.

—O ile mi wiadomo, nie ma żadnego — Laurie, która przecedziła właśnie bułion przez kilka warstw czystej gazy, ubijała teraz energicznie białka. Uderzała dynamicznie trzepaczką w ściankę rondla, mając nadzieję, że Bennet pojmie aluzję i przyjdzie jej z pomocą. Laurie czuła, że znajduje się w trudnym położeniu. Z jednej strony był Derek, już teraz z ogromnymi i całkiem uzasadnionymi żalami (nieobecna przy śniadaniu Laurie nie miała pojęcia, że zmienił zdanie), zajmujący się wreszcie tym, za co zapłacił dwieście pięćdziesiąt funtów: prowadzeniem dochodzenia w sprawie tajemniczego wypadku. Z drugiej strony, za ponad dwie godziny dziesięć osób spodziewa się zasiąść przy stole, na którym mają się znaleźć: zupa z orzechów włoskich, pstrąg z młodymi ziemniaczkami, sałatka z endywii i sałaty oraz truskawki a la Romanoff w pomarańczowych płatkach. Bez sera.

—Oczywiście! — kontynuował rozemocjonowany Derek, chodząc nieustannie tam i z powrotem. — Ta druga postać to, jak sędzę, nikt inny, tylko nasz wczorajszy intruz. Innymi słowy, człowiek, którego widziałem, jak uciekał z tarasu. Rzecz jasna, jako że wszyscy spaliśmy, wtargnął do domu, zarzucił na siebie jakieś zasłony i wziął się do realizacji swych niecznych zamiarów. Oto rozwiązanie.

—Ale... to coś się świeciło, sir...

—Fosforyzujący makijaż, Gaunt. Stara książkowa sztuczka. Jak pies Baskerville'ów. Jestem pewien, że staranne przeszukanie ujawni prześcieradło czy coś podobnego schowane w jakimś starym kufrze albo skrzyni.

—To zniknęło w jakiś magiczny sposób.

—Gaunt, takie rzeczy się nie zdarzają. Ten człowiek musiał znać jakieś sekretne przejście. Wiem, że twój pracodawca zaprzecza ich istnieniu, ale przypuszczam, że nigdy nie przeprowadzono tu wnikliwych poszukiwań. Zaniedbanie, które zamierzam naprawić po zakończeniu sprawdzania tarasu. A teraz... przejdźmy do Martina Lewisa...

— Bennet! — głos Laurie brzmiał ostro i niecierpliwie. Bennet zostawiła zmywanie i popędziła przez drzwi do sąsiedniego pomieszczenia. Tam Laurie poprosiła o pokrojenie ogórka. Zatrzymawszy pokojówkę zdążającą w stronę stojaka z piekielnie ostrymi nożami, podała jej maszynkę do siekania. A gdy Bennet uporowała się z ogórkiem, wskazała jej miseczkę pełną orzechów włoskich, moździerz i tłuczek.

Kiedy Bennet zabrała się do tłuczenia, Laurie zauważyła, że jej biust znajduje się elegancko na swoim miejscu. Jakże głupio z jej strony, że w jego nieobecności dopatrywała się czegoś istotnego. Jasne, że kobieta była płaska jak deska i sama zaopatrzyła się w krągłości, których odmówiła jej kapryśna natura. Nic w tym w sumie dziwnego. W istocie — Laurie spostrzegła ogromne, płaskie stopy i sterczący ostro podbródek — jedyną niespodzianką było to, że naprawienie tego przeoczenia Bennet uznała za warte zachodu.

Ganiąc się w duchu za nieżyczliwość, Laurie wyjęła wielką, drewnianą tacę z żeliwnymi rączkami i zaczęła ustawiać na niej śniadanie dla jednej osoby. Położyła słodką bułeczkę i wiórki prawie białego masła oraz konfiturę z poziomek w naczyniu w kształcie muszli małża.

Przez ostatnie półtorej godziny Laurie wyczekiwała i nasłuchiwała przyjścia Martina. Jego poranna herbata wciąż była nietknięta, jakkolwiek Bennet twierdziła, że stuknęła bardzo głośno, stawiając tacę przed drzwiami. Teraz, zaparzając nowy dzbanek, Laurie spostrzegła, że czuje się dotknięta w imieniu Martina. Można by się spodziewać, choćby przez wzgląd na zwykłe ludzkie współczucie, że ktoś skomentuje jego nieobecność. Zapyta, jak się czuje. Albo zaproponuje, że pójdzie zobaczyć, co się z nim dzieje. Jednak, o ile Laurie było wiadomo, nikt nie wykazał ani krztyny zainteresowania jego osobą. Nawet Rosemary, okazująca tak wielką troskliwość w czasie nocnej katastrofy, wydawała się całkowicie zafrapowana entuzjastycznymi i pełnymi zaangażowania zabiegami Simona.

Nie żeby Laurie się tym przejmowała. Wcale jej się nie podobał dotkliwy ucisk w żołądku, kiedy zmuszona była patrzeć, jak inna dziewczyna ściska głowę Martina na swoich kolanach. Ani też ostre dźgnięcia bólu, które czuła za każdym razem, gdy ta sama biedna głowa uderzała o podłogę w holu. Słuchała teraz wesółych pisków dochodzących z ogrodu i rzucała wściekłe spojrzenia na pochłoniętych grą w krokieta zawodników. Martin mógł sobie tam na górze umierać. Oni mają to gdzieś.

Taca była zastawiona. Pora, by przekazać ją Bennet. Tak będzie najlepiej. Przecież gdyby mu ją sama zaniósła, mogłoby się to wydawać nieco dziwne. Ona, która odgrywa tu rolę, jak to się mówi, pani domu. Z drugiej strony... Martin po przebudzeniu na pewno marnie się czuje. Czego innego można się spodziewać. A Bennet może się zachować trochę... no... szorstko. Laurie spytała się w myślach, czy po ciężkiej, bądź co bądź, nocy chciałaby otworzyć oczy i zobaczyć wąskie, pozbawione uśmiechu usta i kanciastą, owłosioną szczękę. Szczerze mówiąc, nie. Wolałaby raczej młodsze, weselsze i bardziej życzliwe oblicze. Jednak, wracając do rzeczywistości, prawdopodobnie Martin marzy o prześlicznej blondynce sunącej w obłoku kwiecistego szyfonu tym dziwnie wolnym, eterycznie posuwistym krokiem charakterystycznym dla blond piękności ze snów i reklam szamponów. Jakże się rozczaruje, jeśli otworzy oczy i zobaczy przysadzistą osobkę balansującą niepewnie między ponuractwem a elegancją i prawie tak samo eteryczną jak cieleń rasy charoláis. Nie, zdecydowanie lepiej, żeby śniadanie zaniósła Bennet.

Jakby podkreślając zasadność tego postanowienia, pokojówka odwróciła się i spytała:

—Czy to śniadanie dla pana Lewisa? Skończyłam właśnie robotę z orzechami, jeśli chce pani, żebym zaniósła tacę.

—Nie, dziękuję, Bennet — Laurie sama się zdumiała na dźwięk swoich słów. — Mogłabyś się lepiej zabrać za obieranie ziemniaków. Do czyszczenia warzyw używamy zwykle zlewozmywaków w pomieszczeniu obok.

— Dobrze, psze pani.

Przechodząc przez hol na nogach jak z waty, spostrzegła słoneczne nagietki, będące częścią nowej kwiatowej kompozycji w miedzianym dzbanie. Czując, że ich widok dla każdego byłby pozytywnym i uroczym akcentem na rozpoczęcie dnia, wyjęła jeden kwiatek i położyła go delikatnie na bułeczkach.

Martina obudził przeraźliwy harmider. Po chwili oszołomienia odwrócił się na poduszce, próbując odkryć źródło hałasu, a potem żałował, że to zrobił. Ruch ten spowodował, że zdał sobie jasno sprawę z sytuacji i konstrukcji własnej głowy. Ta ostatnia wydawała mu się ogromna, całkowicie kulista i wypełniona wyjątkowo ciężkimi kamieniami, które przy obrocie podążały za nim, najpierw dudniąc i huczając, a potem łomocząc strasznie tuż ponad uchem. Gdyby był na tyle niemądry, żeby odwrócić głowę w drugą stronę, wszystkie poleciałyby w przeciwnym kierunku. Kiedy usiadł, usadowiły się niczym wał z gładów tuż za jego brwiami.

Hałas pochodził od czerechy ptaków. Kapela na parapecie okna. Jako całość odrobinę zwichrowana, ale głośne toto — jak diabli. Szczególnie ostrymi dźwiękami popisowały się samczyki kosów. Kto by pomyślał, zdziwił się Martin, że takie maleństwa mogą narobić takiej wrzawy!

— Sio mi stąd! — zawołał. Zatrzymały się na chwilę i zajrzały bystro do środka. Pomachał ręką, jeszcze raz krzyknął, odleciały, wszystkie prócz jednego kosa, który spojrzał szyderczo i zaczął stukać w szybę, powodując dźwięk zbliżony do wiertarki pneumatycznej.

Martin schował się pod kołdrę, po czym zawstydzony faktem, że pokonał go tak filigranowy przeciwnik, zahuśtał stopami z boku łóżka, wstał na mocno trzęsących się nogach i natychmiast ponownie usiadł. Czuł się po prostu strasznie. Bolała go każda kość, od maleńkiej kosteczki palca u nogi do masywnych kości strzałkowych i udowych. Skórę miał posiniaczoną, obolałą i zaognioną jak po oparzeniu. Ramiona i szyja były chyba przez całą noc ściśnięte w imadle. Czuł, jakby całe jego ciało zostało fachowo poćwiartowane, a potem niefachowo na powrót złożone. Nawet zęby mu stukotały. Osunął się gwałtownie na bok łóżka i powoli, bardzo powoli spuścił głowę, która spoczęła w końcu w jego dłoniach.



Pamięć powracała fragmentami. Przypomniął sobie przekradanie się do pokoju Greuze'ego. Następną rzeczą, jaką pamiętał, był moment, kiedy pochwycił go jakiś ogromny przeciwnik, który wychynął z mroku niczym yeti i zwałił go ze schodów. Potem mgliste wspomnienie o tym, jak ktoś pomaga mu wstać. I to wszystko.

Martin nie potrafił natomiast przywołać w pamięci żadnego obrazu Rosemary w roli oddanej pielęgniarki. Chłodnej dłoni na poturbowanym czole, czułego uśmiechu, szklanki wody troskliwie przytykanej do spierzchniętych warg. Choć woda bez wątplenia musiała brać udział w dramacie. Włosy i bluzę od pizamy miał kompletnie przemoczone.

Ujrzał siebie stojącego przy łóżku pani Saville. Przebudziła się — albo sprawiała wrażenie, że się budzi — a on umknął. Ta sytuacja stała mu przed oczami jak żywa i pomimo wpływającego przez okno ciepłego powietrza Martin zaczął dygotać. Może właśnie dlatego nie pojawiła się żadna Florence Nightingale, kiedy leżał na wpół przytomny na posadzce w holu. Czyż nie ustalili wspólnie z Rosemary (wrota pamięci się uchylili), że jak tylko jej matka zapadnie całkowicie w sen, on ruszy w stronę pokoju Greuze'ego, żeby mogli „być razem”? Było prawie pewne, stwierdził smutno, że jako Don Juan okazał się beznadziejny.

Przed Martinem rozsnęła się naraz nie wspomnień, ukazując cały obiad wraz ze ścieżką dźwiękową skrząceją się dowcipem, błyskotliwej wymiany zdań. Kolejna nieudolna fuszerka, którą potwierdza spory czarny siniak na podbiciu stopy. Rzeczywiście, wzięwszy wszystko razem, jego próby przekonania głowy klanu Saville, że właśnie on jest facetem godnym spłodzenia następnej generacji rodu, okazały się kompletnym niewypałem. Wczoraj o tej porze pani Saville w ogóle go nie знаła. Tymczasem dziś wiedziała już, że jest młodym człowiekiem z powierzchowną wiedzą na temat terierów sealyham i prastarych chińskich obyczajów, który w środku nocy mocuje się z podejrzanymi osiłkami i miewa zaniki pamięci. Trudno to nazwać postępem.

Naturalnie (Martin odrobinę się rozpogodził), o ślubie z Rosemary bez błogosławieństwa jej matki nie mógł nawet marzyć. Brak jej zgody mógł rozwiązać wszelkie ich marzenia.

Ale niewykluczone, że czekają ich nowe marzenia, a on był pewien, że zarówno Rosemary, jak i on sam jakoś dadzą sobie radę. Trzeba tylko czasu. A przy okazji ominęłoby go niebezpieczeństwo posiadania hipopotamowej teściowej.

Stukanie do drzwi. Martin wydukał zaproszenie do wejścia. Rozległ się klekot naczyń stołowych i do pokoju weszło dziewczę dźwigające wielką tacę, pośrodku której błyskało coś koszmarnie, wyzywająco, bez opamiętania pomarańczowego, co rozsadzało źrenice Martina. Zamknął oczy. Kiedy je znowu otworzył, dziewczyna odstawiła tacę na biurko i stała zaczerwieniona, wpatrując się w swoje sandały. Rzuciła na niego szybkie spojrzenie, powiedziała: „Mam nadzieję-że-czujesz-się-teraz-lepiej”, i ponownie skupiła wzrok na sandałach.

—Owszem, dziękuję — odparł Martin automatycznie, bez zastanowienia, a po chwili dodał: — Właściwie, niespecjalnie.

—Herbata mogłaby ci pomóc. Mam ci nalać?

—Proszę bardzo. — Obserwował, jak manipuluje przy ciężkim, brzuchatym dzbanku, i podziękował za cukier. Kiedy podała mu filiżankę, zauważył, że chociaż nie sięga nawet stu sześćdziesięciu centymetrów, nie jest bynajmniej dzieckiem, ale całkiem dużą dziewczynką. Czternaście, może nawet piętnaście lat. Ma piękne, ciemnoniebieskie oczy i wygląda jakoś znajomo.

—Przyniosłam też aspirynę. Pomyślałam, że na pewno okropnie boli cię głowa.

—Faktycznie — przyznał Martin, dotknął głowy i poczuł złowieszcze gromadzenie się kamieni przed ich migracją na południe. — Oooh, zgadza się...

—A tu są świeże bułeczki. Posmarować ci jedną? Mam dżem domowej roboty.

—Wystarczy aspiryna. Dziękuję.

—Ile? — Odkręciła buteleczkę, a on zauważył że ma cudownie brązowe ręce, błyszczące i spieczone przez słońce.

—Ile masz?

—Myślę, że nie powinieneś brać więcej niż trzy naraz. — Wytrząsnęła tabletki i umieściła je ostrożnie na jego dłoni. Spostrzegł, że jej ręka drży, a kiedy ich palce zetknęły się przypadkowo, podskoczyła na równe nogi i wycofała się w stronę drzwi. Najwyraźniej wyjątkowo nieśmiała. Mruczała coś, że musi już iść i doglądnąć iososia. A więc pomaga w kuchni. Może córka tej pokojówki ze skwaszoną miną?

Martin pokuśtykał przez pokój i zamknął drzwi, żeby mu nie przeszkadzano, po czym jeszcze raz chwiejnym krokiem podreptał do łóżka. Połknął aspirynę, odrzucając przy tym głowę do tyłu, żeby łatwiej przełknąć. Poważny błąd. Zanim zdołał odzyskać równowagę, starzy znajomi: głązy i dzwoneczki byli już z powrotem. Zaintonowali *Kiedy święci maszerują*. Martin wślizgnął się pod kołdrę i pozwolił im kontynuować.

TLR

## Rozdział piętnasty

---

Derek ze sprzętem do pobierania odcisków palców w ręku sprawdzał przestrzeń tarasu. Przez szkło powiększające oglądał pasek ziemi między kamienną kostką a ścianą domu, odsuwając na bok kępy fiołków, żeby lepiej zobaczyć ewentualne odciski stóp. To, co znalazł, albo raczej to, czego nie znalazł, wielce go zdumiało. Czyżby szukał pod niewłaściwym oknem?

Wrócił do domu i biblioteki. Chociaż meble były już przestawione, miejsce, w którym siedziała Sheila, kiedy krzycząc ze strachu, podskoczyła na nogi, pamiętał całkiem wyraźnie. Spojrzał w stronę, w którą pokazywała palcem. Tak — to było centralne okno, na pewno. Przeszedł przez pokój i przyjrzał się bliżej. Zgadza się, dywan wciąż był mokry w miejscu, które zalał deszcz, a to przesądzało sprawę.

Wyszedłszy z powrotem na taras, poddał glebę wyjątkowo dokładnej obserwacji, łamiąc przy okazji kilka goździków. Potem zwrócił uwagę na parapet Okienny, chroniony przez wystające nadproże, wskutek czego przynajmniej ob-sypująca się ściana pozostała suchutka. Derek wytrząsnął swoje drobniutkie alu-miniowe granulki i dmuchnął w nie delikatnie. Pewna ich ilość wpadła mu do nosa; reszta zniknęła w mchu i pobliskiej szczelinie. Niezrażony manewrował szkłem powiększającym, to przysuwając je, to znów gwałtownie oddalając. Nie było łatwo rozpoznać ślad ludzkiej ręki, lecz przecież musiał tam być, gdyż brak odcisków stóp na skrawku ziemi oznaczał, że aby przycisnąć twarz do okna, intruz musiał opierać dłonie o parapet. Derek wytrząsnął większą ilość proszku. Oczywiście, byłoby idealnie, gdyby dało się przenieść ślad na wypolerowaną powierzchnię niewystawioną na działanie warunków atmosferycznych. Jednak prawdziwy detektyw nie może oczekiwać wyłącznie łatwych rozwiązań.

Naturalnie Derek ani przez sekundę nie rozważał na serio możliwości, że twarz, która tak wystraszyła jego żonę, należała do aktora. Był przekonany, że Simon poparł opinię Rose-mary tylko po to, by uspokoić pozostałych gości, a

także w celu zdobycia ich uznania, że miał na tyle rozumu, by wpaść na taki pomysł i wykonać dobry kawał reżyserskiej roboty.

Przykucnął teraz, żeby po raz ostatni zbadać wąski pasek ziemi, na wypadek, gdyby między zgniecioną kępą fiołków a świeżo przyciętymi goździkami pierzastymi znajdował się guzik, kosmyk włosów albo niedopałek boliwijskiego cygara, jednakże zmuszony był przyznać się do porażki. Ziemia i kwiaty. Nic więcej.

Wstał i się zamyślił, gdyż w przypadku braku materialnych wskazówek do pracy należy zaprząć intelekt. Jak zawsze, będąc w trudnej sytuacji, Derek wyobrażał sobie siebie w skórze Mistrza. Jak postąpiłby Holmes? Zaledwie sformułował pytanie, a już spłynęła na niego odpowiedź. W mgnieniu oka znalazł się w pokoju Vuillarda i zabrał się do bezwzględnego katowania *Barcarolli* Offenbacha. Rozwiązanie nie przyszło jednak prędko. Zdażyły jeszcze wyzionąć ducha *Blade dłonie, które kochałem* i *O, srebrzysty księżycu*, zanim Derek ujawnił swój następny krok.

— Muszę przesłuchać Martina Lewisa — powiedział na głos, odkładając zamęczony instrument do futerału.

Wyciągnął swój zegarek z dewizką. Jedenasta trzydzieści. Najwyższa pora, żeby wszyscy porządni ludzie byli na nogach. Rzecz jasna, zadumał się, przechodząc przez korytarz, nie było niczego, co na tym etapie pozwoliłoby połączyć twarz w oknie z awanturą na schodach. Mimo to z pewnością muszą mieć ze sobą związek. Dwa tak niezwykle wydarzenia jednego wieczoru nie mogą być czystym zbiegiem okoliczności. Podszedł do drzwi pokoju Watteau i mocno zapukał.

Nie było odpowiedzi. Derek czekał chwilę, po czym nacisnął klamkę. Zamknięte. Zastukał jeszcze raz i przytknął usta do futryny.

— Lewis!

Żadnej odpowiedzi. Derek zacisnął usta. Jeśli ludziom się wydaje, że chowając się za zamkniętymi drzwiami, unikną przesłuchania, niech się lepiej dobrze zastanowią.

Uniósł w górę pięści i zaczął walić w drzwi. Po chwili usłyszał dochodzący zza nich stłumiony okrzyk. Martin się jednak nie pokazał. W końcu Derek postanowił zaprzestać dobijania się — facet z pewnością pojawi się na lunchu — i skierował swą uwagę na korytarz i tajemniczą „zjawę” kamerdynera.

Derek, tak jak zrobiłby to każdy wnikliwy detektyw, pominął gniewne, czerwone oczy i haczykowate pazury. Kiedy przepytywał Gaunta, ten wciąż był bardzo zdenerwowany i zapewne zależało mu, by wzbudzić współczucie u swoich pracodawców, którzy być może jego karygodne nocne zachowanie potraktowałyby wtedy ulgowo. A więc... kiedy wyeliminuje się wszystko, co niemożliwe (drugi duch lewitujący nad deskami podłogowymi), cokolwiek pozostanie, choćby nie wiem jak nieprawdopodobne, musi być prawdą.

Kiedy zjawa się zmaterializowała, Gaunt stał przed witrażowym oknem Burne-Jonesa i wpatrywał się w drugi koniec korytarza. Derek podszedł teraz do drugiego okna i przyjrzał mu się dokładnie. Witraż przedstawiał kobietę z ogromnym, luźnym kokiem w intensywnie musztardowym kolorze, wydatną szczęką i raczej nieobecnyimi oczami o ciężkich, przymkniętych powiekach. Miała ona mlecznobiałą, prawie niebieskawą karnację i dźwigała wielki pęk kalii. Jak większość żeńskich postaci u prerafaELITÓW sprawiała wrażenie na wpół śpiącej.

Ale Derek nie mógł tracić czasu na rozważanie estetycznych niuansów. Zatrzymał się jedynie po to, by się upewnić, że okno pełniło dokładnie tę funkcję, do jakiej było przeznaczone, po czym zwrócił uwagę na ściany i podłogę. Tutaj natychmiast pojawił się problem.

Po jednej stronie korytarza listwa przypodłogowa biegła wzdłuż całej jego długości, a po drugiej aż do schodów również bez żadnej rysy, pęknięcia czy złącza, co istnienie ukrytych drzwi czyniło wysoce nieprawdopodobnym. Natomiast pomiędzy dwojgiem drzwi po lewej stronie Dereka (państwo Gibbs i państwo Saville) a tymi po jego prawej (seniora rodu Gibbsów i Laurel) stały półokrągłe stoliki obrzeżone delikatnymi złoceniami, pełne miniaturowych portrecików i innych bibelotów. Derek miał świadomość, że żadne z tych rzeczy nie zostały ani o milimetr poruszone, jako że sam poprzednio bardzo szybko znalazł się w tym miejscu. Mimo wszystko postanowił żadnego centymetra kwadratowego nie po-

zostawić bez sprawdzenia i poczynając od okna, zabrał się za obserwację i obmacywanie spłowiełej tapety naśladowującej terakotę;

Odsunął stoliki od ściany i przysunął je z powrotem, lecz po dziesięciominutowym skrupulatnym badaniu zmuszony był przyznać się do porażki. W żadnej ze ścian nie znalazł ukrytego przejścia. Wpatrując się zmrużonymi oczyma przez szkło powiększające, przeczesywał na powierzchni około czterech stóp kwadratowych włos grubego chodnika w nadziei na odnalezienie jakiejś bruzdy wskazującej na zmyślnie ukrytą klapę. Niestety, istna klapa.

Derek dźwignął się na nogi i roztarł bolące kolana, po czym stanął w obliczu dość niepokojącej konkluzji. Ze względu na nieprzepuszczalność ścian i podłogi intruz mógł tu wtargnąć jedynie poprzez drzwi prowadzące do którejś z sypialni Gibbsów. A zdając sobie sprawę, że skradanie się przez pokój z dwiema śpiącymi osobami jest dwukrotnie bardziej ryzykowne niż skradanie się przez pokój z jednym śpiącym lokatorem, Derek był skłonny stawiać na sypialnię starszej pani.

Zbierał się już, by dokonać najścia, gdy otworzyły się drzwi pokoju Martina i ukazał się w nich sam podejrzany. Z okrzykiem satysfakcji Derek pogalopował wzdłuż korytarza. Drzwi zamknęły się z trzaskiem. Zdeprymowany powęszył wokół dziurki od klucza, dopóki odgłos spływającej wody nie upewnił go, że traci czas, wobec czego pomaszerował z powrotem i wszedł do pokoju Degasa.

Pierwszą rzeczą, która go uderzyła na progu, był zapach. Albo raczej zapachy. Wydawało się, że jest ich kilka, a każdy stara się zdominować pozostałe. Najbardziej przyjemny dochodził z płytkiej turkusowej misy wypełnionej mieszanką aromatycznych ziół. Podkreślała go jeszcze ostra i ciepła sta-jenna woń przypominająca maść dla koni, tracąca z kolei mocnym zapachem anyżowych kuleczek.

Derek wciągnął powietrze w nozdrza i zaczął się rozglądać dokoła. To miejsce musi obfitować we wskazówki i prawie na pewno kryje tu gdzieś fosforyzującą płachtę, jako że zabranie przebrania ze sobą mogłoby bardzo utrudnić ucieczkę. Na fotelu znalazł długi zwój intensywnie różowego, przypominającego len materiału wzmacnianego w regularnych odstępach fiszbinami i obszytego jaskraworóżowymi koronkami. Przyjrzał mu się uważnie, lecz nie będąc w stanie

ustalić, czy ma istotne znaczenie dla przebiegu zdarzeń, zwinął go na powrót i odłożył na miejsce. Na stoliku nocnym leżało puste pudełko po herbatnikach, najnowsze wydanie *Horoskopu na koniec wieku* i *Oto duch! Nekromancja dla początkujących* autorstwa Iris Wendover.

W łazience znajdowały się: stateczna włosiana szczoteczka do zębów i pojemnik na środek do ich czyszczenia, groźnie wyglądająca drucziana szczotka do włosów i szklany słoiczek bez etykiety zawierający gęstą żółtawą substancję, która równie dobrze mogła być niedźwiedzim łojem.

Derek wrócił do sypialni, usiadł i się zamyślił. Pojawił się istotny problem i to bez dwóch zdań. Problem na dwie fajki, szczerze mówiąc, ociągał się jednak przed zapaleniem w tej ograniczonej przestrzeni, obawiając się, że nawet jeśli otworzy wszystkie okna, i tak nie pozbędzie się charakterystycznej woni Bulwarka, która będzie walczyć o lepsze z ziołami, maścią dla konia i kuleczkami anyżu.

Wydawało się, że były dwa miejsca, w których widmo mogło się ukryć. Za sięgającymi podłogi zasłonami lub w szafie. Zasłony były jednak odrobinę przykrótkie, a po rozciągnięciu, z pewnością nie zdołałyby zasłonić sporej męskiej postaci. Istniała też możliwość, że starsza pani mogła postanowić je rozsunać, co prawie na pewno spowodowałoby odkrycie intruza, a w konsekwencji jego pochwylenie (Derek nie potrafił sobie wyobrazić pani Gibbs omdlewającej i piszczącej nerwowo w takiej sytuacji). Nie — szafa to najpewniejsze miejsce.

Był to wielki mebel z drzewa różanego, bez nóżek, wysoki na prawie siedem stóp. Podwójne drzwi miały zdobienia ze srebra i kości słoniowej. Derek otworzył jedno skrzydło i wszedł do środka. Jeszcze więcej maści leżącej na przemian z naftalinowymi kulkami na mole. Całe mnóstwo ubrań odpowiednich dla niskiej i przysadzistej starszej damy, z których kilka już widział, wiele zrolowanych różowych części garderoby z żaró-wiastymi koronkami i kilka par majtek długości i obwodu rękawa lotniskowego rozpostartych na wieszaku. Jednak poszukiwanego tropu — ani śladu.

Derek przesunął wieszaki to w jedną, to w drugą stronę, postukał mocno w twarde drewno. Wobec braku szukanej płachty i jakiegokolwiek wskazówki, natu-



ralną koleją rzeczy musiała się pojawić frustracja. Po sprawdzeniu pod łóżkiem i na łóżku, przeszukaniu wysokiej komody, co prawda niechętnie, doszedł jednak do wniosku, że być może pomylił się w założeniach i że należało raczej zbadać pokój Hogartha. Przygotował się do wyjścia i stanął w drzwiach, by dokonać końcowej lustracji. Wówczas to zobaczył. Na szczycie szafy, dokładnie pośrodku. Było płaskie, białe i złożone.

Drżąc z podniecenia, umieścił z boku szafy jedyne znajdujące się w pokoju krzesło w stylu Hepplewhite'a, z oparciem w kształcie liry i żółto-kremowym atlasowym obiciem, postawił zdecydowanie swoje zabłocone buty na siedzeniu i wszedł na górę.

Prawą dłonią uchwycił się krawędzi szafy i wyciągnął lewą najdalej jak potrafił. Niewystarczająco daleko. Ruszył ku drugiej stronie szafy i powtórzył poprzednie czynności. Ten sam rezultat. Derek zazgrzytał zębami. Był zdeterminowany, żeby pochwycić znalezisko. Podskakując nieco, żeby zwiększyć zasięg ramion, miał przed oczami scenę, kiedy wkracza na taras wypełniony schodzącymi na lunch osobami i nagle teatralnym gestem rozpościera przed nimi płachtę, wołając: „Oto macie swoją zjawę!”.

Znowu podskoczył, tym razem trochę wyżej. Musnął palcami materiał. Jeszcze jeden skok powinien wystarczyć. Derek przykucnął, żeby się lepiej wybić. I wówczas, w powietrzu, uderzyła go myśl, że w zasadzie należało umieścić krzesło na wprost szafy, skąd sięgnięcie do płachty (nieskazitelnie czysta, bawełniana flanela bez połysku) byłoby dziecinnie proste.

Mimo to uchwycił się palcami fałd tkaniny i poleciał do tyłu, pociągając wszystko za sobą i jedną nogą uderzając w szafę, a drugą w delikatną środkową rozpórkę liry, wskutek czego przełamał ją na pół. Opatulony w białe zwoje, zachwiał się i upadł do tyłu, waląc mocno głową o ścianę. Ku jego przerażeniu ściana, zamiast stawić opór, którego należałoby się spodziewać, ustąpiła i Derek poczuł, że spada dalej. Nie widząc nic przed sobą, młócił rękoma powietrze, ciągnął za płachtę i kopał nogami w krzesło. Na koniec rozplatał się, poderwał na nogi i stał, wpatrując się w to, co było przed nim. Kilka stóp od szafy, bezpośrednio pod srebrzystym kinkietem znajdowały się szeroko otwarte drzwi.

Derek wpatrywał się w nie z wytrzeszczonymi oczami, otwartymi ustami, niemal dławiąc się z emocji i niedowierzania. Upuścił tkaninę — teraz to odkrycie wydawało się niesłychanie błahe — i stał przez długą chwilę nieruchomo, wstrzymując oddech i jaśniejąc od poczucia własnej wartości. Udało mu się!  
*Znalazł tajemne przejście!*

Samolot wspiął się w błękit, rozwijając za sobą strumień bąbelków zsiadłego mleka. Sheila Gregory i Simon przerwali na chwilę swoje zjednoczone wysiłki zmierzające do przekonania kuli do przejścia przez najbliższą bramkę i zapatrzyl się w niego, odchylając w tył głowy. Srebrzysta maszyna wznosiła się coraz wyżej. I coraz dalej.

Jakże nieskomplikowane, porządne i czyste musi się wszystko wydawać z tego niebiańskiego punktu widzenia, pomyślał Simon. Teraz, gdy zabawa już się rozpoczęła, wszyscy wcielili się w swoje role, a „machiny zbrodni” nie można już było zatrzymać, odniósł nagle wrażenie, że przygniata go potworne brzemie i poczuł ukłucie zazdrości wobec wyzwolonego mężczyzny z chmur.

— Och... Źle uderzyłam.

— Trudno. — Na powrót zwrócił uwagę na Sheilę i objął ją ręką w tali, po czym ruszyli przez ciepły aksamitny trawnik, żeby odszukać kulę. Rosemary, stojąca nieco dalej, wydała okrzyk rozczarowania i dołączyła do nich w podskokach.

—Nigdy nie zgadniesz, Simon, co zrobiłam.

—Więc nam powiedz — poradziła Sheila.

— Zrobiłam taki wymach młotkiem, że zmiotłam z ziemi moją bramkę.

— O rany — powiedział Simon.

—Powinnaś raczej uderzać w kulę, a nie w bramkę — poradziła Sheila.

—Pani Gregory, gra pani już prawie pół godziny — odparła Rosemary. — Czy pani mąż nie będzie się czuł opuszczony?

—Nie sędę. Prawdopodobnie wyszedł, żeby polować na podejrzanego intruza. A twoja matka nie czuje się aby opuszczona?

—Nie sędę. Jest bardzo niezależna. Do tego tyle czasu spędzamy wspólnie, że z przyjemnością ode mnie odpocznie.

— Bezwzględnie. Ja na jej miejscu na pewno bym odpoczęła.

—A ja jestem już dość dorosła, żeby wychodzić bez niej. W zeszłym miesiącu skończyłam dziewiętnaście lat.

—Dopiero dziewiętnaście? — Sheila zdjęła swoje okulary przeciwsłoneczne w szylkretowych oprawkach, by przyjrzeć się dziecięcemu fenomenowi. — Coś takiego... — zamilkła, dając do zrozumienia, że tylko dobre maniery powstrzymują ją przed bardziej dosadnymi wyrazami niedowierzania.

—Może przydałyby się pani silniejsze okulary? Rozumiem, w średnim wieku... — śmiech Rosemary zabrzmiał lodowato.

—Może lepiej chodźmy i rozwiążmy ten problem, co wy na to? — Simon ruszył zamaszystym krokiem, a za nim pędem ślicznotka wraz ze smukłą uwodzicielką. Podniósł bramkę i osadził ją na powrót w darni. — No i dobrze.

—Och...! — westchnęła Rosemary i różowo zakończonymi palcami musnęła jego rękaw. — Po prostu *uwielbiam* praktycznych mężczyzn.

Na przedpołudniowej kawie, którą podano na tarasie dość późno, nie było prawie nikogo. Kiedy Laurie przybyła spieszenie z tacą, znalazła jedynie panią Saville i panią Gibbs, siedzące w porannym słońcu sztywno, jakby połknęły kiję. Dzielili je odległość około piętnastu stóp i gęste niczym błoto i wciąż gęstniejące milczenie. Obie damy porzuciły krótkotrwały flirt z modą minionej epoki. Pani Saville miała na sobie sukienkę z surowego lnu z jasnobrązowym paskiem, pani Gibbs szkaradny kardigan koloru żółtawej ochry ściśnięty przy szyi broszą w kształcie króliczej łapki, spódnicę barwy szpinaku obrębianą bajeranckim brzegiem, czarne, siatkowe mitenki i kapelusz. Laurie podała starszej pani kawę i poczęstowała ją „kocimi języczkami” z talerza z niebieskiej majoliki.

—Pani Gibbs, dowiedziałam się od brata, że widniała pani ducha.

—Trudno powiedzieć, żebym widziała. Po śniadaniu go nie było — odparła starsza pani. — Ni ociupinki. Nie można na nich polegać. Pojawiają się i znikają jak zające. Rzucę jeszcze raz okiem przed obiadem. Ani chybi dadzą mi się we znaki — dodała, krzywiąc się na ciasteczka i zgarniając wszystkie oprócz trzech.

Pani Saville przyjęła jedno i przed położeniem na podstawek ostentacyjnie, niczym licytator, uniosła je do góry.

— To takie zachwycające, Laurel — skinęła w stronę pojemników z oleandrami i drzewkami laurowymi oraz drepczących gołębi. — Prawie żałuję, że ten weekend nie może trwać wiecznie.

Już trwa, pomyślała Laurie i zamruczała w podzięcie coś stosownego. Jeden z pawi, zwęszywszy darmową ciastkarnię, zbliżył się, ciągnąc za sobą wspaniałą tren jaskrawookich piór.

—Grzeczny ptaszek — pochwaliła go pani Saville, upuszczając pachnący wanilią okruch. — Jaki uroczy widok. Czy to rzeczywiście prawda, że ich ogony są tak silne, iż mogą złamać człowiekowi nogę?

—Hm... Myślę, że to się tyczy raczej łabędzi.

—Och, na pewno nie. Łabędzie prawie w ogóle nie mają ogona. Widzę, Laurel, że nie jesteś miłośniczką ptaków.

Laurie ochoczo przyznała jej rację i stwierdziła, że nie odróżnia bociana od bąka. Pani Gibbs zahaczyła wtedy najmniejsze palce dłoni o kąciki swoich ust, zagwizdała przeraźliwie i zawołała o dolewkę. Laurie uniosła czajnik z kawą.

—A co tam u kamerdynera, panienczko?

—Niestety, zranił się w nogę.

—Dobrze mu tak. Żeby w jego wieku zabierać się za zbroję. Do tego rodzaju spraw trzeba się wprzód przygotować. Zacząć od czegoś mniejszego. Na przykład od szafki do przechowywania mięsa. Przekaż mu to.

—Nie omieszka — uśmiechnęła się Laurie.

Pani Saville nie słuchała tych podejrzanych bredni i skoncentrowała się na złotych odblaskach nad głową. Gołębie gruchały swój refren podkreślający brzmienie dziewczęcego śmiechu. Wysuwając mocno głowę, pani Saville mogła dojrzeć swoją córkę przechadzającą się po murawie z Simonem. Jego ręka spoczywała na ramieniu Rosemary, a ich twarze były blisko siebie. Pani Saville zajęła na powrót swoje miejsce i przytaknęła z zadowoleniem głową. Była całkiem pewna, pomimo żarliwych zapewnień i protestów Rosemary, że wcale nie kochała ona do szaleństwa swojej ostatniej zdobyczy. Jej córka w ciągu ostatnich trzech czy czterech lat kochała kilku młodych mężczyzn „bardziej niż kogokolwiek na całym świecie, mamusiu”, z których każdy był mniej lub bardziej odpowiedni. Żaden nie był jednak tak nieodpowiedni jak ostatni, który wydawał się, jeśli sądzić po chaotycznym bajdurzeniu Rosemary, swego rodzaju koczownikiem, oględnie mówiąc. To niewątpliwie jeden z tych „fachowców”, którzy szwendają się, pukając do drzwi mieszkań, i przekonują starszków, żeby rozstali się ze swoimi oszczędnościami. Potem znikają, zostawiając spartaczoną robotę, by po paru miesiącach pojawić się w jakimś programie ochrony konsumentów, w trakcie ucieczki na złamanie karku przed grubym facetem z mikrofonem.

Tymczasem Simon — pani Saville zerknęła jeszcze raz, by się przekonać, że Sheila Gregory wciska się między idącą parę — Simon należał do całkowicie odmiennej kategorii. Jeżeli nawet sam nie był bogaty, to naturalnie posiadał wielce satysfakcjonujące znajomości. Rzecz jasna, jego zainteresowanie osobą Rosemary mogło wynikać jedynie z jego zaangażowania w rolę gospodarza, lecz pani Saville miała na ten temat inne zdanie. Zbyt często w przeszłości widziała tego typu oznaki. A kiedy Rosemary polubiła młodego człowieka, ten nie miał już zbyt wiele do powiedzenia. Niewielu rzeczom ani ludziom, na które chętkę miała jej córka, udawało się przez dłuższy czas pozostawać nieujarzmionymi.

Tak — pani Saville kończyła skubać swój „koci języczek” — pobyt tutaj okazywał się dużo' lepszy, niż się spodziewała. W istocie pełną przyjemność psuły jej tylko dwie drobnostki. Jedna mniejsza (irytująca obecność grupki parweniuszki), druga znacznie większej wagi. Aż do tej pory praktycznie nie udało jej się znaleźć nikogo, kto miałby ochotę na grę w brydża.

Wszyscy zdawali się zaabsorbowani, jeśli nie dziecinnym morderstwem, to krokiem, a niektórzy po prostu nie robili nic, jakby nie było niczego złego w marnotrawieniu tego najbardziej cennego i ograniczonego dobra, jakim jest czas.

Jedyną osobą, która okazała minimalne zainteresowanie grą, był pan Lewis, lecz pani Saville odniosła wrażenie, że jego dziwaczne nocne zachowanie czyniło z niego partnera do gry dalekiego od ideału. Mimo to, jeśli nie zadeklarują się inni miłośnicy karcianego stolika, nie pozostanie jej nic innego, jak zbliżyć się do tego pierwszego. Gdyż co jak co, ale grę w karty pani Saville po prostu uwielbiała. Dzień bez partyjki był dla niej nie tylko pozbawiony smaku, ale wręcz niemal kompletnie stracony. Nie ruszała się nigdzie bez przynajmniej dwóch talii kart i kiedy akurat nie angażowała się w zacięty bój, trzymała czasami w dłoni niczym talizman jeden z tekturowych prostokątów, odczuwając dreszcz podniecenia i wyczekiwania. Oczywiście nie dało się go porównać z tym, który następową, gdy odwróciło się kartę właściwą stroną ku górze, a oczom ukazywały się cudowne obrazki.

Jako swoją życiową porażkę traktowała pani Saville fakt, że Rosemary pozostawała nieczuła na dreszcze i emocje, jakie szczęśliwa karta potrafi wywołać w sercu człowieka. Pewnego razu jej córka wyraziła nawet opinię, że granie w karty nie ma sensu. Fakt, miała wtedy dwanaście lat, jednak rana była głęboka i wolno się goiła. Myśli pani Saville wróciły do Martina. Jeżeli nie uda się zmontować czwórki do robra, może będzie znał przynajmniej inne gry. Każdy karciarz jakieś zna. Na samą myśl pani Saville poczuła mrowienie w koniuszkach palców.

Czuła się w tej chwili wyjątkowo nieszczęśliwa, gdyż jej stała ekipa do brydża, uległa, zastraszona banda, zrezygnowała ze spotkania w zeszły czwartek z powodu bezsensownej śmierci matki Daviny Bingley. Panna Bingley, stała partnerka pani Saville, przekazała jej bojaźliwie tę informację przez telefon o wpół do szóstej. „O wiele za późno — poinformowała ją cierpko pani Saville — żeby znaleźć kogoś na zastępstwo”. Reszta grupy cieszyła się z chwili wytchnienia, gdyż pani Saville była trudną przeciwniczką. Opanowana, zaciekła i niemal niezwyciężona. W rzadkich przypadkach, kiedy przegrywała, jej rywal nie zdołał nawet zaczerpnąć zwycięskiego oddechu, a już przygniatała go fala milczącej furii, z jaką rzucała karty na rewanżowe rozdanie.

Złożyła właśnie „Telegraph” (wszystkie lepsze gazety dostarczano na czas do śniadania), opróżniła filiżankę kawy i przygotowała się do wyjścia. Nie, żeby nie była całkowicie zadowolona ze swego obecnego miejsca, po prostu nie chciała, by jej sąsiadka zmusiła ją do rozmowy. Wystarczy już tych pretensjonalnych maksym rodem z cygańskiego obozowiska. Ale naraz wydarzyło się coś, co usunęło z jej głowy wszelkie myśli dotyczące opuszczenia tarasu. Usłyszała coś. Zwarty terkot. Krótki i zakończony naprężonym trzepotem; potem ciężkawy stukot. Wszystko to natychmiast się powtórzyło. Pani Saville nie musiała odwracać głowy. Zapalona miłośniczka karcianego stolika dźwięków rozdzielania, tasowania i ponownego składania kart nie mogła pomylić z niczym innym.

Co za fatalny pech! Jakież to irytujące, że z@»wszystkich gości Madingley Grange graczem okazuje się osoba, z którą wykluczona jest jakakolwiek towarzyska rozmowa. Violet, a w razie konieczności nawet koszmarnemu Fredowi można by jeszcze pozwolić założyć koszulkę rywala. W końcu, gdyby tylko rozpocząć grę, to przy pewnej ilości energii i uwagi dałoby się złagodzić najbardziej paskudne aspekty ich osobowości. Ale ta stara, obrzydliwa Cyganka... Pani Saville zacisnęła pięści z frustracji. A stara była widocznie też napalona. Musiała grać, inaczej po cóż by podróżowała z kartami?

Tutaj pani Saville popełniła pierwszy błąd. Słowo „musieć”, sugerujące, że gracz jest w pewnym sensie bezbronny, uzależniony od grania, w przypadku pani Gibbs było całkiem nie na miejscu. Karty nie były dla niej formą przyjemnego spędzania czasu ani orężem, którym można pokonać przeciwnika. Były raczej namacalnym znakiem obecności ciemnej strony życia. Pani Gibbs nie grała w karty, traktowała je raczej jako boski instrument służący przekazywaniu objawień. Przez krótką chwilę ukazywały one niebiański strumień meteorów pędzących przez wypełnioną płonącymi gwiazdami przestrzeń i oddziaływały na te cuda jak żelatyna na garnek z zupą, „którą klaruje i rozjaśnia, odsłaniając oczom jasnowidza runiczne wzory o dynamicznej precyzji i mocy. Owszem, pani Gibbs

zdarzało się grać na pieniądze, ale robiła to całkiem wyjątkowo, niczym olimpijczyk, z klasą i niewzruszonym spokojem graniczącym z pogardą.

Pani Saville nie wiedziała niczego o teurgii i poczuła poirytowanie, spostrzegłszy, że jej uwagę raz za razem zaprzęta przygarbiona postać starszej pani. Pani Gibbs jednym szarpnięciem przysunęła krzesło bliżej stołu. Przełożyła prawą rękę w poprzek brzucha i lekkim łukiem oparła dłoń o metalową krawędź stołu. Potem prędko wyrzuciła rękę na stół i narysowała nią kształt półokręgu. Powstała wielobarwna, niewyraźna plama, gdy karty z furkotem spadały perfekcyjnie jedna na drugą. Następnie starsza pani przykryła ostatnią kartę lewą dłonią, powtórzyła całą procedurę w drugą stronę i karty odwrócone grzbietami do góry z fascynującą, prawie magiczną prędkością i precyzją jeszcze raz powróciły na jej dłoń.

Pani Saville wpatrywała się jak urzeczona z wyschniętymi ustami. Staruszka wyjęła dziesięć kart i rozłożyła je odkryte w formie pięcioramiennej gwiazdy. Pochyliła się nad nimi, jej twarz przybrała dziki i skupiony wyraz, a wargi roztropnie wygięły się ku przodowi. Mamrotała z cicha. Powtarzała wciąż te same sylaby. Pani Saville zrozumiała je jako: „prawie prawie prawie”. Potem pani Gibbs zrobiła jeszcze jeden wszechogarniający ruch ręką i karty zniknęły. Pani Saville wymknęło się odruchowe: „Ach!”, w tej samej chwili jednak odwróciła głowę w bok.

Po chwili, gdy starsza pani nie tylko nie miała zamiaru zareagować na okrzyk, co więcej, sprawiała wrażenie, jakby w ogóle go nie słyszała, pani Saville jeszcze raz rzuciła okiem. Wyglądało, jak gdyby matka Freda zabierała się do układania pasjansa. Karty leżały na stole, a każda jakby na życzenie staruszki zdawała się nagle rozkwitać z koniuszków jej palców. Pani Saville wpatrywała się w milczącą postać w okropnym kardiganie i musiała przyznać, że nigdy nie widziała czegoś podobnego. Nieoczekiwanie, nie odrywając oczu od stołu, pani Gibbs powiedziała:

— Następnym razem już mnie rozpoznasz, paniusiu.

Zażenowana faktem, że nakryto ją na podglądaniu, pani Saville wydała z siebie gulgocząco-gdaczący dźwięk. Odgłos



ten przyciągnął uwagę jednego z gołębi, który poderwał się w górę i próbował usiąść na jej kolanach. Nastąpiła krótka szamotanina, w czasie której usiłowała odegnąć ptaka i wymyślić celną odpowiedź. Przeprosiny naturalnie nie wchodziły w grę. Ale przecież coś trzeba było odpowiedzieć, choćby po to tylko, żeby było jasne, do kogo należy ostatnie słowo.

Umysł podpowiadał jej rozmaite riposty. Wybrała najbardziej ciętą, a następnie przeraziła się, słysząc słowa, które wydobyły się z jej własnych, rozchylnych ust:

— Może zainteresuje panią partyjka?

Odchyliła się do tyłu, zadrżała na całym ciele i z przestraczem oraz zdumieniem spojrzała na panią Gibbs. Co ją popchnęło do tak nierozważnej propozycji? Powodem nie mógł być przecież czyjś mroczny i złowrogi wpływ? Skąd. To przecież nonsens. Stała się po prostu ofiarą własnej przemożnej chęci zagrania, zagrania w cokolwiek, byle w karty.

Pani Saville właśnie rozważała swój dziwaczny postępek, gdy jej uwagę zwróciły nadzwyczaj długie płatki uszu pani Gibbs. Pomarszczone, mięsiste uszy, nakłute czarnymi perłami rzeczywiście wyglądały jak zmumifikowane. Pani Saville miała w domu książkę na temat słynnych przypadków zabójstw, która utwierdziła ją w przekonaniu, że długie płatki uszu są ewidentną oznaką morderczych skłonności. Zatem trzeba się zabezpieczyć przed bezpośrednim atakiem ze strony staruszki. Podniosła krzesło i zamknęła prześwit między nimi obiema.

—Wczoraj wieczorem nikt nie wydawał się zbyt zainteresowany brydżem, czyż nie? — Cisza. — Może trudno im było dojść do siebie po małym spektaklu pani Gregory. — Ta sama cisza. — Oczywiście, są też gry dla dwóch osób. Jeśli ma pani ochotę...?

—Gry — pani Gibbs odchrząknęła i wypluła to słowo jak krople śliny.

—Tak po prostu, dla zabicia czasu przed lunchem — pani Saville usiłowała nadać swemu głosowi beztroskie brzmienie, jednak bez powodzenia. — Gra pani w remika gin? — Pytana gwałtownie pokręciła głową. — Mogę pokazać. — Sięgnęła po karty. Starsza pani warknęła: „Aj!” i złożyła talię. Szelest jedwabiu,

rozchylenie ozdobnej torebki i karty zniknęły. — Nie szkodzi. Mam swoje. — Pani Saville otworzyła własną torebkę. — Musi mnie pani nauczyć tej sztuczki. Tego błyskawicznego rozkładania ich i składania. — Utrę im nosa w klubie brydżowym. Szczególnie majorowi Withersowi.

Pani Gibbs wzruszyła ramionami. W jej ciemnych oczach zamigotała skomplikowana mieszanka emocji. Ironii, złości, rozbawienia, gniewu. Ale odezwała się łagodnie:

—Nie robię sztuczek.

—Nie miałam zamiaru być protekcyjna — powiedziała pani Saville, tak bliska poprawy swego zachowania, jak nigdy w życiu. Zaczekała chwilę, a potem, gdy zdawało się, że nie usłyszy już nowych rewelacji, ciągnęła dalej: — Dobrze. Może być gin? Rozdała sobie i partnerce po dziesięć kart. — To bardzo prosta gra. Pani jako przeciwnik rozdającego bierze tak zwaną odkrytą kartę. No, właśnie... — Uśmiech zachęty. — Och. Potem ja...

—Fura bzdetów.

—Proszę przynajmniej spróbować — namawiała pani Saville, drżąc z obawy, że straci okazję na pierwszą od trzech dni partyjkę. — Następny krok. Wyjaśnię co oznacza „pień”...

—Pień — prychnęła starsza pani. — Niektórzy faktycznie są głusi jak pień.

—Asy są najniższe — ciągnęła pani Saville, powstrzymując swoje naturalne reakcje i zmuszając się do pozostania na miejscu. Kontynuowała objaśnienia, po czym obie damy rozegrały cztery partie, z których pani Gibbs w nonszalanckim, beczelnym stylu wygrała trzy.

—Trochę nieładnie z pani strony — powiedziała pani Saville, sycząc z podniecenia — udawać, że się wcześniej nie grało.

—Wcale w to nie grałam. A na więcej też nie mam ochoty.

—W porządku — mimo że staruszka bezsprzecznie kłamała, pani Saville nie miała zamiaru dać się wciągnąć w słowne utarczki. Widziała, że zainteresowanie

pani Gibbs było słabe i wymuszone i że gotowa była ucześcić się najmniejszej krytycznej aluzji przeciwniczki. — Może pani coś zaproponuje?

—Blackjack.

— Nie jestem pewna... — pani Saville zawiesiła głos, mając nadzieję, że nie czeka ją teraz krwawa opowieść o jakimś smagłym antenacie\*<sup>3</sup>.

— Wenty un.

—Ach, tak. Grałam w vingt-et-un\*\*<sup>4</sup>. Ale zazwyczaj gra się w to na pieniądze — kontynuowała z uprzejmym wahaniem w głosie (mimo wszystko staruszka nie wyglądała na osobę, która śmierdzi groszem). — Niezbyt wysokie stawki, oczywiście. W domu zwykle...

—Dobra. Chwytam — rzekła pani Gibbs i jeszcze raz otworzyła torebkę.

Pani Saville wydobyła zawiązywany woreczek z miękkiej gienzy pełen pięćdziesięciopensówek, bez którego nigdy nie podróżowała, i położyła go na stole. Pani Gibbs wyciągnęła zaś gruby zwitek brudnych banknotów przewiązany gumką. Na zewnątrz widniał dwudziestofuntowy papierek, a kiedy zdjęła gumkę i wygięła plik do tyłu, żeby go rozprostować, stało się oczywiste, że pozostałe nie różnią się od pierwszego.

Serce pani Saville zatrzymało się, nabrało prędkości i zaczęło łomotać. Jakież to banalne, pomyślała, dostać zawrotów głowy na widok bezczelnego afiszowania się zamożnością. Jakkolwiek przekonana, że każdemu potrafi sprawić manto, pani Saville nie miała zamiaru rywalizować z tak obrzydliwą manifestacją. Wcale się nie odezwała, pociągnęła tylko tasiemki swojego skórzanego woreczka i wysypała na stół górkę monet. Układała je w staranny stosik, kiedy na swoje nieszczęście spojrzała w górę i przechwyciła spojrzenie pani Gibbs. Co za zimna

---

<sup>3 3</sup> \* **Blackjack** — w wolnym tłumaczeniu: „Czarny Jacek” (przyp. red.).

<sup>4</sup> \*\* **Vingt-et-un** — (fr. dwadzieścia jeden) osiemnastowieczna gra karciana, popularna we francuskich kasynach, z której wywodzi się blackjack (przyp. red.).

pogarda. Jakie władcze lekceważenie. A to jeszcze nie wszystko. Gdyż w oczach pani Gibbs niewątpliwie krył się ślad rozczarowania. Jak gdyby uważała, że ona, Laetitia Saville, próbuje się mierzyć z osobą znającą jakąś tajemną, pikantną, zwariowaną regułę, a sama okazuje się przygłupia. Jak ona śmie? Stare Cygani-cho. Jak śmie?! Pobladła z gniewu schowała bilon, a w jego miejsce wyjęła książeczkę czekową.

— A to co?

—To jest książeczka czekowa — oświadczyła dystyngowanie pani Saville, próbując wysforować się naprzód w zawodach „kto na kogo patrzy z góry”. Wyjęła złoty ołówek automatyczny z inicjałami nazwy firmy Mappin & Webb z delikatnych klejnocików. Starsza pani podniosła go na wysokość ucha i obróciła między palcami jak cygaro. Potem trąciła nim książeczkę czekową.

—Papier z wucetu.

—Mam konto w Coutts — rzekła lodowato pani Saville. — Oni w środowisku bankowym nie mają sobie równych. Ich czeki honorowane są na całym świecie przez wszystkich przyzwoitych ludzi.

Pani Gibbs zaśmiała się skrzekliwie, trzepocząc podbródkiem:

—Ija, ija, ija!

—Ja natomiast nie znam vingt-et-un na tyle dobrze, żeby grać o takie stawki — wskazała na przetłuszczony plik banknotów.

—A ja nie będę grała w tego durnego gina.

—Możemy zagrać w jakąś przyjemną hazardową grę. — Widząc, że skrzek i trzepot podbródka są bliskie, dodała prędko: — Co pani zatem proponuje?

—Pokera.

—Pokera?!

—Pogrywało się w to kiedyś, co nie?

—Naturalnie — w głosie pani Saville brzmiała niechęć. Rzeczywiście, w swoim czasie grała w pokera, i to z jakimś powodzeniem, otrzymawszy od losu odpowiedni wyraz twarzy (beznamiętny, zaprawiony lekkim niedowierzaniem), którym chcący odnosić sukcesy pokerzysta obowiązkowo musi dysponować. Ale mimo iż propozycja wydała jej się ekscytująca — poczuła już, że poca jej się dłonie — daleko bardziej by wolała, żeby pani Gibbs wybrała coś bardziej stosownego. W jej pojęciu poker nie cieszył się dobrą opinią, kojarzył się z wianuszkami tęgich, spoconych facetów z podciągniętymi rękawami koszuli, otoczonych rzędami butelek od piwa i kłębam dymu. Przyjemna hazardowa gra jest na pewno czymś lepszym. Wyraziła to na głos.

—Dobierany poker. Joker zastępuje wszystko.

—To niezbyt dobry pomysł, pani Gibbs.

Starsza pani podniosła karty, przełożyła je na pół, jeszcze raz na pół, po czym przy wtórze szelestu i trzepotu złożyła je w całość i odsunęła talię od siebie.

— Przełoż. Najwyższe są asy.

Pani Saville wzięła talię i znacząco jeszcze raz ją przetasowała. Mimo że nie dostrzegła oznak szachrajstwa, prędkość, z jaką pani Gibbs wykonała tę czynność, uznała za wysoce podejrzaną. Ponownie przetasowała karty, nadała im kształt równego stosiku i położyła na środku stołu. Jej rywalka wykrzywiła górną wargę, ukazując ułamany żółty ząb, i skinęła nakazująco głową.

Pani Saville przełożyła talię. Król serce! Spróbuj to przebić, triumfowała w duchu. Pani Gibbs sięgnęła po kartę i odwróciła ją. As pik. Nastąpiła długa cisza, podczas której pani Saville oceniła ten fakt jako dziwaczne zrządzenie losu. Ponieważ, rzecz jasna, nie mógł być niczym innym. Tego typu sytuacje niekiedy mają miejsce. Głupota, żeby traktować je jako zły omen. Zresztą, nie obiecywała, że zagra określoną liczbę partii. Może przestać grać, kiedy zechce. Starowinka, którą namówiła do gry, raczej nie będzie miała nic przeciwko temu.

— No dobrze, pani Gibbs — powiedziała, popełniając tym samym drugi błąd.  
— Dobierany poker, joker zastępuje wszystko, niech będzie.

# Rozdział szesnasty

---

Derek wyciągnął latarkę w kształcie ołówka i poświecił nią w kierunku otworu. Drzwi wychodziły na wybetonowaną przestrzeń wielkości mniej więcej pięciu stóp kwadratowych ze schodzącymi w dół stromymi stopniami. Ściany, pierwotnie wapnowane na biało, były teraz szare od pajęczyn. Derek się zawahał. Czy niektóre pająki aby nie gryzą? Zanim wkroczył do korytarza, chrząknął ostrzegawczo.

Nie zdążył jeszcze ruszyć z miejsca, kiedy przez myśl mu przeszło następne, o wiele bardziej niepokojące przypuszczenie. To wejście do sekretnego przejścia. Kryjówka nocnego przybysza. Kto wie, może intruz wcale nie wy dostał się z domu wczorajszej nocy? Może zaplanował następne najście? Może wciąż tu jest?!

Derek jeszcze raz się cofnął. Naturalnie, musi wyjaśnić tę nową zagadkę. Nie miał ochoty pozbawiać się chwały, jaką przyniosłaby mu relacja z takiej ekspedycji. Ale zabierać się do niej bez żadnego zabezpieczenia, byłoby bardzo lekkomyślne. Holmes, kiedy tylko wybierał się na ryzykowną misję, zawsze zaopatrywał się w broń i był doskonałym strzelcem, o czym świadczył stan ścian w domu pani Hudson. Nawet oddany doktor znany był z tego, że nosił przy sobie stary wojskowy pistolet. Derek rozejrzał się w poszukiwaniu broni.

Po pierwsze kominek. Urocze zestawienie pierwiosnków, zielonkawych płytek Williama de Morgan i suszonych kwiatów wypełniających ruszt paleniska. Ale żadnego pogrzebacza. Zrobił dalsze rozpoznanie. Najcięższym nadającym się do przeniesienia przedmiotem była szczotka do włosów starszej pani Gibbs. Derek chwycił ją i stając naprzeciw lustro łazienki zmrużył oczy, po czym wykonał kilka gwałtownych pchnięć i uderzeń. Niezbyt przekonujące, tym bardziej że nie mógł liczyć na element zaskoczenia. To raczej jego znajdujący się na miejscu przeciwnik będzie miał tego typu przewagę. Derek odłożył szczotkę i wrócił do łazienki. Wówczas sobie przypomniał.

— Ale głupek ze mnie! — krzyknął głośno i wyciągnął z kieszeni rewolwer Gilly'ego. To jest właściwe zabezpieczenie. Jego wyobraźnia zaczęła pracować, zamieniając skromne marzenia w coś bez porównania bardziej okazałego. Nie zadowalało go już zwykłe oświadczenie, że odkrył tajemne przejście. Ujrzał się teraz z całkiem nowej perspektywy, w chwili gdy popędza przed sobą płaszczącego się opryszka. Wtedy im wszystkim pokaże!

Derek przesunął się dzielnie do przodu z ciężką i ciepłą bronią w dłoni. Wyobraził sobie, jak wraz z jego nadejściem szubrawiec kuli się ze strachu i podnosi ręce do góry. — Spójrz na to, draniu — zawoła, wymachując pistoletem. — To jest Major Fontaine, trzydziestka czwórka. Jeden strzał i nawet się nie zorientujesz, czym dostałeś.

Szczyśliwie do wewnętrznej strony drzwi przymocowana była drewniana rączka, tak że Derek mógł zamknąć je za sobą. Wolał nie zostawiać ich uchylonych, żeby niepotrzebnie nie zwracać uwagi pani Gibbs, gdyby się pojawiła. To było jego zadanie i sam wprawi towarzystwo w zdumienie i podziw, gdy uzna to za stosowne.

Wraz z zamknięciem drzwi zapadła kompletna ciemność. Derek skierował wąski snop latarki na krawędź pierwszego stopnia i bardzo ostrożnie zaczął schodzić w dół. Wysoko nad jego głową znajdowały się początki podtrzymujących strop belek. Wydawało mu się, że słyszy w górze jakiś ruch i zwrócił w tę stronę światło latarki z nadzieją, że to nie nietoperze. Nietoperze gryzą. A kiedy wplaczą się we włosy, doprowadzają ludzi do szaleństwa. Ostatecznie ich nie dojrzał, ale być może dlatego, że światło było zbyt słabe.

Stał bardzo cicho i nasłuchiwał. Hałas zdecydowanie mu się nie przywidział, jednak teraz zdawał się dochodzić z o wiele niższego poziomu i z pewnej odległości przed nim. Przesunął latarkę w drugą stronę. Szczury. Te są jeszcze gorsze. Ale przynajmniej nie zaplątują się we włosy.

Derek nadal ścisnął mocno rewolwer w ręce i skradał się, trzymając się blisko zakurzonej ściany, gdyż po jego prawej stronie nie było żadnej poręczy. Powietrze było zimne, wilgotne i cuchnące. Skrzywił się, czując brzydki zapach. Obrzydliwy. Zatechły jak spleśniały papier albo butwiejąca tkanina. Może —

ponieważ miał wrażenie, że schodzi całą wieczność i donikąd — schody nie prowadziły tylko na parter, ale jeszcze niżej. Bezpośrednio do piwnicy. Być może stamtąd dochodziła niemiła woń. Prawdopodobnie przechowują tam niepotrzebne meble i inne starocie. Albo — Derek stanął nagle kompletnie nieruchomo — mają tam kryptę. Pożałował teraz, że nie zainteresował się tym, co mówił Simon o planie posiadłości. Czy ludzie z epoki późnowiktoriańskiej stawiali grobowce z marmurowymi wizerunkami w podziemiach swoich rezydencji? Być może tam właśnie zamieszkiwał duch, o którym wspominała pani Gibbs. Pociuszając się, że w takim przypadku znalazłby się przynajmniej daleko poza obszarem, w którym mógłby się natknąć na nieznajome gryzonie, Derek wraz z ogromnym garbem cienia za sobą ponownie zaczął schodzić w dół.

Lecz wtedy wydarzyła się paskudna rzecz. Coś obrzydliwie wilgotnego przygnęło mu raptem do twarzy. Derek wrzasnął i wyciągając rękę w górę, żeby pozbyć się paskudztwa, upuścił latarkę. Ta stoczyła się z łoskotem po stopniach na sam dół, gdzie zatrzymała się i spoglądała na niego z uniżonej ciemności jak niewielki cyklop. Derek odgarnął pajęczę nici, pozwolił sobie na chwilę oddechu, po czym obmacując drogę drżącą teraz lewą ręką, pokonał szybko resztę schodów.

Schyliwszy się prawie do poziomu najniższego stopnia, podniósł latarkę, która poturlała się do ściany, i szybko odnalazł rączkę bliźniaczo podobną do tej, którą zostawił za sobą. Przycisnął ucho do zarysu drzwi, lecz niczego nie usłyszał. Poczuli się oszukany. Spodziewał się czyichś głosów. Zebrania członków bandy. Nie szkodzi. Nie pozwoli, by brak publiczności umniejszył jego satysfakcję. Choć nie powiodło mu się zatrzymanie intruza, to przecież z sukcesem przemierzył nieznaną, a za chwilę pojawi się jako zwycięzca. Nic mu nie mogło odebrać triumfu. Nacisnął rączkę i pchnął drzwi.

Coś stało na drodze. Pchnął mocniej. Cokolwiek to było, lekko się przesunęło. Odłożył broń na najniższy stopień i zagryzając zęby w żarliwej determinacji, niemal rzucił się na drzwi. Otworzyły się mniej więcej na długość stopy i w tej samej chwili cała masa mięsistych, połyskujących zielenią liści przepchnęła się przez otwór. Znalazł wyjście na zewnątrz. Coś zupełnie niespodziewanego. Derek nacisnął trochę mocniej i usłyszał przeciągły, szurający odgłos, podobny do



przesuwania ciężkiego przedmiotu po twardej powierzchni. Jeszcze jedno mocne pchnięcie i uda mu się. Tak też było. Po uderzeniu nastąpił olbrzymi łoskot. Drzwi otworzyły się z taką siłą, że prawie wypadły z zawiasów, a Derek wkroczył do oranżerii.

W zalanej niesamowitym światłem przestrzeni panowała ogromna cisza. Przez wygiętą żebrowaniami morską zieleń dachu wlewało się światło słoneczne, które stłumione i zniekształcone w grubych szybkach stawało się niżej miękkie, fosforyzujące i migotliwe. Powietrze było gorące i bardzo wilgotne. Po podłodze wily się węże ogrodowe, z których z sykiem sączyła się woda. Tuż za drzwiami, którymi wszedł, leżała olbrzymia donica z terakoty w kilku kawałkach. Jego lokatorka, roślina o błyszczących liściach, opierała się o rozsypane wzgórki ziemi. Najbardziej nieprzyjemny widok sprawiały odsłonięte korzenie, kosmate, z wielkimi różowymi naroślami, wyglądającymi jak grudki surowego mięsa.

Derek zamknął swoje tajemne drzwi, zostawiając ledwie widoczną szparę i miał już ruszyć, by przekazać innym elektryzujące nowiny, gdy zatrzymała go nagła myśl. Na skutek podniecenia związanego z odkryciem zupełnie zapomniał o umowie z Sheilą. Udało mu się oczywiście nie natknąć na nikogo. W istocie, tak zaabsorbowało go własne śledztwo, że w tej chwili zostało mu — rzut oka na kopertowy zegarek — niecałe dziesięć minut, w czasie których mógł zostać zamordowany.

Martin i Sheila wpadli na siebie, przechodząc przez skrytą w zaroślach namiastkę mostku. Tworzyło go ledwie sześć wygiętych łukowato desek i poręcz z łuszczącą się korą. Typowo chiński obrazek z kładką, pod którą wije się strumyk podskakującej na cętkowanych kamieniach, krystalicznie czystej wody.

Martin powiedział: „Przepraszam” i zrobił krok do tyłu. Sheila minęła go bez uśmiechu czy podziękowania. Sprawiała wrażenie bardzo rozgniewanej.

— Widziałeś Simona?

—Nie — odparł Martin. — Nikogo nie widziałem. Dopiero wstałem z łóżka. Widziałeś może Rosemary?

—Rosemary? — Sheila spojrzała na niego ostro, a Martin oblał się rumieńcem.

— Pomyślałem, że może miałyby ochotę pograć w tenisa.

—Z pewnością. Jeśli uda ci się ją znaleźć — rzekła cierpko Sheila. — Odnoszę wrażenie, że jest specjalistką od wszelkiego rodzaju gier.

—Chwileczkę... — zaczął Martin, lecz wzburzona Sheila momentalnie się oddaliła. Nie lada wyczyn w tak bezlitośnie dopasowanym stroju. Martin zdziwił się, co też ją mogło zirytować.

Kiedy przeszedł przez mostek, ujrzał, że ścieżka z miejsca się rozwidła, a obie dróżki znikają w dziko wyglądającej plataninie drzewek, jeżyn i kwitnących krzewów. Martin pomyślał chwilę i skręcił w lewo.

Minął rozkwitającą purpurą budleję, której kwiaty tak bardzo pulsowały trzepotem motyli skrzydeł, że całe drzewko wyglądało, jakby miało się zaraz oderwać od ziemi, oraz gęstwinę jaśminowca tworzącą kolumnadę białych gwiazdek oplatających starą jabłoń. Wiele krzewów miało metalowe tabliczki z łacińskimi nazwami. Pędy klematisu przeciskały się we wszystkie strony.

Martin, zauroczony słodkimi zapachami i dźwiękami, szedł dalej ścieżką. Przechodząc obok gigantycznej pnącej róży Kifts-gate, usłyszał przemieszane szczebiotanie ptaków, brzęczenie owadów oraz ludzkie głosy. Wznoszące się i opadające, jedne głośniejsze, drugie o wiele słabsze. Potem zabrzmiał dziewczęcy śmiech.

Martin rozejrzał się wokół. Chociaż głosy zdawały się dochodzić z bliska, nikogo nie zobaczył. Zrobił kilka kroków w kierunku źródła dźwięków i zbliżył się do altanki zakrytej częściowo pędami kapryfolium. Przesunął w bok pachnącą zasłonę. Zobaczył kamienne postacie Kupida i Psyche i ławeczkę dla zakochanych z siedzącymi na niej Simonem i Rosemary. Najwyraźniej postanowili skorzystać z romantycznej aury. Ujrawszy Martina, para zerwała się na równe nogi. Simon machnął ręką i wybąkał jakieś przeprosiny, a Rosemary poprawiła włosy. Potem Simon dość sztywnym gestem podniósł dłoń swojej towarzyszki do ust i powiedział:

— Będę miał spore kłopoty, jeśli nie pomogę przy lunchu. Chyba zobaczą państwa za pół godziny?

Po jego odejściu nastąpiła krótka, gęsta od oskarżeń cisza. Martin spoglądał surowo na Rosemary, która okręcała tasiemkami swój słomkowy kapelusz i wysunęła do przodu umazaną dolną wargę. W końcu powiedział:

—Co ty, u licha, wyprawiasz?

—Ja?! A to dopiero! Mogłabym ci zadać to samo pytanie.

—A co ja niby zrobiłem? — autentycznie zdumiał się Martin.

—Nie jestem ślepa. Widziałam, jak wczoraj wieczorem na tarasie wpatrywałeś się w oczęta Laurel Hannaford. Gdybym wtedy nie podeszła i nie poprosiła o drinka, jeszcze do teraz byś tam stał.

—Co za bzdury — rzekł Martin, zdając sobie równocześnie sprawę, że jego głos brzmi trochę nieprzekonująco. Gdyż prawdą było, że jako odbiorca spojrzenia ciemnoniebieskich oczu dziewczyny w połyskującej sukience odczuwał dziwną przyjemność. Tylko że brał się to wyłącznie z czystej życzliwości. To, co sugerowała Rosemary, było nonsensem. Na wspomnienie tych kilku chwil bliskości i słysząc, jak narzeczona degraduje je mianem flirtu, rozżłościł się.

—Przynajmniej to, co robiłem, robiłem w twojej obecności. Nie kryłem się w jakiejś zarośniętej budzie.

—Jak śmiesz! Nigdy w życiu się nie kryłam. A zresztą, po tym komicznym przedstawieniu, które odstawiłeś w środku nocy, nie sądziłam, że obchodzi cię to, co robię.

—Nie moja wina, że kamerdyner zrzucił mnie ze schodów.

—Wiesz co, gardzę ludźmi, którzy obwiniają innych o swoją nieudolność.

—Walnął mnie paskudnie w głowę. — Cisza. — Boli jak diabli. — Znowu cisza. — Nie zdziwię się, jeśli trzeba będzie zszywać.

—Och, nie bądź takim mięczakiem.

—Rozumiem. Skoro najwyraźniej zawiodłem na polu bitwy, to wolałabyś pewnie, żeby mnie na śniadanie zniesiono na tarczy?

—Nabiłeś sobie tylko guza.

—Stokrotne dzięki. Powinnaś wiedzieć, że to była honorowa rana. Akurat się wycofywałem do swojego pokoju, kiedy to się wydarzyło.

—No cóż. Nie popisałeś się. Nawet się nie obudziłam.

—Nie musisz być wulgarna.

—A co cię, do licha, skłoniło, żeby paplać matce przy obiedzie o sealyhamach i Chińczykach?

—Źle odczytałem twoją listę, rozumiesz? Nie wolno mi się ani razu pomylić?

—Dwa razy.

—Nie mogłabyś mi udzielić dyspensy? Choć minutkę życzliwości w miejsce obowiązkowego porannego sztorcowania?

—Jak w ogóle można pomylić słowa „sealyham” i „pekińczyk”? Nie są ani trochę do siebie podobne. SI-LI-HAM, PE--KIŃ-CZYK.

—Och, zamknij się! — Rosemary zapało dech w piersi. Stłumiła wielki okrzyk zdumienia. Wytrzeszczyła oczy. — Przepraszam, kochanie... Nie... Dobrze, przepraszam, ale tylko za to, że byłem ordynarny. Trzeba w końcu... trzeba powiedzieć. — Martin wciągnął powietrze. — Chodzi o to...

—Chodzi o to, Martin, że wyjazd na ten weekend jest najbardziej sensowną rzeczą, jaką kiedykolwiek zrobiłam. Dzięki temu przekonałam się, jaki jesteś naprawdę. Mama miała zupełną rację, kiedy mówiła, że nie jesteś dla mnie dość dobry. Cieszę się tylko, że w porę to odkryłam. Traktuj nasze zaręczyny jako niebyłe.

—Co...? Zrywasz ze mną?

—Dokładnie.

—Nie ma sprawy.

—Czy... czy to wszystko, co masz mi do powiedzenia? —Rosemary wyciągnęła skrawek morelowego szyfonu i wsunęła go z gracją do kącika suchego oka.

—Hm... — Martin się zastanowił. — Masz całkiem rozmazane usta.

—Ty potworze! — Rosemary tupnęła obutą w sandał nogą i wybiegła wzburzona, dzięki swoim szerokim spodniom, robiąc to dużo lepiej niż Sheila.

Martin usiadł w altance zakochanych i nabrał głęboko do płuc świeżego powietrza. Niedługo miał być lunch, a on potrzebował czasu, żeby spokojnie uporządkować swoje emocje. Niełatwo mu było zająć wygodną pozycję na twardej ławce. Jego ramiona były wciąż obolałe, a kostki i kolana nieźle pogruchotane. Także głowa, chociaż kamienie wydawały się już przetoczyć na bok, pozostawała mocno wrażliwa. A więc dlaczego — zdumiewał się Martin — mimo tej niewygody, bólu i faktu, że niewątpliwie stracił narzeczoną, jego serce było lekkie jak piórko?

Laurie schowała się w ogrodzie warzywnym. Wymówiła się tym, że idzie zerwać sałatę na lunch. Przywiednięte od gorącego słońca główki sałaty znajdowały się teraz u jej stóp. Usiadła na starym, ocynkowanym wiadrze, objęła rękami kolana i zatopiła się w chaosie różnorodnych emocji. Przeżywała niepokój, mdłości i euforię, czuła się nieszczęśliwa i wystraszona. W jej krtani przez cały czas tkwiła gruda, która powracała za każdym razem, gdy tylko zdołała ją przełknąć.

Miała nadzieję, że ład zamkniętej przestrzeni ogrodu, schludne warzywne kwatery, nisko formowane obwódki z bukszpanu i eleganckie ścieżki będą miały uspokajający wpływ na jej skołatany umysł. W czasie swoich dziecinnych pobytów w Madingley Grange, kiedy ciotka albo wujek bywali w gderliwym nastroju, przychodziła tu często, napełniała małą konewkę deszczówką z beczki i spryskiwała roślinki, wędrując ścieżkami promieniście rozchodzącymi się od centrum, którym był zegar słoneczny. Ale dzisiaj ogród utracił swą kojącą moc.

Wstała nagle, nieznośnie poirytowana beczynnym siedzeniem, i zaczęła przechadzać się tam i z powrotem. Nogi i ramiona miała ciężkie i czuła się otepiała i nienaturalnie wyizolowana. Miała wrażenie, że drepcze w miejscu, ocze-

kując nie wiadomo na co. Pragnęła zapaść w sen, cudownie uzdrawiający sen, po którym uleci zagadkowy niepokój, a ona będzie tą samą dawną, pogodną Laurie.

Ułamała gałązkę mirtu i wdychała słodki, drażniący zapach, kiedy zaskrzy-piała stara żelazna furka i do ogródka wszedł Simon.

—Bennet czeka na sałatę. Lunch jest za dziesięć minut.

—Och!

—Czy to te tutaj? — Simon podniósł cztery wysuszone, zwiędłe rośliny.

—Tak.

—Nie wyglądają zbyt ciekawie.

—Wybrałam je pół godziny temu.

—Przez ten czas mogłaś chyba więcej zrobić.

—A może ty byś się za coś zabrał! — wybuchła Laurie. — Przez cały ranek nic nie robisz, tylko obijasz się na trawniku do krokietu.

—Nie musisz warzyć — Simon podciągnął swoje oks-fordzkie, workowate spodnie i przykucnął. — Masz nóż?

—Wystarczy pociągnąć.

—No to nie ma sprawy. — Wyciągnął cztery główki sałaty i stanął na nogi.  
— Wszystko gotowe na trzynastą?

—Skąd mam wiedzieć?

—Nie ty tu dowodzisz?

—No tak, zawsze ja... Wszystko spada na moją głowę.

—Wiem, że personel nie jest idealny...

—Personel? Zalany w pestkę kamerdyner i ślepa jak nietoperz pokojówka? Brakuje nam tylko żaby i pary węży z mokradeł. Moglibyśmy zacząć wystawiać *Makbeta*.

—Nie panikuj, Lol...

—Nie nazywaj mnie tak! Wiesz, że tego nie cierpię.

—Naprawdę jestem ci strasznie wdzięczny za wszystko, co zrobiłaś. Słowo honoru. Zrobiło się takie cholerne zamieszanie, że chyba nikt na twoim miejscu nie powstrzymałby się, żeby nie powiedzieć: „A nie mówiłem”.

—A nie mówiłam.

—To do ciebie niepodobne.

—Ależ tak. Mam już tego powyżej uszu.

—Wynagrodzę ci to.

—Nie uda ci się. Tak jest zawsze.

Simon przysiadł na inspekcji z ogórkami i czując, jak metal grzeje mu nogi, potraktował siostrę z autentyczną troską.

—No, wyduś wreszcie!

—Nie mam nic do powiedzenia. A tak w ogóle, rrtuszę iść zająć się łososiem.

—Już za późno — Simon przybrał żałobny wyraz twarzy. — Nie żyje.

—To prawie tak samo zabawne jak piosenka Gilly'ego.

—Błagam! — Simon przyłożył dłonie do uszu. — Jeszcze jeden taki występ, a postradam rozum. Trzy koncerty po śniadaniu, a teraz wyśpiewuje Gibbsom serenady w łódce. Mam nadzieję, że wyskoczą z rozpaczony na środku jeziora i się potopią. — Simon sięgnął do wiaderka, przyciągnął je do siebie i poklepał. — Co się dzieje?

—Nie wiem. — Laurie przyjrzała się odrapanym, zakurzonym czubkom swoich sandałów. — Właściwie... prawdę mówiąc... czuję się nieszczęśliwa.

—Cóż, wszyscy naraz nie możemy być szczęśliwi. Szczęścia po prostu nie starcza dla wszystkich. Ale jutro przyjdzie twoja kolej.

—Hm... — Laurie wcale nie była o tym przekonana. — Czy wszyscy... są już na dole?

—Chyba tak. Możesz sobie wyobrazić, że pani Saville i Cyganka Gibbs grają na tarasie w karty?

—To... znaczy, że są wszyscy?

—Tak. Martin w końcu wychylił nosa. I muszę przyznać, wygląda dość fatalnie.

—Ach, on — wydusiła ściśniętym głosem — jest okropny.

—Przykro mi to słyszeć. Wydaje się całkiem miły.

—Nie... to znaczy... Kiedy na niego patrzę, robi mi się niedobrze. Albo inaczej, chce mi się płakać. A potem kręci mi się w głowie.

—Rozumiem. Coś jeszcze?

—Wydawało mi się, jakby kwiaty i drzewa wirowały i świeciły i wszystko zrobiło się...

— Zaróżowione?

— Jasne i błyszczące i tak, jak powiedziałaś, trochę różo-wawe. Potem, kiedy podałam mu drinka, uśmiechnął się i powiedział: „Dziękuję”.

—Zaszokował cię. Swoją błyskotliwą ripostą. Oczy Laurie napęłniły się łzami.

—Nie wiem, co się dzieje.

—To proste. Zakochałaś się.

—*Zakochałam się?* — spojrzała zdumiona. — Miłość oznacza, że widzę go wtedy, gdy go nie ma, robi mi się niedobrze, kiedy jest, a wszystko wokół się kręci?

—Mniej więcej.

—Po co ludzie się w to pakują, kiedy to takie okropne?



—Najgorzej jest za pierwszym razem. — Simon wstał i pociągnął ją do siebie. — I najlepiej, rzecz jasna. Nie martw się... jutro odjedzie i nie będziesz go musiała więcej oglądać.

—Ach... — Laurie ujrzała przed sobą przepaść i zakreśliło jej się w głowie. — Simon!

—Moja droga, niedobrze z tobą. A co z Hugh?

—Co takiego?

—Nieważne.

—Umrę.

—Ależ skąd. Nie będziesz dziś nic jadła ani jutro rano, ale przy lunchu będziesz już w świetnej kondycji. No chodź — podniósł sałatę — ty weźmiesz dwie i ja dwie. Za chwilę zaczną się domagać swoich porcji. Jeszcze nigdy nie miałem do czynienia z tak wygłodniałą bandą. Pewien jestem, że już zdążyli przejeść swoje dwieście pięćdziesiąt funciaków.

Doszli do furtki, a gdy Simon otworzył ją i przepuścił siostrę przed sobą, ta spytała:

—Nie sądzisz, że Rosemary Saville jest zupełnie okropna?

—Ależ nie — odparł Simon, zamykając zasuwkę. — Ma przecież bankierów w rodzinie.

## Rozdział siedemnasty

---

Stojący na tarasie długi stół na kozłach przykryto wesołym obrusem w kratę i serwetkami i zastawiono zielonkawymi masywnymi szklaneczkami z bąbelkami powietrza w szkle. Simon pomyślał, że prezentuje się dokładnie tak, jak trzeba. Nieformalnie i odświętnie. Wyobraził sobie, jak goście zasiadają wokół niego i popijają w promieniach słońca, a wokół rozbrzmiewa śmiech i przyjacielskie pogaduszki. Będzie to dokładnie jedna z tych wesołych biesiad, w których tak dobrze są Francuzi i Włosi, za to bez udziału ciskających we wszystkie strony makaronem koszmarnych *bambinos*.

Panią Saville i Matkę Simon ulokował w drugim końcu tarasu w ten sposób, że podniósł ich stolik i zabrał go ze sobą. Obie podążyły za nim jak przywiązane niewidzialnymi nićmi, a gdy podsunął im fotele, momentalnie zatopiły się w nich i w przerwanej grze.

Gaunt, któremu w trzeciej próbie udało się uderzyć w gong, pokuśtykał zgarbiony do swego pracodawcy.

—Miss Laurel pyta, czy podawać zupę.

—Daj im pięć minut, Gaunt. Muszą sobie zawiązać serwetki pod brodą.

—Oczywiście, sir.

Pojawiła się Rosemary z ustami świeżo pomalowanymi na lśniącą czerwień, a w stronę domu kierowała się ferajna z łódki, którą poprzedzały krótkie południowe cienie. W sumie udało im się spędzić miły poranek, kiedy tylko przycichł muzyczny akompaniament. Gilly z wielką werwą popychał ich długą żerdzią, podczas gdy jego współtowarzysze porozkładali się wygodnie i moczyli dłonie w wodzie. Violet podziwiała rozczapierzone pędy wierzby, świetnego smoka z brązu oraz kręcące się wokół niego kaczkę i kokoszkę, a Fred wypytywał ich przewoźnika o powody („ale, *prawdziwe* powody”) jego obecności w Madingley Grange. Potem przedstawił własną teorię na ten temat, a Gilly bezskutecznie próbował wyjaśniać, że nie jest płatnym zabójcą ani gorylem, tylko zwyczajnym

urzędnikiem zakładu energetycznego korzystającym z okazji, żeby przez krótki okres móc się napawać atmosferą życia lat trzydziestych.

Wciąż jeszcze protestował, kiedy przechodzili przez zwodzony most. Nagle Fred zatrzymał się wpół kroku i zaczął się w coś wpatrywać. Violet wpadła na niego, a Gilly zapytał:

— Co jest? Co się stało?

Fred odwrócił się i spojrzał na żonę, a nozdrza drgały mu ze złości.

—Chyba mówiłaś, że jest czysta. Violet podążyła za jego wzrokiem.

—Zgadza się. Przejrzałam jej cały bagaż, ubrania, wszystko.

—Musiała je mieć w tej cholerniej torbie. Jest wielkości słoniowej moszny. Zmieściłyby się w niej klejnoty koronne.

—Nie było ich tam. Sprawdzalam. — Violet potknęła się o Freda, kiedy ten przyśpieszył kroku. Gilly, wciąż nie mający o niczym pojęcia, ale wietrzący tragedię, popędził w ślad za małżonkami.

Damy nadal grały na tarasie, a Sheila stała za fotelem pani Saville. Pani Gibbs, zdając sobie sprawę z nadejścia syna, udawała, że go nie dostrzega. Pani Saville, pochłonięta grą, ze wzrokiem wlepionym we własną dłoń, nie słyszała Freda nawet wtedy, gdy się odezwał.

Była w stanie gorączkowego podniecenia, gdyż sprawdziwszy przed chwilą swoje karty z nowego rozdania odkryła, że brakuje jej tylko jednej do pokera. Cudowne wydarzenie doskonale współbrzmiało z poprzednimi. Wszystko szło wręcz idealnie. Zagrały sześć rozdań; pięć z nich wygrała pani Saville. Najwyraźniej urodziła się pod szczęśliwą gwiazdą. Przegrała tylko za pierwszym razem, no i podczas losowania.

Nie, żeby te pięć rozdań poszło jej gładko. Przeciwnie. Mimo swego doświadczenia pani Saville odnosiła niekiedy wrażenie, jakby znajdowała się na zdumiewająco obcym gruncie.

Czasami niemal traciła kontrolę, jak gdyby jakiś obecny na tarasie powabny, tańczący duch prowadził ją na manowce. A jednak wciąż wygrywała, ujarzmiając tę zgarbioną, gadzino-watą postać z naprzeciwka, która od początku gry prawie nie podniosła oczu znad kart.

—Na pani miejscu wolałbym nie mieć z nią nic do czynienia — głos Freda przebił się wreszcie przez falę samozadowolenia. Mężczyzna pochylił się i podniósł talię ze stołu.

—Co to ma znaczyć?! — krzyknęła pani Saville. Później, kiedy zrobił gest, jakby chciał ją schować, dodała: — Należą do mnie.

—Gorąco przepraszam — odłożył karty na miejsce. — Ale nie ma pani z nią szans, pani S.

—Całkiem dobrze sobie radzi — rzekła Sheila.

—On nie chciał być niegrzeczny, moja droga — wtrąciła Violet. — Po prostu nie ma sensu grać przeciwko komuś, kto ma dar.

—Może i bym uwierzyła w te idiotyczne zabobony, gdybym przegrywała. Wygrywam pięć do jednego.

—To siódme rozdanie?

—Tak. I lepiej nie marnujcie czasu na wymianę spojrzeń. — Pani Saville wyciągnęła rękę i dotknęła na moment pięciu dwudziestofuntowych banknotów wtkniętych pod szklaneczkę z aperitifem. — Zapewniam was, że na tym etapie nie mam zamiaru kończyć.

—Nie rozumie pani...

—Rozumiem doskonale — odparła pani Saville. — Przywozicie ją tutaj, straszliwie ją zaniedbujecie, wychodzicie sobie popływać łódką czy gdzieś tam, a potem, kiedy lituję się nad biedną starowinką i staram się jej dostarczyć odrobinę rozrywki, wy nagle czujecie się winni. Nic nie szkodzi, pani Gibbs — pani Saville zmusiła się, żeby wyciągnąć rękę i pogłodzić sękatą, pomarszczoną dłoń. Nie chciała, żeby staruszka pomyślała, iż kalumnie członków jej rodziny padły na podatną glebę. — Wymieniam — rzuciła jedną kartę. — Będzie pani tak miła?

Pani Gibbs na znak wyraźnie obłudnego zażenowania odsunęła się od swojego syna i podała rywalce kartę z wierzchu talii. Jej zarośnięty podbródek oparł się o biust, a usta zadrżały.

— Nigdy nie pozwalają się zabawić...

— Nie wstyd wam? — spytała pani Saville, odwracając kartę. — Żeby własnej mat... — jej oczy rozwarły się szeroko. Sheila Gregory gwizdnęła cicho, a pani Saville odwróciła się i rzuciła jej gniewne spojrzenie. — Tego *nigdy* nie należy robić. W pokerze chodzi... — lecz mówiła w powietrze. Sheila, dostrzegłszy berek na kólkach, zdążyła już odfrunąć.

Towarzystwo zaczęło zajmować miejsca przy długim stole, a po chwili do pary hazardzistek dołączył Simon.

— Mamy teraz lunch, drogie panie.

— Oooh... — Pani Saville, przycisnąwszy do piersi wachlarz kart, zwróciła do gospodarza twarz wyrażającą nieklamane cierpienie. — *Nie teraz*. Jesteśmy w połowie rozdania. A ja mam... — walczyła ze sobą, żeby złagodzić siłę emocji w swoim głosie — ...całkiem niezłą kartę.

— Muszę sprawdzić piwnicę. Zerknę, czy wrócił nasz powsinoga. — Pani Gibbs zaczęła gramolić się z miejsca. — Chodź ze mną, córko.

— Zaczekajcie! Simon... nie mógłbyś zostać kimś w rodzaju arbitra? — pani Saville zamierzyła się na niego swoimi pięcioma kartami. — Schowaj je do kieszeni, a kiedy usiadziemy tu z powrotem po lunchu, oddasz mi je. W ten sposób będziemy mogły kontynuować grę tymi samymi kartami.

— Nie ma sprawy. — Simon schował karty. — Lepiej będzie, jak zatrzymam również karty pani Gibbs.

— Nie można by znaleźć kogoś innego? — powiedziała prędko pani Saville. — Mógłbyś zapomnieć, w której kieszeni masz czyje karty.

Wobec tego poproszono Gilly'ego, który umieścił starannie karty Matki w wewnętrznej kieszeni marynarki. Starsza pani w asyście Violet zniknęła we wnętr-

trzu domu, Fred i Simon dołączyli do pozostałych, a pani Saville została przez chwilę sama w drugim końcu tarasu.

Nerwowa i czujna, usiadła tyłem do reszty towarzystwa, a żołądek podjeżdżał jej do gardła. Nie ma sensu próbować jeść, nie będę w stanie przełknąć ani kęsa. Zamknęła oczy i jeszcze raz zobaczyła trzech stylizowanych członków rodziny królewskiej z rudawymi kędziorami i wiotkimi, ściągniętymi ustami. Oraz towarzyszącą im dziewiątkę i dziesiątkę. Poker!

Wymieniając trójkę trefl, zdawała sobie sprawę, że nawet przy swoim obecnym farcie ma nikle szanse wyciągnąć w zamian dziewiątkę kier. A jednak.

Teraz pobić ją mógł tylko królewski poker. Zaczynający się od asa. I choć pani Saville zdawała sobie sprawę, jak minimalne są szanse na tego typu układ kart, ten fantastyczny zbieg okoliczności mógł jednak mieć miejsce. Był jeden sposób, aby się o tym przekonać.

Pani Saville się zawahała. Nigdy w życiu nie oszukiwała w kartach, a każdego, kto to robił, traktowała jak niecnego rozpustnika. Nigdy, przenigdy, w żadnych okolicznościach nie wyobrażała sobie siebie w takiej roli. Ale, rozmyślała, czy krok, który na serio brała pod uwagę, można było nazwać oszustwem? W istocie nie. Formalnie rzecz biorąc, był to raczej rodzaj... sprawdzenia. Nie dowie się, jakie karty dostała pani Gibbs (to rzeczywiście byłoby oszustwo). Przekona się tylko, jakich nie posiada.

A prócz tego, dowodziła samej sobie, czy nie doświadczała czegoś bardzo dziwnego, obcego, co emanowało z jej rywalki w trakcie ich sześciu wspólnych gier? Naturalnie, nie było to coś tak idiotycznego, jak nadludzka moc, ale czyż talent, z którym się zetknęła (pani Saville pomyślała o sztuczce staruszki), nie był w istocie więcej niż zwyczajny? A w konsekwencji istniała potrzeba — można by wręcz mówić o obowiązku — przywrócenia w jakiś sposób równowagi. Żeby było nieco bardziej sprawiedliwie.

Dłonie pani Saville zakradły się w kierunku kart. Patrzyła na swoje palce zachęcająco i w popłochu. Patrzyła, jak podnoszą talię i przerzucają ją szybko i cicho. Wszystkie cztery asy były na miejscu. Ręce skryły się na kolanach.

Spodziewała się uczucia triumfu. Może wstydu. Albo zadowolenia i podniecenia. Zamiast tego poczuła stały, głęboki, niewzruszony spokój. Kiedy Rosemary zawołała: „Mamusi!” spokojnie odeszła od stołu, spokojnie przyłączyła się do reszty i z takim samym spokojem zajęła się aperitifem.

Podano pierwsze danie, które zostało spałaszowane z entuzjazmem, jeszcze zanim Violet wraz z teściową dołączyły do biesiadników. Violet osunęła się cicho na swoje siedzenie.

Miała bladą twarz z okrągłymi jak u lalki rumieńcami. Pochwyciła wzrok Freda, a kiedy ten chciał się odezwać, zmarszczyła brwi i potrząsnęła głową. Ledwie dostrzegalnie.

Matka zajęła miejsce dość hałaśliwie, przy wtórze sapania i chrapliwego odchrząkiwania. Wyglądała groźnie: przepełniała ją energia i zadowolenie. Nadsięgnął łośoś spoczywający w morzu galarety o barwie karmelu, otoczony rozetkami majonezu i przezroczystymi plasterkami ogórka. Bennet podała sos, młode ziemniaczki i sałatę. Dzisiaj nie było wizytówek, tak więc biesiadnicy siadali według własnego uznania. Pani Saville, pomimo swej autentycznej troski o dobre samopoczucie pani Gibbs, zasiadła jak mogła najdalej od jej rodziny.

Simon, który zajął miejsce u szczytu stołu, zapytał uprzejmie o rezultaty polowania na ducha (pani Gibbs odpowiedziała szelmowskim uśmiechem, Violet wzruszyła ramionami), po czym odwrócił się w stronę młodszych gości. Rosemary, rozdrażniona faktem, że na chwilę przestała być obiektem jego zainteresowania, przestała podnosić do ust srebrny widelec z kawałkiem *saumon à la sauce verte* i przemówiła:

—Simon, czy ty aby nie *przepadasz* za wsią?

—Umiarkowanie — odparł Simon, czując na nodze przyjemny dotyk łydki Sheili Gregory.

—Głuptasie, nie można *przepadać* za czymś umiarkowanie — zachichotała Rosemary. Jej język podobny w swej różowości do kociego wysunął się i pochwycił wąski strumyczek zabłąkanego sosu.

—Och, nie wiem — wtrąciła Sheila. — Ja sama faktycznie przepadam za niektórymi rzeczami i niektórymi ludźmi bardzo umiarkowanie.

Gaunt, wciąż ospały, lecz w porównaniu do swoich wcześniejszych zwolnionych obrotów niemal rozbrykany, oparł się przypadkowo o czyjeś ramię przy próbie napełnienia kieliszków.

— Myślę, Gaunt — rzekł Simon — że możemy sami się obsłużyć. Będzie mniejsze niebezpieczeństwo przelania.

— Skoro tak pan uważa, sir.

Kamerdyner zatoczył się ku wyjściu, a Fred zawołał przez stół:

— Skąd ty go wytrzasnąłeś, Simon?! Z cyrku? — Zadowolony ze swego dowcipu, szczególnie, że Martin i Violet wybuchnęli śmiechem, Fred nabrał sobie kolejną porcję ziemniaków. — Nie ma to jak biesiada pod gołym niebem, co nie, Martin?

—Yhm — Martin uśmiechnął się z roztargnieniem. Stopniowo zaczął sobie zdawać sprawę, że odkąd się obudził, gdzieś w głębi jego umysłu kryło się ciche, ale niezmiennie pragnienie ponownego zobaczenia Laurie. Z rozczarowaniem spoglądał na puste krzesło z drugiej strony stołu naprzeciw Simona, jednak nie miał zamiaru pytać gospodarza, gdzie jest jego siostra. Pomijając już wrodzoną niechęć do zwracania na siebie uwagi, tego rodzaju pytanie mogło wywołać sarkastyczną reakcję Rosemary. Widział ją teraz, jak z dłonią na ramieniu Simona trajluje coś o krajobrazie.

—Musicie mieć z pewnością mnóóóstwo personelu — powiedziała przeciągając „ó" przez zwinięte w ryjek szkarłatne usteczka.

—Tylko dwoje na pełen etat. No i chłopak do pomocy w ogrodzie.

—Ja nie cierpię ogrodnictwa — rzekła Violet wróciwszy już nieco do siebie. — Za bardzo przypomina to sprzątanie domu. Znam lepsze zajęcia. Dziwię się, że ludziom chce się tak babrać w ziemi.

Kiedy Bennet przyszła zabrać talerze, Martin przywołał ją wzrokiem i zniżając głos, spytał o pannę Hannaford.



—Ma w tej chwili roboty po uszy, proszę pana. Prócz tego Gaunt jest bez nogi do pary, że się tak wyrażę. Je lunch w skrzydle. Dlatego dla niej nie nakryłam.

—No to kto...? — Martinowi mignęły tylko odosobnione resztki łososia. Rozejrzał się po stole. Lunch na świeżym powietrzu udał się wyśmienicie. Roześmiane i zaczerwienione od wina twarze, żywy potok swobodnej konwersacji. Nawet pani Saville, bez wątpienia pamiętająca o pierwszorzędnym zestawie kart w kieszeni Simona, pozbyła się nieco swej bez-kompromisowości. Atmosfera stawała się coraz bardziej swobodna. Tylko gdzie, zastanowił się Martin, zrozumiawszy przyczynę pustego krzesła, przepadł Derek?

Była tu żona Dereka, odrzucająca beztriosko do tyłu głowę i zaśmiewająca się z którejs z ciętych uwag Simona. Byli wszyscy inni, najwyraźniej doskonale spędzający czas. Tylko po wielkim detektywie — ni śladu. Martin zastanowił się, czy pozostali goście wiedzieli coś, czego on nie wiedział. Może wcześniej, kiedy on, Martin, spał, sporządzono jakiś plan obejmujący zniknięcie Dereka. Niemożliwe przecież, żeby nikt nie zauważył jego nieobecności. Już bardziej prawdopodobne, rozumował, odczuwając szczyptę współczucia wobec komicznej postaci, że dyskusję o tym uznano za zbyt mało interesującą. Odczekał na moment przerwy w rozmowie i zapytał donośnie:

— Sheilo! Co, u licha, stało się z twoim mężem?

—Jesteś trzecią osobą, która mnie o to pyta — Sheila spojrzała na stół, znużona i nieco poirytowana. — Spodziewam się, że depcze komuś po piętach, czy coś w tym rodzaju.

—Nie było cię na śniadaniu, Martin, więc nie wiesz — wyjaśnił Fred. — Stało na tym, że Derek daje nam czas do trzynastej, a jeśli do tej pory nie uda nam się go zamordować, on wygrywa na punkty.

—Można by pomyśleć — powiedziała pani Saville — że ktoś to już zrobił. W końcu jest nas tyłu.

— Ale tylko jednemu na tym zależy — zauważył Gilly.

—Mordercy... — głos Freda zadrżał. Wstał, zgarbił się, otworzył szeroko ramiona i zaryczał straszliwie.

—Nie zachowuj się jak idiota — prychnęła Violet i pchnęła go na krzesło.

—Teraz jest w pół do... — grdyka Gilly'ego podskoczyła z emocji. — Można by pomyśleć, że przy jego usposobieniu (bez obrazy, Sheilo), pojawi się wraz z uderzeniem zegara, uszczęśliwiony, że nas pokonał.

—Po powinszowanka — odezwała się starsza pani Gibbs.

—Chyba że jest... cóż... — nie dokończył Martin.

— Załatwiony — dokończyła staruszka z wyraźną przyjemnością, a jej oczy rozbliły.

Pani Saville nie była zadowolona z rozwoju sytuacji. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła w obecnym stadium gry, było to, żeby jej partnerka pałętała się teraz (no dobrze, krążyła) po całym domu, polując na mordercę. Forsa była w zasięgu ręki — przed oczami stanął jej żywo zwitek banknotów, a pani Saville nie miała zamiaru pozwolić mu się gdzieś zawieruszyć.

Lecz ziarno niepokoju zasiane pytaniem Martina uszło wraz z nadejściem wielkiego porcelanowego półmiska z truskawkami.

—Lubicie państwo *fraises du bois*\*<sup>5</sup>? — klasnęła w dłonie Rosemary.

—Owszem — odparła Sheila. — Tylko że to nie to. O wiele za duże. Śmietankę? — Podała półmisek dalej i ze zmarszczonym czołem spoglądała, jak Rosemary nakłada ubitą śmietanę na owoce. — Wielkie nieba. Dobrze ponad tysiąc kalorii.

—Och, ja mogę jeść to, na co mam ochotę — Rosemary dotknęła swojej talii i uśmiechnęła się znacząco.

—Hm. Kłopoty bywają albo z figurą, albo z cerą, mam rację? Rzecz jasna, makijaż może zdziałać cuda. — Panie wymieniły między sobą uśmiechy słodkie jak syrop klonowy.

---

<sup>5</sup> \* *fraises du bois* — deser z leśnymi poziomkami (przyp. tłum.).

— Myślę, że powinienem pójść poszukać pani męża — zaoferował się Simon.  
— Może nie słyszał gongu. Oczywiście, jedzenia jest pod dostatkiem, ale mam sobie za złe, że nie bierze razem z nami udziału w lunchu.

— Ja pójdę — Sheila wstała z miejsca. — Może jest w kuchni i magluje personel w związku z nocnym zajściem.

— Magluje personel — podchwycił Fred. — Dobrze.

— Myślę, że przyda jej się trochę ruchu — powiedziała głośno Rosemary po wyjściu Sheili. — Po tych wszystkich kartofelkach.

Następnie Gaunt pokuśtykał wokół stołu ze smukłymi kieliszkami, goście poczęstowali się Chateau d'Yquem i na tarasie rozległ się pomruk zadowolenia. Wszyscy delectowali się owocami spoczywającymi w wyśmienitej mieszance curacao oraz soków, truskawkowego i pomarańczowego, podczas gdy Fred wyrażał głośno swój zachwyt winem.

Zapadła ciężka i nieruchoma cisza, do pewnego stopnia wywołana osłabiającym działaniem słońca, a w jakiejś mierze ilością spożytego alkoholu. Biesiadnicy poczęstowali się kolejnymi porcjami deseru i prędko je pochłonęli. Ponownie zmieciono wszystko z półmisek, a Fred zdążył jeszcze powiedzieć:

— Uważaj, Violet. Zdrapiesz wzorek z talerza.

Wtedy Matka upuściła łyżkę, która z głośnym stukotem upadła na podłogę. Sekundę później rozgrzane wciąż powietrze przeszył przeraźliwy, dziki wrzask.

# Morderstwo

---



TLR

## Rozdział osiemnasty

---

Wszyscy porwali się ze swoich miejsc, wstrząśnięci i poważni w jednej chwili. Wymieniono pełne autentycznego strachu, zdumione spojrzenia, a Violet krzyknęła:

—Zwłoki! Znalazła zwłoki...

—Oberwał jednak, stary lis — powiedział Fred. — *Chodźcie no...*

Zbędne polecenie. Simon i Rosemary byli już na środku tarasu, za nimi śpieszyli pozostali. Nawet seniorka rodu Gibbsów jakimś krabim truchtem prawie nadażała za innymi. Ostatnia była pani Saville, za pogardliwą miną skrywająca zaniepokojenie nieoczekiwanym obrotem spraw.

Niepewni co do właściwego kierunku, z którego dobiegał pełen przerażenia krzyk, goście zatrzymali się w holu. Simon powiedział: „Musimy się rozdzielić”, ale wtedy pojawili się Laurie, niemal niewidoczna zza olbrzymiego fartucha w nie-biesko-białe paski, i Gaunt, oboje sprawiający wrażenie bardzo wystraszonych. Simon zaczął uspokajać Laurie, gdy do holu wbiegła Bennet z krzykiem:

—Och, sir! To pan Gregory... Nie żyje!

—Idziemy! — krzyknął Simon i wszyscy rzucili się za nim. Laurie, wpatrzona w bladą i naznaczoną strachem twarz Bennet, trzymała się nieco w tyle. Kiedy dotarła do oranżerii, zastała stojącą w drzwiach zbitą gromadę ludzi, którzy wpatrywali się jak urzeczeni w tragiczną, krwawą scenę.

Derek Gregory leżał na plecach z szeroko otwartymi oczami i rozdziawionymi ustami. Przód jego koszuli był zbryzgany czymś czerwonym. Długa strużka jaskrawej czerwieni ciągnęła się też w dół sukni Sheili. Okropne, lepkie plamy tej samej barwy bity z długiego noża, który trzymała w dłoni. Tuż za ciałem Dereka leżała roztrzaskana ogromna donica, a wszędzie wokół wałała się ziemia i kawałki ceramiki. Sheila stała, wpatrując się w to wszystko z wyrazem absolut-

nego przerażenia na twarzy; potem upuściła nóż i zakryła twarz rękami. Jej ramionami wstrząsnął dreszcz, zaczęła szlochać.

—Całkiem nieźle, co, Violet? — spytał Fred. — Prawie tak dobre jak w telewizji.

—Lepsze — poprawiła Violet i zaczęła bić brawo. Wszyscy prócz Laurie i służących przyłączyli się do nich, a podłoga prawie się zatrzęsała. Ktoś gwizdnął, Gilly zawołał: „Bis”, na co Fred zgromił go, żeby się nie wydurniał, bo nie rozwiązyali jeszcze zagadki.

Mimo tego powszechnego entuzjazmu Sheila nie wypadła z roli. Nie przestając płakać, krzyknęła wreszcie:

—Co z wami?! Czyście powariowali? Powiedziałam wam, że mój mąż nie żyje, a wy... wy... O, Boże... błagam, niech ktoś coś zrobi... Pomóżcie mi... proszę...

—Za bardzo dała się ponieść emocjom — orzekł Fred. Niektórym zrzędył miny. Ludzie skupili się nieco bliżej siebie. Wymieniano spojrzenia i szeptano: „Co teraz?”. Simon opuścił widownię i podszedł do aktorów. Przyglądał się drżącym ustom Sheili i jej szalonym oczom, potem klęknął przy Dere-ku, złapał go za przegub ręki i pochylił głowę nad splamioną koszulą. Położył mu ręce na brzuchu i, ku przerażeniu Laurie, zamknął powieki leżącego, po czym z trupio bladą twarzą podniósł się na nogi.

— Obawiam się, że Sheila ma rację. Naprawdę nie żyje. Wciąż niepewni, tylko na wpół przekonani, goście zaczęli bełkotać coś do siebie nawzajem. Odezwał się Fred:

— Posłuchaj, Simon, żarty żartami...

— To nie żart—powiedział Simon. Zanim, zacinając się, znów zaczął mówić, przez dłuższą chwilę milczał. — Kiedy... kiedy studiowałem... pracowałem w czasie letnich wakacji w szpitalu. Jako sanitariusz. Wierzcie mi... Potrafię rozpoznać nieboszczyka.

Na słowo „nieboszczyk” Sheila zaniósła się płaczem i rzuciła w kierunku zwłok. Simon ruszył w samą porę i objął wdowę ramionami, a jego twarz wyrażała konsternację i rozpacz. Violet nadeszła z odsieczą.

— Może lepiej podać jej trochę herbaty... albo brandy — powiedział Simon, przekazując jej na wpół zemdloną kobietę. — Zresztą, cokolwiek uważasz. Fred, podaj mi tę tkaninę... tamtą.

Fred podszedł do sofy przykrytej hinduską narzutą. Ściągnął ją i zaniósł Simonowi, który okrył nią starannie ciało De-reka. Była o kilka cali za krótka, wobec czego stopy nieboszczyka wystawały na zewnątrz. Gdy Simon nachylił się, by podnieść nóż, Fred powiedział prędko:

— Tego bym nie robił, paniczu.

— Czemu nie? — zapytał Simon, ale nie tknął noża i wyprostował się, marszcząc brwi. — Och... rozumiem. Chyba nikt nie powinien niczego dotykać. Ale nie sądzę, żeby ktoś... prócz oczywiście Sheili.

— I tu masz rację, Simon. Szersz la fem<sup>\*6</sup>. Wiesz, o czym mówię?

— Na litość boską — Simon zniżył głos prawie do szeptu. Ale Sheili i reszty towarzystwa już nie było. Matkę, która sprawiała wrażenie, jakby miała chęć zawarcia bliższej znajomości z nieboszczykiem, trzeba było siłą nakłonić do wyjścia. Fred i Simon ruszyli w stronę drzwi.

— Lepiej zamknij go na klucz.

— No pewnie. — Simon przekręcił ciężki, żeliwny klucz w drzwiach, sprawdził, czy są zamknięte, i schował go do kieszeni. — Boże, co za historia.

Odnaleźli pozostałych w sąsiednim salonie. Bennet, która dopiero co zrobiła herbatę dla służby, przyniosła Sheili filiżankę mocnego, osłodzonego naparu. Wdowa sączyła herbatę na zmianę z wyjątkowo szczerze nalaną szklaneczką

---

<sup>6</sup> \* *cherchez la femme* (fr.) — szukajcie kobiety (jeśli nie widać jawnej przyczyny jakiejś sprawy) — zdanie przypisywane Józefowi Fouche (przyp. tłum.).

brandy. Violet ocierała delikatnie mokrą od łez twarz młodszej kobiety. Simon podszedł do bladej i wymizerowanej Laurie.

— Poprosiłam Bennet, żeby zaparzyła herbatę dla wszystkich — powiedziała.

— Dobrze.

— Wyglądasz upiornie.

— Ależ skąd.

— Przepraszam. Co, do licha, zrobimy?

Powróci! kamerdyner z tacą. Mniej się zataczał, jednak wiele mu jeszcze brakowało do postawy, którą można by określić mianem właściwej.

— Moja siostra płacze mi się pod nogami, madam.

— Nie dziwi mnie to — odparła Laurie, która czuła, że jej samej nogi się płaczą. — Postaw wszystko na ławie, Gaunt. Każdy może się sam obsłużyć.

Kiedy już wszyscy się obsłużyli, a kilka osób wzmocniło swój napój dodatkiem Courvoisiera, zasiedli w kręgu, przy czym pani Saville wybrała miejsce przy oknie, skąd miała dobry widok na stolik karciany. Wymieniano się spojrzeniami, z których przebijały obawa, podejrzliwość, podekscytowanie. Lęk.

Sheila, z głową ciężko opartą o ramię Violet, przestała szlochać, za to sprawiała wrażenie, że alkohol rozwiązał jej język.

— Biedny Derek... — zawodziła i załamywała ręce. — Leży tam teraz całkiem sam... w kałuży własnej krwi... z nożem w sercu...

Ludzie mamrotali słowa pocieszenia. To samo robiła Laurie, ale mimo iż czuła się potwornie i okropnie się martwiła, starczyło jej jeszcze irytacji, by się zdumieć, w czyjej krwi, jak nie swojej, mógłby leżeć Derek z nożem w sercu.

Na koniec Sheila uciszyła się i w salonie zapanował spokój. Wszyscy starali się trzymać fason, głęboko świadomi obecności sąsiadów. Obawiali się zapewne, że najmniejsze poruszenie może reaktywować owego ducha szaleństwa i wzburzenia, który spowodował takie zniszczenia w oranżerii. Wreszcie odezwał się Fred:



— Cóż — powiedział, tym razem pojmując w czym rzecz. — Historia jak z filmu!

Tym sformułowaniem trafił w samo sedno. Większość obecnych знаła identyczne sceny z filmów czy z kart książek. Podejrzani zbierali się razem po wykryciu zbrodni, oczekując na przesłuchanie przez detektywa. Z tym wyjątkiem, oczywiście, że w ich przypadku prawdziwego detektywa zabrakło.

— Fatalnie, co nie? — Fred wyraził tę myśl słowami. — To by staremu Derekowi przypadło do gustu. Prawdziwe morderstwo.

Na to Sheila znów uderzyła w szloch i po raz enty zawołała:

— Nie potrafię zrozumieć... Kto mógłby chcieć go zabić? Moje biedactwo...

Rzeczywiście, w tym tkwiło sedno sprawy. W powieściach mordercą często okazywała się wdowa, szczególnie gdy, tak jak w tym przypadku, okazywała pełną gotowość do współpracy. Jednak nikt, nie wyłączając Rosemary, bynajmniej nieuszcześliwionej nagłym pojawieniem się jeszcze jednej „wolnej” kobiety, nie miał dość tupetu, by taką hipotezę wyrazić na głos.

—Cóż, ja z całą tą kuriozalną historią nie mam nic wspólnego — oświadczyła pani Saville, siedząc sztywno jak kołek i rozmyślając nad osobliwą rozbieżnością między rozkładem dnia w Madingley Grange a tym w hotelu Royal Georgian w Bath. — Nie ruszałam się z tarasu przez całe przedpołudnie. Co pani Gibbs z pewnością potwierdzi.

—Zatem obie jesteście czyste — powiedział Fred. — Faktycznie, jeśli mowa o alibi, nasza rodzina jest poza wszelkim podejrzeniem.

Alibi! Zebrani w jednej chwili się ożywili, mimo iż wciąż nie zdejmowali z twarzy masek zatroskanego współczucia. Przed chwilą pojawiło się coś stanowczo wykraczającego poza naturalną kolej rzeczy, teraz jednak sprawy stopniowo wracały na utarte tory. Wystarczy zadać właściwe, konkretne pytanie i uzyskać na nie szczerą odpowiedź, a uniesie się gęsta chmura podejrzeń i prawda wyjdzie na jaw.

—Vi i ja byliśmy na jeziorze — kontynuował Fred. — Razem z Gillym. Zgadza się, Gil?

—Dokładnie.

Gilly miał chmurną i obrażoną minę. Zdążył wcześniej przygotować sobie własną linię obrony — długi czas spędzony na łodzi, doświadczenie zdobyte w jej manewrowaniu, krótki opis przybrzeżnej fauny i flory — tymczasem możliwość zaprezentowania im tego wszystkiego została mu w brutalny sposób odebrana.

— Więc mamy już pięć osób...

— Chwileczkę — przerwał Simon. — Czy Violet i twoja matka nie wchodziły do domu tuż przed pierwszą? Wydaje mi się, że jedliśmy właśnie zupę, kiedy wróciły.

—Byłyśmy razem przez cały czas — ostry rumieniec znowu zakwitł na twarzy Violet. Spojrzała na teściową w sposób, który niektórzy obecni odebrali jako nieco groźny.

—Nie licząc chwili, kiedy poszłam za potrzebą — dodała pani Gibbs.

—Nie musisz im opowiadać wszystkich obrzydliwych detali — zbeształ matkę Fred. Pani Gibbs z miejsca przybrała nieobecny, odległy wyraz twarzy, sugerujący duchowe uniesienie.

—Nie byliśmy w piwnicy nawet pięć minut — powiedziała Violet. — To sprowadzenie jej po schodach i późniejsze wejście zabrało nam sporo czasu.

—A kiedy pani Gibbs była...

—Czekałam w holu. Kamerdyner i pokojówka przechodzili parę razy z półmiskami, ale poza tym nikt więcej.

—Ciekaw jestem — powiedział Fred, z powrotem na krzeselku reżysera — czy Simon ze swoją odrobiną wiedzy medycznej mógłby nam powiedzieć, od jak dawna Derek... no... tam leży.

—Niedługo — odparł Simon, wpatrując się we własne stopy. — Jeszcze nie ostygł. — Potem, gdy Sheila zatkała, dodał: — Przykro mi.

—Nie mógł zostać zabity, powiedzmy, przed jedenastą, kiedy siedzieliśmy przy kawie?

—Wątpię.

—Może ja mógłbym tu pomóc — Martin odezwał się po raz pierwszy. — Ktoś pukał do moich drzwi późnym rankiem. Zanim je otworzyłem minęło kilka minut (miałem nogi jak z waty) i wtedy zobaczyłem na końcu korytarza Dereka. — Pomruk zainteresowania. — Niestety nie byłem w nastroju do rozmowy, więc w końcu nie odezwałem się do niego. Teraz żałuję.

—Mimo to, Martin, jest to ważna wskazówka — powiedział Fred. — Zauważ zakres poszukiwań. Kiedy na dobre wyszedłeś z pokoju?

—Około dwunastej.

—I więcej go nie widziałeś? — Indagowany potrząsnął przecząco głową. — Co później robiłeś?

Martin zmarszczył brwi. Przypomnienie sobie nawet tak nieodległych zdarzeń nie przychodziło mu łatwo. Myśl, że siedząca teraz z mocno zamkniętymi oczami i maską zaleknionego nieszczęścia na twarzy dziewczynka była tą samą troskliwą istotą, z którą wczoraj wieczór czuł się tak dziwnie swobodnie, odsunęła wszystko inne na bok. Zebrani spoglądali na niego z wyczekiwaniem.

—Spacerowałem po ogrodzie.

—Spotkałeś kogoś?

—Rosemary i Simona. — Martin poczerwieniał, a atmosfera oczekiwania przybrała na sile. — Ja... hm... rozmawiałem przez kilka minut z Rosemary. Simon wrócił do domu... potem Rosemary też poszła. Siedziałem na ławce, póki nie usłyszałem gongu wzywającego na lunch.

—Mógłbyś to potwierdzić, Simon? — Simon przytaknął. — A może ty nam powiesz, co przedtem robiłeś?

—Uczyłem Rosemary i Sheilę grać w krokieta. Niestety, z niezbyt dużym sukcesem.

—Czy to znaczy, że przez cały czas widzieliście się nawzajem?

—Mniej więcej. Wróciłem około wpół do pierwszej sprawdzić, jak się sprawy mają, i zobaczyłem Bennet na tarasie. Kończyła właśnie nakrywać do stołu. Powiedziała, że Laurie wyszła wieki temu pozrywać sałatę i poszedłem do ogrodu warzywnego...

—Chwileczkę, Simon. Czy chcesz przez to powiedzieć, że w ogóle nie wchodziłeś do domu?

—Zgadza się. Kiedy wróciliśmy, usiadłem razem z innymi do stołu. A Laurie poszła prosto do kuchni. Prawda?

Laurie kiwnęła twierdząco głową. Nie mogła mówić. Czuła, że zamknięto ją w bańce tragicznego nieszczęścia i rozpacz. Jej poprzednie obawy, że któryś z gości mógłby uciec z rodzowym srebrem, wydawały jej się teraz zwyczajnie śmieszne i infantylne. Gdyby tylko tyle trzeba było wyznać cioci Maude po jej powrocie. Udęczona Laurie przywołała w myślach tak bardzo teraz odległą scenę, gdy na tarasie pod wielkim parasolem Simon wyskoczył ze swoim fatalnym planem. Dlaczego pozwoliła mu się przekonać? W głębi serca wiedziała, że pomysł był zły. Miała nawet (uświadomiła to sobie teraz z perspektywy czasu) wyraźne przeczucie nadciągającego nieszczęścia. Gdyby tylko trwała przy swoim zdaniu. Nieustannie się to powtarzało. Simon mówi: „zrób to” i ona się zgadza. Nigdy więcej, przysięgła sobie gorzko. Już nigdy więcej.

— A ja mogę ręczyć za powrót Sheili — powiedziała pani Saville ostrym głosem. — Przyszła i stanęła za moim krzesłem, co było bardzo irytujące. — Po chwili dodała: — Moja droga, chyba mi wybaczysz to sformułowanie?

Wszyscy spojrzeli na Sheilę, która powiedziała:

—Tuż przedtem wypiałam aperitif. Później zasiadłam do lunchu.

—A ja wchodziłam do domu — przyznała Rosemary. — Musiałam poprawić makijaż — dodała z fałszywą skromnością. — Ale byłam tylko w toalecie na parterze. Nie trwało to dłużej niż kilka minut.

Nadeszła Bennet ze świeżo zaparzoną herbatą. Fred złapał drugi oddech.

—Chwilunia, złotko — zaczął, gdy pokojówka zbierała się do wyjścia. — Sheilo, wybac mi, ale ktoś musi zadać to pytanie... — Zwrócił się do Bennet: — Rozumiem, że widziałaś panią Gregory przechodzącą przez hol w chwili, gdy szukała męża.

—Zgadza się, sir.

—Jak sądzisz, po jakim czasie od opuszczenia holu pani Gregory zaczęła krzyczeć?

—Po kilku sekundach. Poszła tym małym korytarzem, który prowadzi do oranżerii. Potem krzyknęła. Pobiegłam zobaczyć, co się stało, i ujrzałam, jak się pochyla i podnosi nóż.

—Masz na myśli... że wyciągała go z jego piersi?

—Przestańcie! Przestańcie! — Laurie zerwała się na równe nogi. — Zachowujecie się, jakby to wciąż była tylko gra. Zginął człowiek. Nie wolno nam się bawić w szukanie motywów i sprawdzanie alibi. Musimy wezwać policję.

—Ojoj! — Fred dał susa przez pokój i złapał od Bennet dzbanek do herbaty. — Zaraz wszystko będzie na podłodze.

—Bardzo pana przepraszam, sir. — Pokojówka zwróciła się do Laurie: — I panią.

—Do diabła, jakie w tej chwili znaczenie ma plama od herbaty na dywanie? — spytała Laurie. — Fred, nie powinniśmy w tej okropnej sytuacji zachowywać się tak, jakbyśmy się dobrze bawili. To przecież potworne.

—Zaraz, zaraz — urażonym głosem odezwał się Fred. — Nikt nie może powiedzieć, że komuś z nas podoba się morderstwo. Ale stało się. A kiedy włączy się policja, zaczną zadawać masę pytań. Nic złego się nie stanie, jeśli wyjaśnimy

sobie niektóre sprawy. Czy pół godziny coś zmieni? Choćbyśmy się nie wiem jak śpieszyli, nie przywrócimy życia Derekowi. Jak sądzisz, Simon?

—Cóż... zgadzam się... Przypuszczam...

Laurie spojrzała na brata i zrozumiała, że uodporniła się na jego nieśmiały uśmiech. Okazało się to zadziwiająco łatwe. Tak czy inaczej nie wdała się w dyskusję. Zupełnie nie знаła się na tworzeniu protokołu z miejsca zbrodni. I oczywiście Fred miał rację, twierdząc, że skoro minęło już pół godziny, to kilka minut więcej nie będzie miało większego znaczenia. Zauważyła pokojówkę o ziemistej cerze, opierającą się wciąż o framugę drzwi i powiedziała:

— Bennet, posiedzę tu sobie trochę i zajmę się herbatą. Bennet wtarła lekko rozlane krople butem w dywan i ulotniła się.

—A więc teraz wiemy — rzekł Fred, zanim jeszcze drzwi się zamknęły — że Sheila raczej nie była w stanie zadać mężowi śmiertelnego ciosu. Co nie oznacza — dodał spiesznie, gdyż Sheila zdradzała oznaki, jakby na nowo miała się zalać łzami — żeby któreś z nas na poważnie brało to pod uwagę.

—Czy myślisz, Sheilo, że mógł sam targnąć się na swoje życie? — bardzo delikatnie spytała Violet.

—Nie — zabrzmiała niemal gwałtowna odpowiedź. — Derek byłby ostatnią osobą... Szczególnie dzisiaj... Tak bardzo chciał was wszystkich przechytrzyć.

—Więc jeśli odpada wersja samobójstwa — odezwał się Gilly — i żadne z nas nie maczało w tym palców, to kto, do diabła...

—Wczorajszy intruz! — krzyknęła Rosemary. Inni spojrzeli po sobie zaskoczeni, po czym prawie jednocześnie odetchnęli z ulgą. — Derek musiał go nakryć w oranżerii. Na pewno to właśnie wtedy została stłuczona donica.

Laurie nie wierzyła ani jednemu słowu. Pojmowała ulgę tych ludzi i to, że jak tonący brzytwy chwytają się wszelkich możliwych rozwiązań. Komu nie podobałby się pomysł, że pozostawienie zadźganego Dereka na terakocie można zrzucić na złego obcego przybysza? Jednak jej ta gładka konkluzja nie trafiała do przekonania. Przede wszystkim nie wydawało jej się, żeby, pomimo stłuczonej

donicy, rozegrała się tam walka. Podłoga nie była zarzucona ziemią, do czego z pewnością musiałyby dojść podczas szamotaniny. A sam Derek wyglądał tak spokojnie i porządnie, kiedy leżał płasko na plecach z rękami wzdłuż boków. Nikt w ten sposób nie upada. Na pewno ułożono go w tej pozycji po śmierci.

—A może — podsunęła pani Saville — kamerdyner okłamał nas w nocy i intruzem faktycznie jest jedno ze służących. Dość osobliwe kreatury, nie ma co.

—To na pewno żadne z nich — powiedziała drżącym głosem Sheila. — Derek był tego pewien. Kamerdyner nigdy nie bywa mordercą.

—Ale to jest prawdą tylko w książkach, moja droga — w głosie pani Saville dało się słyszeć: „to ponad moje siły”. — Musimy zapomnieć o naszej grze. Teraz mamy prawdziwe morderstwo.

—Myślisz, że tego nie wiem? — Ukazała się kompletnie w tej chwili przemoczona chusteczka. — Tam leży mój mąż...

—Ewentualnie — pani Saville pędziła dalej — intruzem mógł być ktoś, kogo Derek tak naprawdę rozpoznał. Jakaś osoba z jego przeszłości, zdecydowana wyrównać z nim stare rachunki.

—No nie — burknął Simon. — Myślę, że faktycznie wkraczamy w sferę fikcji.

Martin przesunął się niepewnie na krześle. Coraz bardziej zdawał sobie sprawę z rozpaczony Laurie. Uświadomił sobie, że chce jej ulżyć w cierpieniu, i żałował, że brak mu odwagi, by przejść na drugą stronę pokoju, usiąść obok i wziąć ją za rękę.

—Sądzę — Fred jeszcze raz stanął na wysokości zadania — że powinniśmy poszukać wskazówek. Może zacznijmy od sprawdzenia ciała...

—Też coś! — Laurie wstała i ruszyła w stronę drzwi. — Nie powinnam ci była na to pozwolić! — zawołała przez ramię do Simona. — Trzeba było zadzwonić na policję w chwili, gdy znaleźliśmy ciało. Co oni sobie pomyślą? Jak wytłumaczymy im tę zwłokę? — Była już teraz w holu, prawie biegła. Simon, tuż za nią, zawołał:

—Laurie, czekaj. Posłuchaj.

—Już słuchałam. — Podniosła słuchawkę. — Właśnie przez to, Simon, że ciebie słuchałam, jesteśmy teraz w cholernych opałach. — Laurie wykręciła dziewiątkę. — I tak wiem, co chcesz powiedzieć. Ludzie muszą mieć jakąś korzyść z tego, że zapłacili, czyż nie? — Druga dziewiątka. — Odrobinę rozrywki z prowadzenia śledztwa, podczas gdy ten biedak... — Trzecia. — ...leży tutaj... Zostaw telefon w spokoju, Simon. Halo... Halo... — Urwała, wpatrując się w brata na wpół zła, na wpół przestraszona. — Co zrobiłeś?

—O co ci chodzi?

—Nie działa.

—Jesteś pewna? — Simon chwycił słuchawkę, pokręcił nią i przyłożył do ucha. — O, Boże... faktycznie.

—Nie udawaj zdziwionego.

—Nie mam z tym nic wspólnego.

Pozostali, którzy podeszli do rodzeństwa, zaczęli teraz zadawać pytania. Simon zaciekle zaprzeczał zarzutom. Gilly zastanawiał się, czy ktoś zwyczajnie nie wyjął wtyczki.

—To nie ten rodzaj telefonu. Zakładano go lata temu — powiedziała Laurie.

—Nie zdziwiłabym się — rzekła Violet — gdyby przewody zerwała wczorajsza burza.

—Och, zapomniałam o tym — twarz Laurie pojaśniała nieco.

—Widzicie, zupełnie naturalne wyjaśnienie oświadczył Simon aroganckim tonem, utwierdzony w swej słuszności.

—Nie wyciągajmy pochopnych wniosków — Gilly najwidoczniej uważał tego typu banalną przyczynę za nieoczywistą. — Sądzę, że powinniśmy sprawdzić kabel od telefonu i zobaczyć, co to da... — Z miejsca przystąpił do czynu. — Bo wszyscy wiemy, że mógł zostać celowo ucięty.



Obserwowany przez pozostałych, Gilly ruszył wzdłuż przewodu przymocowanego porządnie do listwy przypodłogowej od holu do jadalni, a dalej wychodzącego przez dziurę w ścianie na zewnątrz. Niejeden z tych, którzy widzieli, jak sprawnie mu to idzie, z zażenowaniem wspominał poczynania poprzedniego detektywa. Po chwili ich uszu dobiegi triumfalny okrzyk i Gilly przybiegł z powrotem.

— Miałem rację. Równo przecięty. Pod tym wielkim kredensem. To rzecz jasna wskazuje na umyślne działanie. Co za szachrajstwo!

Laurie znowu spojrzała oskarżycielsko na brata, a wyraz ogromnego zdumienia na twarzy Simona jeszcze się pogłębił.

—Dobrze — powiedział Fred. — Teraz wiemy, na czym stoimy. Ktokolwiek zabił Dereka, chciał koniecznie opóźnić ha tyle, na ile się da, przybycie policji. A zrobił to niewątpliwie po to, żeby zdążyć uciec. Z czego wynika, że zdecydowanie nie był to nikt z nas.

—Z pewnością nikt ani przez chwilę w to nie wierzył — w głosie pani Saville zaskrzypiała pogarda. —A pominąwszy fakt, że *większość* nas nie wywodzi się z nizin społecznych," pozostaje też faktem, iż nie znaleźliśmy się wcześniej przed tym weekendem. Chyba tylko wariat będzie chodzić i zabijać ludzi, którym nie został nawet przedstawiony.

Żadne z Gibbsów nie było w stanie takiego epitetu pominąć milczeniem.

—Wielu przestępców pochodzi z najwyższych sfer — zaprotestowała ostro Violet. — Kłopot w tym, że dzięki plecom na ogół udaje wam się wykić od odpowiedzialności.

—Uważam — Fred stawiał czoła pani Saville na wzór dawnych sankiulotów — że gdyby wszyscy dostawali to, na co zasługują, więzienia wypełniałoby sami arystokraci i politycy. No i oczywiście generałowie.

—Myślą tyłkami — powiedziała matka Freda. — Ci generałowie.

Laurie wymknęła się z pokoju. Nie była w stanie tego dłużej znosić. Żeby tyle czasu marnować na bezsensowne mielenie językami. Gdy tylko wyszła z domu,

popędziła do garażu i wsiadła do busa. Na szczęście Simon zostawił kluczyki w stacyjce, bo nie miała zamiaru prosić go o pozwolenie. Nasłuchałaby się znowu kazań w rodzaju: „Po co ten pośpiech?”. A później logicznie brzmiących, doskonałych argumentów, że chociaż policję faktycznie trzeba powiadomić, to czy rzeczywiście zgłaszają się od razu na każde wezwanie? Natychmiast?

Od tego rodzaju kazuistyki Laurie robiło się niedobrze. Wiedziała, tak samo jak oni wszyscy musieli wiedzieć, co należy zrobić. I zanim ktokolwiek zorientował się, dokąd wyszła i po co, powzięła postanowienie.

Trochę się bała. Bus stanowił dla niej niewiadomą, a ona od czasu uzyskania prawa jazdy siedziała za kółkiem zaledwie parę razy. Ale przecież Oksford leży niedaleko, droga jest prosta, a na parkingu przy posterunku policji będzie sporo miejsca. Przekręciła kluczyk i nacisnęła pedał gazu. Nic. Jeszcze raz. To samo. Nawet jałowego charkotu, pojawiającego się w wypadku wyczerpanego akumulatora. Spróbowała jeszcze raz, wiedząc, że to strata czasu. Wtedy usłyszała odgłosy zbliżających się kroków, tupot biegnących nóg, pokonujących przestrzeń tak prędko, jak wcześniej ona sama. Simon, z twarzą świecąca od potu, zmateriałizował się w chwili, gdy wysiadała.

— W porządku — powiedziała bezbarwnym głosem. Jej twarz wyrażała poczucie porażki i przygnębienie. — Nie zapali. Ktoś będzie musiał pójść do Madingley. Chyba że złapie okazję. Albo cokolwiek. Ja pasuję. Mam już dość.

Odepchnęła brata i puściła się biegiem. Byle dalej od domu i gładzącego, nienawistnego tłumu bezsensownych detektywów. Byle dalej od biednego, martwego Dereka, o którego nikt się nie zatroszczył, choćby na tyle, by ściągnąć odpowiednie siły, żeby poszły tropem jego zabójcy. Lecz przede wszystkim dalej od Simona, którego chciwość, jak sądziła Laurie, leżała u źródeł całej tej paskudnej i katastrofalnej sytuacji.

# Rozdział dziewiętnasty

---

Ożywieni słowem „policja”, Gordon i Ben pakowali się. Wrzucali spiesznie ubrania, szczoteczki do zębów, kaptcie i nocne przyodziewki do dwóch brezentowych walizek. Gorączkowo wciskane tworzyły tu i tam grudy, guzy i spore wypukłości. Naturalnie ni jednej, ni drugiej torby nie udało się domknąć.

—Usiądę na twojej, jak ty siądziesz na mojej.

—Tylko tego nam brakuje. Perwersyjnego seksu.

—Zbieraj się. W każdej chwili możemy mieć gliny na karku.

—Kto im nakabluje? Telefon nie działa, a palec rozdzielacza z busa mamy u siebie.

—A skąd wiesz, że żaden z tych przemądrzałych durniów nie ma ze sobą komórki?!

—Chryste! — przeraził się Gordon. — O tym nie pomyślałem. — Z ponownym zapalaniem rzucił się na torbę Bena. Rozległ się głośny trzask.

—Rozwaliłeś zamek.

—Ale czy się zatrzasnął?

—Nie. Możesz bardziej przycisnąć?

—Nie, bo twój wieszak na ubrania wciska mi się w dupę.

—Musimy znaleźć jakiś sznurek.

Potykali się i miotali po zagraconym pokoju, otwierając i zamykając szuflady, zaglądając do szafek, omiatani przez świdrujące spojrzenia martwych oczu. Obaj mieli na sobie stroje, w których przyjechali, a pośpieszne ubieranie dodało ich postaciom jakiegoś komicznego uroku. Peruka Bena lekko się zsunęła, a jego kapelusz przypominający niemiecki hełm przechylił się na jedno ucho. Guziki płaszcza Gordona były krzywo zapięte do samej góry, a nadmiar materiału wy-

pychał na jego podbródku purpurowe fałdy tłuszczu. Sznurowadła miał niezwiązane, więc potykał się o nie co chwila, a raz uderzył głową o witrynę mieszczącą dostojną, pełną dezaprobaty sowę.

Wyrzucili na podłogę pożółkłe obrusy, stare paczuszki z nasionami i szablony do robienia na drutach, różnorodne kłębki wełny oraz wykonane z rafii strzępiące się na brzegach podkładki pod nakrycia. Na koniec w kredensie pełnym uszkodzonej porcelany znaleźli długi nylonowy sznurek. Ben związał walizki. Gordon otworzył okno i powiedział:

— Całe szczęście, że jesteśmy na parterze.

— Cholerna racja. Nie wyobrażam sobie, żebyśmy się skradali po schodach i przez hol objuczeni tymi pieprzonymi walizkami.

— Nie wierzę, że go rąbnałeś.

— Co się dziwisz. Rąbnałem go, żeby wreszcie przestał rzepolić na tych cholernych skrzypcach. No to zasuważ — ruszaj się.

—Rzekł wielbłąd do Araba. Ben spojrzał na brata.

—Niczego nie umiesz zrobić jak należy, co?

—Myślałem, że dobrze się spisałem.

—Idź i zobacz, czy droga wolna.

Gordon wygramolił się przez okno, a w chwilę później wdrapał się przez nie z powrotem.

—Nasz młody panicz popędził do garażu. Laurel musiała już tam być. Stamtąd wybiegła potem do ogrodu. On wrócił do domu.

—No to ruszamy. — Ben wyrzucił walizki przez okno i siadając okrakiem na parapet, spojrzał jeszcze raz na pokój. — To chyba karalne, co? Żeby z takiej chaty zmywać się z pustymi rękami.

—Zwłaszcza że za nasze płaszczenie się nie dostaliśmy złamanego grosza.

W głosie Gordona pobrzmiwała nuta zawodu. Słysząc w nim też było urazę, rezygnację, a także delikatną nadzieję. Ben mógłby nabrać podejrzeń, gdyby jego brat przynajmniej nie próbował przekonać go do zmiany planów. Mógłby zacząć zadawać pytania i odkryć, że marynarka i spodnie kamerdynera były wyładowane po brzegi.

Gordon wziął sobie głęboko do serca uwagi uczynione przez młodszego brata poprzedniego wieczoru. Może i prawdą było, martwił się, gładząc żałośnie zranioną nogę, że gdyby nie on, cała rodzina (oprócz taty, oczywiście) zajadałaby się teraz enchiladą na jakimś skąpanym w słońcu hiszpańskim eldorado. U Gordona myślenie było jednoznaczne z niezdecydowaniem. Lecz kiedy po odnalezieniu nieboszczyka stało się jasne, że zbliża się szybki odwrót, z energią zabrał się do dzieła.

W czasie, gdy Ben był w garażu, żeby unieruchomić busa, Gordon powlókł się do pokoju Greuze'ego po to tylko, by się przekonać, że jego łup, wysadzana brylantami szkatułka, zniknęła, przypuszczalnie w szufladzie zamkniętego na klucz nocnego stolika. Kuśtykał z powrotem korytarzem, medytując gorzko (im wyżej na drabinie społecznej, tym trudniej znaleźć osobę praktykującą cnotę zaufania), kiedy jego wzrok przykuła wklęsła rzeźbiona gemma z nefrytu i miniatutki w złożonych ramkach na półokrągłych stolikach.

—Coś nam się należy — powiedział teraz do brata, chcąc uzyskać od niego (choćby po czasie) przyzwolenie na swoje nielegalne działania.

—Dotknij tylko łyżeczki od herbaty, a odrąbię ci te łapska. Niedługo będzie się tu roić od glin. Jeśli szczęście nas opuści i wpadną na nasz trop, jedyne, co będą na nas mieli, to wypożyczenie busa. Możemy im wciskać, że spanikowaliśmy na wieść o morderstwie i dlatego daliśmy drapaka.

—Ale Ben... musimy myśleć o przyszłości.

—Posiedźmy jeszcze trochę na tym parapecie, a nie będziemy mieli żadnej przyszłości. Masz klucze? — Gordon wyjął wielki pęk z kieszeni płaszcza. — Pozbędziemy się busa w Oksfordzie i podłapiemy robotę u jakiejś rodzinki. Uważaj z tą nogą, jak będziesz prowadził.

—Nic mi nie będzie — Gordon postarał się, by jego głos zabrzmiał pewnie. Tak naprawdę tylko jego umysł mógł stanowić oparcie dla mięśni łydki, która wydawała się zrobiona z waty.

Ben zeskoczył na ziemię. Gordon szykował się, by pójść jego śladem, gdy nagle zatrzymał się i rozejrzał wokół. Jego wzrok spoczął na półce, na której siedziała sowa, nieruchoma pod swoją szklaną kopułą. Ostrożnie podniósł szkło i postawił je na dywanie. Potem z całej siły uderzył sowę w korpus. Ptak zatrząsał się, oderwał od podłoża i rozpadł się w stertę piór i trocin. Gordon odwrócił się do brata i uśmiechnął z dumą.

— Na litość boską — powiedział Ben. — Nie bądź takim cholernym smarkaczem.

Zostawiwszy Simona, Laurie pobiegła na oślep przez trawnik do drzew na przeciwko, a potem skierowała się ponownie do ogrodu warzywnego.

Była jednak tak zalękniona i zrozpaczona, że miejsce to znów nie dało jej pociechy ani ochrony. Wciąż czuła się zupełnie bezradna, kiedy tak stała sama pod rozpalonym niebem. Musi się wycofać głębiej. Znaleźć spokój i ciszę; zabezpieczyć przed rozgrywającą się w Madingley Grange wrzaskliwą, potworną farsą. Skierowała się w stronę ogromnej szklarni i zamknęła za sobą drzwi.

Sanktuarium. Wilgotne ciepło otuliło ją jak peleryna. Połowa szyb dla ochrony przed gorącym pomalowana była na biało. Poczowała się osłonięta i bezpieczna. Usiadła na starym kuchennym krześle bez oparcia i zamknęła oczy. Uświadomiła sobie, że zaciska kurczowo zęby, a dłonie ma zaciśnięte w pięści. Z wolna rozprostowała palce, rozchyliła wargi i otworzyła lekko usta, czując, jak mięśnie szczęki stają się miękkie i rozluźnione. Uświadomiła sobie obecność mieszaniny egzotycznych i niewyszukanych zapachów. Uderzającego do głowy chińskiego jaśminu, długokwiatowej lili i niepowtarzalnego ziemistego ciepła pomidorów.

Oszołomiona pyłkiem pszczoła przeskakiwała niepewnie od jednej wyszukanej arabeski liliowych płatków do następnej, z tryskającym energią, ekstatycznym bzyczeniem. Laurie pozazdrościła jej. Jak cudownie prowadzić taką prostą i uporządkowaną egzystencję. Kiedy na koniec z pokrytymi pyłkiem nóżkami za-

toczy się do ula, skończą się jej problemy. Nikt na nią nie naskoczy, chcąc się dowiedzieć, gdzie była o czternastej zero zero, kiedy zginął truteń z ósmego plastra.

Laurie jęknęła, uświadomiwszy sobie, jak była głupia, gdy sądziła, że wycofując się do bezpiecznej przystani dzieciństwa, zdoła pozbyć się paskudnego brzemienia. Zamiast tego, rozdarta niepokojem, zabrała cały ten chaos ze sobą i zmąciła panujący w ogrodzie naturalny spokój.

TLR

Przechadzała się tam i z powrotem po wąskim pasie płytek tworzących ścieżkę wzdłuż szklarni, martwiła się o niezerwane pomidory i gładziła kwiaty rosnące gęsto na rozsadniku. Bliskość roślin nie przyniosła jednak ulgi. Poczwała dreszcz i mdłości i znowu usiadła.

Zacwała rozmyślać, po raz nie wiadomo który, o ludziach przebywających w posiadłości, z których jeden musiał być mordercą. Tylko dlaczego to zrobił? Jaki miał powód, żeby się pozbyć Dereka? Sheila, jedyna osoba, która mogła mieć motyw, przez cały ranek była poza domem, a świadectwo pokojówki całkiem oczyściło ją z podejrzeń. A po cóż Bennet miałyby kłamać? Chyba że oboje, ona i Gaunt, byli współnikami Sheili. I chociaż w tej chwili to rozwiązanie bardzo by Laurie podniosło na duchu, to wydawało jej się tak niedorzeczne, że czuła się zmuszona je odrzucić.

Kłopot wynikał częściowo stąd, że teatralność wydarzeń ostatnich dwu dni przyczyniła się do zaciemnienia całego obrazu sytuacji. Do domu wprowadzają się obcy ludzie. Następnego ranka każdy z nich przybiera fałszywą maskę i szykuje się, by odgrywać fałszywą rolę wyłącznie w celu doprowadzenia do sfingowanego zabójstwa przez sfingowanego mordercę,

Tyle że sprawy potoczyły się całkiem inaczej. Przez co wszystko zrobiło się takie... niesamowite. Tak — to jest to niesamowite. Im bardziej Laurie się nad tym zastanawiała, tym bardziej cała sprawa wydawała jej się groteskowa i nierealna. Widziała w myślach postacie przechodzące to w tę, to w drugą stronę przez półcień oddzielający prawdę od fikcji. Wszystkie zmieniały swoje twarze. A może zakładały różne maski. Tylko kim były naprawdę?

Czy Rosemary była tylko śliczniutką flirciarą? A Sheila, ze swoimi wystającymi kośćmi policzkowymi, jej smukłym uzupełnieniem? Z pewnością w Gilym musiało być coś więcej niż przyodziana w monokl ośła głupota, którą zdecydował się po<sup>^</sup> kazać? A czyż waga, jaką Matką i pani Saville przywiązywały? do przebrzmiałych różnic klasowych, rodzinnych i majątkowych, nie była tak zmyślnie — czy też malowniczo — okropna| wręcz przechodząca ludzkie pojęcie, że aż karykaturalna?



A co z Fredem? Laurie oceniała jego prostacki i żywiołowi szowinizm jako wyjątkowo nieciekawym i trochę obraźliwym. Zastanawiała się teraz, czy nie można by się w nim dopatrzeć szukającej dogodnego ujścia, dużo bardziej mrocznej męskiej agresji. Na koniec Violet. Laurie oglądała niejednym film, w którym kobieta w średnim wieku, z twarzą idiotki okazywała się w finale superszpiegiem i pozbywając się pretensjonalnej peruki i kokieteryjnego uśmiechu, bezlitośnie zadawała *coup de grace*. I tylko Martin (no właśnie — ta jego droga, niezapomniana twarz!) był całkowicie, absolutnie niewinny.

Wtedy uderzyło Laurie, że wszyscy oni mieli alibi. Nic dziwnego, że idea „obcego” zyskała taką popularność. Tylko ten wariant czynił całą tę potworną historię wytłumaczalną, gdyż Laurie zgadzała się z Sheilą, że Derek wydawał się ostatnią osobą, która chciałaby odebrać sobie życie.

Później jej myśli zatoczyły koszmarnie bezowocne pełne koło i wróciły do teraźniejszości — stało się to za sprawą gniewnego „bzzz” przeładowanej pyłkiem pszczoły, która pomyliła drogę do wolności i rzucała się całym swym ciałem na czystą tafel szkla. W przyplywie współczucia Laurie otworzyła drzwi, chwyciła doniczkę i *Podręcznik ogrodnictwa Mackinto-sha*, złapała pszczołę w potrzask i wypuściła ją. Uwolniony owad odleciał w stronę kępy firletek.

Laurie odwracała się właśnie, by wrócić do swego schronienia, gdy usłyszała szelest. Dziwne, pomyślała, w taki gorący, bezwietrzny dzień. Nie był to delikatny szmerek poruszających się traw, którego powodem mogło być małe stworzonko, lecz dużo głośniejszy odgłos, jak gdyby zapędziło się tu jakieś duże zwierzę. Nie była pewna kierunku, z jakiego dochodził, jedynie tego, że jego źródło znajdowało się poza ogrodowym murem. Nastawiła uszu i upewniła się, że cokolwiek to było, oddalało się. Dopiero wtedy powstrzymywany oddech, ściśnięte gardło i gwałtowny łomot serca uświadomiły jej, że czuła strach.

Po raz pierwszy uderzyło ją, że zrobiła głupio, izolując się całkowicie od reszty grupy. Azyl szklarni, sekretny i zamknięty wewnątrz wysokiego ceglanego muru, mógł niezwykle łatwo stać się pułapką. Nie było nigdy potrzeby zakładania zamka na pordzewiałą ogrodową furtkę. Każdy mógł tu wejść. Mógł wejść i morderca.

Kiedy furka zaskrzypiała, Laurie powiedziała sobie, że ma jakieś omamy słuchowe. Potem skrzypnięcie się powtórzyło i zazgrzytała zasuwka, jakby ją zamykano. Kroki — delikatne, ciche na ubitej ziemi — zbliżały się, urywały, znów rozbrzmiewały. Z pewnością, z pewnością, myślała Laurie, ktokolwiek to jest, zobaczy, że w ogrodzie nikogo nie ma i odejdzie. Stojąc bez ruchu za bielonymi taflami szkła, wiedziała, że jest niewidoczna, dopóki intruz nie podejdzie do otwartych drzwi szklarni. Ale dlaczego miałby to zrobić? Nie miał powodu. *Chyba że szukał właśnie jej.*

Czekała bez ruchu, serce waliło jej gorączkowo, próbując wyskoczyć z piersi i przebić sobie drogę do gardła. W uszach grzmiał jej taki łomot, że obcy bez wątpienia musiał go usłyszeć. Zlana potem, dusząc się wonnym powietrzem, wpatrywała się w matowe szkło, jakby chciała przeniknąć przez nieprzejrzystą tafłę.

Czy ośmieli się wyjrzeć na zewnątrz? Zaryzykować wychylenie głowy, by na jedną sekundę stać się całkowicie widoczna przez niepomalowaną szybę? Czemu nie? Gdyby zrobiła to szybko, bardzo szybko? Jedno spojrzenie. Wtedy będzie wiedzieć. Przecież *musi* wiedzieć. Doszedłszy do wniosku, że prawdopodobieństwo, iż będzie akurat patrzył na szklarnię (Laurie ani przez chwilę nie pomyślała, że intruzem może być kobieta), kiedy ona wyjrzy na zewnątrz, jest jak jeden do trzech, złapała się krawędzi drewnianej półki i z nerwami napiętymi do ostatnich granic poruszyła się. Milimetr po milimetrze. Cal po calu. Cofnięcie. Nikogo. Musi być w części ogrodu znajdującej się po prawej stronie. To oznacza skradanie się wzdłuż drugiego segmentu bielonych szybek i powtórzenie całej niebezpiecznej procedury od początku. Tym razem Laurie postanowiła zrobić to szybko. Po prostu, szybkie wyjrzenie i odskok. Mniejsze prawdopodobieństwo, że ją zauważy.

Ruszyła, ale zbyt szybko. Potrafiła doniczkę, która spadła i rozbiła się z wielkim hukiem na kamiennych płytkach. Laurie zdusiła w sobie jękliwy okrzyk. Zapadła przerażająca cisza.

I wówczas ponownie rozległy się kroki. Porzuciły ścieżkę z ubitej ziemi dla żwiru. Ta natomiast prowadziła bezpośrednio do drzwi szklarni. Laurie czekała, drżąc ze strachu. Przez głowę przemknęły jej przerażające i idiotyczne myśli.

Derek i ona, ich losy tragicznie powiązane ze sobą w wiadomościach o szóstej. Scotland Yard prowadzi dochodzenie. Zapłakani przyjaciele i krewni otaczający kręgiem jej mogiłę obserwują, jak błyszcząca trumna zsuwa się w dół. Wszyscy ją lubili, będą przyznawać ludzie, tak jak powiadają zawsze, kiedy jest już za późno. Simon, wypiwszy za dużo na stypie, powie: „Była za młoda, żeby umierać”.

Mój Boże, to przecież prawda, pomyślała Laurie. Najprawdziwsza. Targnął nią gniew, niczym uderzenie niedźwiedziej łapy. Dźgnął boleśnie, jakby z nadzieją na jej ożywienie. Co ja robię, zapytała samą siebie. Będę tu stać, tylko stać i czekać? Potulnie, jak ofiarny baranek? Przecież nie taka była, gdy prowadziła szkolną drużynę hokeja do zwycięstwa siedem do zera nad Alton Convent! Adrenalina podniosła jej ciśnienie i wzmogła determinację. Na ucieczkę było już za późno. (Kroki były coraz bliżej. Bardzo blisko). Ale nie za późno na walkę. Nie za późno, żeby krzyczeć, wrzeszczeć i kopać. Zastanawiała się, czy lepiej zdzielić go po głowie donicą, czy też rzucić w oko żuka gnojarka.

W końcu podniosła kuchenny stołek bez oparcia i w chwili, gdy nieznajomy wkroczył w drzwi szklarni, zmrużyła mocno oczy i rozbiła go na jego głowie.

## Rozdział dwudziesty

---

Martin od blisko godziny przemierza! teren posiadłości w poszukiwaniu Laurie. On jeden — może dlatego, że tak bardzo był świadom jej obecności — zauważył jej zniknięcie. A kiedy Simon spostrzegł zniknięcie siostry i wybiegł do garażu, Martin również wyszedł z domu.

Zdażył już obejść dokoła jezioro, przejść swoją poranną trasą po mostku i przez zarośla, a teraz sprawdzał uroczy i ekscentryczny zakątek ze sztucznie formowaną roślinnością. Wielkie filizanki i podstawki, wąż unoszący się niezdecydowanie na końcu ogona i lew ze srogo, lecz starannie ufryzowaną grzywą i dzikimi, rozpłaszczonymi, krzaczastymi łapami. Tylko ani śladu Laurie.

Martin czuł, że jego nieokreślony niepokój zamienia się szybko w zdecydowany przypływ lęku. Gdzie, u licha, może się ona podziewać? Ukazał mu się obraz Laurie i jego lęk przybrał na sile. Jest taka malutka. Taka bezbronna. Przypomniał sobie jej postać, gdy chwiała się na nogach pod ciężarem tacy z jego śniadaniem, jej smukły nadgarstek, kiedy dzierżyła duży srebrny dzbanek do herbaty, jej delikatne, opadające ramiona. I jest gdzieś w pobliżu, całkiem sama. Tymczasem ten cholerny drań jest wciąż na wolności...

Podjęto już co prawda kroki, żeby zawiadomić odpowiednie władze. W trakcie przeszukiwania kępy bambusów po drugiej stronie jeziora Martin zauważył busa odjeżdżającego podjazdem. Teraz, pokonując spory pagórek porośnięty różnorodną roślinnością (bukszpan, cis i ligustr złocisty), mimo iż trawił go niepokój, był jeszcze w stanie jakąś cząstką umysłu zastanowić się nad osobliwością swojego położenia.

Nigdy nie uważał się za osobę zmienną czy kapryśną. Skakanie z kwiatka na kwiatek zupełnie nie leżało w jego naturze. Gdyby go zapytać o ocenę takiego rodzaju postępowania, nazwałby je żalonym. A jednak on sam, jeszcze przed dwudziestoma czterema godzinami zaręczony z Rosemary, teraz, dzięki jej odstępstwu — wolny, gorące uczucia kierował już w inną stronę.

Doświadczenia Martina z płcią przeciwną należały do skromnych, zarówno pod względem liczby, jak i intensywności. Zabłąkał się w jeden czy dwa raczej statyczne związki, które dobiegły końca w atmosferze wzajemnej życzliwości, a później spotkał Rosemary. Podobnie jak większość ludzi, Martin podziwiał albo zazdrościł innym tych cech, których sam w żadnej mierze nie posiadał. Tak więc spodobała mu się jej prostolinijna żywiołowość, bo nie miał pojęcia, że bliska była apodyktyczności i że czyniła Rosemary zwykłą sekutnicą, aczkolwiek pozbawioną okrucieństwa.

Jednak w żadnym ze swych poprzednich związków nie odczuwał tego słodkiego pragnienia zaopiekowania się drugą osobą ani niewymuszonej serdeczności, których doświadczał teraz, kiedy myślał o Laurie. Wydawało mu się prawie niemożliwe, że zamienił z nią ledwie kilka zdań, a połowę z nich w czasie, kiedy miał wrażenie, że rozmawia z kimś innym. Próbował przemyśleć te emocje na spokojnie, lecz nic z tego. Czuł się podekscytowany, ale zdawał sobie sprawę, że to podekscytowanie ma jakieś ciche, spokojne wnętrze. Przysiadł na wystawiającym swój ozór kamiennym gryfie i zaczął rozmyślać.

Czy zatem ten cichy niepokój i nadzwyczajna czułość oznaczają miłość? Doznanie opiewane zarówno przez niezrównanych poetów, jak i pomniejszych tekściarzy? „Miłość jest ślepa...”, „Julia jest słońcem...”, „Nie wie, co to miłość, ten, kto nie kochał od pierwszego wejrzenia...”, „Proszę, nie przestawaj mnie kochać...”

Martin porwał się z miejsca i poszedł dalej, poruszony i zdumiony tym, co właśnie odkrył. Nie miał najmniejszej wątpliwości, że się nie myli. Serce mu się ścisnęło, krew się burzyła, żołądek podskoczył do gardła, a kolana miał jak z waty. Ale kiedy to wszystko się zaczęło? Czy wtedy, gdy wysiadał z busa i po raz pierwszy się do siebie odezwali? Kiedy przyniosła mu tak fantazyjnie udekorowaną prześlicznym nagietkiem tacę? A może wtedy, gdy pragnął ją pocieszyć, kiedy siedziała w salonie z pobielalą i nieszczęśliwą twarzą? Czas nie ma znaczenia. Liczy się fakt, bijący po oczach, olśniewający niczym blask jupiterów.

— Jestem zakochany — szepnął Martin i świadomość tę jak drogocenny klejnot wysunął na pierwszy plan podczas swojej przechadzki.

Co dziwne, skoro już nazwał swój stan (tak pospolity i tak wyjątkowy), nagła potrzeba ujrzenia swojego skarbu jakby zmaląła. Na razie wystarczyło mu, że może ją sobie odtworzyć w pamięci. Stała mu przed oczami elegancka we wzorzystych jedwabiach, olśniewająca w lamie, nieśmiała i śliczną w starej, niebieskiej sukience. Każdy obraz zdawał się Martinowi bliski doskonałości. I z niezmaconą pewnością, cechującą zakochanych na całym świecie, wiedział, że jest tak samo dobra, miła i inteligentna jak piękna.

Nie czyniłaby banalnych uwag na temat jego podróży. Nie wyśmiałaby jego ambitnych planów projektowania i wykonywania oranżerii dla indywidualnych klientów. Ani nie śmiałaby się tak Rosemary, gdyby jej wyznał, że czasami, w wyjątkowo ponure dni zdarza mu się brać do łóżka misia.

Snując tego typu marzenia, Martin prawie nie zauważył: furtki prowadzącej do warzywniaka. Nie chcąc pozostawiać niesprawdzonej żadnej części ogrodu, wszedł i z wielką starannością zamknął za sobą tę furtkę. Zatrzymał się na chwilę na myśl, że — zapewne dzięki dobroczynnej sile miłości — zupełnie zniknął jego ból głowy, po czym zaczął się rozglądać dokoła.

Najwyraźniej w ogródku nie było nikogo, lecz Martin, którego duszę ogrodnika oczarowała schludność warzywnych grządek, nie mógł się oprzeć, żeby ich nie obejrzeć. Za szczególnie interesującą uznał kolistą rabatę z ziołami. Podziwiał szklarnię, z bardzo praktycznie na wpół pobielonymi szybkami chroniącymi przed słońcem (znano się tu na rzeczy), a żarliwa ciekawość eksperta spowodowała, że musiał do niej zajrzeć.

Zrozumiał, że ktoś w niej jest, kiedy szedł dróżką i usłyszał huk spadającego przedmiotu. Świadomość tę potwierdził fakt, że gdy nachylił się, by wejść do środka, ktoś zadał mu paskudny cios w głowę.

Ostatnimi myślami Martina przed zapadnięciem w ciemność były: „Mordują mnie” i „Nigdy jej już nie zobaczę”.

Obu tym przekonaniom natychmiast zadano kłam. W następnej chwili Martin uświadomił sobie, że ktoś uporczywie wymawia jego imię. Jak również, że na twarz spadają mu krople deszczu. Kiedy starał się usiąść, ból głowy powrócił z

wielką siłą. Okazało się, że deszcz pochodził z konewki trzymanej przez jego ukochaną i że to ona udreńczonym głosem powtarza jego imię.

Laurie odłożyła konewkę na bok i upadła na kolana, wołając:

— Kochany, kochany, kochany! Och, kochanie — nic ci nie jest? Kochany, błagam, odezwij się do mnie.

Martin, ani trochę nie znudzony powtórzeniami, posłał jej błędny uśmiech.

—Moja kochana... — zaczął (w końcu po co miałyby wzbogacać ich dialog?)  
— Myślę, że wszystko w porządku. Kochana.

—Och! — Zarumieniona Laurie podniosła się z kolan, a to samo, tylko nieco wolniej i podtrzymując się półki, zrobił Martin. — Musisz usiąść. — Wzięła go pod ramię i poprowadziła w stronę taboretu, który ustawiła prosto, a na który on zasiadł z ulgą. Potem stanęła, trochę tak jak rankiem w jego pokoju, patrząc na niego z tą samą dziwną mieszaniną prostoduszności, podekscytowania i niepokoju.

Martin z kolei, mimo iż bardzo obolały, czuł się najzwyczajniej szczęśliwy. Wiedział, że jest kochany. Laurie nie szczędziła mu czułych słówek i trzymała go w ramionach. Fakt, nastąpiło to zaraz potem, jak go na wpół ogłuszyła jakimś twardym przedmiotem, ale niewątpliwie wszystko się w końcu wyjaśni. Pełnia zaufania to zasadnicza sprawa, jeśli ich flirt miał zaowocować, a co do tego Martin nie miał żadnych wątpliwości. W międzyczasie, gdy Laurie sprawiała wrażenie zdruzgotanej i oniemiałej na dodatek, przyszło mu do głowy, żeby zrobić jakąś kojącą uwagę i pomóc rozładować nacierające z wielkim impetem emocje. Zrobić coś lekkiego, bezpretensjonalnego i pozbawionego sentymentalizmu (na sentymentalizm jeszcze przyjdzie czas). Może powiedzieć dowcip? (Nie słyszałem o takim efekcie cieplarnianym). Chyba jednak nie. To mogłoby ją jeszcze bardziej zdenerwować. Martin rozejrzał się wokół w poszukiwaniu inspiracji i udało mu się znaleźć doskonały te-. mat. Bezpieczny, niewinny i zdecydowanie niekontrowersyjny.!

— Słuchaj — powiedział. — Przydałoby się pouszczykiwać te pomidory.

Jego kapryfolium uderzyło w płacz.

—Próbowałam się tym zająć — szlochała — przez cały czas, odkąd Simon wyskoczył z tym o... okropnym weekendem. A jest ich tak du... du... du...

—Rzeczywiście — zgodził się Martin, spoglądając na szeregi krzaków. — Co, u licha, robicie z tymi wszystkimi warzywami?

—Ciotka je sprzedaje. Członkiniom Klubu Kobiet.

—Czemu nie mielibyśmy ich teraz pouszczykiwać?

—Naprawdę, możemy?

—A czemu nie. Nie śpieszy mi się, żeby wracać. A tobie?

—Och, wcale — odparła szybko Laurie. Uśmiechnęła się do niego, potem zdjęła z drzwi stary płócienny fartuch z kieszeniami i zaczęła usuwać boczne pędy z pierwszej rośliny, wrzucając do kieszeni zielone odrosty. Martin zabrał się za drugą. Pracowali wspólnie po jednej stronie szklarni, a towarzyszące im początkowo napięcie stopniowo łagodniało, aż stało się po prostu dyskretnym pobudzeniem.

—Czy ogrodnik twojej ciotki nie zajmuje się tego rodzaju rzeczami?

—Podczas jej nieobecności przychodzi zaledwie raz w tygodniu i wykonuje tylko grubsze prace. Zaoferowałam się, że zajmę się całą resztą.

—Diabelnie dużo roboty.

—Nieważne. Ja to uwielbiam. — Martin przypomniał sobie szczególny wygląd jej paznokci. — Simon mówi, że urodziłam się na kolanach z motyką w ręce.

—Ze mną jest to samo.

—Naprawdę? — Przerwała zajęcie i wpatrywała się w niego z gorącym zainteresowaniem, chociaż bez zdziwienia. Teraz, gdy niebiosa zesłały jej swój wielki, szczodroblivy dar (czyż Martin nie nazwał jej swoją ukochaną?), miała wrażenie, że wszystko pozostałe z całą pewnością dobrze się ułoży. To oczywiste, że Martin podziela jej wielką pasję. Pokrewne dusze wyposażone są we wszelkie



akcesoria niezbędne dla idealnej harmonii. Z ochotą czekała na dalszą część jego wynurzeń.

—Tak naprawdę podróżuję i oglądam szklarnie... — Martin urwał. Laurie obdarzyła go zachęcającym uśmiechem, więc ciągnął dalej, u jej stóp składając swe nadzieje i marzenia.

—Zawsze myślałam — powiedziała, kiedy skończy! — że w Chinach i Indiach musi być cała masa cudownych roślin, o których nic nie wiemy. Idealnych dla twojej oranżerii. George Forrest nie zdołał ich wszystkich odkryć. Prócz tego są też cieplejsze rejony Rosji... Gruzja, no wiesz. Albo nawet Turkiestan.

—Musimy tam pojechać i je zobaczyć.

Laurie upuściła kilka pędów i potknęła się, chcąc je podnieść z ziemi. Nie była jeszcze gotowa na użycie tej słodkiej formy „my” ani na szybkie, przenikliwe ukłucie radości.

— We wrześniu jadę do Pershore College — powiedziała, gdy doszła do siebie. —Chcę potem zajmować się projektowaniem krajobrazu.

Zdumiony Martin słuchał jak urzeczony. Nie przypuszczał, nie *wierzył*, że ich ambicje i zainteresowania, przy całej precyzji ślepego Amora, będą tak wspaniale się ze sobą uzupełniać. Dla niego cała ta odkrywczą rozmowa była jak dostanie w prezencie wspaniale pomalowanego pudełka, po którego otwarciu odnajdujemy następne, bardziej doskonałe, a w jego wnętrzu kolejne, jeszcze cudowniejsze.

Z sercem przepelnionym wdzięcznością wyciągnął rękę i ujął jej dłoń. Nie spoglądała na niego, ale poczuł, że drży. Na jej brązowym przedramieniu leżała smużka cudownego, pomarańczowego kwiatowego pyłku. Schylił głowę i zdmuchnął sypki proszek. Wtedy Laurie odwróciła się i zobaczył, że płacze.

—Najdroższa... — objął ją ramionami. — Co to? Nie płacz. Nie zniosę tego.

—Och, Martin — łzy wytrysnęły jej z oczu i spływały po policzkach. Ukryła twarz w jego koszuli. — Myślałam... że cię zabiłam...

—Cóż, muszę przyznać, że masz niezły cios. — A kiedy nie przestawała chlipać, dodał: — No już dobrze, skarbie... — Dotknął ustami srebrzystego ciepła jej łez i stali przez chwilę nieruchomo i blisko siebie, oszołomieni wzajemnością swoich uczuć. A potem ją pocałował. To było cudowne. Świeże i słodkie, przypominające zanurzenie twarzy w ledwo co rozkwitłej róży. Więc zrobił to jeszcze raz.

Laurie z błogim wyrazem twarzy zamknęła oczy i oddała mu pocałunek. I wtedy stało się: komety zatańczyły, meteory opadły, a obłoki gwiazdowego pyłu osiadły na ich zamkniętych powiekach. Pod nogami poczuła potężny ruch, kołowanie i drżenie ziemi.

—Och! — zawołała Laurie, uwalniając się z jego objęć, i z rozszerzonymi oczami zrobiła krok w tył. — Więc to prawda. Rusza się. *Naprawdę* się rusza.

—Co takiego, kochanie?

—Ziemia. Simon powiedział, że rusza się tylko na skutek masowych bombardowań.

—Śmieszne.

Olśniony, nierozumiejący, Martin uśmiechnął się do Laurie. Kochał jej skórę, ciepłą i piegowatą jak dojrzała morela, korzenny brąz jej włosów i uroczo ubrudzone łapki. Ponowna reanimacja usta-usta. Pięćdziesiąt krzaków pomidorów wyczekujących na próżno uszczykiwania. Ten stan nadnaturalnej rozkoszy, transcendentnego pożądania i niemal takiej samej transcendentnej miłości został brutalnie zakłócony odgłosem wystrzału. Bardzo donośnym. Trzask! Laurie i Martin, którzy gwałtownie wzmogli czujność, zwrócili twarze w stronę ogrodowego muru.

Nad fosę wzniosły się przerażone łabędzie, po czym przeleciały nad szklarnią w drodze do jeziora. W chwili, kiedy Laurie i Martin poderwali się do biegu, nastąpił drugi strzał, a bezpośrednio po nim okropnie ostry krzyk.

# Rozdział dwudziesty pierwszy

---

A oto jak doszło do strzelaniny. Kiedy Simon powrócił z garażu z wieścią, że minibus jest niesprawny, z miejsca zasypano go gradem pełnych wściekłości i niepokoju pytań.

—Ale co się z nim stało?

—Czemu nie chce zapalić?

—Może zabrakło paliwa?

—Violet, kiedy stoisz w garażu, nie może ci zabraknąć paliwa.

—Może trzeba go popchnąć.

—Jeśli ktoś się spodziewa, że będę pchała samochód, czeka go gorzkie rozczarowanie.

—Jestem pewna, mamó, że to nie wina biednego Simona.

—Co, do diabła, teraz zrobimy?

—Jak już się coś zacznie pieprzyć, to na amen.

—Rosemary! Zakryj uszy!

—Chodziło o to, żebyśmy nie uciekli. Jesteśmy w potrzasku... z *zabójcą*.

—Słuchaj, Violet, nie denerwuj się.

—Proszę was, lepiej będzie, jak przedyskutujemy to na spokojnie...

—A jak tu można być spokojnym?

—Proszę państwa... — powtórzył Simon. Rozłożył ramiona i zaczął ruszać rękoma w górę i w dół jak dyrygent domagający się *andante*. Zgromadzeni uciszyli się, ale nie na długo.

—Chodzi o to, Simon — zaczął Gilly — że jeśli jeszcze dłużej zostawimy wszystko tak jak teraz, to rzeczywiście będzie to dziwnie wyglądać, przynajmniej z punktu widzenia policji.

— Ktoś z nas będzie musiał podreptać do najbliższego telefonu. Ja chętnie się podejmę.

—Nie wątpię — powiedział Fred. —Ale nikt nie będzie nigdzie dreptać, dopóki nie dowiemy się prawdy o intruzie.

—Jakie to ma znaczenie?

—Powiem ci, jeśli się nie domyślasz. Simon mówi, że to tylko aktor...

—Tak naprawdę nic takiego nie powiedziałem — zająknął się Simon. — A jeśli wprowadziłem was w błąd, to przepraszam. Zrobiłem to tylko dlatego, że kilka osób autentycznie się przestraszyło. Faktem jest, że nikogo nie wynająłem.

—W takim razie, i zakładając, że Sheila dała się ponieść emocjom, pozostaje tylko nasza grupa. Zatem rozumiesz — Fred zwrócił się do Gilly'ego — dlaczego nikt nie może się stąd ulotnić. Ten ktoś równie dobrze może być zabójcą.

—Więc niech idą dwie osoby.

—I myślisz, że znajdzie się taki głupi, kto będzie chciał tam iść? — Fred po kiwał w stronę odległych drzew. — Z kimś, kto zaraz po wyjściu z domu może go walnąć w łeb? Jeśli popełnił jedno morderstwo, nie zawaha się przed następnym.

—Dlaczego więc nie pójdziecie ty i Violet? — spytała Rosemary.

— Nie dam rady, kotku. Moje nogi są do niczego. — A może wyślemy służących?

—Oni się nie nadają — wyjaśnił cierpliwie Simon. — On kuleje, a ona jest na wpół ślepa.

—Zdaje się — powiedziała pani Saville — że zbyt łatwo się poddaliśmy w kwestii transportu. Może usterka nie jest poważna i wystarczyłaby jedna osoba z minimalną znajomością motoryzacji, by ją naprawić. Może pan Gibbs... — za-

wiesiła lekko głos, w którym przez cały czas pobrzmiwała nuta odrazy, tak jakby ktoś ją dotykał tłustą ścierką.

—Niestety — odparł Fred, zdając sobie dobrze sprawę, dlaczego postawiono go na czele listy potencjalnych mechaników samochodowych. — Nadaję się do uruchomienia tej sterty złomu jak do powachlowania herbaty filiżanką. Ja jeżdżę testarossą. I mam dwóch chłopaków do jej obsługi.

—Są naprawdę irytujący, nie sądzisz? — rzekła pani Saville na boku do Rosemary. — Ci nuworysze?

—Mam cię, paniusiu, już serdecznie dość. Zadzierasz tego swojego nochala i traktujesz z góry mnie i moją rodzinę. W niczym nie jesteśmy od ciebie gorsi. I coś ci jeszcze powiem...

— Ciii... — Simon zerwał się na równe nogi. — Słuchajcie... Nastawili uszu. Wyraźnie usłyszeli kasłanie silnika. Dźwięk

nasilił się i zwiększył natężenie, gdy pojazd opuścił garaż, po czym osłabł i zniknął. Stało się to tak szybko, że zanim zdolali zidentyfikować odgłos, ten ostatecznie ucichł.

—No tak! — wykrztusił Gilly. — Dał nogę. Morderca.

—Ale... — zdumiał się Simon. — Nie rozumiem... kto mógł...

—Wszyscy jesteśmy na miejscu — zauważyła Sheila. — Więc to nikt z nas.

—Bynajmniej — sprostował Fred. — Brakuje młokosa Martina.

—Martin? — Rosemary zaśmiała się złośliwie. — On by muchy nie zabił.

—No więc gdzie się podział? A skoro już o tym mowa, gdzie jest twoja siostra? — Fred mrugnął lubieżnie okiem w stronę Simona.

—Przypuszczam, że pomaga w... — urwał nagle. Na jego twarzy pojawił się niepokój. Wybiegł spiesznie z pokoju i wrócił jeszcze bardziej poruszony. Kompetentny, dobrze zorganizowany człowiek, któremu splątano nici misternie utkane go fortelu. Jego twarz wyrażała mieszaninę strachu i niedowierzania. — Nie ma ich.

—Kogo?

—Służących. Żadnych ciuchów, niczego.

—Może byś nam powiedział, jak udało im się uruchomić niesprawnego busa?  
— spytała pani Saville.

—W papierach samochodu musisz mieć jego numer — zauważył Fred. — Policja ich zatrzyma.

—Tylko kiedy? — zawołał Simon. — Nie mamy telefonu. A przechadzka do wsi zajmie co najmniej godzinę.

—Porzucą go, jeżeli mają choć trochę rozumu — powiedziała Violet. — Od razu, kiedy dotrą do Oksfordu.

—A więc zagadka rozwiązana.

—Co? — na twarzy Simona malowała się konsternacja.

—Jednak kamerdyner jest winien — ciągnęła Rosemary, spoglądając drwiąco na Sheilę. — Albo pokojówka.

—Nigdy nie ufałem tej kobiecie. Miała zbyt wąsko rozstawione cycki.

—Fred!

—Nie bzdycz się, kotku — powiedział Fred. — Znasz mnie. Mówię to, co widzę. Nawet szpileczki nie dałoby się między nie wcisnąć. A widzieliście jej buty? Prawdziwe kajaki.

—O co ci chodzi? — spytał Simon.

—Elementarne, detektywie. Uważam, że to facet w babskich ciuchach.

—W babskich...

—A niech to! — podekscytowany Gilly przewrócił okrągłymi oczami.

—Miałeś tu dwóch profesjonalistów, Simon. Pozowali na służących. Pokazali fałszywe referencje. Opróżnili lokal i pędzą dalej. Lepiej zacznij sprawdzać, co zginęło.

—Niemożliwe... — Simon rozejrzył się wokół bezradnie.

—Derek musiał ich na tym przyłapać, więc go sprzątnęli.

—Przynajmniej policja będzie miała frajdę jak diabli, że przeprowadziliśmy za nich całe dochodzenie — Rosemary uśmiechnęła się zachęcająco do Simona.

—Nie miałaś chyba wiele do czynienia z gliniarzami, co, Rosie? — spytał Fred.

—Cóż, to nie nasza wina, że zwiali.

Zapadło dłuższe milczenie. Osobliwa pauza. Płomień podniecenia przygasł, dominować zaczęła zatechła, mdła atmosfera. „Więc to już koniec?” — zdawali się milcząco pytać.

Wreszcie pani Saville zwróciła się do starszej pani Gibbs:

— Jako że żadna z nas nie wybierze się do Madingley, mogłybyśmy chyba dokończyć naszą grę? — starała się, by jej głos brzmiał naturalnie, ale cóż... Przebijała z niego pazerność.

Pani Gibbs uśmiechnęła się do niej dziwnie i odparła:

— No to trzeba ruszyć nogami. — Violet spojrzała na Freda, który wzruszył ramionami, a potem pomogła teściowej wstać.

Pani Saville zaproponowała, żeby nie brać kart do rąk, tylko położyć je na stole na tarasie („To da nam pewność, że będziemy kontynuować grę w duchu absolutnej uczciwości”), co też się stało z chwilą, kiedy rywalki zajęły swoje miejsca. Pani Gibbs zdawała się nie śpieszyć do rozpoczęcia, a pani Saville — zerknąwszy wpierw do swoich kart, by sprawdzić, czyjej niebywały układ pozostał nienaruszony — tak długo jak mogła, powstrzymała się od ruchu. Serce jej trzepotało, miała lekkie zawroty głowy, mimo to czuła się o wiele lepiej, niż kiedy siedziała w domu. Tam sprawy wracały do pierwotnego, spowolnionego rytmu, jako że zagadka została rozwiązana.

Chociaż w pewnym sensie tutaj również zagadka została rozwiązana. Albowiem rezultat rozdania był wiadomy, przynajmniej dla pani Saville. Mimo to

wciąż odczuwała zniecierpliwienie i ze zdumieniem spostrzegła, że jej ręka dygocze. Spojrzała na przeciwniczkę, którą za chwilę pokona. Ależ jest brzydka. Siedzi nieruchomo, wypatruje czegoś, w oddali za parkiem. Ten jej profil z ostro zarysowanym, haczykowatym nosem wiódźmy. Ile tak naprawdę ma lat, zastanowiła się pani Saville. Niełatwo zgadnąć po glazurowanej, twardej skórze barwy ciemnego karmelu i żółtawych, szczerbatych zębiskach.

Po dłuższej chwili pani Saville pochylila się do przodu, lecz jej inicjatywa przyjęta została gwałtownym przeczącym ruchem głowy. Matka Rosemary wyprostowała się na krześle.

—Co to znaczy? — spytała, a potem z bólem dodała: — Ma pani zamiar grać?

—Zagram, kiedy to się skończy.

—Kiedy co się skończy? — Pani Saville rozpoznała tę pozę. Staruszka siedziała dokładnie tak samo z zadartą głową w czasie lunchu na moment przed krzykiem Sheili Gregory. Czy to jeszcze jeden zbieg okoliczności?

Rozległ się ochryply szept.

— Morderstwo.

—Ale... morderstwo już było. Wyjaśniliśmy... Pani Gibbs potrząsnęła głową.

—Grubo się mylisz.

—Czy to ma znaczyć, że będzie następna zbrodnia? Wielkie nieba! — Pani Saville podskoczyła z miejsca. — Rosemary!

—Rose Marie? — zarechotała pani Gibbs. — Długo pożyje. Za długo.

—Wobec tego kto? — pani Saville odetchnęła z ulgą i opadła na fotel. — Jeżeli pani wie, musi pani coś zrobić. Wrócić do środka i opowiedzieć im.

—Ja? — pani Gibbs mrugnęła chytrze okiem. — Nigdzie nie pójdę. Noga odmawia mi posłuszeństwa.



W bibliotece Simon oświadczył, że to on pójdzie do wioski, jako że czuje się odpowiedzialny za całą tę historię, po czym zatrzymał się przy drzwiach.

Do podjęcia się tej misji skłoniły go krzepiące i pełne powagi twarze. Nie poparła go jedynie Sheila. Siedziała ze spuszczoną głową, a dłońmi z pobielającymi kostkami ścisnęła kolana. Jej wsparte na krawędzi krzesła i napięte do granic możliwości ciało gotowało się do biegu, niczym sprinter na linii startu.

Simon otworzył drzwi i na ten dźwięk Sheila poderwała się na nogi z krzykiem:

— Tak! Tak! Idź! Miałeś rację... Ta farsa trwa już zbyt długo... Och, *biedny* Derek... — i zanosła się histerycznym szlochem.

Wraz z początkiem nowego spektaklu towarzystwo się ożywiło. Wszyscy zabrali się do pocieszania i uspokajania zbolalej wdowy. Wszyscy, prócz Rosemary, która przewróciła oczami z irytacji i zaczęła się zastanawiać, czy nie zostawić im tego zajęcia i nie ruszyć w pogoń za Simonem. Już wcześniej zrozumiała niezręczność swojego położenia, gdy Simon oświadczył, że musi pójść sam. Wyglądałoby bardzo dziwnie, gdyby odrzuciwszy propozycję Gilly'ego jako swojego towarzysza, zgodziła się potem wlec za kimś innym. Lecz Rosemary, którą dopingowały czułe słówka szeptane pod skreconymi pędami *Lonicera americana*, nie miała wątpliwości, że Simon byłby uszczęśliwiony, gdyby wymknęła się cichaczem i go dogoniła.

Jak pomyślała, tak zrobiła. Wykradła się na palcach w stronę holu. Ale ledwie tam weszła, usłyszała czyjś krzyk. Przejmujące wołanie: „Nie!”. Potem gwałtowny tupot nóg. Lekko przestraszona, Rosemary zatrzymała się, a po chwili Violet i Fred popchnęli ją do przodu. Ten ostatni zawołał:

— Co to za hałasy?!

Ukazał się Simon. Za nim wołanie:

— Stój, bo będę strzelać!

Ścigany nie zatrzymał się. Nastąpił wystrzał. Ekspłodowała wielka waza stojąca wysoko na marmurowym podeście. W powietrze wyleciały żółte i turkusowe

we odłamki. Rosemary krzyknęła. Przez otwarte drzwi wejściowe wpadł do środka Simon. A tuż za nim z dzikimi oczami, rozwianym włosom i wymachując rewolwerem Gilly'ego, wbiegł Derek Gregory.

Po drugim wystrzale rozległ się dziki pisk. Przerazona Rosemary zwróciła się do Freda:

— On go zabił! Och, Simon...

Po chwili szoku i zdumienia na skutek powrotu do życia nieboszczyka zebrani przy wtórze ciężkiego tupotu obuwia wyszli na taras. Rosemary pisnęła cicho z ulgą, kiedy minęli pawia, leżącego na grzbiecie z łapkami w powietrzu.

Laurie i Martin ramię w ramię wpatrywali się w hałaśliwe zgromadzenie. Oprócz wystrzałów z broni byli świadkami finałowych kadrów szalonego niemego filmu. Simon szaleńczymi zygzakami szusował przez trawnik; Derek biegł za nim, ale nie był w stanie wziąć swej zwierzyny na muszkę, mimo to nie porzucił strzelania. Raz nawet odwrócił się i wystrzelił w przeciwną stronę, a tylna flanką jak jeden mąż padła na twarz.

Simon zdołał się oddalić i przepadł w zaroślach. Wówczas Derek zatrzymał się i trzymając rewolwer w obu dłoniach, nieznacznie zgiął kolano niczym prawdziwy profesjonalista. Wycelował dokładnie w punkt, w którym zniknął Simon, i nacisnął spust. Żadnego efektu. Stał prosto, potrząsnął bronią, uniósł ją w górę i przyjrzał się lufie.

Z okrzykiem: „Zostaw to, głupi sukinsynu!” Fred podbiegł do Dereka i wyrwał mu pistolet z ręki. Laurie z Martinem dobiegli do nich prawie równocześnie z pozostałymi. Derek, trzymany mocno przez Gilly'ego, stał w centrum grupy, trząsł się ze wściekłości i mamrotał:

— Zabiję go... Zabiję go...

A potem spiorunował wzrokiem swoją żonę:

—I ciebie zabiję...

—Derek! — zawołała Sheila. — O co chodzi? Co cię naszło? Oszalałeś?

—Tak, oszalałem. Byłem szalony, że ci ufałem... Jesteś demonem w ludzkiej postaci. Ohydna, niegodziwa ladacznica!

Simon z wahaniem wyszedł zza kępy rododendronów.

— W porządku — rzekł Gilly. — Trzymam go mocno.

Za wcześnie to powiedział. Derek wyrwał się z wściekłym rykiem, a Simon jeszcze raz przepadł w krzakach. Fred i Gilly po szaleńczym pościgu dopadli Dereka i wcisnęli go w młodą kępę wawrzyńka. Laurie pobiegła za bratem.

—Simon! Co się, do diabła, dzieje? Wielkie nieba, jak ty wyglądasz?

—Jeszcze się dziwisz? — Koszula Simona była całkowicie przemoczona. Jasne włosy ciemne od potu. Twarz naznaczona przerażeniem i ulgą. — Wariat! — zawołał w kierunku zmaglowanych reprezentantów rodziny *Thymelaeaceae*. — Niebezpieczny maniak! Trzeba cię zamknąć. O, mój Boże... — Nogi ugięły się pod Simonem, aż upadł na ziemię. Laurie przykucnęła obok brata, a po chwili to samo zrobił Martin. Między obojgiem leżała skulona, dygocząca postać.

—Martin, pomóż mi go zabrać do domu. Wstawaj, Simon — Laurie szturchnęła łagodnie brata. — Wygląda, że powinienes się czegoś napić.

—Tak... dajcie mu pić. Dajcie mu cykuty. To w sam raz dla zdrajców, co nie? Broń tchórzy — trucizna!

W ślad za wlokącą się po murawie trójką poleciało jeszcze wiele więcej okrzyków i powszechnie znanych obelg, a gdy przechodzili obok martwego ptaka, Laurie szepnęła coś w rozpaczy.

Dwie matrony na tarasie obserwowały ich nadejście z ciekawością, która w przypadku pani Gibbs zabarwiona była cynicznym rozbawieniem. Kiedy przeszli przez taras, pani Saville podniosła pytająco brwi, ale jej partnerka jedynie spuściła jaszczurczą powiekę i potrząsnęła głową.

Simona usadowiono w fotelu w bibliotece. Laurie naląła dużą porcję brandy i spostrzegłszy, że palce brata najwyraźniej pozbawione są czucia, przytrzymała mu szklankę przy ustach. Opróżnił ją trzema haustami; później całym jego cia-

łem wstrząsnął gwałtowny dreszcz, który po chwili ustał. Simon zaczął oddychać ciszej, usta przestały mu dygotać.

—Lepiej?

—Trochę.

— Dobrze. — Laurie odstawiła szklanę, spojrzała na Dereka i z powrotem na brata. — A teraz, Simon, czy mógłbyś nam wyjaśnić, co to wszystko ma, do licha, znaczyć?

TLR

## Rozdział dwudziesty drugi

---

Jako że kilka innych osób również optowało za tym, by, jak się wyraził Gilly, „wychylić szklaneczkę”, pięć minut później pokój wypełniła woń alkoholu. Dołączył do niej natychmiast szum podekscytowanych głosów. Z tych zaś wiodący należał do maszerującego tam i z powrotem i pomstującego, na czym świat stoi, Dereka. „Rozwikłamy tę sprawę” przeplatały takie kwiatki, jak: „Dostaniecie za swoje, oj, dostaniecie”. W chwili jednej z krótkich przerw Violet powiedziała:

—Ale wciąż nam nie powiedziałaś, jak to się stało, że żyjesz?

—Zapytaj tę jawnogrzesznicę! — zawołał Derek, dramatycznym gestem wskazując na swoją żonę. —Albo lepiej jej gacha — przesunął palcem w stronę gospodarza.

Simon, który przybrał postawę zaniepokojenia i zniechęcenia, siedział z elegancko ostrzyżoną głową w dłoniach, na te słowa uniósł ją i spojrzał na obecnych z wyrazem absolutnego zdumienia.

— Możesz sobie patrzeć! — krzyknął Derek, któremu otarcie się o śmierć nie przyćmiło, rzecz jasna, wyczulonego na szczegóły wzroku. — Spodziewam się, że tak czy inaczej będziecie robić głupie miny za moimi plecami. I nie poprzestaniecie na samych minach.

Simon otworzył usta, jakby miał zamiar coś powiedzieć. Potem, najwyraźniej przytłoczony faktem, że stał się obiektem takiego zalewu irracjonalnych emocji, z powrotem je zamknął. Zmarszczył brwi.

—Napiłbym się czegoś.

—Wypiłeś już trzy kolejki — odparła Laurie.

—Choćbym wypił nawet trzydzieści trzy, to co z tego? — powiedział jej brat szorstkim głosem. —Rozpaczliwe środki wymagają rozpaczliwych czasów... czy coś takiego...

—Chwytam — Fred, wkładając ostentacyjnie rękę do kieszeni marynarki, w której spoczywał rewolwer, nalał szczerze jeszcze jedną kolejkę. — Na zdrowie, chłopcze.

—Nie powinieneś wyskakiwać z oskarżeniami, Derek — rzekła Violet. — Szczególnie jeśli nie dysponujesz dowodami. Ludzie się denerwują.

—Dowody! Jeżeli chcesz dowodów, spójrz na to! — Błyskawicznie wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki książkę w miękkiej oprawie i pomachał nią przed ich oczami. — Ta książka ocaliła mi życie. Dokładnie tak samo, jakby powstrzymała zdradziecką kulę.

—Nie sądzę, żebyś to ty miał prawo się wypowiadać o zdradzieckiej kuli — w głosie Simona, który zaczął już odczuwać efekty działania *eau de vie*, słychać było cień urazy.

—Przyganiał kocioł garnkowi, co? — przerwał mu Gilly.

—Czyli masz coś wspólnego z tym, co się stało, Simon? — wtrącił Fred. — Bo to ty powiedziałeś nam, że on nie żyje. Nabrałeś mnie jak cholera i dokumentnie.

—Och... w nabieraniu ludzi Simon nie ma sobie równych — powiedział Derek sarkastycznym tonem. — No... dalej. Opowiedz im o wszystkim.

—Ze mną to nie ma prawie nic wspólnego — zaczął Simon tonem usprawiedliwienia, a zarazem pokrzywdzonego. — Zwróciła się do mnie...

—Twoja kochanka!

—Zwróciła się do mnie — kontynuował, sprawiając wrażenie, jakby mówił przez zęby, a sylaby precedzał przez gęste sito — Sheila... pani Gregory... i zaproponowała, żeby udobruchać jej męża, który tak się zdenerwował, że ma zagrać rolę ofiary, iż byłby zdolny zepsuć pozostałym cały weekend. Odegraliśmy małe przedstawienie... albo, jeśli ktoś woli, zabawę w morderstwo:., we trójkę.

Plan sprawiał wrażenie całkiem sensownego. Sądziłem, że mógłby dodać naszej zabawie szczyptę prawdziwego dramatyzmu, a jego wprowadzenie w życie wydawało mi się moim obowiązkiem jako gospodarza. Poza tym, czy może być coś bardziej ekscytującego niż konieczność stawienia czoła autentycznej zbrodni? Ustaliliśmy, że Derek położy się w oranżerii, poleje sosem pomidorowym, po czym jego ciało odnajdzie żona, która oznajmi śmierć swego męża, a ja potwierdzę jej werdykt. Później, po jakimś czasie, krótkim czasie — wiedzieliśmy, że szybko ktoś zacznie nalegać, by wezwać policję — pójdę, dam mu cynk i pojawi się niczym duch Banka, żeby was wszystkich zaskoczyć i przerazić...

—Simon, jak mogłeś się zgodzić na coś takiego? — Laurie była zbulwersowana. — Żeby w ten sposób straszyć ludzi.

—I gdyby nie fakt — ciągnął Simon — że ktoś przeciął kabel...

—Ty to zrobiłeś! — zawołał Derek. —A wcześniej unieruchomiłeś busa. Oczywiście, żadne z nas nie przyjechało autem. Zapewniłeś to sobie, włączając opłatę za przejazd pociągiem w cenę weekendu.

—Opłaciłem wam podróż pociągiem — powiedział Simon z wyteżoną cierpliwością — ponieważ koszt imprezy był dość wysoki i uważałem, że w kilku przypadkach to posunięcie może przechylić szalę. Skąd mogłem wiedzieć — tu zimne spojrzenie na Gilly'ego — że ktoś będzie jechał z bieguna północnego.

—Bzdura. Wszystko to zostało zrobione, żeby nas odizolować i zabezpieczyć się przed wezwaniem policji. Co w efekcie dało ci dużo czasu.

—Czasu? Czasu na co?

—Żeby dokonać prawdziwego morderstwa. Myślisz, że kiedy wróciłeś, podniosłeś nóż i nachyliłeś się nade mną, ja nie wiedziałem, co masz zamiar zrobić?

—Miałem zamiar ci powiedzieć, że czas już się ujawnić...

—Chwilunia — przerwał Fred. — Parę rzeczy mi tu nie gra.

—Tylko parę? Mój Boże! — śmiech Simona był nieco nerwowy.

—Na początek... skąd mogłeś być pewien — Fred zwrócił się do Dereka — że znajdzie cię akurat twoja żona? Gdyby to był ktoś z nas, wasz plan nigdy by nie wypalił.

—Zaaranżowaliśmy to tak, żeby znalezienie ciała nastąpiło w czasie lunchu — powiedziała Sheila, która przestała płakać i mówiła teraz z niemal gorączkowym przekonaniem, patrząc to na męża, to znów na resztę zgromadzenia, jak gdyby próbując objąć ich wszystkich zapewnieniami. — Wszyscy inni zajęci posiłkiem siedzieliby przy stole. Naturalnie to mnie przypadłaby rola rozejrzenia się za Derekiem.

—Dość długo ci zajęło, żeby o tym pomyśleć.

—Zgodziliśmy się też — Sheila zignorowała uwagę Rosemary — że Derek spędzi większość czasu w ukryciu. Obawiał się, że osoba, która wyciągnęła kartkę z rolą zabójcy, mogłaby próbować go dopaść i tym samym zepsuć cały plan.

—Ale mówiłaś nam — rzekła Violet do Sheili — że ukrywał się, by sprawdzić pomysłowość mordercy.

—No przecież nie mogłam wam powiedzieć całej prawdy, no nie? To by wszystko zepsuło.

—Nie... — Violet sprawiała wrażenie skonsternowanej. — Chyba masz rację.

—I tak nie ma o czym mówić — Derek ponownie przejął stery rozmowy — ponieważ karta mordercy została wyciągnięta jedynie w teorii. I to właśnie przez — odwrócił się, wskazał na Simona i utkwiał w nim promienny wzrok — *mordercę!*

—Sakramenckie bzdury — rzucił Gilly. — Nie wiemy, kto ją wyciągnął.

—Tak naprawdę wcale jej nie było — zawołał Derek. — Kochanek mojej żony się o to postarał.

—Może byś sobie wreszcie wbił coś do tej tępej głowy? — Simon, trzęsąc się, poderwał się na nogi i spiorunował Dereka wzrokiem. — Posłuchaj teraz uważnie, co ci powiem. Poznałem was oboje, ciebie i twoją żonę, wczoraj po południu. Wcześniej na oczy nie widziałem ani ciebie, ani jej. I zaryzykuję, że wyj-



dę na gbura, ale powiem, że nic mnie nie obchodzi, czy was kiedykolwiek jeszcze zobaczę.

—Czy mogę coś powiedzieć? — spytała natarczywie Laurie, patrząc na Dereka, który otwierał już usta, by odpowiedzieć. — Miałam zamiar zająć twoje miejsce w roli ofiary. Tuż przed pójściem spać powiedziałam o tym Simonowi. Nie próbował się ze mną kłócić ani mnie od tego odwozić. A z pewnością by to zrobił, gdyby twoje podejrzenia były słuszne.

—Ależ nie — Derek triumfalnie pokręcił głową. — Zrozum, on wiedział, że rano będę już tak zaaferowany podłą i sprytną intrygą mojej żony, że nie będę chciał się zamieniać.

— Nie wiem, kochani — wniosła sprzeciw Violet. — Mam wrażenie, że to trochę zbyt zagmatwane. Po cóż miałyby być te całe podróże? Czy trzeba wyjeżdżać, żeby...

—Nie rozumiecie?! — wykrzyknął Derek. — Gdybym został zabity u siebie w domu, natychmiast by ją podejrzewano. Tutaj, w otoczeniu świadków, załatwia sobie żelazne alibi. Proste.

—*Proste?* — jęknął Simon i poprawił się na krześle.

—Wciąż nie wyrażasz się jasno, Derek — powiedział Fred. — Czyżbyś chciał nam wmówić, że wszystko zostało zaplanowane, zanim tu przyjechalismy?

—Od dnia, kiedy moja żona podsunęła mi ogłoszenie w „Timesie”.

—Ależ... to był żart, Derek. W ogóle nie sądziłam, że na poważnie się tym interesujesz.

—Nonsens. Kryminalne historie od zawsze były moją największą pasją. Wiedziałaś, że nie będę w stanie się oprzeć.

—Ale właśnie dlatego myślałam, że *będiesz* się opierał. Bo jesteś w tych sprawach taki... no... purytański. W najśmielszych snach nie przypuszczałam, że będą cię pociągać ludzie, których to bawi... którzy się z tego... nabijają.

—Kłamiesz!

—Przestańcie — Gilly podskoczył z miejsca. — Nie musicie krzyczeć.

—Derek, czy jesteś pewien, że właściwie to wszystko interpretujesz? — łagodnie, jakby uspokajał marudne dziecko, spytał Fred. — Sądzę, że... to trochę jakby... naciągane.

—Myślę, że to od lektury — podsunęła Violet. — Czytasz za dużo jednego rodzaju książek. To jak ze zbyt monotonnym odżywianiem się. Dostajesz niestrawności. Tylko że w umyśle. Jakby urojenia.

—Wracając do książek — powiedział Gilly. — Może byś nam wyjaśnił, co to za książka, którą machałeś nam przed oczami, i w jaki niby sposób uratowała ci życie?

—Ach, tak — Derek ponownie uniósł książkę, tak że wyraźnie było widać jej tytuł. — Twój wielki błąd, Sheilo, że tak długo zwlekałaś. Widzisz, dało mi to dodatkowe pół godziny. o trzynastej wytrząsałem już sos...

—A swoją drogą — przerwała mu Laurie — kiedy to zabrałeś? I jeszcze nóż? Byłam w kuchni całe przedpołudnie i w ogóle cię nie widziałam.

—Niezupełnie całe przedpołudnie — odparł Derek. — Kiedy przesłuchałem Gaunta, Bennet wyszła do pomieszczenia, gdzie się zmywa naczynia, żeby obrać ziemniaki, a ty po-szłaś z tacą na górę.

—Rzeczywiście — rzekła Laurie i wymieniła spojrzenia z Martinem. Rosemary, której uwadze nie umknęła otaczająca ich mgielka wzajemnej fascynacji, prychnęła głośno.

—Ale do rzeczy — powiedział Derek i ugiąwszy w kolanach swoje kanciaste nogi zabrał się do podsumowania. — Kiedy oblałem się sosem i prócz czekania nie miałem nic więcej do roboty, zauważyłem z pół tuzina książek w miękkich okładkach na żeliwnym stoliku obok drzwi. Wyobraźcie sobie moją radość, kiedy zorientowałem się, że wszystkie są autorstwa samej wielkiej Agathy Christie. Odkrycie, rzekłbym, co najmniej złowieszcze.

—Nic w tym złowieszczonego — odparł Simon. — Potrzebowałem swego rodzaju scenariusza na weekend, więc wybrałem się do Oksfordu, gdzie zakupiłem sześć pozycji. Wybrałem „wielką Agathę”, jak raczyłeś ją nazwać, po prostu dlatego, że była jedynym autorem na półce z kryminałami, którego nazwisko obito mi się o uszy. Nigdy nie słyszałem o pozostałych. A swoją drogą, nie jest to z pewnością gatunek literacki, na który inteligentna osoba będzie marnować swój cenny czas.

Derek przerwał swój marsz. Jak rażony gromem, z poszarzałą nagle twarzą natarł na Simona. Uczepiwszy się jego piersi, wydał z siebie urwany okrzyk, a potem długie, gorączkowe zawodzenie. Zachwiał się, kolana ugięły się pod nim, a oczy spojrzały gniewnie.

— Hej tam! — Fred skoczył na pomoc. — Coś z nim nie tak.

Sheila również ruszyła w sukurs mężowi. Wspólnie z Fredem usadowili Dereka w fotelu i z niepokojem patrzyli, jak z trudem łapie oddech.

—Połóż mu klucz na karku.

—Głuptasie, to na krwotok z nosa.

—Wsadź mu głowę między kolana.

—Połóż mu fretkę na spodniach.

—Ciii... on coś mówi. — Sheila przestała wachlować męża i przyłożyła ucho do jego warg. — Co jest, najdroższy? Powiedz Sheili. — Słuchała, marszczyła czoło, później przekazała istotną informację: — Wody... chce trochę wody. — Laurie przyniosła syfon i szklanę. — Naprawdę, Simon — ciągnęła z rozdrażnieniem Sheila. — Musiałeś powiedzieć coś takiego?

— A skąd ja miałem wiedzieć? — Simon sprawiał wrażenie głęboko dotkniętego. — Nawet kiedy sądził, że próbuje go zabić, nie zareagował tak gwałtownie. Gdzie jego poczucie właściwych proporcji? — dodał, zapominając, że warunkiem niezbędnym do zachowania właściwych proporcji jest posiadanie poczucia humoru.

Derek wypił kilka łyków wody i z wolna powrócił ze stanu bliskiego śmierci. Triumfalnie, choć chwiejnie podniósł się na nogi i pogardliwie wykrzywił usta w stronę Simona, niewątpliwie po to, by dobitnie zaznaczyć, że obecna próba wysłania go na tamten świat nie była bardziej skuteczna od pierwszej, a po chwili jeszcze raz zabrał się do odtwarzania własnej wersji przebiegu zbrodni.

—*Śmierć na Nilu* — zawołał dramatycznym tonem, wskazując na książkę. — Mam nadzieję, że fabuła jest wam znana.

—Widziałam film — powiedziała Violet. — Z tą Maggie Smith. Ona ani trochę nie potrafi się ubrać.

—Smith wcale się nie ubiera — poprawił żonę Fred. — To Diana Rigg.

—On ma rację — zgodziła się Rosemary. — Maggie Smith nosi te okropne kardigany.

—Niezbyt mi się podobał Albert Finney.

—Albert Finney nie grał w *Śmierci na Nilu* — Violet wyrównała rachunki. — Tam był Peter Ustinov. Albert Finney grał w *Orient...*

—Proszę was o uwagę — wtrącił się Derek. — Inaczej stracę wątek. Ledwie zacząłem przeglądać książkę, gdy cała sprawa na nowo mnie dopadła. Simon, zwróćcie uwagę na zbieżność imion, Simon Doyle został „ranny” — palcami wskazującymi Derek narysował w powietrzu cudzysłów — i w czasie, kiedy miało miejsce zabójstwo jego żony, był jakoby obezwładniony przez ranę postrzałową. Rzecz jasna, symulował i użył czerwonego atramentu jako krwi. Doskonale wymyślone sprytne alibi. A tutaj — spojrzał ostrym wzrokiem na wszystkich po kolei, chcąc narzucić im swoje przekonanie — zamiast czerwonego atramentu... Czerwony sos. A w miejsce drugiego zasadniczego rekwizytu, czystej białej koszuli schowanej w szafie, występuje... to!

Wszyscy wpatrywali się w część garderoby, którą Derek teatralnym gestem wyciągnął z wnętrza marynarki i pomachał nią wysoko jak sztandarem.

—Zwinięta i schowana za poduszką na kanapie.

—Ależ to mój fartuch, który zakładam do ogrodu — powiedziała Laurie.

—Co takiego?

—Zostawiam go w oranżerii. Czasem gałązki mają w sobie pełno soków. I potem, kiedy je przycinam, wytryskują. Nie chcę być ubrudzona, więc wolę zakładać wierzchnie okrycie. Zazwyczaj wieszam go za drzwiami, ale wygląda to okropnie, więc, jako że mamy gości, postanowiłam upchnąć go w inne miejsce.

—Aha — Derek spojrział w dół na fartuch. — Myślałem, że to koszula.

—Gdybyś to rozwinął i przyjrzał się dobrze — powiedział Simon — przekonałbyś się, że nie tylko nie natknąłeś się na koszulę, ale że żaden facet się w to nie zmieści.

—Teraz tak mówisz — Derek zdążył się już pozbierać — ale sam przyznałeś, że ogrodnictwo w ogóle cię nie interesuje. Skąd miałbyś wiedzieć, że to był zwykły fartuch do pracy w ogrodzie?

—Nigdy do tej pory nie słyszałem takiego steku bzdur — odparł Simon. — Najpierw niby zaplanowałem wszystko tak doskonale, że zostawiłem cię zamkniętego razem z książką, która zdradza cały sekret. Potem odnajduje się koszula, rzecz o podstawowym znaczeniu (choć Bóg jeden wie dlaczego) dla sukcesu tego idiotycznego przedsięwzięcia, która po bliższym zbadaniu okazuje się pasować na karła.

—Odwołaj to! — Martin porwał się z miejsca, ale Laurie ściągnęła go na krzesło.

—No właśnie, o co chodzi z tą koszulą? — wtrąciła Violet. — Oglądałam ten film tak dawno temu.

—Koszula poplamiona sosem pomidorowym, innymi słowy ta, która zapewnia alibi mojej żonie i jej kochankowi, musi, rzecz jasna, być usunięta na czas, gdy szykuje się prawdziwa akcja ze sztyletem w roli głównej. Nie można pozwolić, żeby znalazła ją policja. Na trupa trzeba wobec tego założyć czystą. Elementarne.

—Jedyną elementarną rzeczą w całym tym skomplikowanym procesie dedukcji — rzekł Simon — jest jego poziom intelektualny. Żeby coś takiego wydumać, trzeba mieć rzeczywiście kurzy mózdzek.

—A teraz dochodzimy do twojej trzeciej pomyłki — zadufany w sobie i niezniechęcony obelgami Derek wciąż szarżował.

—Popeliłem tylko jeden błąd, i to na początku, w chwili gdy przyjąłem twój czek. Trzy tygodnie temu, kiedy Sheila powiedziała mi...

—Aha! — Derek stanął jak wryty. Z bladą twarzą, drgającymi nozdrzami wychwytyjącymi słodką woń sukcesu, nieomal upajał się swoim triumfem. Potem wznowił swój marsz. Wolnym, statecznym krokiem podszedł do paleniska i oparł się ramieniem o gzyms kominka.

—Panie i panowie, myślę, że wszyscy to słyszeliście. „Sheila powiedziała mi”. Jeszcze dziesięć minut temu, w tym oto pokoju, słyszeliśmy zapewnienia tego człowieka, że przed wczorajszym dniem nie znał mnie ani mojej żony. Fatalna pomyłka, panie Hannaford... — W tym momencie Derek zdjął łokieć z gzymsu. Przed ostatnim zdaniem wyprostował się. — Nie mam nic więcej do dodania.

—To ona zadzwoniła.

Po raz drugi za przyczyną Laurie Derek stracił grunt pod nogami. Spojrzał na nią krzywo, potem przeniósł skrzywioną twarz na Simona i Sheilę, jakby podejrzewając zbiorowy spisek.

—Muszę przyznać, prędko myślisz.

—Ja odebrałam telefon — kontynuowała Laurie. — Sheila wypytywała trochę o dom i jego otoczenie, i o menu. Ponieważ cena była wysoka, myślałam, że pragnie się upewnić, czy gra jest warta świeczki. Potem zapytała o zabawę w morderstwo, jak to będzie zorganizowane i tak dalej, więc przekazałam słuchawkę Simonowi.

—Ja z kolei wyjaśniłem — powiedział Simon — że zrobimy wszystko, co możliwe, by stworzyć atmosferę mrocznej intrygi i mrożącej krew w żyłach

zbrodni. Wydawało mi się oczywiste, że nawiązała z nami kontakt wyłącznie po to, by sprawdzić, czy całe przedsięwzięcie rzeczywiście — tu spojrział krzywo na Dereka — sprawi ci przyjemność. A jakiego doczekała się podziękowania? Będziesz ją miał na sumieniu.

—Dyskutujemy teraz o *twoim* sumieniu. Jeżeli w ogóle takowe posiadasz! — wybuchnął Derek.

—Dobrze — wtrącił Gilly. — Przypuśćmy, to oczywiście idiotyzm, ale przypuśćmy, że masz rację i cała ta wymyślna intryga miała na celu zapewnienie niepodważalnego alibi Simonowi i twojej żonie, którzy planowali ostatecznie cię zabić. Jednak w sytuacji, kiedy okazałoby się, że mamy prawdziwego trupa, policja przeprowadziłaby skrupulatne dochodzenie. Nie odpuściłaby sobie tylko dlatego, że wszyscy powiedzielibyśmy, iż mamy alibi.

—Dokładnie. I tu dochodzimy do trzeciej ważnej sprawy. Przyszedł czas na mitycznego intruza...

—Słuchajcie, kto tu mówi o mitycznym intruzie! — zawołał Fred. — Przecież właśnie ty go podobno widziałeś.

—No tak. — Derek pokraśniał nieco. — Zwiodły mnie cienie (na skutek burzy zrobiło się zupełnie ciemno) i pewność siebie żony. Dopiero rankiem następnego dnia, kiedy sprawdziłem taras i nie znalazłem na ziemi żadnych śladów, zrozumiałem, że w istocie nikogo wtedy nie było. Innymi słowy: *moja żona kłamała*. Otóż, jeżeli nie było to częścią umówionego planu, po co, u licha, miałyby to robić?

—Ale taką przecież mam rolę. — Sheila pogrzebała w kieszeni lnianej sukienki, z której wyjęła kartkę papieru i przeczytała: — „Lorelei jest neurotyczką i histeryczką uganiającą się za Kitem”. Myślałam, że krzyki i histeria będą jak najbardziej na miejscu.

—Faktycznie — zgodziła się Violet. — To był niezły początek.

—Wobec tego, jeśli miał to być tylko element gry — dociekał Derek — dlaczego nie powiedziałaś mi o tym, kiedy byliśmy sami?

—Ponieważ byłeś taki szczęśliwy, kochanie. Podobało ci się... sam wiesz. Nie mogłeś się doczekać, żeby wyjść ze swoim szkłem powiększającym w poszukiwaniu wskazówek i śladów stóp. A ja miałam ci powiedzieć, że zwyczajnie udawałam? Cały ten weekend był dla ciebie. — Sheila załamała ręce i rzekła: — Po co tu w ogóle przyjechałam...? — a słowa popłynęły jej z ust, jak jeden przeciągły jęk.

—Nieźle jej się udało — dorzucił swoje trzy grosze Gilly — że wylosowała akurat tego rodzaju rolę...

—Otóż to! — wykrzyknął Derek — Sądzicie, że takie podstawowe sprawy można pozostawić przypadkowi? Sheila pozbyła się kartki, którą wyciągnęła, i napisała sobie pasujący wariant.

—Ależ skąd! — Sheila wysunęła kartkę przed siebie. — Spójrz, jeśli mi nie wierzysz. To nie mój charakter pisma.

—W takim razie — Derek przemierzał pokój szybkim krokiem i podobnie szybko rozumował — napisał to... twój kochanek... i... i podsunął ci po obiedzie. Jasne! Tak właśnie było. Prawdopodobnie w bibliotece, kiedy byłem odwrócony plecami. — Usatysfakcjonowany, posłał zebrany promienny uśmiech. — Dochodzę teraz do konkluzji.

—Dzięki ci, Boże — powiedział Simon.

—Morderstwo w zamkniętym pokoju.

—Oczywiście. Morderstwo w zamkniętym pokoju — w głosie Simona krył się cień szaleństwa. — Dlaczego żadne z nas na to nie wpadło? To takie oczywiste. Chyba się rozplączę. Albo upiję. — Jego oko namierzyło karafkę. — Najpewniej jedno i drugie.

—Oraz jego nieuchronna konsekwencja, tajemne przejście.

—Absolutnie, jedno i drugie. — Simon sięgnął po szklanekę i szykował się do dalszego ukajania skołatanych nerwów.

—Nie ma żadnego przejścia, Derek — powiedziała Laurie. — Naprawdę nie ma.



—Prowadzi ono—brylował Derek—z pokoju Degasa do oranżerii. Stąd ich decyzja, żeby mnie tam zamordować. Moje zwłoki zostałyby niepostrzeżenie wyniesione po schodach na górę.

Simon jęknął, pociągnął głęboki łyk i znowu jęknął. Rose-mary postanowiła stanąć w obronie Simona i rzekła:

—Kompletny idiotyzm. Jeżeli Simon wiedział o tym przejściu, to dlaczego wchodząc do oranżerii i wychodząc z niej, korzystał z drzwi zewnętrznych?

—Dla odwrócenia waszej uwagi — Derek z radości byłby uściskał samego siebie. — Żeby nikt niczego nie zwęszył.

—Przepraszam — odezwał się cicho Martin. — Ale uważam, że okropnie się mylisz.

—Hm? — Derek, który ku swej pełnej satysfakcji powiązał ze sobą wszystkie nici swojej hipotezy, skrzywił się na próbę ich rozerwania.

—Twoja teoria jest bardzo pomysłowa, jednak nie może być prawdziwa.

—Co? — Derek nie sprawiał wrażenia zadowolonego z sugestii, że jego żona być może wcale nie próbowała wpędzić go do grobu. — A dlaczego, jeśli łaska?

—Bo jak pamiętasz, sam zaproponowałeś, żeby przed rozdaniem kart Simon przemieszał je w meloniku — absolutnie zwyczajnym kapeluszu, który (pewien jestem, że się ze mną zgodzisz) świetnie się potem sprawdził. Wszyscy widzieliśmy, jak to robił. I nie dotykał kapelusza drugą ręką. Jeśli mnie pamięć nie myli, trzymał rękę w powietrzu, kiedy obchodził z nim pokój. Zażartował też sobie. Powiedział chyba: „Nie wyciągam niczego z rękawa”. Więc jak on czy ktokolwiek inny mógł być pewien, że przypadnie ci rola ofiary? A bez tej pewności ów skomplikowany plan, który nam tak, chciałoby się rzec, znakomicie opisałeś... — tutaj Martin zrobił przerwę, by złapać oddech, na co rozległy się pojedyncze brawa dla Dereka — ...po prostu spaliłby na panewce.

Nastąpiła długa cisza, podczas której kręgi rozsądnej, sensownej i zdecydowanej przemowy Martina rozchodziły się coraz dalej i dalej wśród zebranych, poruszając ich i wywołując duże wrażenie. Pierwsza odezwała się Sheila. Wy-

krzyknęła: „Oczywiście!” i klasnęła w ręce jak dziecko, a łyzy, niczym łyzy dziecka, obeschły jej natychmiast na policzkach. Poczła taką ulgę, że zakręciło jej się w głowie. Podbiegła do męża, mrużąc swoje podpuchnięte oczy, i chwyciła go za ramię.

—Rozumiesz, że Martin ma rację?

—Oczywiście, że ma rację — Simon odstawił szklanekę i uśmiechnął się szeroko. Serdecznym uśmiechem doprawionym w kącikach ust, jak się zdawało Derekowi, szczyptą doprowadzającej do szału wielkoduszności. — Właśnie miałem wam powiedzieć dokładnie to samo.

—Och, Simon — w głosie Laurie słyhać było złość na brata za wpychanie się na chama na teren wnikliwych obserwacji jej ukochanego.

Derek stał pośrodku pokoju, a jego twarz przybrała maskę cierpienia. O lepsze walczyły ze sobą wściekłość, niedowierzenie i gorzkie rozczarowanie. Tak mógł wyglądać człowiek tonący, który napotyka przed sobą całkowicie nieznaną stworzenie. Ramiona mu opadły, wargi ściągnęły się w cierpki, wykręcony grymas. Jak oni mogli — pyta! całym swym obliczem — mu to zrobić? Jak mogli, niemal od niechcienia, jednym pociągnięciem za luźny koniec, rozpruć wspaniałą tkaninę zawilej, perfidnej intrygi, którą on z taką pasją odtworzył? Zaoferował im wielopłaszczyznową demoralizację w najciemniejszej tonacji, a oni przedstawiają mu wszystko w jasnych barwach, pozbawione wszelkiej przebiegłości i ukartowania. Co za niewdzięcznicy. W jego sercu wezbrała uraza tryskająca ze zranionej próżności i poczuł, że nienawidzi ich wszystkich.

— Nie jesteś pierwszą osobą — powiedział łagodnie Simon

— która błędnie przyjmuje teatralną maskę za rzeczywistość.

—Jak śmiesz traktować mnie jak idiotę!

—Zapewniam cię, że nie miałem takiego zamiaru.

— No i po sprawie — rzekła słodko Violet. — Wszystko dobre, co się dobrze kończy.

Fred orzekł, że heca była jak diabli. Gilly, że zbyt mu to przypominało *Rebekę ze Słonecznego Potoku*. Laurie i Martin chwycili się za ręce, a Rosemary posłała Simonowi tak wielce obiecujący uśmiech, że musiał się powstrzymać, by nie dać susa przez pokój i nie zabrać jej stąd natychmiast. Przeważać zaczęła swobodna atmosfera końca semestru.

— Możemy teraz zacząć wszystko od początku — powiedział Simon. — Wciąż mamy nasze scenariusze. Potrzebujemy tylko ochotnika do roli ofiary, a Derek — wyszczerzył zęby w jeszcze bardziej przebaczącym uśmiechu — może się wtedy zabrać do roboty i rozwiązać zagadkę.

— Nie sądzę — oświadczył krótko Derek. — Chodź, Sheila.

— Ruszył w stronę drzwi. — Idziemy się pakować.

— Co... co masz na myśli?

— Sądzę, że to oczywiste. Wyjeżdżamy.

— *Wyjeżdżamy?* Ale Derek... mamy jeszcze cały dzień... I tak bardzo mi się tu podoba... Och, proszę...

W odpowiedzi na błagania żony Derek jeszcze bardziej ostentacyjnym gestem uchylił drzwi. Sheila pochyliła się i powlokła przez dywan, zwracając ku otoczeniu nadąsaną minę rozczarowania i rezygnacji, po czym opuściła pokój przed mężem. Derek wyszedł za nią, zamykając starannie drzwi.

— Oto i mamy—rzekł Fred — odejście wielkiego detektywa.

## Rozdział dwudziesty trzeci

---

Tymczasem na tarasie panie Gibbs i Saville, najwyraźniej obojętne na dramaty rozgrywając się za oknami biblioteki w odległości marnych pięciu jardów, pograżyły się we własnym, pełnym napięcia dramacie.

Co prawda przygodny obserwator nie byłby w stanie zauważyć widocznych oznak ich zmagania. Pani Saville wciąż siedziała elegancko wyprostowana; pani Gibbs sprawiała wrażenie drzemiącej w cieniu zielonego kapelusza. A jednak pomiędzy obiema damami kłębiła się silna energia. Obie czekały w milczeniu, świadome swych zobowiązań. Potem (w chwili gdy Derek i Sheila opuścili bibliotekę) pani Gibbs nagle wyprostowała się na krześle. Pchnęła mocno plik banknotów na środek stołu, stuknęła w nie palcami i spytała: — A więc, o co zagrasz, spryčiuło?

Przez meduzowate oblicze pani Saville przemknęła mozaika uczuć. Irytacji z powodu poufałej formy, w jakiej zwróciła się do niej rywalka. Niepokoję i niedowierzania na widok jej szerokiego gestu. Obrzydzenia wobec tego rodzaju pozerskie-go dodawania sobie pewności siebie. I na koniec, złości na samą siebie za to, że przez chwilę mogło się wydawać, jakby robiło to na niej wrażenie.

Gdyż pani Gibbs, co nie ulegało wątpliwości, nie miała zamiaru, nie mogła mieć zamiaru postawić na szalę całej sumy. A gdyby nawet, to pani Saville nie musiała się tego obawiać. Bo przecież wiedząc, że ma najwyższą kartę, mogła spokojnie zagrać o wszystko, co miała przy sobie. Na tę myśl jej poczucie moralności, uśpione przez wiele długich lat, zatrzęśło się niemrawo i zadrzało.

Prędko zmierzyła wzrokiem postać po drugiej stronie stołu, rejestrując pokryte plamami i guzkami dłonie w śmiesznych mitenkach tak kurczowo ściskające beużyteczny wachlarz kart. Czy prawdą było, zadumała się pani Saville, że Cyganie nienawidzą banków i nie mają do nich zaufania? I że swoje doczesne bogactwa lokują zwykle w przyczepy kempingowe i konie czystej krwi albo ukrywają w jakichś sekretnych miejscach, żeby ocyganić fiskusa? Otóż to, ten plik

gotówki stanowi najprawdopodobniej oszczędności całego życia pani Gibbs. Jak wobec tego żenująco niegodne jest, biorąc pod uwagę niezagrożoną pozycję pani Saville, choćby i pomyśleć o wysokiej stawce.

Z drugiej strony (lekkie dotknięcie wahadła i zwrot o sto osiemdziesiąt stopni) staruszka sama zaproponowała, żeby zagrać w pokera, więc jedynie siebie będzie mogła winić, jeśli okaże się, że niczego nie zwojuje. Przekonana tym pani Saville zamknęła oczy na swoje sumienie, ów ulotny szept moralności będący głosem aniołów. Pochyliła się do przodu, oczy zabłyśły jej pazernością i powiedziała:

— Możemy zagrać, o co chcesz. Moja droga.

— To — pani Gibbs dotknęła palcem banknotów — przeciwko twoim świadkom.

— Moim...?

Matka uszczypnęła swoje przywiedle, orzechowe płatki uszu, a pani Saville powoli powtórzyła ten ruch i dotknęła owalnie i gładko szlifowanych szafirów, które skrzyły się i migotały w jej uszach. Były prezentem od Theophilusa na dwudziestą piątą rocznicę ich zaślubin, jako że srebro uznano za metal zbyt pośledniego gatunku, by mogło nadać uroczystości odpowiednio świąteczny ton. Wydał na nie sto pięćdziesiąt tysięcy funtów.

Pani Saville się zawahała. Jej wzrok przykuły czarne źrenice oczu pani Gibbs, z których intensywnie przebijały wrogie błyski, i ponownie zobaczyła w nich poprzednią pogardę. Poczowała gniew, lecz po chwili uświadomiła sobie faktyczny stan rzeczy. Nie musiała odczuwać gniewu. Ani strachu. Nie była słabą istotą, drżącą ze strachu przed blefem, ale wschodzącą cesarzową, trzymającą w dłoniach klucze do swojego imperium. Zdjęła kolczyki i położyła je na stole.

— No to nam się rozjaśniło — powiedziała pani Gibbs.

Z niewypowiedzianym protekcyjnym uśmiechem pani Saville wyłożyła swoje karty. Dziewiątka i dziesiątka kier. Walet, dama, król. Trzeba było widzieć twarz matki Freda. Jej żółte, wyszczerbione zęby kłapnęły o dolną wargę, brwi zmarszczyły się w zadumie. Wydawało się, że skurczyła się w fotelu z niedowierzania i cierpliwie wdycha przesiąknięte katastrofą powietrze. Pani Saville fraszobliwym gestem uniosła ramiona i sięgnęła ku ręce rywalki.

— Czekaj, czekaj.

Dłoń pani Saville zatrzymała się w pół drogi. Czekać na co? Starsza pani powoli, niespiesznie położyła karty na stół. Dziesiątka pik. Walet, dama, król. Pani Saville wpatrywała się w nie, skonsternowana i zdumiona. Co za nadzwyczajny zbieg okoliczności. Kobiecinie trafiła się karta ledwie ciut-ciut słabsza od jej własnej. Ostatnią będzie niewątpliwie drugi król. Czekając, pani Saville próbowała wyciszyć i wyrównać oddech, lecz zagęszczona atmosferą zdawała się ją dusić.

Pani Gibbs wyciągnęła rękę i wyłożyła ostatnią kartę, zakrywając ją dłonią. Spojrzała na partnerkę. Wzrok miała spokojny. Nieruchomy, badawczy, okrutny; taki jak spojrzenie orła szybującego na wietrze. A potem się uśmiechnęła.

Dopiero widząc jej uśmiech, pani Saville nabrała przeświadczenia, że popełniła niesłychany błąd. Ta świadomość nie przyszła stopniowo, ale spadła nagle, z okrutną pewnością. Nie rozumiała, dlaczego tak miało być. Dostała wspaniałe karty. Pochodziły z jej własnej talii. Sama je tasowała, a rozdawane były w prosty sposób ledwie kilka cali od jej twarzy. Rozdane karty mieli przy sobie dwaj bezstronni obserwatorzy, a talii nikt później nie dotykał. Mimo to w jakiś sposób, pomiędzy pierwszym ruchem i odwróceniem ostatniej karty nastąpiła kompletna zmiana sytuacji.

Pani Saville, której los się dokonał, pomyślała gorzko o swej niedawnej silnej, aroganckiej pewności siebie, teraz okazującej się tylko nadętym pozerstwem. Być może właśnie blask i agresja tego przeświadczenia o zwycięstwie przyczyniły się do jej upadku, uruchamiając w siedzącej naprzeciwko jarmarcznej postaci jakiegoś cudacznego, chochlikowego ducha rewanżu.

Gdyż z pewnością pokonana została nie przez zwykłego przeciwnika. Kiedy siedziała ze spuszczoną głową, wydawało się jej, że to ostatnie rozdanie nie miało miejsca, jak wcześniej sądziła, na słonecznym tarasie wiejskiego domu, lecz na ciemnej, zimnej, prastarej równinie, a jej przeciwnikiem nie była stara Cygan-ka, lecz postać obca rodzajowi ludzkiemu. Rozdająca chaos i zemstę.

A mimo to, kiedy pani Gibbs odwróciła piątą kartę, finałowe pchnięcie okazało się niesłychanie proste i pozbawione magii. Kwestia zwykłego roztargnienia ze strony pani Saville. Spojrzała w dół na szeroko roześmianą czerwono-żółtą postać w czapeczce z dzwoneczkami.

— Dżoker zastępuje wszystko, zgadza się? — powiedziała pani Gibbs. — As wygrywa. Moja droga.

Zamieszanie w bibliotece stopniowo dobiegło końca. Zapanowała atmosfera niezdecydowania co do dalszych losów zjazdu. Chociaż w większości wyśmiewano się z Dereka, to jednak brak jego patetycznego wigoru i entuzjazmu pozostawił po sobie pewną pustkę.

Lunch, być może z powodu późniejszych burzliwych wydarzeń, wydawał się mieć miejsce całe lata temu, wciąż jednak daleko było jeszcze do tego, co Gilly określał mianem „pory na drinka”. Albo nawet „pory na herbatkę”. Próbował rozweselić zebranych, wygrywając im składankę melodii na ukulele, co przyjęto jednak bardzo obojętnie. Nawet *Dziewczynka z Idaho* spotkała się z niewielkim odzewem, nie licząc Simona, który jęknął i ponownie schował twarz w dłoniach. Rosemary podeszła do niego prędko.

— Jak się czujesz? — spytała z troską i położyła czule chłodne palce na odsłoniętej części jego rozpalonego czoła.

— Nic mi nie będzie — Simon spojrzał w górę. Był tak samo dzielny jak blade, ale Rosemary widziała, jakim kosztem. — Jesteś taka słodka — dodał — że się o mnie martwisz.

— Myślę, że wspaniale sobie poradziłeś.

— No nie wiem — Simon wzruszył ramionami. W geście tym była wyłącznie niefrasobliwość. Dawał nim do zrozumienia, że będąc oskarżonym o morderstwo i zmuszonym do ucieczki przed kulami, nie mówiąc już o tym, że wszystko to dopadło go w ciągu tak krótkiego czasu, bynajmniej nie miał powodu, by się de-nerwować. — Przykro mi jedynie, że goście się wystraszyli.

—Ja się nie bałam — rzekła mężnie Rosemary.

—Jestem tego pewien.

Simon, podobnie jak Martin, zauważył, że Rosemary była nieodrodną córką mamusi. Odwrotnie niż Martin, nie widział w tym żadnego powodu do niepokoju, ponieważ był pewien, że nie ma takiej kobiety (włącznie z panią Saville), której nie potrafiłby sobie owinać wokół swego pustego rachunku bankowego.

—Gdybym kiedyś naprawdę był w poważnym niebezpieczeństwie — kontynuował, dając do zrozumienia, że morderczy pościg był jedynie błahostką — ty byłabyś tą dziewczyną, którą chciałbym mieć przy sobie.

—Och, Simon — wydyszała — myślę, że wtedy byłoby bardziej niż bosko.

Na uścisk dłoni Simona Rosemary odpowiedziała dokładnie tym samym. Jej uśmiech był odbiciem jego uśmiechu. I chociaż żadna trywialna maksyma w stylu: „Pozna swój swego” nie padła z jej ust, to istota tej frazy złagodzona oparami sentymentalizmu zagnieździła się w jej piersi jak cenne, ujmujące pokrzepienie. Zrozumiała, że nareszcie spotkała właściwą osobę. I znalazła mężczyznę swego życia.

Patrzyła na miejsce, w którym siedział Martin, beznadziejnie próbujący wzbudzić w niej zazdrość, trzymając za rękę siostrę Simona. Wcześniej Rosemary postanowiła sobie, że weźmie dziewczynę na bok i przedstawi jej jasny obraz sytuacji. Odkrycie, że nowy wielbiciel Laurie jeszcze dwadzieścia cztery godziny temu był zaręczony z inną, powinno nadwyreżyc zauroczenie i rozradowanie tej panny. Potem Rosemary zmieniła zdanie. Niech mają tę swoją małą przygodę. Stać ją na wspaniałomyślność. No i nie ma sensu zniechęcać do siebie kogoś, kto w przyszłości może stać się twoją szwagierką.



I tak czas się przeciągał, podczas gdy dwie pary gruchały sobie jak gołąbki, a Gilly zastanawiał się, jakie ciasto zostanie podane do herbaty, a także czy — aby doskonałości stało się zadość — będą kanapki z ogórkiem, a chleb będzie miał odciętą skórkę. Fred rozmyślał, kiedy bez naruszania zasad przyzwoitości będzie mógł podnieść kwestię kieliszeczka, a Violet, spostrzegłszy, że musi być albo za pięć, albo pięć po, otworzyła usta, by oświecić w tej kwestii resztę towarzystwa. Nie zdołała jednak ogłosić tej nieścistej informacji, gdyż od strony tarasu doszły ich niesłychanie dziwaczne odgłosy. Głośne rytmiczne porykiwania bólu, żalu i utraty. Wołanie hipopota-micy, która odkryła nieoczekiwanie, że straciła młode. Bądź też parę kolczyków z szafirami.

—Mamusiu! — Rosemary wybiegła z pokoju, a tuż za nią Simon i Gilly. Państwo Gibbs wymienili spojrzenia i pokiwali ze zrozumieniem głowami.

—Nie posłuchała. Durna pleciuga.

—Zrobiłeś wszystko, co się dało, Fred. Nie powinieneś się obwiniać.

Na zewnątrz pani Saville, otoczona teraz wianuszkami zaciekawionych i współczujących twarzy, bujała się w przód i w tył na białym, żeliwnym krześle, zakrywając dłońmi nagie uszy. Powieki miała mocno zaciśnięte, a dwie łzy wstydu i wściekłości zalśniły na szkarłatnych poduszkach jej policzków. Łzy również miały gniewny wygląd — wyraźne i ostre jak maleńkie drobiny szkła.

Rosemary uklękła i pociągnęła matkę za rękę, pytając, co się stało. Pani Saville potrząsnęła przecząco głową. Pokiwała się jeszcze przez kilka chwil, zatrzęsała się mocno, co spowodowało, że krzesło zaczęło drgać na kamiennych płytkach, wydmuchwała nos w wielką, jedwabną chusteczkę i powoli podniosła się na nogi. Chwyciła córkę pod ramię i ze słowami: „Rosemary, idziemy” poszła sztywno, powoli i dostojnie do domu. Inni obserwowali, jak się oddala. Było w jej ruchach coś wyjątkowo przemyślanego. Posuwała się bardzo przezornie i sprawiała wrażenie, że nie rozsypuje się tylko dzięki wyjątkowej sile woli. Kilka chwil później Rosemary przybiegła z powrotem.

—Simon... och, Simon!

—Co się stało? — Wzięła go pod ramię i poprowadziła nieco dalej od zaciekawionych oczu. — Nic nie mów — ciągnął Simon. — Mamusia się pakuje.

—Przyszłam, żeby ci zostawić to. — Wręczyła mu wizytówkę. PANNA ROSEMARY SAVILLE. THE PADDOCKS. NORTON BELLINGS. SURREY. I numer telefonu. — Będziesz dzwonił?

TLR

—Wątpisz? — zamruczał Simon, złożył pocałunek na wewnętrznej stronie jej dłoni i zamknął ją, zaciskając palce w pięstkę.

—Zadzwoń do mnie w przyszłym tygodniu. — Z okna na piętrze dobiegł niewielki łomot. — Muszę pędzić. Zgubiła swoje sole trzeźwiące.

Simon ponownie przyłączył się do grupki gości. Obdarzył starszą panią nieco kwaśnym spojrzeniem, a ona, fantastycznie przyozdobiona, uśmiechnęła się do niego promiennie. Szafiry wcale nie wyglądały niestosownie, mimo że wyróżniały się na tle szmaragdowej pilśni. To raczej kapelusz i ciemne płazie rysy nabrały dzięki nim cech dostojności.

Podszedł Fred i stanął za swoją matką z wyrazem jednocześnie smętnej dumy i dezaprobaty. Potrząsnął głową w kierunku gospodarza.

—Nie posłuchała. Pani S. Próbowałem ją ostrzec.

—Tak, tak. Zapewne — odparł cierpko Simon. Widział już, jak matka Rosemary na zawsze łączy go w pamięci z tragiczną stratą, co z kolei uczyni nieco trudniejszym jego wstąpienie do środowiska bankowego. Należy jednak oddać owej damie sprawiedliwość. Była gotowa przebaczyć prawie wszystko, byle tylko delikwent posiadał mocne związki z otoczoną fosą rezydencją i stu pięćdziesięcioma akrami pofałdowanej posiadłości.

Teraz, gdy weekendowe plany Simona zawiodły, a goście grupkami zbierali się do wyjazdu, zrozumiał, że jeszcze przez następne dwadzieścia cztery godziny będzie obarczony gromadą pospólstwa. Przez chwilę rozważał zaproponowanie Gil-ly'emu i Gibbsem pięćdziesięcioprocentowego zwrotu kosztów, żeby mieć ich z głowy, a potem uświadomił sobie, że idzie o kwotę pięciuset funtów i jeszcze raz się zastanowił. W końcu, gdyby stali się nazbyt natarczywi, zawsze może symulować atak migreny. Laurie jakoś sobie poradzi. A może wcale nie trzeba będzie symulować. Na samą myśl o jeszcze jednym wykonaniu *Dziewczynki z Idaho* Simon odczuł za lewą brwią wyraźne ostrzegawcze ukłucie.

Ale o czym tu mowa? Dramat ostatnich dwóch godzin uczynił spustoszenie w jego pamięci. Nikt nigdzie nie pojedzie. Telefon wciąż nie działał, bus przepadł, a najbliższa taksówka (Alfa Figginsa) znajdowała się w Madingley. Oczywiście,

o ile Derek naprawdę jest zdecydowany odejść, może tam zasuwać na piechotę. Ale Sheila nie pójdzie. Ani Rosemary. Pani Saville również. Po szybkim przesianiu imion na sicie pozostało tylko jedno.

Simon westchnął ciężko. Nie był pewien, co go bardziej odstręczało. Czteromilowy męczący marsz w słonecznej spiekocie, czy nieprzyjemna atmosfera, która niewątpliwie zapanuje, jeżeli nie zechce się go podjąć. Rozmyślał w ten sposób, gdy naraz ukazał się Derek odziany w pelerynę i holmesowską czapkę. Tuż za nim z nieszczęśliwą miną sunęła Sheila ściskająca kurczowo białe skórzane pudło na kapelusze.

Lecz zanim Simon zdołał rozpocząć przemowę, w której skonfrontowałby pragnienie gości rychłego wyruszenia w drogę z przykrym brakiem sprzętu niezbędnego do pomyślnej realizacji tegoż celu, konieczność takiej mowy okazała się całkowicie zbędna. Z głośnym „pach, pach” nadjeżdżał bowiem do nich świat zewnętrzny, w postaci roadstera na szprychowych felgach.

Wszyscy obecni podeszli do balustrady i przyglądali się długiej szkarłatnej masce auta to pojawiającej się, to znów znikającej na krętej drodze dojazdowej między drzewami. W końcu samochód wjechał na podjazd, przyhamował na klekoczącym zwodzonym moście i z finalnym „pach, pach” zatrzymał się przed schodami wejściowymi. Kierowca, młody, bardzo wysoki blondyn z różową cerą i radosnym, bezceremonialnym uśmiechem, pomachał ręką i wygramolił się z wozu.

Laurie, z pięścią przy ustach, w samą porę powstrzymując okrzyk niedowierzania, zaniepokojona spoglądała na postać w bryczesach. Nawet wcześniej, kiedy była już zupełnie pewna swojej nowo odkrytej miłości, miała świadomość, że coś ją od niej odciąga. I naraz to coś nabrało kształtów, powiększyło się i nabrało życia. Laurie wyszła do przodu, uśmiechnęła się blado, przełknęła ślinę i powiedziała:

— Cześć, Hugh.

## Rozdział dwudziesty czwarty

---

Kierowca czerwonego roadstera nie był sam. Na miejscu pasażera siedziała dziewczyna. Miała na sobie wygniecione szorty w kolorze khaki przytrzymane paskiem z węzowej skóry i kwiecistą bluzeczkę bez pleców. Była bardzo ładna, a ciemne włosy związane miała kawałkami kraciastej bawełny w dwie lśniące kitki. Przeskoczyła przez drzwi samochodu i z uśmiechem podeszła do Laurie, czym wprawiła ją w osłupienie. Dziewczyna w szortach wyglądała dziwnie znajomo, a jej powitalny okrzyk: „Laurie!” musiał z pewnością oznaczać jakąś wcześniejszą znajomość.

— Laurie, nic ci nie jest? — zapytał Hugh — Simon! — rozejrzał się dokoła. — Co się dzieje? Próbowałem się do was dodzwonić. A później, kiedy zobaczyliśmy busa, myśleliśmy, że musiało się przydarzyć coś okropnego.

— *Strasznie się martwiliśmy.*

— Chwileczkę — powiedziała Laurie. — Nie jestem pewna... To okropne, wiem, ale... — urwała, zakłopotana, wpatrując się w dziewczynę. Czyż krzywe zęby mogły przejść taką transformację? Czy można było tak doskonale uporać się z nieporadnością i zatuszować brzydotę? Laurie przypominała sobie własne odbicie w lustrze łazienki i zrozumiała, że to możliwe. Potem zauważyła, że dziewczyna trzyma Hugh za rękę, i jej podejrzenia się potwierdziły. Powiedziała, już bez niedowierzania:

— Pacey.

— Właściwie Poppy. Młodsza siostra. Pamiętasz... podkładałam ci ropuchy do łóżka.

— Mała kokietka — Hugh wyszczerzył zęby w uśmiechu, tak jakby sam ją do tego podpuszczał, ale szybko spoważniał. — Laurie, staruszko, faktem jest, że...

Mój Boże, pomyślała Laurie. *Staruszko*. Jak ja to mogłam wcześniej znosić?

—Po prostu, zwyczajnie nie mogę dalej... to nieuczciwe. Odkładałem to...

—On się *strasznie* martwi.

—Prawda jest taka... muszę powiedzieć... ja i Pops... no...

—Och, Hugh! — Laurie rzuciła się ku niedawnemu narzeczonemu, by przebrać jego wynurzenia i jednocześnie powinszować mu. — To cudownie! Tak się cieszę za was oboje.

—Hm. — Hugh powłóczył nieco nogami, przypominając pałętającego się psa, któremu znienacka zabrano kość, po czym z równie niewyjaśnionych powodów oddano mu ją z powrotem. Na jego twarzy malowały się po kolei: niepokój, oszołomienie, nadzieja i na koniec radość. — Gdybym wiedział, że tak to przyj...

—Hugh, Poppy... To jest Martin. Kochanie, Hugh jest... hm... przyjacielem z dzieciństwa, a z siostrą Poppy chodziłyśmy razem do szkoły. Są zaręczeni.

Na słowo: „kochanie” Hugh i Poppy wymienili zaskoczone spojrzenia, po czym zabrali się ochoczo do tuszowania faktów.

—Pomyśleliśmy więc... — zaczęła Poppy.

—Naturalnie, przyjaźnimy się od dziecka...

—Że wpadniemy...

—I opowiemy Laurie...

—I dowiadujemy się...

—Tak — uśmiechnęła się Laurie i w nagłym przyływie radości splótła swoje palce z palcami Martina.

—No to super! — zawołała Poppy, a Hugh jej przytaknął. Wszyscy czworo stali naprzeciw siebie i wyglądali wręcz głupio ze swoim szczęściem. Później odezwał się Simon:

—Przykro mi, że cierpką nutą muszę zakłócić tak sielankowe spotkanie, ale usłyszałem jakąś wzmiankę o busie.

—Faktycznie. Zobaczyliśmy go w rowie po drugiej stronie Toot Balden. Z przodu miał napis Madingley Grange, więc naturalnie zatrzymaliśmy się...

—*Strasznie się* martwiliśmy.

—Była tam policja.

—Pomyśleliśmy, że ty albo Laurie mogliście tam być.

—Potem rozmawialiśmy z konstabłem i dowiedzieliśmy się, że was tam nie było.

—Czy ktoś był ranny? — spytał z nadzieją Simon.

—Najwidoczniej tylko w szoku — odparł Hugh. — Policjant, z którym rozmawialiśmy, powiedział, że osoby, które nim jechały, są na posterunku...

—I składają zeznania.

—Nie, Popples, tego nie powiedział.

—Nie, ale założę się, że to robią. Mam nadzieję, że oskarżyli ich o niebezpieczną jazdę. I rozwalenie waszego busika.

—Właściwie, Laurie, nie wiedziałem, że masz coś takiego — zdziwił się Hugh. — Trochę duży, co nie? Dla dwóch osób?

—To długa historia.

—Był w paskudnym stanie. Pogniecione błotniki, roztrzaskane światła. Buda powyginana we wszystkie strony, co nie, Popples? Obawiam się, że musicie go spisać na straty.

—Musicie *się strasznie* martwić.

—Bynajmniej — Simon nonszalancko pomachał ręką. — To nic wobec nieskończonego wszechświata. Uwierz mi.

—Czy to oni ukradli wóz?

—Owszem.

—No to policja zaraz tu będzie.

—Niech przyjeżdżają! — zawołał Simon. — Tutaj można robić, co się komu podoba.

Hugh, zniżając głos, przysunął się bliżej Laurie.

— Ten facet... — skinął głową w kierunku samochodu. — Nic mu nie jest?

Cztery głowy odwróciły się w tę stronę. Gilly w euforii pokładał się na masce roadstera, wtulając policzek w ciepły i błyszczący czerwony lakier. Potem zsunął się w dół i przykucnąwszy, zaczął głaskać szprychy koła i podśpiewywać cicho ze szczęścia.

— Wszystko w porządku — wyjaśniła Laurie. — On ma fioła na punkcie lat trzydziestych. Uwielbia absolutnie wszystko i wszystkich z tego okresu.

—Może chciałby poznać moją babcię — powiedziała Poppy.

—Głuptasek z ciebie.

Derek, który jakiś czas zataczał kręgi wokół czwórki rozmówców i prawie podskakiwał, próbując zwrócić na siebie uwagę Hugh, na koniec osiągnął swój cel.

— Cześć — rzekł do niego Hugh, posyłając równocześnie zapelerynowanemu wojownikowi pełne dezaprobaty spojrzenie. — Nie za ciepło na takie ciuchy?

Kiedy to mówił, Laurie spostrzegła jego wzrok wędrujący do rodziny Gibbów i z powrotem na samochód. Hugh podniósł brwi i spojrzał na Poppy, a ta w odpowiedzi uniosła subtelne łuki własnych.

—Okazuje się — powiedział głośno Derek — że jesteśmy odcięci.

—Wcale nie — odparł Hugh. Mówił uprzejmie z wysokości swoich sześciu stóp i dwóch cali, jak gdyby poklepywał Dereka po głowie. —Jechaliśmy tu całkiem normalnie, bez problemu.

—Chodzi o telefon, Hugh — przerwała mu Laurie. — Jak pamiętasz, nie działa, a państwo Gregory chcą wyjechać.



—A co ze starym Figginsem? Aha... — urwał Hugh. — No tak, staruszek. Nie ma telefonu — nie ma taksówki.

—Dokładnie.

—Nie ma sprawy. Podskoczmy tam razem z Pops. Co sądzisz, mała gapulko? — Hugh chwycił dziewczynę za rękę i poprowadził w stronę auta. — Nie zdążycie mrugnąć, a będziemy z powrotem.

—*Proszę...* — Gilly zastąpił im drogę. Jego jabłko Adama pracowało jak szalone, twarz pobiadła z gorączkowego pragnienia, a zdesperowane oczy prawie zezowały. — Czy nie mógłbym ja? Wszystko bym dał, żeby się nim przejechać. Papiery mam w porządku. Piętnaście lat i ani jednej stłuczki. Będę bardzo ostrożny. Nawet nie zdołacie się zorientować, że go nie ma... *Proszę*, powiedz, że mogę.

—Cóż... Nie jestem właściwie ubezpieczony od...

—Och, misiaczku... zgódź się. Jestem taka szczęśliwa — Poppy uroczo złożyła dłonie w błagalnym geście — i chcę, żeby wszyscy na całym świecie też byli szczęśliwi.

Hugh spojrział dumnie z góry na swego małego głuptaska. Wydawało się, że Gilly zemdleje na miejscu, poruszony jej wdzięczną interwencją w jego sprawie. Laurie przyszło na myśl, że już raczej wołała, kiedy młodsza siostra Pacey wkładała ludziom ropuchy do łóżek.

Otrzymawszy zgodę na przejażdżkę, Gilly wgramolił się do pojazdu swych marzeń, wysłuchał pilnie instrukcji, jak odszukać dom państwa Figginsów, wreszcie ruszył i z największą ostrożnością i precyzją przejechał zwodzony most.

—No to śmigam! — zawołał i dodał jeszcze: — Teraz brakuje mi tylko skórzanego kasku i gogli.

—Sądzę, że wszystko, czego mu brakuje — powiedział Hugh, obserwując w zadumie, jak auto nabiera prędkości — to kilku facetów w białych kitlach z kaptanem bezpieczeństwa.

Pojawiły się pani Saville i Rosemary, w kapeluszach, w pełnym makijażu i obładowane bagażem. Laurie objaśniła im, jak wygląda sytuacja z transportem. Pani Saville, sprawiająca wrażenie, jakby odzyskała nieco ze swojego zwykłego tupetu, powiedziała:

—Doskonale. Mam nadzieję, że będzie w niej dość miejsca dla nas obu i naszych bagaży.

—Uprzejmie przepraszam — odezwał się lodowato Derek. — To my zamówiliśmy taksówkę.

—Nonsens. Później może po was wrócić. Oksford nie jest daleko.

Zanim błady z wściekłości Derek zdołał wydusić z siebie stosowną ripostę, Laurie uspokoiła ich:

— Pewna jestem, że wszyscy się pomieścicie. To wielki ford kombi.

Potem z pewnym rozbawieniem obserwowała, jak pani Saville ulokowała się w miejscu, w którym spodziewała się przyjazdu auta, a po chwili stanowisko bezpośrednio przed nią zajął Derek. Te same manewry obie partie powtórzyły po kilka razy, póki nie znalazły się pośrodku zwodzonego mostu, a wtedy ruszyły na pierwotnie upatrzone pozycje.

Poppy i Hugh również przypatrywali się tej błazenadzie, gwoli uprzejmości usiłując ukryć swoje rozbawienie. Laurie zaczęła przedstawiać nowo przybyłych. Starsza pani Gibbs rzuciła okiem na bryczesy Hugh i dostała ataku hysterii. Waliła z całej siły dłonią o kolano i wydawała głośnie okrzyki, a na koniec zniknęła pod stołem.

Poppy zachichotała, a Hugh zdecydowanie nieprotekcjonalnie uściskał dłońie Gibbsem, pragnąc za pomocą męskiego uścisku i szczerego spojrzenia ugruntować równość społeczną. Kiedy wstępnym formalnościom stało się zadość, usiadł, pewien, że w ten sposób pozwoli rodzinie się odprężyć. Jej przedstawiciele, odprężeni na tyle, że praktycznie rządzący na tym terenie, rozpoczęli pogawędkę. Seniora rodu zasiadła na krześle.

— Coś mi mówi — Violet zakołysała przymilnie obfitym biustem w stronę Poppy — że zanosisz się tu na co najmniej jeden romans.

Romans. Laurie spojrzała na Martina. Cóż za beznadziejne słowo. Kompletnie pozbawione wyrazu. Takie banalne. I żenujące. Chwycili się za ręce.

—A ja uważam — dodała Violet — że należy to jakoś uczcić.

—Mamy w piwnicy nieco Kruga.

—To nie wszystko, co tam macie.

—*Mamo.*

—Macie tam na dole ducha.

—A czyja to wina? — spytała surowo Violet. — Wszystko przez to wirowanie po północy. Nie martw się, Laurie. Tak naprawdę niczego nie zobaczysz. A on stopniowo ucichnie, kiedy tylko mama wyjedzie.

—Oooch — pisnęła Poppy. — A czy pobrzękuje łańcuchami i paskudnie śmierdzi?

—Duchy nie mają zapachu, głuptasku.

—Ten owszem — powiedziała Violet. — Z początku nie potrafiłam tego rozpoznać. Pachniał rozmaitego rodzaju owocami, liśćmi dębu, naprawdę ostrą mieszanką. Potem, kiedy faktycznie zamanifestował...

—*Zamani...* Co za szelma! — Fred zwrócił się zaraz do swojej matki: — Zda się, że ci przypomniałem, żebyś się zachowywała jak należy.

—W porządku... naprawdę.— powiedziała Laurie. — Nie boję się. Jestem po prostu zaintrygowana.

—Jak on wyglądał, pani Gibbs? — spytał Martin.

—Rozpaczliwie.

—Ale z wyglądu. Jeżeli można to wyrazić słowami.

—Niski. Rudy. W jakiejś takiej dziwnej kamizelce... Brą-zowo-żółtawej.

—W różnobarwną kratę — powiedział Hugh, a podekscytowana Laurie spytała:

—Czy on... miał wąsy?

—Wyglądały jak mała szczoteczka do zębów. Lawirował tu i tam między skrzynkami, chwycił się za butelki, te mu jednak zaraz wypadały z rąk. Nie miał jak chwycić, no wiesz. Płakał też z nerwów...

—To na pewno wuj George — powiedziała Laurie.

— Rzeczywiście — przypomniał sobie Hugh. — Biedaczysko. Simon rzekł:

—Założę się, że wraca tylko wtedy, kiedy ciotka wyjeżdża. Myślę, że powinniśmy go zostawić w spokoju.

—Oczywiście — zgodziła się Laurie i uśmiechnęła się do Martina. — W kuchni jest mnóstwo wina, gdybyśmy mieli ochotę świętować.

—Możemy też gdzieś wyskoczyć — powiedział Hugh. — Na obiad. Może do Casablanki?

—Ooo... psychotki.

—Ciebie nie bierzemy, brzuchaty króliczku — Hugh poklepał żartobliwie swoją wybranekę w okolicy jej paska z węża. — Mały pulpecik.

Laurie przechwyciła niedowierzające spojrzenie Martina i powiedziała:

—Bardzo bym chciała, Hugh. Ale państwo Gibbs, ich matka i Gilly są tutaj gośćmi. Nie mogę po prostu wyjechać i ich zostawić.

—Jeśli dzisiejsze wino choć trochę przypomina wczorajsze — powiedział Fred — to nie ruszę się stąd, póki wróble nie odlecą do ciepłych krajów.

—Oczywiście, złotko, możesz jechać — rzekła Violet. — Przecież to tylko godzinka albo dwie. Co masz zaplanowane na obiad?

—*Boeuf en croute*.

—Wiem, jak to się robi. Często podaję polędwicę na niedzielny lunch. Wszystko chyba szczelnie zamknięte, co? Grzybki są?

— Yhm. Trzeba tylko natrzeć mięso. I podgrzać pudding. Sos kajmakowy jest w rondelku na parę.

W miarę jak mówiła, z tonu jej głosu zaczął przebijać entuzjazm. Nagle zrozumiała, jak by było miło, bardzo miło sobie stąd wyjechać. Poczuli się, jakby przez całą wieczność była zamknięta w Madingley Grange przy pieczeniu, sprzątaniu i zmywaniu, i chociaż uzalanie się nad sobą nie leżało w jej naturze, to nie mogła się oprzeć przed porównaniem swojego wkładu w przygotowanie weekendu z zaangażowaniem Simona (który, nawiasem mówiąc, znowu się ulotnił). Zasłużył sobie, pomyślała, żeby go zostawić samego na cały wieczór przy zabawianiu Gilly'ego i trójki Gibbsów. Najwyższy czas, żeby zarobił na kawałek chleba.

—Violet, to naprawdę bardzo miło z twojej strony. Tylko czy jesteś pewna? Mój brat tu zostanie, rzecz jasna.

—No to ustalone — Hugh szerokim gestem odchylił się do tyłu na krześle. Przejął sprawę w swoje ręce. ^— Najpierw zarezerwujemy stolik, a potem możemy sobie zrobić spacer po parku Saint John's i wypić herbatę.

—Świetnie — odparła Laurie. Martin poparł inicjatywę. Poppy pisnęła z radości, a później pokazała palcem, że widzi auto między drzewami. Gdy czerwony samochodzik podskakiwał na mostku, Sheila zajrzała do swojej torebki i krzyknęła:

—Derek! Zgubiłam mój grzebień.

—Dobry Boże! Za chwilę będziesz mogła sobie kupić następny.

—Ale ten był z nefrytu, dałeś mi go na urodziny. Musiałam go zostawić na toaletce. — Ruszyła w stronę domu. Derek zawołał do niej, żeby wróciła.

—Taksówka będzie lada chwila.

—Jedną sekundkę.

—Ale jesteś mi potrzebna... — urwał, nie chcąc mówić na głos, że potrzebuje swojej żony do wykonania manewru okrążającego z lewej flanki, tak by w jednej chwili dopaść obu tylnych drzwi taksówki. — Tylko się pośpiesz.

Gilly zajechał z fasonem i olbrzymim rykiem silnika, po czym wysiadł z auta, a jego twarz płonęła zachwytem.

— „Niebo...” — zanucił radośnie — „Jestem w niebie...”

—No i jak, zadowolony? — spytał beznamiętnie Hugh. — Super.

—Och, Laurie — Gilly popędził do stołu. — Ta mała przejażdżka była dla mnie warta więcej, niż wam zapłaciłem za pobyt tutaj. Nigdy, *przenigdy* nie byłem tak...

—Co z taksówką?! — krzyknął Derek.

—Zaraz będzie. Nigdy nie byłem tak całkowicie...

—A wracając do pieniędzy — pani Saville, pouczywszy Rosemary, żeby się nie ruszała z linii startu, podeszła z boku do Laurie. — Spodziewam się, że jeśli idzie o nas obie, otrzymam czek z całkowitym zwrotem kosztów?

—Całkowitym... — Laurie była dość zaskoczona. Pani Saville i Rosemary w końcu przebywały w Madingley Grange prawie całą dobę, jadły z apetytem i piły czerwone wino, jakby winnice miały za chwilę wyschnąć. Prosić o stuprocentowy zwrot kosztów to lekka przesada. Z drugiej strony, straciła swoje kolczyki...

Pani Saville, jak gdyby słysząc jej myśli, dodała:

—Moja biżuteria jest oczywiście ubezpieczona. Zwrócą mi pełną kwotę. Będę obstawać, że zostały mi ukradzione. — Rzuciła matce Freda lodowate spojrzenie. — Niezbyt to odbiega od prawdy.

—Ojoj! — powiedziała pani Gibbs, a jej uszy migotały jak robaczki świętojańskie. — Oskarżę cię o pomówienie...

—Simon zajmuje się stroną finansową — przerwała spiesźnie Laurie. — Jestem pewna, że będzie z wami w kontakcie.

Kolejnym uszczypliwościom zapobiegł widok płożoźłtej cortiny Figginsa. Samochód nie zdążył się jeszcze zatrzymać, gdy trójka bojowników rzuciła się nań w stylu zapaśników sumo. Alf, mający wygląd człowieka, który tego rodzaju przypadki widywał nie raz i dawno przestał na nie zwracać uwagę, podniósł teraz

klapę bagażnika i zaczął wrzucać do niego torby. Derek, zainstalowawszy się na przednim siedzeniu, opuścił okienko i spoglądał ze złością w stronę domu.

— Sheila! — zawołał i nacisnął klakson.

Hugh wycofał ostrożnie swój wóz, ustawił się za taksówką i zawołał:

— Wsiadać proszę, ruszamy szlakiem jada.

Gdy inni szykowali się, by do niego dołączyć, Laurie zwróciła się do ich etatowego muzyka:

— Wiem, Gilly, że zapewnisz wszystkim dobrą zabawę.

— Tylko spróbujcie mnie powstrzymać. Dirli, dirli, di — pokazał na migi energiczne brzdąkanie.

— Nie zapomnisz o *Dziewczynce z Idaho*, prawda? Wiem, że to Simona ulubiona. Wstydzi ci się sam powiedzieć.

— Wykonam ją jako pierwszą i ostatnią, Laurie. I co najmniej jeden bis.

— Och, co najmniej. To będzie cudowne.

— Będziecie się musieli przysiąść z tyłu, wasza dwójka. Martin poszedł za radą kierowcy, wsunął nogi i wyciągnął rękę, by pomóc Laurie.

— Pakuj się, pupeczko. — Uderzyła go. — Aj! To boli.

— Dobrze ci tak. — Pocałowała go. — Kocham cię. Wszyscy machali rękoma i wołali:

— Do widzenia! Do widzenia!

Hugh pokonał wybrzuszenie mostu i ruszył drogą dojazdową.

— A niech to... czy to nie martwy paw?

— Niestety — odparła Laurie. — Zastrzelono go.

Hugh nacisnął na pedał gazu i auto nabrało prędkości. Niebieska sukienka za-furkotała, a kucyki Poppy powiewały na wietrze. Podmuch wiatru wcisnął pasmo

włosów Laurie na jej policzek, a Martin nachylił się i założył go jej za ucho. Ale numer, pomyślał, patrząc w ciemnogrnatowe oczy ukochanej.

I odjechali z głośnym rykiem klaksonów. Aleją wysadzaną formowanymi lipami, obok srebrnych brzoź wyrastających z obłoków bladozielonych paproci i dalej w cudowny urok letniego angielskiego popołudnia.

Pięć minut później przez bramę z kutego żelaza wtoczył się rolls-royce Phantom Continental.

W międzyczasie w pokoju w stylu Vuillarda Simon Hanna-ford wziął w ramiona kochankę. Ona opłótła ciasno dłonie wokół jego szyi; ręce Simona, trochę bardziej swobodnie, obejmowały ją w pasie.

— Misiaczkę — szepnęła. — Myślałam, że już nigdy nie będziemy sami. — Pocałowali się. Potem jeszcze raz. Sheila jęknęła z pożądania. — Wydawało mi się, że od ostatniej środy minęły wieki.

—Och, tak. Tak.

—Przykro mi, że tak to wszystko źle poszło.

—Zrzęczenie losu.

—Kto by pomyślał, że na to wpadnie?

—To prawdziwy zapaleniec.

—Połapał się nawet w opłacie za przejazd koleją.

—Hm. Ale nie miał racji w sprawie sekretnego przejścia. Naprawdę o tym nie wiedziałem.

—Myślałam, że chce cię zabić.

—Ja również. Specjalnie go obszukałem, żeby mu zabrać broń, kiedy obwieszczałem, że nie żyje. Musiał ją gdzieś ukryć.

—Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie znalazł tej książki.

—Niech lichy weźmie dostojną Agathę.



—Skąd się tam, u licha, wzięła?

—Moja siostrzyczka... pomocna jak zwykle. Powiedziała mi, że zajmie się stosem książek w miękkich okładkach. Po prostu nie zrozumiałem, że chodzi właśnie o te. Jednak nie powinniśmy się na nią zbyt wściekać — ten jej fartuch wybawił nas z prawdziwej opresji.

—Gdzie była prawdziwa koszula?

—Zwinięta za wielką donicą, którą rozwalił. Jeszcze tam pewnie leży, pod gruzem. Szkoda, że nie wspomniałaś, że twój mąż ma predyspozycje do niszczenia dobytku domowego.

Sheila w poczuciu winy szybko mu przerwała:

— Powiedz, jak to zrobiłeś, że dostała mu się rola ofiary? Ale Simon nie dał się odwieść od tematu.

—Będę spłacał ten weekend do końca życia. Zdajesz sobie sprawę, że ta niebiesko-żółta waza, której okruchy walają się po całym holu, pochodzi z Chin?

—*Och!*

—Z dwunastego wieku.

—Przykro mi.

—Wsadził też nogę w oryginalnego Hepplewhite'a z oparciem w kształcie liiry. Żeby go naprawić, wydam praktycznie wszystko, co zyskałem na tym interesie.

—Kochanie...?

—Chcesz zobaczyć prawdziwą zbrodnię? Przyjedź tu we wrześniu, kiedy ciotunia wróci do domu.

—...sztuczka z kapeluszem?

—Och, to. No więc, zacząłem od Laurie, żeby być pewnym, że twój mąż będzie ostatni. Kartkę z czerwonym krzyżykiem przyciskałem kciukiem do boku kapelusza, a potem ją puściłem. Proste.

—Jesteś taki mądry — Sheila przysunęła się ciaśniej do kochanka. — A byliśmy tak blisko...

—Bylibyśmy o niebo bliżej, gdybyś o pierwszej poszła go poszukać, tak jak zaplanowaliśmy. Nie miałby wtedy czasu na wertowanie książek. Przez cały lunch rzucałem ci znaczące spojrzenia.

—To prawda, komuś rzucałeś znaczące spojrzenia.

—Co chcesz przez to powiedzieć?

—Panienczce Rose...

—No nie, kochanie. Kto jak kto, ale ty powinnaś wiedzieć, jak ważne jest odwrócenie uwagi.

—Ooo... Rozumiem...

—Uważam, że całkiem nieźle mi to wyszło.

—Jesteś pewien, że tylko o to chodziło?

—Tak samo jak tego, że tu stoję.

—No to pocałuj mnie... nie tak... naprawdę pocałuj.

—Mamy trochę mało czasu.

—Najdroższy! — Jeszcze raz go objęła, na próżno. Ciężko westchnęła. — Wobec tego będę chyba musiała czekać aż... do środy.

—Co do środy, to nie jest wcale pewne. Będzie tu cała masa sprzątanania.

—Simon... kochasz mnie jeszcze?

—Jak boga kocham... — Simon zdjął rękę z talii Sheili i przyłożył palce do piersi prawie dokładnie na kwadratowej tekturce z adresem i telefonem Rosemary, tej słodkiej, atrakcyjnej spadkobierczynie bez zobowiązań — ...i pieniądze.

—Następnym razem będziemy mieli więcej szczęścia. Zobaczysz.

—Aniołku — szepnął Simon, łagodnie wysuwając się z jej objęć. — Muszę ci coś wyznać. Kiedy podniosłem nóż (na chwilę przedtem, zanim na mnie skoczy-

ł), wiedziałem, że nigdy nie będę w stanie tego zrobić. Po prostu nie mam w sobie żyłki do zabijania.

—Ale kochanie... — usta Sheili zadrżały z rozczarowania. Sprawiała wrażenie zranionej i rozczarowanej. — Obiecałeś.

—Wiem. I przepraszam.

—No to co teraz zrobimy?

—Wygląda na to, kochanie, że przyszła kolej na twój ruch. Tak czy inaczej, jestem pewien, że w tego rodzaju sprawach poradzisz sobie dużo lepiej ode mnie. Mężczyźni to niezdary. Mają dwie lewe ręce. Miej tylko oczy otwarte, a okazja sama się trafi.

—Kłopot w tym — westchnęła Sheila — że nie mam głowy do pomysłów. Lepiej mi idzie wydawanie poleceń. — Tuut, tu-ut. — Och! To na pewno tak-sówka.

—Na twoim miejscu zaproponowałbym mu wspólny wyjazd. Może drugi miesiąc miodowy. Zabierz go gdzieś. Natychmiast. Za granicę. Wypadki zawsze się przydarzają za granicą. Do tego bariera językowa i lekarze obcokrajowcy, nigdy się nie połapią, co naprawdę miało miejsce. Zawieź go... — oczy Simona zabłyśły. — Zawieź go do Szwajcarii.

—Do Szwajcarii?

—Zabierz go do Szwajcarii — powtórzył Simon. — I spuść w beczce z Reichenbachfall\*<sup>7</sup>.

Hotel Royal Georgian w Bath oddychał z ulgą. Nie metaforycznie, lecz dosłownie, prawdziwie. Siła wydechu spowodowała, że miedziany kogut na dachu herbaciarni kręcił się w kółko, kolczaste liście palm na skwerze poruszały się, a okna budynku trzeszczały.

---

<sup>7</sup> \*Wodospad w Szwajcarii, z którego podczas bójki spadają Sherlock Holmes i jego wielki przeciwnik, profesor Moriarty, zwany Napoleonem zbrodni i geniuszem zła (A. C. Doyle, *Ostatnia zagadka*); w późniejszych opowiadaniach okazuje się, że było to usiłowanie zabójstwa (przyp. red.).

Lecz ulga doświadczana przez cegły i zaprawę murarską była niczym w porównaniu z tą, którą odczuwał personel. Do wszystkich dotarły pogłoski, a chociaż nie wszyscy dawali im wiarę, to wszędzie wokół dominować zaczynały przytłumione odgłosy regularnej hysterii.

Druga pokojówka łkająca cicho w schowku na przybory do sprzątanania, w którym siedziała przez ostatnie trzydzieści sześć godzin, wymknęła się chyłkiem, zastanawiając się, czy taki cud może się okazać prawdą. Pracownik sklepiku, w którym zaopatrywała się w chusteczki higieniczne i mocną Irish Break-fast Tea, zapewnił, że tak jest w istocie. On to wiedział od zastępcy szefa kuchni, który dowiedział się od kelnera, który z kolei przechodził przez hol, kiedy telefon wyszcze kiwał w twarz recepcjonistki, żeby przygotowała rachunek dla apartamentu Queen Charlotte.

Drżąca z podniecenia i niedowierzania recepcjonistka pobiegła do biura kierownika, w którym zasiadał Harold Peas-marsh ze szpakowatymi włosami (zaledwie dwa tygodnie temu kasztanowobrazowymi), splątanymi i sterczącymi we wszystkie strony.

—Będzie pan przy mnie, prawda, panie Peasmarsh? Kiedy będę wręczała rachunek?

—Czy to może być prawda? — pan Peasmarsh, którego mizerne oblicze odmienił promyk nadziei, powtarzał jak echo za drugą pokojówką, po czym stanął chwiejnie na nogi.

—Święta prawda. Dostałam polecenie, żeby zadzwonić do pokoju szofera. Za kwadrans ma podjechać pod drzwi.

—Nie mogę uwierzyć. Nie śmiem.

Kierownik ruszył w stronę drzwi, w międzyczasie kilkakrotnie się potykając. Do tej pory zdążył się już uciec do drobnego środka zaradczego, powtórnego w dużo większej dawce w okolicach godziny jedenastej. Uważał, że prośba Carole o wsparcie była cokolwiek nie w porządku. Oznaczała ona wysunięcie się na czoło i przyjęcie na siebie całego ognia z wrogiej reduty, co doprowadziło go do obecnego stanu tchórzliwej czołobitności.

—O mój Boże... — uderzyła go straszna myśl. —Ale dzisiaj nie jest pierwszy kwietnia?

—Nie, nie, panie Peasmarsh — uspokoiła go Carole. — Szesnasty czerwca.

—Nie zdziwiłbym się, gdyby była w stanie rzucić urok na kalendarz. Jeśli jakaś kobieta miałaby podpisać pakt z diabłem, to właśnie ona. I założę się, że byłby sztywny ze strachu i nawet by ust nie otworzył.

Ustawivszy się tuż za Carole, pan Peasmarsh, którego nerwów zdecydowanie nie zdołały uspokoić ani odgłosy stukania na komputerze, ani ckliwe dźwięki smyczków Palm Court Trio, ucieszył się mimo wszystko widokiem kilku członków personelu, o których sądził, że albo zdezerterowali, albo zostali pożarci żywcem, a którzy teraz pojawiali się jak gdyby nigdy nic i powracali nieśmiało do swych zajęć.

Jedynie pracownicy opiekujący się ogrodem wyszli praktycznie bez szwanku ze wzburzonej nawałnicy groteskowych wyzwick dochodzących z frontowej części drugiego piętra. Niemniej młody Gary, który pomagał sadzić rośliny ozdobne i pracował pod otwartym oknem, znalazł się w bezpośrednim zasięgu ich oddziaływania i musiał wrócić do domu, żeby się położyć.

Szef kuchni, Angelo, również nie został zmieszany z błotem. Szyderczym uśmiechem witał trzęsących się kelnerów, którzy znosili zakwestionowane dania do jego renomowanej kuchni, i mścił się na różne subtelne sposoby, z których żaden zdawał się nie robić najmniejszego wrażenia na systemie trawiennym klientki.

Carole właśnie zsumowała rachunek, kiedy drzwi windy się otworzyły. Wyłoniły się zza nich dwie warstwy walizek, sięgające wysokości pulpitu recepcji. Carole skierowała je na zewnątrz. Kiedy spoceni boye hotelowi wynosili je na słaniających się nogach, przed wejście podjechał Phantom Continental, a na parter zjechała druga winda. Carole chwyciła dłoń pana Peasmarsh. Trio smyczkowe unoszące się radośnie na falach modrego Dunaju pograżyło się w ciszy, a panna Curd — pierwsze skrzypce — upuściła smyczek.

Jedyna pasażerka windy sztywnym krokiem i z gniewnym spojrzeniem przeszła przez dywan, na przemian to uderzając laseczką o podłogę, to wyrzucając ją gwałtownie przed siebie. Carole przedłożyła jej rachunek. Wychodząca dama odkręciła wieczne pióro i zawisała z nim nieruchomo w powietrzu jak orzeł nad królikiem.

—Przez telefon wcale nie rozmawiałam. — Przekreślenie.

—Nie było żadnej popołudniowej herbaty. — Przekreślenie.

— Czwartego obiad nie nadawał się do jedzenia. Tak samo piątego, siódmego i trzynastego. — Przekreślenie, przekreślenie, przekreślenie. — Wczoraj wieczorem czysta przezorność nakazała mi jeść na mieście.

—Moje ubrania zostały wyprasowane w taki sposób, że zapyziałej małpy bym w nie nie ubrała. Prędzej umrę, zanim przekroczę próg Prinny's Soda Fountain. To samo odnosi się do Fitzherbert Carvery. — Kolejne zamaszyste pociągnięcia i razy.

—Obsługa pokoi, panie Peasmarsh? Lepszą obsługę miałam na północnej ścianie Eigeru podczas szalejących lawin. — Ostatnie wykreślenie, krótkie powtarzane podsumowanie i rachunek wrócił do pana Peasmarsha. — Powiem zupełnie szczerze: gdybym nie potrafiła prowadzić hotelu lepiej niż ten tutaj, zaciągnęłabym się do Legii Cudzoziemskiej. Ewentualnie palnęłabym sobie w łeb. — Szczęki jej torebki z aligatora otworzyły się szeroko. — Weźmie pan czek.

To nie było pytanie. Pan Peasmarsh skinął głową. Równie , dobrze mógł wziąć kupony z supermarketu albo sam zapłacić rachunek. Pomiął czek milczeniem. Następnie, zatrzymawszy się tylko po to, by zauważyć, że w męskim arsenale broni nigdy nie było miejsca dla łez, kobieta jeszcze raz huknęła swoją łaską, zrobiła nią energiczny wymach w przód i już jej nie było.

Szofer w zielonej liberii i wypolerowanych oficerkach zdjął czapkę i otworzył tylne drzwi rolls-royce'a. Jego pracodawczy-ni weszła do środka. Gdy to zrobiła, w holu Royal Georgian wybuchła nadzwyczajna eksplozja dźwięków i poruszenia. Urywane wiwaty i brawa, pohukiwania i okrzyki. A wszystko do taktu polki Offenbacha (raz, dwa, trzy, *cztery*).

Za szklanymi drzwiami, przez które patrzyły dwie osoby siedzące w samochodzie, uformował się wielki łańcuch. Kelnerzy i personel kuchenny, pokojówki i boye hotelowi, nawet połamany artretyzmem windziarz, wszyscy spontanicznie połączyli się w radosnym świętowaniu. Hasali to tu, to tam, od jednego mebla do drugiego. Wbiegali po schodach i zbiegali z nich, robiąc kółko wokół Carole i pana Peasmarsha, którzy tańcowali (raz, dwa, trzy, *cztery*) i wirowali, nie posiadając się z radości.

—Najwyraźniej pomyleńcy wyrwali się z zakładu.

—Tak jest, pani Maberley.

— No cóż, nie są w stanie zrobić niczego gorszego niż poprzednia ekipa. Ruszaj.

Ciocia Maud (gdyż to ona ma głos na koniec naszej historii) oparła się o miękką kremową skórę i zastanawiała się, czy po tych niewyobrażalnych dwóch tygodniach, które udało jej się przetrwać, zdobędzie się jeszcze na to, by przez kilka dni w Torquay zaczynać wszystko od początku. Tak czy inaczej, zwyczajny zwrot o kilka stopni na południe nie gwarantuje automatycznie najlepszych wakacji w życiu. Ciotka Maud zacisnęła usta ze zdenerwowania. Co do jednego nie miała żadnych wątpliwości, zdecydowanie wolała spędzać urlop na pokładzie statku, gdzie lokaje, którym należała się nagana, musieli albo trzymać się niewzruszenie swego stanowiska i znosić wszystko po męsku, albo uskakiwać na boki. Tam nie było mowy o jakimś wymigiwaniu się czy składaniu wymówienia. Niechętnie doszła do wniosku, że będzie musiała najpewniej zarzucić swą de-wońską wyprawę na rzecz realizacji planu generalnego.

Ów zaś narodził się w pewien kwietniowy weekend podczas odwiedzin Laurel i Simona. Kilka dni wcześniej pani Ma-berley siedziała, przytupując ze zdenerwowania nogą, a jej radca prawny wygłaszał ostatnią część czegoś, co w ustach mniej ugrzecznionego mężczyzny brzmiałoby jak seria kazań. Pomimo iż całkiem zręcznie udało jej się zamknąć mu gębę, przyznała jednak, że to, co mówił, miało sens. Chociaż ufała (całkiem słusznie), że przez następnych trzydzieści lat będzie się cieszyć dobrym zdrowiem, roztropność nakazywała, by w pewien sposób uporządkować swoje sprawy i sporządzić testament. Kiedy już się z

tym upora, można będzie odsunąć śmierć w odległą przyszłość, czyli tam, gdzie jej miejsce.

Była w pełni świadoma powodów swojej niechęci do wybrania spadkobiercy czy spadkobierców. Emocjonalnie najbardziej była skłonna (a samym emocjom nie należy się przecież poddawać) pozostawić cały majątek wnuczce i wnukowi siostry. Laurel, jako córce Minette, będącej z kolei dzieckiem ukochanej siostry pani Maberley, ponieważ ta zawsze wydawała się autentycznie szczęśliwa w Madingley Grange, a do tego była jedyną osobą na jej utrzymaniu, której chciało się kiwnąć palcem i coś w tym domu robić. A Simonowi, ponieważ ciotka Maude podziwiała, choć z rezerwą, jego bezwstydne techniki manipulacyjne. Do tego umiał ją rozbawić i kochał rzeczy i pieniądze z taką pozbawioną poczucia winy, prostolinijną lubością, która jej samej nie była obca. I ostatnia jego zaleta — to ojciec Simona sprawił, że Minette przez ostatnie dziesięć lat swego tragicznie krótkiego życia była szczęśliwa.

Z drugiej strony (ciotka Maud miała bardzo staroświeckie poglądy w kwestii poczucia obowiązku) nie dało się zaprzeczyć, że Alan Handsom-Norty ma swego rodzaju prawo do części spadku. Jest jedynym synem jej jedyne**go barata** i odwiedzał majątek cztery razy do roku przez ostatnie dwadzieścia lat. Choć często dostawał paternoster w tej samej chwili, kiedy stawiał nogę na **zwirowym** podjeździe, to dzielnie powracał, gdy nadchodził następny termin wnoszenia opłat dzierzawnych. Oczywiście jako minus trzeba mu było zapisać drobne problemy w City, jednak żadne z nich nie przedostały się na forum publicznie (co dla ciotki Maud stanowiło wyznacznik wiarygodności), a obecnie wydawały się zupełnie wyciszone.

Był jeszcze Mervyn od Hazel. Ten skończył teraz prawie osiemnastkę, wciąż wygląda jak chomik z policzkami wypchanymi orzechami i bezsprzecznie jest jednym z mniej atrakcyjnych przedstawicieli linii rodu Maberley. Plus drugi kuzyn w Lanarkshire oraz Jocelyn, ulubiony bratanek George'a. No więc możliwości istotnie jest wiele. Przynajmniej, pomyślała Maude, nie będę musiała brać pod uwagę Hetty, która zwykła nucić sobie przed snem na nadmuchiwanej trawie w zbiorniku dla ryb, mając na sobie domowej roboty syreni ogon z lateksu. Wyemigrowała na antypody. Jak dla niej, to z pewnością najlepsze miejsce.



Gdy po raz któryś z rzędu łamała sobie głowę nad rzeszą najrozmaitszych pretendentów, pani Maberley wpadła naraz na kapitalny pomysł. Wymyśliła, że aby się przekonać, czy kandydaci rzeczywiście zasługują na odziedziczenie domu wraz z parkiem w Madingley, najlepiej zrobi, jeśli pozostawi im go pod opieką na czas swojego rzekomego trzymiesięcznego rejsu, a po dwóch tygodniach powróci, by sprawdzić, co za bajzel na kółkach tam zastanie. Wszyscy po kolei mieliby przejść taką próbę. Nie widziała problemu w otoczeniu całej sprawy tajemnicą i uważała, że ci, których wcześniej podda testowi, w swoim własnym interesie nie będą zdradzać prowokacji pozostałym.

W czasie, kiedy pojawiła się myśl o podstępie, Laurel pilnie zajmowała się donicami rozstawionymi po całym tarasie, a jej ciotka milcząco przyznała, że chciałaby, by to ona wraz ze swym bratem wygrała rywalizację.

Teraz, gdy nastrój poprawił jej się na myśl, że wkrótce znowu zobaczy ich oboje, i kiedy przypomniła sobie wyjątkowo nieprzyjemne czternaście dni, przez które dopiero co, w imię obowiązku, przebrnęła, ciocia Maud zaczęła rozważać, czy nie lepiej podjąć decyzję natychmiast. Czymże w końcu jest obowiązek? W najlepszym razie nudną, staroświecką regułą. Nikt nie ogrzeje jej dłoni w szarej godzinie życia z poczucia zimnego obowiązku. Z pewnością lepiej zaufać swym naturalnym skłonnościom. (Ostatecznie, czy kiedykolwiek się myliła?)

I tak, z raz powziętym postanowieniem, pani Maberley zdjęła tubę głosową i dość mocno w nią dmuchnęła. Do uszu szofera dobiegł przenikliwy gwizd.

— Dodaj gazu, Fitterbee — poleciła ciocia Maud. — Będziemy w domu akurat na herbatę.